

Nando Parrado
Vince Rause

Cud w Andach

Nando Parrado Vince Rause 1
przełożył Piotr Lewiński

•

jjvjj MUZA SA

I
Nando Parrado
Vince Rause

przełożył Piotr Lewiński

MUZA SA
Tytuł oryginału
Miracle in the Andes
72 days on the mountain and my long trek home

bT76Q
Projekt okładki i stron tytułowych
Mariusz Filipowicz
Zdjęcia

Okładka - pomimo że dołożyliśmy wszelkich starań,
nie udało nam się ustalić autora zdjęcia. Wkładka - drużyna rugby i panorama Andów:
wydawca amerykański Random House. Pozostałe zdjęcia - SIPA PRESS / EAST NEWS

s~« jT~l Redakcja

Dorota Ring

98U6

f"~i

m #%>

Redaktor prowadzący

Sławomira Gibka

Opracowanie graficzno-techniczne

Piotr Trzebiecki

Korekta

Zespół

Copyright © 2006 by Nando Parrado © for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-7495-069-5

MUZA SA Warszawa 2007

Dla Veronique, Veroniki i Cecilii.

Warto było tego dokonać.

Dla was zrobiłbym to wszystko jeszcze raz.

/

Znana trasa przelotu fairchilda

Planowana trasa przelotu fairchilda

• Malargiie

Prolog-

pierwszych godzinach nie było nic, żadnego lęku czy smutku, żadnego poczucia upływu czasu, nawet przeblysku myśli czy wspomnienia, tylko czarna i doskonała cisza. Potem pojawiło się światło, biała szara plama dziennego światła, a ja uniosłem się ku niej z ciemności niczym nurek wypływający niespiesznie na powierzchnię. Świadomość przesączała się przez mój mózg jak powolne krwawienie i przebudziłem się, z wielkim trudem, do świata półmroku pomiędzy snem a jawą. Usłyszałem głosy i wyczułem wokół siebie ruchy, ale moje myśli były zmętniałe, a widzenie nieostre. Dostrzegałem tylko ciemne sylwetki i plamy światła i cienia. Kiedy wpatrywałem się zdezorientowany w te niejasne kształty, zauważyłem, że niektóre się poruszają, i wreszcie uprzytomniłem sobie, że jeden z nich pochyła się nade mną.

- Nando, podes oirme...? Słyszysz mnie? Wszystko w porządku?

Cień przysunął się do mnie, a kiedy wpatrywałem się weń osłupiał, przybrał formę ludzkiej twarzy. Zobaczyłem zmierzwiony kołtun ciemnych włosów i ciemnobrązowe oczy. Była w nich życzliwość - ten ktoś mnie znał - ale i coś jeszcze, jakaś dzikość, twardość, hamowana desperacja.

- No, dalej, Nando, zbudź się!

9

Dlaczego tak mi zimno? Dlaczego tak strasznie boli mnie głowa? Próbowałem rozpaczliwie wypowiedzieć te myśli, ale moje wargi nie umiały uformować słów, a wysiłek szybko wyczerpał mi siły. Zamknąłem oczy i odpłynąłem z powrotem w cień. Ale wkrótce usłyszałem inne głosy, a gdy otworzyłem oczy, unosiło się nade mną więcej twarzy.

- Czy on jest przytomny? Słyszysz cię?

- Powiedz coś, Nando!

- Nie poddawaj się, Nando. Jesteśmy tu z tobą. Zbudź się! Znów spróbowałem się odezwać, ale wydobyłem z siebie

tylko ochrypiły szept. Potem ktoś pochylił się tuż nade mną i powiedział mi bardzo powoli do ucha:

- Nando, el avión se estrelló...! Cafmos en los montañas. Rozbiliśmy się, powiedział. Samolot się rozbił. Spadliśmy w górach.

- Rozumiesz mnie, Nando?

Nie rozumiałem. Słyszając spokojną niecierpliwość, z jaką wypowiedziano te słowa, pojąłem, że było to coś niezwykle ważnego. Nie potrafiłem jednak zgłębić ich znaczenia ani uprzytomnić sobie, że mają coś wspólnego ze mną. Rzeczywistość wydawała się odległa i stłumiona, jakbym został uwięziony we śnie i nie potrafił się przebudzić. Unosiłem się w tym otumanieniu całymi godzinami, ale w końcu moje zmysły jęły się wyostrzać i zdołałem rozejrzeć się w otoczeniu. Od pierwszych mętnych momentów przytomności intrygował mnie unoszący się nade mną rząd łagodnych kolistych świateł. Zidentyfikowałem je teraz jako niewielkie okrągłe okienka samolotu. Uprzytomniłem sobie, że leżę na podłodze kabiny pasażerskiej czarterowego fairchilda, ale gdy spojrzałem w stronę kokpitu, spostrzegłem, że nic w tym samolocie nie wydaje się w porządku. Kadłub przetoczył się na bok, tak że moje plecy i głowa opierały się o dolną część jego prawej ścianki, a nogi

10

miałem wyciągnięte ku uniesionemu przejściu między fotelami. Brakowało większości siedzeń. Kable i rury dyndały z uszkodzonego sufitu, a poszarpane strzępy izolacji zwisały jak brudne szmaty z dziur w obtłuczonych ścianach. Podłoga usiana była bryłkami potrzaskanego plastiku, poskręcanymi kawałkami metalu i innymi luźnymi kawałkami. Był dzień. Powietrze było mroźne i nawet w stanie oszołomienia zdumiała mnie ostrość tego zimna. Całe życie spędziłem w Urugwaju, ciepłym kraju, gdzie także zimy są łagodne. Smaku prawdziwej zimy zaznałem tylko raz, gdy jako szesnastolatek mieszkałem w ramach wymiany uczniów w Saginaw w stanie Michigan. Nie zabrałem tam wówczas żadnych ciepłych ubrań i do dziś pamiętam pierwsze doświadczenie podmuchu zimy prawdziwego Środkowego Zachodu Stanów Zjednoczonych, kiedy wiatr przenikał przez cienką wiosenną kurtkę, a stopy kostniały mi z zimna w lekkich mokasynach. Jednak podmuchy dojmującego chłodu, jakie czuło się teraz w kadłubie, przekraczały moją wyobraźnię. Był to straszliwy, przenikający do szpiku kości mróz, który palił skórę jak kwas. Czułem ten ból w każdej komórce ciała, a gdy dygotałem konwulsyjnie w jego objęciu, każda chwila zdawała się trwać wieczność. Leżąc na owiewanej przeciągami podłodze samolotu, nie mogłem się w żaden sposób ogrzać. Ale niepokoił mnie nie tylko mróz. Czułem też pulsujący ból w głowie, dudnienie tak przenikliwe i gwałtowne, jakby jakieś dzikie zwierzę, uwięzione w czaszce, próbowało rozpaczliwie się wyszarpać. Dotknąłem ostrożnie czubka głowy. Grudki wyschłej krwi przywarły mi do włosów, a jakieś dziesięć centymetrów nad prawym uchem trzy krwawe rany utworzyły nieregularny trójkąt. Pod skrzeplą krwią wyczułem szorstkie krawędzie złamanej kości, a gdy przycisnąłem ją lekko, ustąpiła elastycznie jak gąbka. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy uprzytomniłem sobie, co to znaczy - wciskałem strzaskane kawałki własnej czaszki w powierzchnię mózgu. Serce załomotało mi w piersi. Łapałem powietrze płytkimi haustami. Już miałem wpaść w panikę, gdy zobaczyłem nad sobą te brązowe oczy i rozpoznałem w końcu twarz mego przyjaciela Roberta Canessy.

- Co się stało? - zapytałem. - Gdzie jesteśmy? Roberto pochylił się, marszcząc brwi, żeby zbadać rany na

mojej głowie. Zawsze był poważnym facetem, tak upartym i skupionym, że nazwaliśmy go Muskuł, a gdy spojrzałem mu w oczy, ujrzałem tam całą zaciętość i pewność siebie, z jakiej był znany. W jego twarzy pojawiło się jednak coś nowego, mrocznego i niepokojącego, czego

dotąd nie widziałem. Było to udęczone spojrzenie człowieka usiłującego uwierzyć w rzecz niewiarygodną, kogoś zataczającego się w zdumieniu i oszołomieniu.

- Byłeś nieprzytomny przez trzy dni - rzekł beznamiętnie. - Już położyliśmy na tobie kreskę. Nie miało to dla mnie sensu.

- Co mi się stało? - zapytałem. - Dlaczego jest tak zimno?

- Nando, rozumiesz mnie? - powiedział. - Rozbiliśmy się w górach. Samolot się rozbił.

Jesteśmy zdani na własne siły.

Potrząsnąłem słabo głową w wyrazie konsternacji czy zaprzeczenia, ale nie mogłem dłużej negować tego, co się wokół działo. Słyszałem ciche jęki i nagłe krzyki bólu, zacząłem rozumieć, że to odgłosy cierpienia innych ludzi. Zobaczyłem rannych leżących na prowizorycznych posłaniach i hamakach w całym kadłubie i inne postacie pochylone, by im pomóc, rozmawiające ze sobą cicho, kiedy chodziły spokojnie i planowo po kabinie.

Zauważyłem po raz pierwszy, że przód mojej koszuli pokrywa wilgotna brązowa skorupa.

Kiedy dotknąłem jej czubkiem palca, okazała się lepka i skrzepła. Uprzytomniłem sobie, że ta żalosna breja to moja przyschnięta krew.

12

- Rozumiesz, Nando? - zapytał znów Roberto. - Pamiętasz, byliśmy w samolocie... lecieliśmy do Chile...

Zamknąłem oczy i skinąłem głową. Wyszedłem już z półmroku, dezorientacja nie chroniła mnie dłużej przed prawdą. Rozumiałem, a gdy Roberto ostrożnie zmywał mi z twarzy ze-skorupiałą krew, zacząłem też sobie przypominać.

;

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przed wypadkiem

'ył piątek, 13 października. Żartowaliśmy sobie z te-'go - przelatywać przez Andy w taki pechowy dzień, ale młodzi ludzie często robią takie żarty. Nasz lot rozpoczął się dzień wcześniej w Montevideo, moim rodzinnym mieście, a naszym miejscem przeznaczenia było Santiago w Chile. Wycarterowany fairchild o dwóch silnikach turbośmigłowych wiozł moją drużynę rugby - Klub Rugby Starych Chrześcijan - na pokazowy mecz z czołowym zespołem chilijskim. Na pokładzie było czterdzieści pięć osób, w tym czterech członków załogi - pilot, drugi pilot, mechanik i steward. Większość pasażerów stanowili moi koledzy z drużyny, ale towarzyszyli nam też znajomi, członkowie rodzin i inni nasi kibice, także moja matka Eugenia i młodsza siostra Susy, które siedziały w jednym rzędzie ze mną po drugiej stronie przejścia. Początkowo planowaliśmy bezpośredni przelot do Santiago, co miało potrwać jakieś trzy i pół godziny. Ale po kilku godzinach lotu doniesienia o złej pogodzie w górach zmusiły Julio Ferradasa, pilota, do lądowania w Mendozie, starym hiszpańskim mieście kolonialnym, położonym nieco na wschód od przedgórzy Andów.

Wylądowaliśmy tam w porze obiadu, licząc na to, że podejmiemy lot w ciągu paru godzin.

Ale prognoza pogody nie była

zachęcająca i wkrótce stało się jasne, że będziemy musieli przenocować. Żadnemu z nas nie uśmiechało się tracenie dnia naszej wycieczki, ale Mendoza była uroczym miejscem, zatem postanowiliśmy jak najlepiej wykorzystać pobyt. Część chłopaków siedziała w kawiarenkach przy szerokich, wysadzanych drzewami bulwarach Mendozy albo wybrała się na zwiedzanie zabytkowych okolic miasta. Spędziłem to popołudnie z kilkoma przyjaciółmi, oglądając wyścigi samochodowe na podmiejskim torze. Wieczorem wybraliśmy się do kina, inni poszli potańczyć z nowo poznanymi argentyńskimi dziewczynami. Moja matka i Susy buszowały w tym czasie po ciekawych miejscowych sklepach z upominkami, kupując prezenty dla

znajomych w Chile oraz rodziny i przyjaciół. Matka bardzo się ucieszyła, znalazłszy w małym butiku parę czerwonych bucików dla niemowląt, które uznała za doskonały prezent dla małego synka mojej starszej siostry Gracieli.

Nazajutrz rano większość nas spała dłużej, a po przebudzeniu się mieliśmy ochotę wyjechać, ale nadal nie było żadnych wieści o odlocie, zatem wszyscy ruszyliśmy własnymi drogami pozwiedzać jeszcze Mendozę. Wreszcie otrzymaliśmy informację, by zebrać się na lotnisku punktualnie o pierwszej po południu, po przybyciu jednak stwierdziliśmy, że Ferradas i drugi pilot Dante Lagurara nie zdecydowali jeszcze, czy odlecimy. Zareagowaliśmy frustracją i gniewem, żadne z nas nie rozumiało jednak, jak trudną decyzję musieli podjąć piloci.

Prognozy pogody tego ranka przestrzegały przed turbulencjami na trasie naszego przelotu, ale po rozmowie z pilotem transportowca, który właśnie przyleciał z Santiago, Ferradas nabrał pewności, że nasz fairchild przeleci bezpiecznie nad rejonem niepogody. Bardziej kłopotliwą sprawą była pora dnia. Zrobiło się już wczesne popołudnie. Zanim wszyscy znaleźliby się na pokładzie i załatwiono by

zachęcająca i wkrótce stało się jasne, że będziemy musieli przenocować. Żadnemu z nas nie uśmiechało się tracenie dnia naszej wycieczki, ale Mendoza była uroczym miejscem, zatem postanowiliśmy jak najlepiej wykorzystać pobyt. Część chłopaków siedziała w kawiarenkach przy szerokich, wysadzanych drzewami bulwarach Mendozy albo wybrała się na zwiedzanie zabytkowych okolic miasta. Spędziłem to popołudnie z kilkoma przyjaciółmi, oglądając wyścigi samochodowe na podmiejskim torze. Wieczorem wybraliśmy się do kina, inni poszli potańczyć z nowo poznanymi argentyńskimi dziewczynami. Moja matka i Susy buszowały w tym czasie po ciekawych miejscowych sklepach z upominkami, kupując prezenty dla znajomych w Chile oraz rodziny i przyjaciół. Matka bardzo się ucieszyła, znalazłszy w małym butiku parę czerwonych bucików dla niemowląt, które uznała za doskonały prezent dla małego synka mojej starszej siostry Gracieli.

Nazajutrz rano większość nas spała dłużej, a po przebudzeniu się mieliśmy ochotę wyjechać, ale nadal nie było żadnych wieści o odlocie, zatem wszyscy ruszyliśmy własnymi drogami pozwiedzać jeszcze Mendozę. Wreszcie otrzymaliśmy informację, by zebrać się na lotnisku punktualnie o pierwszej po południu, po przybyciu jednak stwierdziliśmy, że Ferradas i drugi pilot Dante Lagurara nie zdecydowali jeszcze, czy odlecimy. Zareagowaliśmy frustracją i gniewem, żadne z nas nie rozumiało jednak, jak trudną decyzję musieli podjąć piloci.

Prognozy pogody tego ranka przestrzegały przed turbulencjami na trasie naszego przelotu, ale po rozmowie z pilotem transportowca, który właśnie przyleciał z Santiago, Ferradas nabrał pewności, że nasz fairchild przeleci bezpiecznie nad rejonem niepogody. Bardziej kłopotliwą sprawą była pora dnia. Zrobiło się już wczesne popołudnie. Zanim wszyscy znaleźliby się na pokładzie i załatwiono by

/5

wszelkie konieczne formalności z władzami lotniska, byłoby dobrze po drugiej. Po południu ciepłe prądy unoszą się znad argentyńskich przedgórz, spotykając lodowate powietrze ponad linią wiecznego śniegu, co powoduje zdradliwą niestabilność atmosfery nad górami. Nasi piloci wiedzieli, że to najbardziej niebezpieczna pora na przelot nad Andami. Nie można było przewidzieć, gdzie mogą uderzyć te wirujące prądy, a gdyby nas porwały, samolotem rzucałoby jak zabawką.

Z drugiej strony - nie mogliśmy pozostać w Mendozie. Lecieliśmy Fairchildem F-227 wynajętym od urugwajskich sił powietrznych. Prawo argentyńskie nie zezwala obcym samolotom wojskowym zatrzymać się na terytorium tego kraju dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Nasz czas już prawie upłynął, tak więc Ferradas i Lagurara musieli podjąć szybką decyzję - wystartować do Santiago i stawić czoło popołudniowemu niebu czy polecieć z powrotem do Montevideo i zakończyć nasze wakacje?

Kiedy piloci rozważali różne możliwości, nasza niecierpliwość rosła. Straciliśmy już dzień z chilijskiej wycieczki i frustrowała nas perspektywa utraty kolejnego. Byliśmy odważnymi młodymi ludźmi, nieustraszonymi i zarozumiałymi, i gniewało nas, że wakacje przeciekają nam przez palce z powodu, jak sądziliśmy, lęklności naszych pilotów. Nie kryliśmy się z tym. Zobaczywszy pilotów na lotnisku, zaczęliśmy szydzić z nich i gwizdać. Pokpiwaliśmy z nich, podając w wątpliwość ich kompetencje.

- Wynajęliśmy was, żeby dolecieć do Chile - krzyknął ktoś - i tego od was oczekujemy! Nie można stwierdzić, czy nasze zachowanie wpłynęło na ich decyzję - chyba ich jednak poruszyło - ale w końcu, po kolejnych konsultacjach z Lagurara, Ferradas obrzucił spojrzeniem tłumek czekający niespokojnie na odpowiedź i oznajmił,

16

że podejmą lot do Santiago. Zareagowaliśmy na te wieści hałaśliwymi okrzykami.

Fairchild wystartował ostatecznie z lotniska w Mendozie

0 drugiej osiemnaście czasu miejscowego. Wzbiliśmy się w powietrze, samolot przechylił się ostro na prawe skrzydło

1 już niebawem lecieliśmy na południe, a na prawo od nas, na zachodnim horyzoncie, wznosiły się Andy argentyńskie. Przez okienka po prawej stronie kadłuba przyglądałem się górą, które wystrzelały z suchego płaskowyżu pod nami niczym czarny miraż, tak ponure i majestatyczne, tak zdumiewająco rozległe i ogromne, że na sam ich widok czułem gwałtowne bicie serca. Ich czarne granie, zakorzenione w masywnych wybrzuszeniach skały macierzystej, z olbrzymimi podstawami ciągnącymi się na przestrzeni kilometrów, górowały nad równiną, jeden szczyt tuż za drugim niczym mury jakiejś kolosalnej warowni. Nie byłem młodzieńcem o inklinacjach poetyckich, ale majestat, z jakim się wznosiły, zdawał się nieść przestrozę, i trudno było nie traktować ich jak żywych stworzeń, mających umysły i serca, i jakąś pradawną, złowieszczą świadomość. Nic dziwnego, że dawni mieszkańcy traktowali te góry jak miejsca święte, wrota do nieba i siedzibę bogów.

Urugwaj to kraj nizinny i podobnie jak w wypadku moich towarzyszy podróży, moja wiedza o Andach, czy o jakichkolwiek zresztą górach, ograniczała się do tego, co przeczytałem w książkach. W szkole uczyliśmy się, że Andy to najdłuższy łańcuch górski świata, biegnący wzdłuż Ameryki Południowej od Wenezueli na północy po Ziemię Ognistą na południowym krańcu kontynentu. Wiedziałem też, że jest to drugi co do wysokości łańcuch naszej planety, pod względem średniej wysokości ustępujący jedynie Himalajom.

Słyszałem, jak nazywano Andy jednym z wielkich cudów geologicznych Ziemi, a widok z samolotu pozwolił mi zrozumieć

że podejmą lot do Santiago. Zareagowaliśmy na te wieści hałaśliwymi okrzykami.

Fairchild wystartował ostatecznie z lotniska w Mendozie

0 drugiej osiemnaście czasu miejscowego. Wzbiliśmy się w powietrze, samolot przechylił się ostro na prawe skrzydło

1 już niebawem lecieliśmy na południe, a na prawo od nas, na zachodnim horyzoncie, wznosiły się Andy argentyńskie. Przez okienka po prawej stronie kadłuba przyglądałem się górą, które wystrzelały z suchego płaskowyżu pod nami niczym czarny miraż, tak ponure i majestatyczne, tak zdumiewająco rozległe i ogromne, że na sam ich widok czułem gwałtowne bicie serca. Ich czarne granie, zakorzenione w masywnych wybrzuszeniach skały macierzystej, z olbrzymimi podstawami ciągnącymi się na przestrzeni kilometrów, górowały nad równiną, jeden szczyt tuż za drugim niczym mury jakiejś kolosalnej warowni. Nie byłem młodzieńcem o inklinacjach poetyckich, ale majestat, z jakim się wznosiły, zdawał się nieść przestrozę, i trudno było nie traktować ich jak żywych stworzeń, mających umysły i serca, i jakąś pradawną, złowieszczą świadomość. Nic dziwnego, że dawni mieszkańcy traktowali te góry jak miejsca święte, wrota do nieba i siedzibę bogów.

Urugwaj to kraj nizinny i podobnie jak w wypadku moich towarzyszy podróży, moja wiedza o Andach, czy o jakichkolwiek zresztą górach, ograniczała się do tego, co przeczytałem w książkach. W szkole uczyliśmy się, że Andy to najdłuższy łańcuch górski świata, biegnący wzdłuż Ameryki Południowej od Wenezueli na północy po Ziemię Ognistą na południowym krańcu kontynentu. Wiedziałem też, że jest to drugi co do wysokości łańcuch naszej planety, pod względem średniej wysokości ustępujący jedynie Himalajom.

Słyszałem, jak nazywano Andy jednym z wielkich cudów geologicznych Ziemi, a widok z samolotu pozwolił mi zrozumieć

/7

instynktownie, co to właściwie znaczy. Na północy, południu i zachodzie góry rozciągały się jak okiem sięgnąć i choć były odległe o wiele kilometrów, dzięki samej wysokości i masie zdawały się nieprzebyte. Dla nas były takie w istocie. Nasze miejsce przeznaczenia, Santiago, leży niemal dokładnie na zachód od Mendozy, ale rejon Andów, oddzielający te dwa miasta, to jeden z najwyższych odcinków całego łańcucha, wznoszące się tu szczyty należą do najwyższych w świecie. Gdzieś tam, na przykład, była Aconcagua, najwyższa góra półkuli zachodniej i jedna z siedmiu najwyższych na Ziemi. Mając 6960 m wysokości, jest tylko o 1888 m niższa od Everestu, a za sąsiadów ma takich gigantów, jak Mercedario (6800 m) i Tupongato (6570 m). Otoczenie dla tych kolosów stanowią dzikie pustkowia z innymi wielkimi szczytami wysokości od 5300 do 6500 m, którym nawet nie nadano nazwy.

Ponieważ na drodze wznosiły się tak wyniosłe szczyty, nie było szans na to, by nasz fairchild, o maksymalnym pułapie lotu 7500 m, mógł obrać bezpośredni kurs na zachód do Santiago.

Zamiast tego piloci wytyczyli trasę, która biegła jakieś 150 kilometrów na południe od Mendozy nad przełęcz Plan-chon, wąski korytarz wśród gór o grzbietach na tyle niskich, że mógł tam przelecieć samolot. Mieliśmy polecieć na południe wzdłuż wschodnich przedgórz Andów, mając góry zawsze po prawej, dopóki nie dotrzemy do przełęczy, potem skręcić na zachód i lawirować między górami. Minawszy szczyty po stronie chilijskiej, mieliśmy wziąć kurs na północ, kierując się prosto na Santiago. Lot planowano mniej więcej na półtorej godziny. W Santiago mieliśmy być przed zmrokiem.

Na pierwszym odcinku trasy niebo było spokojne i w niespełną godzinę dotarliśmy w pobliże przełęczy Planchon. Nie znałem, ma się rozumieć, tej nazwy ani żadnych szczegółów

18

trasy. Nie mogłem jednak nie zauważyć, że po wielu kilometrach lotu, kiedy góry były zawsze w oddali od zachodu, skręciliśmy na zachód, lecąc teraz bezpośrednio ku sercu Kordyliery. Siedząc w fotelu przy oknie po lewej stronie, mogłem obserwować, jak płaski, pozbawiony wyrazu krajobraz pod nami zdaje się wyskakiwać z ziemi, tworząc najpierw poszarpane przedgórze, a potem dźwiga się i załamuje w straszliwe skłębienia prawdziwych gór. Ostre jak płetwy rekina granie wznosiły się niby wyniosłe czarne żagle. Groźne szczyty strzelały w górę na kształt gigantycznych grotów włóczni czy poszczerbionych ostrzy toporów. Wąskie doliny polodowcowe rozcinały strome zbocza, tworząc szeregi głębokich, krętych, zapelnionych śniegiem korytarzy, które spiętrzały się i fałdowały w dziki, nieskończony labirynt lodu i skał. Była zima, pora, gdy temperatura w Andach spada regularnie do minus trzydziestu pięciu stopni, a powietrze jest suche jak na pustyni. Lawiny, śnieżyce i mordercze podmuchy wiatru są na porządku dziennym. Opady śniegu sięgają ponad trzydziestu metrów na sezon. W górach nie dostrzegałem żadnych kolorów, tylko stonowane plamy czerni i szarości. Żadnej miękkości, żadnego życia, tylko skała, śnieg i lód. Kiedy spojrzałem w dół na całą tę poszarpaną dzikość, mogłem tylko roześmiać się z arogancji każdego, kto sądzi, że człowiek opanował Ziemię.

Wyglądając przez okno, zauważyłem, że zbierają się pasemka mgły, potem poczułem czyjaś dłoń na ramieniu.

- Nando, zamień się ze mną miejscami. Chcę popatrzeć na góry

To mój przyjaciel Panchito, który siedział w fotelu obok. Skinąłem głową i podniosłem się. Kiedy stanąłem, by zamienić się miejscami, ktoś krzyknął:

- Nando, orientuj się!

IQ

Obróciłem się w samą porę, by złapać piłkę do rugby, ci-śniętą z tyłu kabiny. Wykonałem podanie do przodu i opadłem na fotel. Wszędzie wokół śmiano się i rozmawiano, ludzie przesiadali się z miejsca na miejsce, odwiedzając znajomych. Niektórzy przyjaciele, w tym mój najstarszy amigo Guido Ma-gri, siedzieli z tyłu samolotu, grając w karty z kilkoma członkami załogi, między innymi ze stewardem, ale gdy piłka zaczęła odbijać się po kabynie, steward postąpił krok naprzód, próbując uspokoić towarzystwo.

- Odłóżcie piłkę! - krzyknął. - Uspokójcie się i zajmijcie miejsca!

Ale my byliśmy młodymi rugbystami podróżującymi z przyjaciółmi i nie chcieliśmy się uspokoić. Nasz zespół, Starzy Chrześcijanie z Montevideo, należał do najlepszych drużyn w Urugwaju i poważnie traktowaliśmy nasze regularne mecze. Ale w Chile mieliśmy odbyć tylko spotkanie pokazowe, zatem tak naprawdę cała ta wycieczka była dla nas odpoczynkiem, a na pokładzie panowała atmosfera początku wakacji.

Fajnie było podróżować z przyjaciółmi, zwłaszcza z tymi. Tak wiele razem przeszliśmy - wszystkie te lata nauki i treningu, załamujące porażki, z trudem wywalczone zwycięstwa. Dorostaliśmy jako koledzy z zespołu, wspierając się, ucząc się ufać sobie nawzajem, kiedy sytuacja była ciężka. Ale gra w rugby ukształtowała nie tylko nasze przyjaźnie, ale i charaktery, i zbliżyła nas jak braci.

Wielu członków Starych Chrześcijan znało się od ponad dziesięciu lat, odkąd jako szkolni rugbysty graliśmy pod kierunkiem braci chrześcijan irlandzkich (bracia chrześcijanie irlandzcy - rzymskokatolicka organizacja religijna, założona w Irlandii w 1802 roku w celu prowadzenia działalności edukacyjnej - przyp. tłum.) w szkole Stella Maris. Bracia chrześcijanie przybyli do Urugwaju z Irlandii na początku lat 50.

20

XX wieku na zaproszenie grupy katolickich rodziców, którzy chcieli otworzyć prywatną szkołę katolicką w Montevideo. Pięciu braci odpowiedziało na to wezwanie i w 1955 roku stworzyli college Stella Maris, prywatną szkołę dla chłopców w wieku od dziewięciu do szesnastu lat, zlokalizowaną w sąsiedztwie dzielnicy Carrasco, gdzie mieszkała większość uczniów.

Dla braci chrześcijan pierwszym celem edukacji katolickiej było formowanie charakteru, a nie intelektu, a w ich metodach nauczania kładziono nacisk na dyscyplinę, pobożność, bezinteresowność i szacunek. Aby pielęgnować te cnoty poza klasą szkolną, bracia hamowali w nas naturalną u Latynosów namiętność do piłki nożnej - gry, która w ich przekonaniu rozbudzała samolubstwo i egotyzm - kierując nas ku twardszej, bardziej przyziemnej grze w rugby. Ten popularny na Wyspach Brytyjskich sport w naszym kraju pozostawał praktycznie nieznany. Początkowo gra wydawała się nam dziwna -tak brutalna i bolesna, tyle przepychanek i żadnych popisów na otwartym polu. Ale bracia chrześcijanie mocno wierzyli, że opanowanie tego sportu wymaga tych samych cech, jakich potrzeba, aby prowadzić przyzwoite życie katolika - pokory, nieustępliwości, samodyscypliny i poświęcenia dla innych - i byli zdeterminowani nauczyć nas w to grać, i to grać dobrze. Szybko zrozumieliśmy, że kiedy bracia wytkną sobie jakiś cel, mało co może ich od tego odwieść. Odłożyliśmy zatem nasze piłki futbolowe i zapoznaliśmy się z używaną w rugby grubą, wykonaną ze świńskiej skóry owalną piłką o spiczastych końcach.

Podczas długich, twardych ćwiczeń na polach za szkołą bracia wdrażali nas od podstaw we wszystkie surowe arkana gry - otwarte młyny i maule, młyny zwarte i wybicia, sposoby kopania, podawania i szarżowania. Wpojono nam, że choć

2/

rugbyści nie noszą ochraniaczy ani kasków, będziemy grać agresywnie i z wielką fizyczną odwagą. Ale rugby to coś więcej niż pokaz brutalnej siły, wymaga solidnej strategii, szybkiego myślenia i zwinności. Nade wszystko jednak niewzruszonego zaufania między członkami zespołu. Bracia tłumaczyli nam, że gdy jeden z naszych kolegów upadnie lub zostanie powalony na ziemię, „staje się trawą”. Tak nazywali sytuację, gdy powalonego gracza przeciwnicy mogą stratować i zdeptać, jakby stanowił część murawy. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nas nauczyli, było to, jak się zachować, kiedy członek naszej drużyny stanie się trawą.

- Musicie stać się jego ochraniaczem. Musicie się poświęcić, aby go osłonić. Musi wiedzieć, że może na was liczyć.

Dla braci chrześcijan rugby było czymś więcej niż grą, był to sport podniesiony do rangi dyscypliny moralnej. Jej istotę stanowiło niewzruszone przekonanie, że żaden inny sport nie wpaja tak gruntownie doniosłości dążenia, cierpienia i poświęcenia na drodze do wspólnego celu. Bracia akcentowali to tak żarliwie, że musieliśmy w to uwierzyć, a gdy pogłębiło się nasze zrozumienie gry, sami się przekonaliśmy, że mają oni rację.

Mówiąc najprościej, celem gry w rugby jest przejęcie kontroli nad piłką - zwykle dzięki kombinacji sprytu, szybkości i brutalnej siły - a potem zręczne podawanie jej od jednego pędzącego gracza do następnego, aby położyć ją na polu punktowym przeciwnika lub kopnięciem przetrzasnąć nad poprzeczką jego bramki. Rugby może być grą o oszałamiającej szybkości i ruchliwości, grą precyzyjnych podań i błyskotliwych uników. Dla mnie jednak jej istotę stanowi brutalna, kontrolowana bijatyka, zwana młynem, niejako najbardziej charakterystyczna zagrywka tej dyscypliny. W młynie zawodnicy obu drużyn zwierają się w ścisłe grupy, głębokości trzech

22

rzędów, przykucnięci gracze stoją obok siebie ramię w ramię, ze splecionymi rękoma, tworząc zbity ludzki klin. Obie części młyna stają naprzeciw siebie, a gracze pierwszej linii stykają się barkami z pierwszą linią przeciwnika, tworząc nieregularny zamknięty krąg. Na dany sygnał piłka zostaje wrzucona w ten krąg, a zawodnicy obu zespołów tworzący młyn usiłują odepchnąć przeciwnika jak najdalej od niej, aby któryś z własnych graczy pierwszej linii mógł ją wykopać do tyłu między nogami kolegów z zespołu, gdzie czeka młynarz, który wyrwie ją i poda obrońcy, a ten rozpocznie atak.

Gra wewnątrz młyna bywa brutalna - kolana uderzają o skronie, łokcie wstrząsają szczękami, golenie są stale zakrwawione od kopniaków ciężkimi butami na korkach. Jest to surowa, twarda robota, ale wszystko błyskawicznie się zmienia, kiedy młynarz wybije piłkę i rozpocznie się atak. Zwykle najpierw podaje się do ruchliwego pomocnika środkowego, który robi unik przed nadbiegającymi przeciwnikami, zyskując czas, aby gracze za nim znaleźli się na otwartym polu. Pomocnik środkowego, nim zostanie obalony, strzela piłką z powrotem do środkowego napastnika, który uchyla się przed jednym szarżującym, ale zostaje podcięty przez kolejnego, a padając, podaje piłkę skrzydłowemu. Teraz piłka przemieszcza się ostro między graczami ataku - skrzydłowy do flankowego, do środkowego i znów do skrzydłowego, a każdy z nich przebija się, wykręca, nurkuje albo przepycha się do przodu, zanim szarżujący ściągną ich na ziemię. Zawodnicy będący w posiadaniu piłki będą po drodze chwytni. Kiedy piłka wypadnie na aut, formowane będą młyny otwarte, każdy metr drogi naprzód okupiony będzie walką, ale ostatecznie jeden z naszych znajdzie odpowiedni kąt ataku, jakiś wąski prześwit, i ostatnim wysiłkiem przebije się przez obrońców i zanurkuje na pole punktowe, zdobywając punkty. W taki oto

23

sposób cały ten dyszący mózół młyna zmienia się w olśniewający taniec. I żaden pojedynczy zawodnik nie może tu sobie przypisywać zasługi. Punkty przyłożenia zostały zdobyte metr po

metrze poprzez akumulację zbiorowego wysiłku i bez względu na to, kto ostatecznie przeniósł piłkę na pole punktowe, chwała należy się nam wszystkim.

Moje zadanie w młynie polegało na ustawieniu się za pochylonym pierwszym rzędem, z głową wklonowaną między ich biodra, z ramionami opartymi o ich uda i rękoma rozpostartymi na ich plecach. Po rozpoczęciu gry ruszałem z całej siły naprzód, próbując pchnąć młyn przed siebie. Doskonale pamiętam to uczucie - początkowo masa zawodników przeciwnika wydaje się nieustępliwa, nie do poruszenia. A jednak zapierasz się o murawę, wytrzymujesz impas, nie dajesz za wygraną. Pamiętam, jak w chwilach skrajnego wysiłku parłem naprzód, póki nie wyciągnąłem całkowicie nóg, z ciałem nisko pochylonym, wyprostowanym i równoległym do ziemi, pchając beznadziejnie coś, co przypominało twardy kamienny mur. Czasami impas zdawał się trwać wiecznie, ale jeśli utrzymaliśmy pozycje i każdy robił, co do niego należało, opór łagodniał, i jakimś cudem nieporuszony obiekt zaczynał się z wolna przesuwac. Warto zauważyć jedno - w chwili sukcesu nie da się oddzielić własnego indywidualnego wysiłku od wysiłku całego młyna. Nie sposób określić, gdzie kończy się nasza siła, a zaczynają starania pozostałych. W pewnym sensie przestaje się istnieć jako indywidualna istota ludzka. Na krótki moment zapomina się o sobie. Stajemy się częścią czegoś większego i potężniejszego niż tylko my sami. Nasz wysiłek, nasza wola znikają w kolektywnej woli zespołu, a jeśli ta wola zostanie zjednoczona i ześrodkowana, drużyna rusza naprzód i w jakiś cudowny sposób młyn przesuwac się z miejsca.

Dla mnie na tym polega istota rugby. Żaden inny sport nie daje człowiekowi tak intensywnego poczucia bezinteresowności i wspólnego celu. Pewnie dlatego rugbyści z całego świata czują taką namiętność do tej gry i takie poczucie braterstwa. Jako młody chłopak nie potrafiłem oczywiście ująć tego w słowa, ale rozumiałem, i rozumieli to moi koledzy, że ten sport ma w sobie coś szczególnego, a pod kierunkiem braci chrześcijan budziło się w nas namiętne zamiłowanie do niego, ono kształtowało nasze przyjaźnie i nasze życia. Przez osiem lat całe serce wkładaliśmy w tę grę - bractwo młodych chłopaków o latynskich imionach, uprawiających ten brytyjski sport pod słonecznym niebem Urugwaju i z dumą obnoszących zielone koniczyny na mundurkach. Rugby tak bardzo zrosło się z naszym życiem, że gdy jako szesnastolatki kończyliśmy Stel-la Maris, wielu z nas nie mogło znieść myśli, że dni naszej gry dobiegły końca. Zbawieniem okazał się dla nas Klub Starych Chrześcijan, prywatna drużyna rugby utworzona w 1965 roku przez dawnych absolwentów, aby dać rugbyistom szansę kontynuowania gry po ukończeniu szkoły...

Kiedy bracia chrześcijanie irlandzcy przybyli po raz pierwszy do Urugwaju, mało kto widział tam wcześniej mecz rugby, ale pod koniec lat 60. sport ten zdobywał sobie popularność i Starzy Chrześcijanie mogli już grać z wieloma dobrymi zespołami. W 1965 roku weszliśmy do Narodowej Ligi Rugby i wkrótce wywalczyliśmy sobie pozycję jednego z czołowych zespołów Urugwaju, wygrywając mistrzostwa kraju w 1968 i 1970 roku. Zachęteni tym sukcesem, zaczęliśmy organizować mecze w Argentynie i wkrótce odkryliśmy, że potrafimy dotrzymać pola najlepszym tamtejszym zespołom. W 1971 roku poleciliśmy do Chile, gdzie dobrze nam poszło w meczach przeciw mocnym przeciwnikom, w tym narodowej drużynie tego kraju. Podróż okazała się takim sukcesem, że postanowiono, iż powrócimy

25

tam w 1973 roku. Od miesięcy wyczekiwałem tego wyjazdu, a teraz, rozglądając się po kabinie pasażerów, nie miałem wątpliwości, że moi koledzy z zespołu czują to samo. Tak wiele przeszliśmy razem. Wiedziałem, że przyjaźnie, jakie nawiązałem w drużynie, przetrwają przez całe życie, a rozglądając się po samolocie, rad byłem, widząc, że jest ze mną tylu przyjaciół. Był tam Coco Nicholich, grający na pozycji zamka, jeden z największych i najsilniejszych zawodników zespołu. Enrique Pla-tero, poważny i stateczny, był naszym filarem - jednym z tych krzepkich gości, co to pomagają zakotwiczyć pierwszą linię młyna. Roy Harley był napastnikiem flankowym - wykorzystywał swoją szybkość, by wyminąć

szarżujących i zostawić ich z pustymi rękami. Roberto Canessa był skrzydłowym, jednym z najsilniejszych i najtwardszych graczy reprezentacji. Arturo Noguiera był naszym pomocnikiem środkowego, mistrzem dalekich podań i najlepiej kopiącym w zespole. Wystarczyło spojrzeć na Antonia Vizintina, o mocnych plecach i byczym karku, by stwierdzić, że to jeden z napastników pierwszej linii, który brał na siebie większość ciężaru młyna. Gustavo Zerbino - którego odwagę i determinację zawsze podziwiałem - był wszechstronnym graczem, obsadzał wiele pozycji. A Marcelo Perez del Castillo, inny napastnik flankowy, był bardzo szybki, bardzo odważny, wspaniale atakował z piłką i zaciekle szarżował. Marcelo był też kapitanem drużyny, przywódcą, któremu ufaliśmy nad życie. To on wpadł na pomysł powtórnego wyjazdu do Chile i ciężko pracował, by to umożliwić - wycarterował samolot, wynajął pilotów, zorganizował mecze i rozbudził w nas ogromny zapał do tej podróży.

Byli też inni - Alexis Hounie, Gastón Costemalle, Daniel Shaw - wszyscy świetni gracze i moi przyjaciele. Ale moim najstarszym przyjacielem był Guido Magri. Poznałem go pierwszego dnia nauki w Stella Maris - miałem wtedy osiem

20

lat, Guido był o rok starszy - i od tej pory staliśmy się nierozłączni. Razem dorastaliśmy, graliśmy w piłkę nożną i obaj uwielbialiśmy motocykle, auta i wyścigi samochodowe. Jako piętnastolatki obaj dostaliśmy motorowery, w których wprowadziliśmy głupie modyfikacje - usuwając tłumiki, kierunkowskazy i błotniki - i jeździliśmy na nich do Las Delicias, słynnej lodziarni w sąsiedztwie, gdzie pożeraliśmy wzrokiem dziewczęta z pobliskiej szkoły Sagrado Corazón, w nadziei, że zaimponują im nasze podrasowane pojazdy. Guido był przyjacielem, na którym można polegać, miał poczucie humoru i często się śmiał, był też znakomitym młynarzem, szybkim i sprytnym jak lis, o zręcznych rękach i wielkiej odwadze. Pod kierunkiem braci chrześcijan obaj pokochaliśmy z czasem rug-by z nieokiełznaną namiętnością. Z sezonu na sezon pracowaliśmy ciężko nad naszymi umiejętnościami, a kiedy miałem piętnaście lat, obaj zdobyliśmy już miejsce w Pierwszej Piętnastce Stella Maris, pierwszym składzie zespołu. Po ukończeniu szkoły przeszliśmy do Starych Chrześcijan i przez kilka szczęśliwych sezonów prowadziliśmy życie towarzyskie na wysokich obrotach, godne młodych rugbystów. Dla Guida to awan-turnictwo zakończyło się nagle trzy lata przed naszym lotem do Santiago, kiedy zakochał się w pięknej córce pewnego chilijskiego dyplomaty. Została jego narzeczoną i przez wzgląd na nią dobrze się teraz prowadził.

Po zaręczynach Guida rzadziej go widywałem i więcej czasu spędzałem z innym wielkim przyjacielem - Panchitem Abalem. Panchito, rok młodszy ode mnie, był absolwentem Stella Maris i byłym graczem pierwszego składu szkoły, ale poznaliśmy się dopiero kilka lat wcześniej, kiedy wszedł do Starych Chrześcijan. Z miejsca zostaliśmy przyjaciółmi i przez następne lata staliśmy się sobie bliscy jak bracia, łączyło nas silne poczucie koleżeństwa i głęboka sympatia, chociaż wielu osobom

27

musieliśmy się wydawać nieprawdopodobną parą. Panchito był naszym skrzydłowym, a pozycja ta wymaga połączenia szybkości, siły, inteligencji, ruchliwości i błyskawicznych reakcji. Jeśli w rugby jakąś pozycję można nazwać prestiżową, to właśnie skrzydłowego, a Panchito doskonale się nadawał do tej roli. Długonogi i barczysty, wściekle szybki i zwinny jak gepard, grał z taką naturalną gracją, że nawet jego najbardziej olśniewające ruchy zdawały się swobodne i naturalne. Ale dla Panchita wszystko było takie, zwłaszcza jego druga wielka namiętność - uganianie się za pięknymi dziewczętami. Nie przeszkadzało mu w tym, ma się rozumieć, to, że był blondynem atrakcyjnym jak gwiazdor filmowy, bogatym, wysportowanym i obdarzonym naturalną charyzmą, o której większość nas mogła tylko

pomarzyć. W owym czasie wierzyłem, że nie istnieje kobieta, która by mu się oparła, gdyby wziął ją sobie na cel. Bez trudu znajdował sobie dziewczyny, najwyraźniej same się do niego garnęły, a podrywał je z taką łatwością, że czasem zakrawało to na magię. Raz, na przykład, podczas przerwy w połowie meczu, powiedział do mnie:

- Umówiłem nas z dwiema dziewczynami po grze. Te dwie, tam w pierwszym rzędzie. Spojrzałem w tamtą stronę. Nigdy przedtem ich nie widzieliśmy.

- Ale jakim cudem? - zapytałem. - Przecież wcale nie schodziłeś z boiska!

Panchito zbył pytanie wzruszeniem ramion, a ja przypomniałem sobie, że na początku meczu biegł za piłką, która wypadła za boisko niedaleko miejsca, gdzie siedziały tamte dziewczyny. Miał tyle czasu, by się uśmiechnąć i rzucić kilka słów, ale jemu to wystarczyło.

Ze mną było inaczej. Podobnie jak Panchito z pasją uprawiałem rugby, ale gra nie przychodziła mi bez wysiłku. Jako

28

dziecko złamałem obie nogi podczas upadku z balkonu, a po urazie pozostał mi nieco koślawy chód, który pozbawił mnie zwinności wymaganej do gry na bardziej prestiżowych pozycjach. Ale byłem wysoki, twardy i szybki, dlatego zrobili ze mnie napastnika drugiej linii. My, napastnicy, byliśmy dobrymi żołnierzami piechoty, zawsze zderzaliśmy się barkami w otwartych młynach i maulach, przetaczaliśmy się w młynach zwartych i rzucaliśmy się na piłkę po wybiciach. Napastnicy są zwykle największymi i najsilniejszymi graczami w zespole, a chociaż należałem do najwyższych, byłem szczupły jak na swój wzrost. Kiedy na boisku zaczynały latać ciała potężnych zawodników, tylko dzięki ciężkiej pracy i determinacji mogłem dotrzymać im pola.

Umawianie się z dziewczynami także wymagało ode mnie znacznego wysiłku, ale nigdy nie przestałem próbować. Miałem nie mniejszą obsesję na tym punkcie niż Panchito, ale choć marzyłem o byciu tak naturalnym uwodzicielem jak on, wiedziałem, że mnie w tym deklasuje. Trochę nieśmiały, tykowały z długimi kończynami, o przeciętnym wyglądzie, w okularach w grubej rogowej oprawie, musiałem uznać fakt, że dla większości dziewczyn nie byłem nikim nadzwyczajnym. Nie żebym narzekał na brak popularności - i ja miałem swój przydział randek - ale skłamałbym, mówiąc, że dziewczyny ustawiały się w kolejce do Nanda. Musiałem się nieźle napracować, żeby zainteresować którąś, ale i tak nie zawsze wychodziło, jak planowałem. Raz, na przykład, po wielu miesiącach starań, udało mi się umówić z dziewczyną, która mi się naprawdę podobała. Zabrałem ją do Las Delicias, gdzie zaczekała w samochodzie, aż przyniosę lody. Kiedy wracałem do wozu z rożkiem w każdej ręce, potknąłem się o coś na chodniku i straciłem równowagę. Chwiejąc się i zataczając dziko w kierunku zaparkowanego auta, próbowałem odzyskać równowagę i ocalić lody, ale nie miałem szans. Często się potem zastanawiałem, jak musiałem wyglądać w oczach tej dziewczyny w wozie: chłopak, z którym się umówiła, leci na nią szerokim łukiem przez ulicę, przygarbiony, z oczami jak spodki i rozdziawionymi ustami. Słania się w kierunku samochodu, potem jakby dając na nią nura z policzkiem rozpląszczonym o okno od strony kierowcy, wali głową o szybę. Niknie jej z oczu, osuwając się na ziemię, i pozostają tylko dwie ociekające plamy lodów rozsmarowane na szkle.

Coś podobnego nie przydarzyłoby się Panchitowi, nawet gdyby żył pięć razy. Miał on naturalny dar i wszyscy zazdrościli mu wdzięku i łatwości, z jakimi sunął przez życie. Ale znałem go dobrze i rozumiałem, że życie nie jest dla niego tak łatwe, jakby się wydawało. Za całym tym urokiem i pewnością siebie kryła się melancholijna dusza. Potrafił być drażliwy i nieobecny. Często popadał w długie okresy ponurego nastroju i zniecierpliwionego milczenia. Były w nim też jakiś niepokój i niezadowolenie, które mnie trochę martwiły. Zawsze zadreślał mnie zuchwałymi pytaniami:

- Jak daleko byś się posunął, Nando? Ściągałbyś na teście? Obrabowałbyś bank? Ukradłbyś samochód?

Zawsze się śmiałem, kiedy mówił w ten sposób, ale nie mogłem ignorować pełnego gniewu i brawury napięcia, które zdradzały te pytania. Nie osądzałem go za to, bo wiedziałem, że kryje się za tym wszystkim jego złamane serce. Rodzice Panchita rozwiedli się, gdy miał czternaście lat. Była to katastrofa, która zraniła go pod wieloma względami, z czym nie potrafił się uporać, i pozostawiła w nim wiele urazy, i ogromny głód miłości i rodzinnego ciepła. Nie miał rodzeństwa. Mieszkał ze swoim starszym już ojcem, mężczyzną po siedemdziesiątce. I nie potrzebowałem wiele czasu, by zrozumieć, że mimo wszystkich swoich naturalnych darów i wszystkiego,

30

czego mu zazdrościłem, on bardziej zazdrościł mi jedynej rzeczy, jaką posiadałem, o której on mógł tylko marzyć - moich sióstr, mojej babki, moich rodziców, tworzących razem zżyłą i szczęśliwą rodzinę.

Dla mnie jednak Panchito był bardziej bratem niż przyjacielem, podobnie traktowali go moi bliscy. Gdy tylko go poznali, moi rodzice przyjęli go jak syna i pragnęli, by traktował nasz dom jako własny. Panchito serdecznie przyjął to zaproszenie i niebawem stał się naturalną częścią naszego świata. Spędzał z nami weekendy, podróżował, uczestniczył we wszystkich naszych wakacjach i uroczystościach rodzinnych. Z moim ojcem i mną łączyło go zamiłowanie do samochodów i szybkiej jazdy, uwielbiał chodzić z nami na wyścigi. Dla Susy stał się drugim starszym bratem. Szczególną sympatią darzyła go moja matka. Pamiętam, jak przysiadł na blacie kuchennym, kiedy ona gotowała, i rozmawiali całymi godzinami. Często podrwiwała sobie z jego obsesji na punkcie dziewczyn.

- Tylko o tym myślisz - mówiła często. - Kiedy wreszcie dorośniesz?

- Jak dorosnę, to dopiero zacznę się za nimi uganiać! - odpowiadał wtedy. - Mam tylko osiemnaście lat, pani Parra-do! Na razie się rozkręcam.

Dostrzegałem w Panchicie wielką siłę i głębię, w jego lojalności wobec mnie jako przyjaciela, w zacieklej opiekuńczości, z jaką traktował Susy, w spokojnym szacunku, jaki okazywał moim rodzicom, nawet w sympatii, z jaką odnosił się do służby w domu swego ojca, która kochała go jak syna. Nade wszystko jednak widziałem w nim człowieka, który nie pragnie w życiu niczego poza radościami, jakie daje szczęśliwa rodzina. Znałem jego serce. Widziałem jego przyszłość. Spotka kobietę, która go poskromi. Stanie się dobrym mężem i kochającym ojcem. Ja też się ożenię, myślałem wtedy. Nasze rodziny

31

będą się przyjaźnić, nasze dzieci będą wspólnie dorastać. Nigdy oczywiście o tym nie rozmawialiśmy - byliśmy nastoletnimi chłopakami - ale chyba wiedział, że rozumiem go pod tym względem, i myślę, że wiedza ta umacniała więzi naszej przyjaźni.

A jednak byliśmy młodymi ludźmi i przyszłość wydawała nam się mgliście odległa. Ambicja i odpowiedzialność mogły poczekać. Podobnie jak Panchito żyłem bieżącą chwilą. Później przyjdzie czas, by spoważnieć. Byłem młody, był to okres zabaw, i moje życie skupiało się zdecydowanie właśnie wokół rozrywek. Nie żebym był leniwy czy egocentryczny. Uważałem się za dobrego syna, pracowitego człowieka, godnego zaufania przyjaciela, osobę uczciwą i przyzwoitą. Po prostu nie spieszo mi było do dorosłości. Życie było dla mnie czymś, co dzieje się dzisiaj. Nie miałem mocnych zasad, sprecyzowanych celów czy dążeń. Gdyby w owych czasach ktoś mnie zapytał o cel mego życia, roześmiałbym się i odpowiedział:

„Dobrze się bawić”. Nie przychodziło mi wtedy do głowy, że mogłem sobie pozwolić na luksus takiej beztroskiej postawy dzięki poświęceniu mego ojca, który od bardzo młodego wieku brał swoje życie niezwykle serio, starannie planował cele i poprzez lata dyscypliny i samodzielności zapewnił mi egzystencję bezpieczną, wygodną i uprzywilejowaną, którą traktowałem jako coś oczywistego.

Mój ojciec, Seler Parrado, urodził się w Estacion Gonzales, zapyłonej osadzie w bogatym rolniczym interiorze Urugwaju, gdzie wielkie hodowle bydła, czyli estancje, produkowały

cenioną wołowinę wysokiej jakości, z której słynie nasz kraj. Jego ojciec był ubogim obwoźnym handlarzem, podróżował od jednej stacji do drugiej konnym wózkiem, sprzedając siodła, uzdy, buty i inne niezbędne na wsi proste przedmioty właścicielom hodowli albo bezpośrednio obdartym gauczo, którzy

32

strzegli ich stad. Było to życie ciężkie, pełne trudów i niepewności i prawie pozbawione wygód. (Jeśli kiedykolwiek narzekałem na życie, ojciec przypominał mi, że gdy był chłopcem, za łazienkę służyła mu blaszana szopa odległa o kilkanaście metrów od domu, a papier toaletowy zobaczył po raz pierwszy, kiedy jako jedenastolatek przeniósł się z rodziną do Montevideo).

Wiejskie życie zostawiało niewiele czasu na odpoczynek czy zabawę. Każdego dnia ojciec chodził gruntowymi drogami do szkoły i z powrotem, a mimo to oczekiwano od niego udziału w codziennej walce o byt. Już jako sześciolatek przez długie godziny pracował w niewielkim rodzinnym gospodarstwie - doglądając kur i kaczek, nosząc wodę ze studni, zbierając chrust i pomagając matce uprawiać ogródek warzywny. W wieku ośmiu lat stał się pomocnikiem ojca, przez wiele godzin podróżował z nim na wózku podczas wędrówek od rancza do rancza. Jego dzieciństwo nie było beztrudne, ale pokazało mu wartość ciężkiej pracy i nauczyło, że niczego nie dostanie za darmo, a jego życie będzie tylko takie, jakim je uczyni. Kiedy ojciec miał jedenaście lat, rodzina przeniósł się do Montevideo, gdzie dziadek otworzył sklep z tymi samymi wiejskimi towarami, które obwoził po Cordonie. Seler został mechanikiem samochodowym - od wczesnej młodości żywił zamiłowanie do samochodów i silników - ale gdy miał dwadzieścia kilka lat, dziadek zdecydował się przejść na emeryturę, a ojciec przejął sklep. Dziadek rozsądnie założył firmę w pobliżu głównego dworca kolejowego Montevideo. W owych czasach podróż ze wsi do miasta odbywano głównie koleją, a kiedy ranczerzy i gauczo przybywali do stolicy zaopatrzyć się w niezbędne przedmioty, wysiadali z pociągów i przechodzili tuż przed drzwiami jego sklepu. Ale gdy Seler

33

przejął interes, sytuacja się zmieniła. Autobusy zajęły miejsce pociągów jako najpopularniejszy środek transportu, a dworzec autobusowy nie leżał blisko sklepu. Co gorsza, epoka mechanizacji dotarła już na urugwajską wieś. Ciężarówki i traktory szybko uniezależniały rolników od koni i mułów, co oznaczało drastyczny spadek zapotrzebowania na siodła i uzdy, które sprzedawał ojciec. Obroty zaczęły maleć. Wyglądało na to, że interes upadnie. Wtedy Seler zrobił eksperyment - z połowy powierzchni sklepowej usunął produkty wiejskie i umieścił tam podstawowe wyroby żelazne - śruby i nakrętki, gwoździe i wkręty, drut i zawiasy. Interes natychmiast odżył. Po kilku miesiącach ojciec usunął wszystkie towary wiejskie i zapełnił półki artykułami metalowymi. Nadal egzystował na granicy ubóstwa i sypiał na podłodze w pokoju nad sklepem, ale ponieważ sprzedaż rosła, zrozumiał, że znalazł swoją przyszłość.

W 1945 roku przyszłość ta stała się bogatsza, kiedy Seler poślubił moją matkę Eugenię. Była równie jak on ambitna i niezależna i od samego początku tworzyli coś więcej niż małżeństwo, stanowili silny zespół mający wspólną jasną wizję przyszłości. Eugenia, podobnie jak mój ojciec, miała trudną młodość. W 1939 roku jako szesnastolatka z rodzicami i babką wyemigrowała z Ukrainy, uciekając przed zniszczeniami drugiej wojny światowej. Jej rodzice, ukraińscy pszczelarze, osiedli na urugwajskiej wsi i wiedli skromne życie, hodując pszczoły i sprzedając miód. Była to egzystencja ciężkiej pracy i ograniczonych możliwości, więc jako dwudziestolatka matka przeniósł się do Montevideo, jak mój ojciec, w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Kiedy go poślubiła, pracowała w mieście jako urzędniczka w wielkim laboratorium medycznym, dlatego początkowo pomagała mu w sklepie tylko w wolnym czasie. W pierwszym okresie małżeństwa z trudem wiązali

koniec z końcem. Z pieniędzmi było tak krucho, że nie mogli sobie pozwolić na meble, więc zaczęli wspólne życie w pustym mieszkaniu. Ostatecznie jednak ciężka praca się opłacała i sklep żelazny zaczął przynosić zyski. Kiedy w 1947 roku urodziła się moja starsza siostra Graciela, matka mogła już zrezygnować z posady w laboratorium i pracowała na pełny etat u ojca. Ja przyszedłem na świat w 1949 roku. Trzy lata później urodziła się Susy. W tym czasie Eugenia była już główną siłą napędową rodzinnego biznesu, a jej ciężka praca i zmysł do interesów przyczyniły się do tego, że wiedliśmy całkiem dostatnie życie. Jednak choć praca miała dla matki wielkie znaczenie, najważniejsze były dla niej zawsze dom i rodzina.

Pewnego dnia, gdy miałem dwanaście lat, oznajmiła, że znalazła dla nas idealny dom w Carrasco, jednej z najlepszych dzielnic mieszkalnych Montevideo. Nigdy nie zapomnę

wyrazu szczęścia w jej oczach, kiedy go opisywała: nowoczesny piętrowy dom przy plaży, mówiła, z wielkimi oknami i przestronnymi jasnymi pokojami, szerokimi trawnikami, przewiewną werandą. Roztaczał się stamtąd piękny widok na ocean, i to głównie dlatego matka tak go pokochała. Nadal pamiętam zachwyt w jej głosie, kiedy nam mówiła:

- Możemy oglądać zachód słońca nad wodą!

Jej niebieskie oczy były wtedy mokre od łez. Zaczynała tak skromnie, a teraz znalazła swój wymarzony dom, który stanie się jej miejscem na całe życie. W Montevideo adres w Carrasco to oznaka prestiżu, a w nowym domu mieszkaliśmy wśród wyższej warstwy społeczeństwa Urugwaju. Za sąsiadów mieliśmy najwybitniejszych przemysłowców, przedstawicieli wolnych zawodów, artystów i polityków. Była to dzielnica statusu i władzy, jakże odległa od skromnego świata, gdzie urodziła się moja matka. Musiała czuć wielką satysfakcję, że zdobyła dla nas taką siedzibę.

35

koniec z końcem. Z pieniędzmi było tak krucho, że nie mogli sobie pozwolić na meble, więc zaczęli wspólne życie w pustym mieszkaniu. Ostatecznie jednak ciężka praca się opłacała i sklep żelazny zaczął przynosić zyski. Kiedy w 1947 roku urodziła się moja starsza siostra Graciela, matka mogła już zrezygnować z posady w laboratorium i pracowała na pełny etat u ojca. Ja przyszedłem na świat w 1949 roku. Trzy lata później urodziła się Susy. W tym czasie Eugenia była już główną siłą napędową rodzinnego biznesu, a jej ciężka praca i zmysł do interesów przyczyniły się do tego, że wiedliśmy całkiem dostatnie życie. Jednak choć praca miała dla matki wielkie znaczenie, najważniejsze były dla niej zawsze dom i rodzina. Pewnego dnia, gdy miałem dwanaście lat, oznajmiła, że znalazła dla nas idealny dom w Carrasco, jednej z najlepszych dzielnic mieszkalnych Montevideo. Nigdy nie zapomnę wyrazu szczęścia w jej oczach, kiedy go opisywała: nowoczesny piętrowy dom przy plaży, mówiła, z wielkimi oknami i przestronnymi jasnymi pokojami, szerokimi trawnikami, przewiewną werandą. Roztaczał się stamtąd piękny widok na ocean, i to głównie dlatego matka tak go pokochała. Nadal pamiętam zachwyt w jej głosie, kiedy nam mówiła:

- Możemy oglądać zachód słońca nad wodą!

Jej niebieskie oczy były wtedy mokre od łez. Zaczynała tak skromnie, a teraz znalazła swój wymarzony dom, który stanie się jej miejscem na całe życie.

W Montevideo adres w Carrasco to oznaka prestiżu, a w nowym domu mieszkaliśmy wśród wyższej warstwy społeczeństwa Urugwaju. Za sąsiadów mieliśmy najwybitniejszych przemysłowców, przedstawicieli wolnych zawodów, artystów i polityków. Była to dzielnica statusu i władzy, jakże odległa od skromnego świata, gdzie urodziła się moja matka. Musiała czuć wielką satysfakcję, że zdobyła dla nas taką siedzibę.

35

Stała jednak zbyt mocno na ziemi, żeby przesadne wrażenie robiło na niej takie sąsiedztwo albo fakt, że sama tam zamieszkała. Niezależnie od tego, jakie odnieśliśmy sukcesy, matka nie zamierzała porzucić wartości, zgodnie z którymi ją wychowano, ani zapominać, kim jest. Jej matka Lina mieszkała z nami, odkąd byliśmy małymi dziećmi. Jedną z pierwszych rzeczy,

jakie matka zrobiła w nowym domu, była pomoc w skopaniu wielkiego kawałka bujnego, zielonego trawnika pod ogromny ogródek warzywny dla babki. (Lina hodowała też na podwórzu małe stadko kaczek i kur, co musiało zdumieć naszych sąsiadów, kiedy zdali sobie sprawę, że ta niebieskooka, białowłosa staruszka, ubierająca się z prostotą europejskiej wieśniaczki i nosząca narzędzia ogrodnicze w skórzanym pasie zawieszonym na biodrach, prowadzi niewielką farmę w jednym z najbardziej zmanierowanych i wypielegnowanych rejonów stolicy). Pod troskliwą opieką Liny jej ogródek zaczął wkrótce dawać rekordowe zbiory fasoli, groszku, zieleniny, papryki, kabaczków, kukurydzy i pomidorów - znacznie więcej, niż mogliśmy zjeść, ale moja matka niczemu nie pozwoliła się zmarnować. Całymi godzinami konserwowała w kuchni z Liną nadmiar produktów w zakręcanych słoikach i przechowywała je w spiżarni, byśmy mogli przez okrągły rok cieszyć się płodami naszego ogrodu. Matka nienawidziła marnotrawstwa i pretensjonalności, ceniła oszczędność i nigdy nie traciła wiary w wartość ciężkiej pracy. Interes ojca wiele od niej wymagał, długo i ciężko pracowała, aby odnieść sukces. Aktywnie też uczestniczyła w naszym życiu, wyprawiała nas do szkoły i witała w domu, nigdy nie opuszczała moich meczów piłki nożnej czy rugby ani przedstawień i recitali szkolnych moich sióstr. Była kobietą pełną cichej energii, skłoną udzielić zachęty czy dać mądrą radę, o głębokich zasobach przedsiębiorczości

36

i trafnych sądach, dzięki czemu zyskiwała szacunek wszystkich, którzy ją znali. Raz, w ramach wycieczki Rotary Clubu, matka eskortowała piętnaścioro dzieci z Carrasco na weekendowy wyjazd do Buenos Aires. Kilka godzin po ich przybyciu w mieście wybuchł wojskowy zamach stanu, mający na celu obalenie rządu argentyńskiego. Na ulicach zapanował chaos, a telefon w naszym domu wręcz się urywał - dzwonili zatroskani rodzice, chcąc się dowiedzieć, czy ich pociechy są bezpieczne. Raz po raz słyszałem, jak ojciec zapewniał ich, z pełnym zaufaniem w głosie: „Są z Xenią, wszystko będzie w porządku”. I było w porządku, dzięki wysiłkom mojej matki. Dochodziła prawie północ, kiedy uznała, że Buenos Aires przestało być bezpieczne, a wiedząc, że ostatni prom do Montevideo odpływa za kilka minut, zadzwoniła do armatora i po ożywionej rozmowie przekonała roztrzęsionych pilotów, aby wstrzymali ostatni kurs, póki nie zjawi się z dziećmi. Potem zebrała wszystkich podopiecznych i ich rzeczy i przeprowadziła przez niespokojne ulice Buenos Aires na ciemne nabrzeże, gdzie przycumowany był prom. Wszyscy weszli bezpiecznie na pokład i odpłynęli tuż po trzeciej nad ranem, trzy godziny po planowanym czasie. Matka była prawdziwą twierdzą siły, ale jej siła opierała się zawsze na serdeczności i miłości.

Kiedy chodziłem do szkoły średniej, rodzice mieli już trzy wielkie, świetnie prosperujące sklepy żelazne w Urugwaju. Ojciec importował też towary z całego świata i odsprzedawał je hurtowo mniejszym sklepom w całej Ameryce Południowej. Ten ubogi wiejski chłopak z Estacion Gonzales przeszedł w życiu długą drogę i myślę, że miał z tego wielką satysfakcję, ale nigdy nie wątpiłem, że wszystko to zrobił dla nas. Zapewnił nam wygodne i prestiżowe życie, którego jego ojciec nawet nie mógł sobie wyobrazić. Utrzymywał nas i opiekował się nami

37

najlepiej, jak potrafił, i choć nie był człowiekiem skłonny do wyrażania emocji, zawsze okazywał nam swoją miłość w sposób subtelny, cichy i licujący z jego prawdziwą naturą. Kiedy byłem mały, ojciec zabierał mnie do swego sklepu, prowadził wzdłuż półek i cierpliwie dzielił się tajemnicami wszystkich tych lśniących towarów, na których opierał się dobrobyt naszej rodziny.

- Nando, to jest śruba z rozchylanym końcem. Służy do przytwierdzania czegoś do pustej wewnątrz ściany. To jest przelotka - wzmacnia otwór w brezentowej plandecie, żeby można było przez niego przewlec linkę do umocowania. To jest śruba kotwowa. To śruba dociskowa. A to jest śruba z łbem z gniazdkiem krzyżowym. To są nakrętki motylkowe. Tu trzymamy

podkładki - podkładki z wycięciem, podkładki zabezpieczające, pierścieniowe i płaskie we wszystkich rozmiarach. Mamy zwykle wkręty do drewna, wkręty do drewna z łbem czworokątnym, wkręty z rowkiem, wkręty do części metalowych, wkręty samogwintujące. Tu są zwykle gwoździe, gwoździe wykończeniowe, gwoździe papowe, gwoździe tapi-cerskie, gwoździe kołpakowe, gwoździe tynkarskie, gwoździe o dwóch główkach, więcej rodzajów gwoździ, niż możesz sobie wyobrazić.

Były to dla mnie cenne chwile. Uwielbiałem łagodną powagę, z jaką ojciec dzielił się ze mną swoimi wiadomościami, czułem mu się bliższy, wiedząc, że uważa mnie za chłopaka dość dużego, by mi powierzyć swoją wiedzę. W gruncie rzeczy nie była to zwykła zabawa, uczył mnie rzeczy, które powinienem wiedzieć, by mu pomagać w sklepie.

Ale nawet jako dzieciak czułem, że daje mi głębszą naukę: że życie jest uporządkowane, że ma ono sens.

38

/

- Słuchaj, Nando. Do każdego zadania jest odpowiednia śruba, podkładka, zawias czy narzędzie.

Umyślnie czy nie, przekazywał mi wielką lekcję, jakiej nauczył go lata borykania się z życiem: Nie bujaj w obłokach. Zwracaj uwagę na szczegóły, na śruby i nakrętki realiów rzeczywistości. Nie zbudujesz sobie życia na marzeniach i pragnieniach. Dobre życie nie spada z nieba. Buduje się je od podstaw, ciężką pracą i jasnym myśleniem. Rzeczy mają swój sens. Istnieją reguły i realia, które się nie zmieniają tylko dlatego, że tobie to potrzebne. To ty musisz zrozumieć te reguły. Jeśli to zrobisz i będziesz pracował ciężko i mądrze, wszystko będzie w porządku.

Była to mądrość, która ukształtowała życie mego ojca i przekazywał mi ją na wiele sposobów. Szczególnie ważne były dla niego samochody. Jako zapalony wielbiciel sportów motorowych, uczestniczący w wyścigach amatorskich, był bardzo dumny z tego, że jest dobrym kierowcą i potrafi dbać o swoje auta. Postarał się o to, bym rozumiał, co mieści się pod maską wozu, jak działa każdy z układów i jaka rutynowa obsługa jest konieczna. Nauczył mnie spuszczać płyn hamulcowy, zmieniać olej i dbać o silnik. Całymi godzinami szkolił w poprawnej technice jazdy - z fantazją, owszem, ale płynnie i bezpiecznie, i zawsze w sposób zrównoważony i opanowany. Od Selera nauczyłem się podwójnie wysprzęgać, zmieniając biegi, żeby oszczędzać skrzynię biegów. Uczył mnie słuchać dźwięku silnika i rozumieć go, abym mógł przyspieszać i zmieniać biegi we właściwych momentach - być w harmonii z samochodem i wydobywać z niego maksimum możliwości. Pokazywał mi, po jakim łuku brać zakręty i jak to robić przy dużej szybkości: ostro hamujesz tuż przed wejściem w wiraż, potem redukujeś i płynnie przyspieszasz na zakręcie. Zapaleni automobiliści nazywają tę technikę jazdą „pięta-palce” z uwagi na pracę stóp - kiedy

3Q

lewa stopa operuje sprzęgłem, prawa obraca się na pięcie, od pedału hamulca do pedału gazu. Taki styl jazdy wymaga umiejętności i koncentracji, ale ojciec nalegał, bym się tego nauczył, bo jest to właściwa technika jazdy. Samochód jest wtedy zrównoważony i reaguje na manewry kierowcy, ale co ważniejsze, zapewnia mu to potrzebną kontrolę, aby oprzeć się siłom fizycznym masy i pędu, które - jeśli je ignorować - mogą wypchnąć wóz z szosy lub zarzucić nim z katastrofalnym skutkiem. Jeśli nie prowadzisz w ten sposób, tłumaczył mi ojciec, samochód po prostu płynie po zakrętach. Jedziesz na ślepo, oddajesz się we władanie sił działających przeciw tobie, w nadziei, że droga przed tobą nie kryje żadnych niespodzianek.

Mój szacunek do ojca był nieskończony, podobnie jak wdzięczność za życie, jakie nam zapewnił. Rozpaczliwie pragnąłem być taki jak on, ale gdy rozpocząłem naukę w szkole średniej, musiałem zmierzyć się z faktem, że byliśmy bardzo różnymi ludźmi. Brakło mi jego

klarownego spojrzenia czy pragmatycznej nieustępliwości. Postrzegaliśmy świat w zupełnie odmienny sposób. Dla ojca życie było czymś, co tworzy się ciężką pracą, starannym planowaniem i czystą siłą woli. Dla mnie przyszłość przypominała rozwijającą się powoli opowieść, z wątkami głównymi i pobocznymi, które wklajają się i przeplatają, tak że nie sposób je na dłuższą metę przewidzieć. Życie było dla mnie czymś, co trzeba odkrywać, co nadchodziło we właściwym czasie. Nie byłem leniwy ani pobłażliwy dla siebie, ale miałem w sobie coś z marzyciela. Większość moich przyjaciół znała swoją przyszłość - mieli pracować w rodzinnych biznesach albo w zawodach, które wykonywali ich ojcowie. Powszechnie oczekiwano, że postąpię podobnie. Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, że będę przez całe życie sprzedawać artykuły żelazne. Chciałem podróżować. Pragnąłem przygody, radosnego podniecenia i kreatywności. Nade wszystko zaś marzyłem, że zostanę kierowcą rajdowym jak mój idol Jackie Stewart, trzykrotny mistrz świata i bodaj najlepszy kierowca wszech czasów. Jak Jackie rozumiałem, że jazda samochodem to nie tylko konie mechaniczne i prostacka szybkość, chodziło tu o rytm i równowagę, a harmonia między kierowcą a samochodem miała w sobie coś z poezji. Rozumiałem, że wielki kierowca to coś więcej niż szalenciec, to wirtuoz obdarzony odwagą i talentem do wydobywania z wozu maksimum możliwości, igrania z niebezpieczeństwem i prawami fizyki, kiedy mknie, balansując na cienkiej krawędzi między kontrolą a katastrofą. Taka jest magia wyścigów samochodowych. Takim kierowcą pragnąłem zostać. Kiedy patrzyłem na wiszący na ścianie plakat z Jackie Stewartem, byłem przekonany, że on by to zrozumiał. Marzyłem nawet, że dostrzegłby we mnie bratnią duszę. Ale marzenia te wydawały się nieosiągalne. Mimo wielkich marzeń, kiedy przyszło ostatecznie do wyboru uczelni, zdecydowałem się na szkołę rolniczą, bo tam się wybierała większość moich kolegów. Kiedy dowiedział się o tym ojciec, wrzucił ramionami i uśmiechnął się. „Nando - powiedział - rodziny twoich przyjaciół mają estancje i rancza. My mamy sklepy żelazne”. Nietrudno mu było mnie przekonać do zmiany zdania. Ostatecznie zrobiłem to, co wydawało się sensowne, poszedłem do szkoły biznesu, nie zastanawiając się na serio, co to będzie dla mnie znaczyć ani dokąd mnie może zaprowadzić. Może skończę szkołę, a może nie. Będę prowadził sklepy żelazne, a może nie. Moje życie objawi mi się, kiedy będzie gotowe. Tymczasem spędzałem lato, będąc po prostu Nandem: grałem w rugby, uganiałem się z Panchitem za dziewczynami, śmigałem moim małym renault po drogach przy plaży Punte del Este, chodziłem na prywatki i opalałem się. Żyłem bieżącą chwilą, unosiłem się z prądem, czekając, aż objawi się moja przyszłość, zawsze szczęśliwy, że inni wskazują drogę.

Kiedy fairchild przelatywał nad przełęczą Planchon, myślałem o ojcu. Odwiózł nas na lotnisko w Montevideo, gdzie rozpoczynała się nasza podróż.

- Bawcie się dobrze - powiedział. - Odbiorę was w poniedziałek.

Pocałował moją matkę i siostrę, uściskał mnie serdecznie, po czym odszedł, by wrócić do swego biura, do uporządkowanego, przewidywalnego świata, który mu dobrze służył. Kiedy my będziemy zabawiać się w Chile, on będzie robił to, co zwykle - rozwiązywał problemy, dbał o interesy, ciężko pracował, zarabiał na utrzymanie. Z miłości do rodziny zaplanował już sobie przyszłość, dzięki której wszyscy będziemy bezpieczni, szczęśliwi i zawsze razem. Planował starannie i zwracał uwagę na wszelkie szczegóły. Parrado zawsze będą szczęśliwymi ludźmi. Tak mocno w to wierzył, a nasza wiara w niego była tak silna, jakże mogliśmy w niego wątpić?

- Proszę zapiąć pasy - powiedział steward - zaraz wejdziemy w strefę turbulencji.

Przelatywaliśmy nad przełęczą Planchon. Panchito nadal tkwił przy oknie, ale sunęliśmy przez gęstą mgłę i niewiele było widać. Myślałem o dziewczynach, które poznaliśmy z Panchitem podczas ostatniej podróży do Chile. Zabraliśmy je do nadmorskiego kurortu Vina del Mar i zabawiliśmy tam tak długo, że nazajutrz rano ledwo zdążyliśmy na nasz mecz. Zgodziły się spotkać z nami także tym razem, proponując, że odbiorą nas z lotniska. Byliśmy spóźnieni

wskutek postoju w Mendozie, ale miałem nadzieję, że uda nam się jakoś je odnaleźć. Już miałem wspomnieć o tym Panchitowi, gdy samolot nagle zapikował w bok. Potem poczułem cztery ostre wstrząsy, kiedy brzuch maszyny wpadał w turbulencje. Część chłopaków pokrzykiwała i wiwatowała, jakby jechali kolejką górską w wesołym miasteczku. Pochyliłem się do przodu, uśmiechając się uspokajająco do matki i Susy. Mama wydawała się zmęczona. Odłożyła książkę i trzymała moją siostrę za rękę. Chciałem powiedzieć, żeby się nie martwiły, ale nim zdążyłem się odezwać, odniosłem wrażenie, jakby się oberwało dno kadłuba, a żołądek podskoczył mi do gardła, kiedy samolot opadł chyba o dobre sto metrów. Fairchild podskakiwał i ślizgał się w turbulencji. Kiedy piloci starali się ustabilizować maszynę, Panchito szturchnął mnie łokciem w bok.

- Spójrz na to, Nando - powiedział. - Czyżbyśmy byli tak blisko gór?

Pochyliłem się, żeby wyjrzeć przez okienko. Lecieliśmy w gęstej pokrywie chmur, ale w prześwitach dostrzegałem migającą obok masywną ścianę skał i śniegu. Fairchild dygotał gwałtownie, a rozkołysany czubek skrzydła był odległy o nie więcej niż osiem metrów od czarnego zbocza góry. Przez chwilę wpatrywałem się w to z niedowierzaniem, potem silniki zawyły, gdy piloci usiłovali desperacko poderwać samolot. Kadłub jął wibrować tak gwałtownie, jakby miał się rozlecieć na kawałki. Matka i siostra spojrzały na mnie ponad oparciami foteli. Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, a potem potężne drżenie zakołysało samolotem. Rozległ się straszliwy zgrzyt trącego o coś metalu. Nagle ujrzałem nad sobą otwarte niebo. Mroźne powietrze uderzyło mnie w twarz, dziwnie spokojnie zauważyłem, że chmury kłębią się w przejściu między siedzeniami. Nie było czasu, żeby starać się to zrozumieć, modlić się czy poczuć strach. Wszystko zdarzyło się w ułamku sekundy. Potem jakaś niewiarygodna siła wyrwała mnie z fotela i cisnęła naprzód, w całkowity mrok i ciszę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wszystko, co najdroższe

[ej, Nando, chcesz pić? - To mój kolega z drużyny Gu-stavo Zerbino przykucnął koło mnie, przyciskając mi do ust kulę śniegu. Śnieg był zimny i palił gardło, kiedy go łykałem, ale ciało miałem tak wysuszone, że pożerałem go całymi grudkami i błagałem o więcej. Upłynęło kilka godzin, odkąd wybudziłem się ze śpiączki. Umysł miałem teraz jaśniejszy, ale pełen pytań. Kiedy skończyłem ze śniegiem, przywołałem Gustava bliżej gestem ręki.

- Gdzie jest moja matka? - zapytałem. - Gdzie Susy? Wszystko z nimi w porządku?

Twarz Gustava nie zdradzała emocji.

- Odpocznij trochę - odparł. - Wciąż jesteś bardzo słaby.

Odszedł ode mnie, a przez jakiś czas inni trzymali się z dala. Raz po raz prosiłem, by mi coś powiedzieli o moich bliskich, ale wydobywał się ze mnie tylko ochryply szept, więc łatwo im było udawać, że nie słyszą.

Leżałem, dygocząc, na zimnej podłodze kadłuba, gdy inni krzatali się wokół, i nasłuchiwałem głosu siostry i rozglądałem się, czy nie dostrzegę gdzieś twarzy matki. Jak rozpaczliwie pragnąłem ujrzeć jej serdeczny uśmiech, jej ciemnoniebieskie oczy, znaleźć się w jej ramionach i usłyszeć, że wszystko będzie w porządku. Moja matka Eugenia stanowiła emocjonalne centrum naszej rodziny. Jej mądrość, siła i odwaga tworzyły fundament naszego życia, a potrzebowałem jej teraz tak bardzo, że jej brak odczuwałem jak fizyczny ból, gorszy niż zimno i pulsowanie w głowie.

Kiedy Gustavo znowu podszedł do mnie z kolejną kulą śniegu, chwyciłem go za rękaw.

- Gustavo, gdzie one są? - nalegałem. - Proszę. Spojrzał mi w oczy i chyba zobaczył w nich, że jestem gotów na odpowiedź.

- Nando, musisz być silny - rzekł. - Twoja matka nie żyje.

Wspominając ten moment, nie potrafię dziś powiedzieć, dlaczego wiadomość ta mnie nie zniszczyła. Nigdy jeszcze nie potrzebowałem tak bardzo dotyku mojej matki, a teraz powiedziano mi, że już nigdy go nie poczuję. Przez krótką chwilę żal i panika eksplodowały mi w sercu tak gwałtownie, że obawiałem się, czy nie oszaleję, ale potem pewna myśl uformowała się w mojej głowie, wypowiedziana głosem tak przejrzystym i oderwanym od wszystkiego, jakby ktoś szeptał mi do ucha. Głos ten mówił:

„Nie płacz. Łzy to utrata soli. Będziesz potrzebował soli, żeby przeżyć”.

Zdumiał mnie spokój tej myśli i wstrząsnęła bezwzględność głosu, który ją wypowiedział.

Nie płakać po mojej matce? Nie płakać po największej stracie mego życia? Jestem zagubiony w Andach, marznę, moja siostra może umiera, mam strzaskaną czaszkę! I mam nie płakać?

Głos odezwał się znowu: „Nie płacz”.

- To nie wszystko - podjął Gustavo. - Panchito nie żyje. Guido również. I wielu innych.

Potrząsnąłem lekko głową z niedowierzaniem. Jak to wszystko możliwe? Szloch wzbierał mi w gardle, ale zanim uległem żalowi i szokowi, ten głos odezwał się ponownie i to głośniej. „Oni wszyscy odeszli. Stanowią część twojej przeszłości. Nie trać energii na rzeczy, nad którymi nie panujesz. Patrz naprzód. Myśl jasno. Przeżyjesz”.

Gustavo nadal klęczał nade mną, chciałem go chwycić, potrząsnąć nim, zmusić, by powiedział, że to wszystko kłamstwo. Wtedy przypomniałem sobie moją siostrę i bez wysiłku zrobiłem to, czego domagał się głos, pozwoliłem żalowi za matką i przyjaciółmi odejść w przeszłość, kiedy mój umysł wypełniła dzika fala strachu o bezpieczeństwo siostry. Przez moment wpatrywałem się tępo w Gustava, zbierając się na odwagę, by zadać kolejne pytanie.

- Gustavo, gdzie jest Susy?

- Tam - powiedział, wskazując na tył samolotu - ale jest bardzo poważnie ranna.

Nagle wszystko się dla mnie zmieniło. Własne cierpienie przygasło i wypełniło mnie nagłe pragnienie, by znaleźć się blisko Susy. Podniosłem się z trudem i próbowałem iść, ale ból w głowie przyćmił mi świadomość i opadłem gwałtownie na podłogę kadłuba. Odpoczywałem przez moment, po czym obróciłem się na brzuch i powlokłem na łokciach w stronę siostry.

Podłoga wokół usłana była szczątkami, które przywodziły na myśl jakiegoś gwałtownego zaburzenie codziennego życia -popękane plastikowe kubki, pootwierane ilustrowane magazyny, rozrzucone karty do gry i książki w miękkiej oprawie. Uszkodzone fotele samolotu zwalono na stos przy ścianie kokpitu. Czołgając się na brzuchu, widziałem po obu stronach połamane metalowe wsporniki mocujące fotele do podłogi. Przez chwilę wyobrażałem sobie, jak straszliwej siły trzeba było, by wyrwać siedzenia z tak solidnych umocowań.

Centymetr za centymetrem przybliżałem się do Susy, ale byłem bardzo słaby i mój postęp był powolny. Wkrótce opuściły mnie siły. Odpoczywałem z głową opadłą na podłogę, gdy nagle poczułem, jak czyjeś ramiona dźwigają mnie w górę i niosą naprzód. Ktoś pomógł mi dostać się na tył samolotu, gdzie była Susy. Leżała na plecach. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na poważnie ranną. Miała na czole ślady krwi, ale najwyraźniej ktoś obmył jej twarz. Włosy odgarnięto jej do tyłu. Ktoś się nią zajął. Miała na sobie nowy płaszcz kupiony specjalnie na tę podróż - piękny płaszcz ze skóry antylopy - a jego miękki futrzany kołnierz ocierał się o jej policzek w lodowatych podmuchach.

Koledzy pomogli mi położyć się obok niej. Objąłem ją i szepnąłem do ucha:

- Jestem tu, Susy. To ja, Nando.

Obróciła się i popatrzyła na mnie łagodnymi, karmelowymi oczyma, ale spojrzenie miało niezogniskowane i nie miałem pewności, czy mnie poznaje. Obróciła się w moich ramionach, jakby się chciała przytulić, ale potem jęknęła cicho i odsunęła się. Leżenie w ten sposób było dla niej bolesne, dlatego pozwoliłem jej ZKsAtzt mniej dokuczliwą pozycję i przytuliłem znowu, obejmując rękoma i nogami, by w miarę możliwości osłonić przed chłodem. Leżałem

tak z nią całymi godzinami. Przeważnie była spokojna. Niekiedy szlochała lub pojękiwała. Od czasu do czasu wzywała naszą matkę.

- Mamo, proszę - popłakiwała. - Tak mi zimno, mamo, proszę, chodźmy do domu.

Te słowa przeszywały mi serce niczym strzały. Susy była beniaminkiem matki i obie zawsze darzyły się szczególną czułością. Miały tak podobny temperament, były tak delikatne, cierpliwe i serdeczne, czuły się tak swobodnie w swoim towarzystwie. Nie pamiętam, by kiedykolwiek się pokłóciły. Przebywały razem całymi godzinami, gotując, spacerując czy po prostu rozmawiając. Tak wiele razy widziałem je, jak siedziały na sofie, głowa przy głowie, szepcząc coś, kiwając głowami, śmiejąc się z jakiegoś wspólnego sekretu. Myślę, że siostra wszystko matce opowiadała.

Ufała jej osądowi i zasięgała jej rady w istotnych sprawach - przyjaźni, studiów, ciuchów, ambicji, wartości i zawsze w kwestii, jak postępować z mężczyznami.

Susy miała wyraziste i miękkie ukraińskie rysy naszej matki i uwielbiała słuchać o przeszłości rodziny w Europie Wschodniej. Pamiętam, jak codziennie po szkole, kiedy piliśmy naszą cafe con leche, zachęcała babkę Linę do snucia opowieści o małej wiosce, gdzie przyszła na świat: jak mroźne i śnieżne bywały tam zimy i jak wszyscy musieli razem pracować, by przeżyć. Rozumiała, ile poświęceń wymagało od Liny przybycie do Ameryki. Myślę, że dzięki tym opowieściom czuła się bliższa przeszłości naszej rodziny. Susy podzielała zamiłowanie matki do intymności życia rodzinnego, ale nie była wieczną domatorką. Miała wielu przyjaciół, kochała muzykę, taniec i prywatki, i choć uwielbiała nasze życie rodzinne w Montevideo, zawsze marzyła o wyjazdach w inne miejsca. Jako szesnastolatka w ramach wymiany uczniów mieszkała przez rok u pewnej rodziny na Florydzie, co nauczyło ją miłości do Stanów Zjednoczonych.

- Tam wszystko jest możliwe - mawiała do mnie. - Możesz marzyć, o czym chcesz, i zrealizować to!

Marzyła o studiach w Stanach i często wspominała, że mogłaby pozostać tam nawet dłużej.

- Kto wie - dodawała - może spotkam tam mego męża i na dobre zostanę Amerykanką!

Kiedy Susy i ja byliśmy mali, najchętniej bawiliśmy się razem. Później stałem się jej zaufanym powiernikiem. Zwierzała mi się ze swoich sekretów, opowiadała o troskach i nadziejach. Pamiętam, jak zawsze martwiła się swoją tuszą - uważała, że jest za gruba, chociaż nie była. Miała szerokie

ramiona i biodra, ale była wysoka, ciało miała szczupłe i proporcjonalne, mocną i kształtną figurę gimnastyczki czy pływaczki. Ale naprawdę piękne były jej ciemne, lśniące karmelowe oczy, delikatna skóra oraz słodycz i siła emanujące z jej silnej życziwej twarzy. Była młoda i nie miała jeszcze poważnego chłopaka, widziałem, że martwi ją, czy wyda się facetom atrakcyjna. Ale patrząc na nią, widziałem tylko piękno. Jak miałem ją przekonać, że jest prawdziwym skarbem? Moja siostrzyczka Susy była mi drogą, odkąd przyszła na świat, a kiedy po raz pierwszy wziąłem ją na ręce, zrozumiałem, że chronienie jej zawsze będzie moim zadaniem. Leżąc z nią na podłodze kadłuba samolotu, wspominałem pewien dzień na plaży, kiedy oboje byliśmy mali. Susy była jeszcze pędrakiem, ja miałem może pięć-sześć lat. Bawiła się w piasku, mając słońce w oczach. Nie pływałem ani nie bawiłem się. Ciągle miałem ją na oku, obserwując, czy nie maszeruje w stronę strefy przyboju, skąd mogły ją unieść fale, albo nie wędruje na wydmy, gdzie mógł ją porwać ktoś obcy. Piorunowałem wzrokiem każdego, kto się do niej zbliżył. Nawet jako dziecko zdawałem sobie sprawę, że plaża pełna jest zagrożeń i muszę być czujny, by zapewnić siostrze bezpieczeństwo.

Ta potrzeba opiekuńczości nasilała się jeszcze, w miarę jak dorastaliśmy. Starłem się znać jej przyjaciół i jej ulubione miejsca spotkań, a kiedy dostałem prawo jazdy, regularnie pełniłem funkcję szofera Susy i jej paczki. Woziliśmy ich na tańce i prywatki, a potem zabierałem do domu. Lubiłem to robić. Sprawiała mi satysfakcję świadomość, że będą ze mną

bezpieczni. Pamiętam, jak zabrałem ich do wielkiego kina w sąsiedztwie - miejsca, gdzie wszyscy nasi przyjaciele spotykali się podczas weekendów. Susy siedziała ze swoimi przyjaciółmi, ja z moimi, ale miałem na nią oko w ciemności,

sprawdzając, czy wszystko w porządku, upewniając się, czy wie, że jestem dość blisko, gdyby mnie potrzebowała. Inne dziewczyny znienawidziłyby pewnie takiego brata, ale sądzę, że Susy podobało się, iż tak się o nią troszcze, i ostatecznie jeszcze nas to zbliżyło. Teraz, trzymając ją w ramionach, poczułem straszliwy przypływ bezradności. Patrzenie, jak cierpi, było dla mnie niewypowiedzianą katuszą, ale nie mogłem nic zrobić. Przez całe życie uczyniłbym wszystko, żeby zapewnić Susy bezpieczeństwo i oszczędzić jej bólu. Nawet teraz, w potraskanej skorupie samolotu, chętnie oddałbym życie, aby zakończyć jej cierpienie i odesłać do domu, do ojca.

Mój ojciec! Wśród całego tego chaosu i zamieszania nie miałem nawet czasu, by pomyśleć, przez co musi teraz przechodzić. Usłyszał pewnie o wypadku trzy dni temu i przez cały ten czas żył w przekonaniu, że utracił nas wszystkich. Znałem go dobrze, znałem jego głęboki zmysł praktyczny i wiedziałem, że nie pozwoli sobie na luksus fałszywej nadziei. Przeżyć katastrofę lotniczą w Andach? Zimą? Niemożliwe. Ujrzałem go teraz wyraźnie, mojego silnego, kochającego ojca, jak rzuca się na łóżku, osłupiały po tej niewyobrażalnej stracie. Tak się o nas troszczył, tak pracował i planował, ufał w porządek świata i pewność naszego szczęścia, jak mógł teraz znieść brutalną prawdę? „Nie potrafił nas ochronić. Nie potrafił nas ochronić”. Czułem rozdzierający ból z jego powodu, dotkliwszy niż pragnienie, chłód, beznadziejny lęk i dojmujący ból w głowie. Wyobrażałem sobie, jak mnie oplakuje. Oplakuje mnie! Nie mogłem znieść myśli, że uważa mnie za zmarłego. Odczułem nagłe, nieomal gwałtowne pragnienie bycia z nim, pocieszenia go, powiedzenia mu, że troszcze się o siostrę, pokazania, że nas nie stracił.

- Ja żyję - szepnąłem do niego. - Ja żyję.

50

Jak bardzo potrzebowałem siły ojca, jego mądrości. Gdyby tu był, na pewno wiedziałby, jak nas stąd wydostać. Ale popołudnie minęło, robiło się coraz zimniej i ciemniej, popadłem w nastrój beznadziejnej rozpacz. Czułem się tak oddalony od ojca, jak dusza w niebiosach. Wyglądało na to, że wypadliśmy przez jakąś szczelinę w niebie do zamrożonego piekła, skąd nie było nawet powrotu do normalnego świata. Jak inni chłopcy znałem mity i legendy, w których bohaterowie wpadali w złe zaświaty albo byli zwabiani w zaczarowane lasy, skąd nie było ucieczki. Walcząc o powrót do domu, musieli przejść wiele prób - potykać się ze smokami i demonami, przechytrzyć czarowników, żeglować przez zdradzieckie morza. Ale nawet ci wielcy herosi nie mogli się obejść bez magicznej pomocy - wskazówki czarodzieja, latającego dywanu, tajemnego zaklęcia, magicznego miecza. My zaś byliśmy grupą niedoświadczonych młokosów, którzy naprawdę nigdy w życiu nie cierpieli. Niewielu z nas widziało kiedykolwiek śnieg. Żaden z nas nie był nigdy w górach. Gdzie znajdziemy naszego herosa? Jaka magia sprowadzi nas do domu?

Wtuliłem twarz we włosy Susy, żeby powstrzymać się od płaczu. I wtedy pewne dawne wspomnienie, jakby kierowane własną wolą, rozświetliło się w mojej głowie, historia, którą ojciec opowiadał mi wiele razy. Jako młody człowiek należał do czołowych wioślarzy sportowych Urugwaju i pewnego lata pojechał do Argentyny wziąć udział w wyścigu na odcinku rzeki Urugwaj zwanym Delta del Tigre. Seler był świetnym wioślarzem i szybko oderwał się od większości rywali, ale pewien zawodnik argentyński dotrzymywał mu tempa. Płynęli łeb w łeb, obaj walczyli zażarcie, by zyskać nieznaczną choćby przewagę, ale linia finiszu zbliżała się, a żaden nie wysuwał się na prowadzenie. Ojciec czuł palenie w płucach, chwycił go kurcze w nogach. Chciał tylko osunąć się naprzód,

5/

zaczepnąć powietrza i zakończyć to cierpienie. „Będą inne wyścigi”, powiedział sobie, rozluźniając uchwyt na wiosłach. Ale potem spojrzał na swego rywala w łódce obok i zobaczył na jego twarzy wyraz straszliwej męki. „Zdałem sobie sprawę, że cierpi tak samo, jak ja” - mówił mi. Postanowiłem, że jednak nie odpuszczę. Zdecydowałem, że jeszcze trochę po-cierpię.

Z nową determinacją Seler zanurzył wiosła w wodzie i pociągnął z całej siły. Serce mu waliło, żołądek podchodził do gardła, a mięśnie zdawały się odrywać od kości. Ale zmusił się do wysiłku i kiedy zawodnicy minęli linię mety, dziób jego łodzi był o centymetry na przedzie.

Miałem pięć lat, kiedy po raz pierwszy opowiedział mi tę historię, i byłem pod wielkim wrażeniem tego obrazu mego ojca - balansującego na krawędzi poddania się, a potem znajdującego jakoś wolę, by wytrwać. Jako chłopak wciąż go prosiłem, żeby opowiadał mi tę historię. Mogłem jej słuchać bez końca i nigdy nie utraciłem tego heroicznego obrazu mego ojca. Wiele lat później, kiedy widywałem go w biurze jego sklepu żelaznego, zmęczonego, pracującego do późna, pochylonego nad biurkiem i spoglądającego przez grube okulary na stosy faktur i druków zamówień, nadal widziałem owego bohaterskiego młodzieńca na rzece w Argentynie, cierpiącego, walczącego, ale nie chcącego się poddać, człowieka, który wiedział, gdzie jest linia mety, i zrobiłby wszystko, co trzeba, by ją przekroczyć.

Obejmując w samolocie Susy, myślałem o ojcu walczącym na tamtej argentyńskiej rzece. Próbowałem odnaleźć w sobie tę samą siłę, ale czułem tylko bezradność i lęk. Słyszałem głos ojca, jego dawną radę: „Bądź silny, Nando, bądź mądry. Pracuj na własne szczęście. Troszcz się o ludzi, których kochasz”. Słowa te wzbudzały jednak we mnie tylko olbrzymie poczucie straty.

52

Susy jęknęła cicho i poruszyła się w moich ramionach.

- Nie martw się - szepnąłem. - Odnajdą nas. Zabiorą nas do domu.

Nie potrafię powiedzieć, czy wierzyłem w te słowa. Chciałem tylko pocieszyć siostrę. Słońce zachodziło, a kiedy w kadłubie samolotu zapanował półmrok, chłód stał się jeszcze bardziej dojmujący. Pozostali, którzy przeżyli już dwie długie noce w górach, znaleźli sobie miejsca do spania i przygotowywali się na czekającą ich udramę. Wkrótce w samolocie zapanowały całkowite ciemności, a mróz ścisnął nas jak w imadle. Był tak wściekły, że zapierał dech w piersiach. Miał w sobie coś złośliwego, jakąś drapieżną wolę, ale by odeprzeć jego atak, mogłem tylko bardziej przytulić się do siostry. Zdawało się, że zamarzył nawet upływ czasu. Leżałem na zimnej podłodze kadłuba, dręczony lodowatymi powiewami wpadającymi przez każdą dziurę i szczelinę, dygocąc spazmatycznie przez długie godziny, jak mi się zdawało, pewien, że świt nadejdzie lada chwila. Potem ktoś mający fosforyzujący zegarek oznajmiał, która godzina, i uprzytomniałem sobie, że upłynęło ledwie parę minut. Przecierpiałem tę długą noc, biorąc oddech za oddechem mroźnego powietrza, odliczając uderzenia rozdygotanego serca, a każdy moment stanowił piekło. Kiedy miałem wrażenie, że nie zniosę już tego dłużej, przytulałem do siebie Susy, a świadomość, że dodaje jej otuchy, utrzymywała mnie przy zdrowych zmysłach. Po zachodzie w samolocie panowały nieprzeniknione ciemności. Nie widziałem twarzy siostry, słyszałem tylko jej ciężki oddech. Kiedy leżałem tak obok niej, słodycz mojej miłości do niej, do utraconych przyjaciół i rodziny, dla tak cennej nagle i kruchej idei mojego życia i przyszłości, wezbrały mi w duszy w sposób tak bolesny, że podkopało to zupełnie moje siły i przez chwilę miałem wrażenie, że stracę przytomność. Doszedłem

53

do siebie i przysunąłem się do Susy, obejmując ją jak najdelikatniej, pamiętając o jej obrażeniach i walcząc z pokusą, żeby uścisnąć ją z całych sił. Przytuliłem policzek do jej

policzka, by poczuć jej ciepły oddech na twarzy, i trzymałem ją tak przez całą noc, delikatnie, lecz bardzo blisko, nigdy nie zwalniając uścisku, obejmując ją, jakbym obejmował całą miłość i spokój, i radość, jakie kiedykolwiek znałem i kiedykolwiek poznam, jakbym w tym ciasnym uścisku mógł utrzymać przy sobie wszystko, co najdroższe.

A ROZDZIAŁ TRZECI

Obietnica

'ardzo niewiele spałem tej pierwszej nocy, a gdy leża-nem przytomny w lodowatych ciemnościach, zdawało mi się, że świt nigdy nie nadejdzie. W końcu jednak blade światło zajaśniało z wolna w oknach kadłuba i moi towarzysze zaczęli się poruszać. Serce mi się ścisnęło, kiedy ich zobaczyłem po raz pierwszy - na ich włosach, brwiach i wargach srebrzyła się gruba warstwa szronu, a poruszali się sztywno i powoli jak starcy. Kiedy chciałem się podnieść, zdałem sobie sprawę, że ubranie zeszywniało na mnie od mrozu, a grudki szronu zebrały mi się na brwiach i rzęsach. Zmusiłem się, by wstać. Ból pod czaszką nadal pulsował, ale krwawienie ustało, więc wywlokłem się z kadłuba, aby spojrzeć po raz pierwszy na dziwny biały świat, w który spadliśmy.

Poranne słońce oświetlało ośnieżone zbocza ciężkim białym blaskiem i musiałem zmrużyć oczy, lustrując krajobraz wokół miejsca katastrofy. Poobijany kadłub fairchilda zatrzymał się na ośnieżonym lodowcu spływającym po wschodnim skłonie potężnej zalodzonej góry. Samolot tkwił ze zgniecionym dziobem skierowanym nieco w dół zbocza. Lodowiec opadał w szeroką dolinę, która wiała się kilometrami przez Kordyliere, po czym niknęła w labiryncie ośnieżonych grani ciągnących się ku wschodniej linii horyzontu. Szerszą panoramę mieliśmy

55
tylko od wschodu. Od północy, południa i zachodu widok przesłaniała masa wyniosłych gór. Wiedzieliśmy, że jesteśmy wysoko w Andach, ale śnieżne zbocza nad nami wznosiły się jeszcze wyżej, tak że musiałem odchylić głowę do tyłu, żeby dojrzeć ich szczyty. Na samej górze przez pokrywą śniegu przebijały się czarne wierzchołki w kształcie nieregularnych piramid albo płetw rekina, albo ogromnych poszczerbionych zębów trzonowych. Granie tworzyły poszarpany półokrąg otaczający miejsce katastrofy niby ściany jakiegoś monstualnego amfiteatru, w którym wrak fairchilda leżał pośrodku sceny.

Kiedy tak lustrowałem nasz nowy świat, tak byłem zdumiony tym miejscem jak z niesamowitego snu, że początkowo musiałem się przekonywać o jego prawdziwości. Góry były tak ogromne, tak czyste i ciche, i tak niezmiernie odległe od świata moich dotychczasowych doświadczeń, że po prostu nie potrafiłem się w tym rozeznąć. Przez całe życie mieszkalem w Montevideo, półtoramilionowej metropolii, i nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, że miasta to sztuczne twory, budowane tak, by odpowiadały potrzebom i wrażliwości istot ludzkich. Ale Andy zostały wypiętrzone ze skorupy ziemskiej miliony lat wcześniej, nim człowiek pojawił się na tej planecie. Nic tu nie było dogodne dla ludzi, nic nawet nie świadczyło o ich istnieniu. Dręczyło nas zimno. Rozrzedzone powietrze głodziło płuca. Niezłagodzone promienie słoneczne oślepiły, wywołując pęcherze na skórze i wargach, a śnieg był tak głęboki, że kiedy poranne słońce stopiło lodową skorupę, jaka tworzyła się na powierzchni każdej nocy, nie mogliśmy oddalać się zbyt od samolotu, nie

zapadając się po pas. A wśród tych nieskończonych kilometrów wiążących nas zmrożonych zboczy i dolin nie było niczego, co mogłoby stanowić pożywienie dla jakiegokolwiek żywej istoty - żadnych ptaków, owadów, nawet źdźbła trawy. Nasze szansę przeżycia

50

byłyby większe, gdybyśmy znaleźli się na otwartym oceanie lub zagubili na Saharze. Tam występują przynajmniej jakieś formy życia. Zimą w wysokich Andach nie ma żadnego życia. Wydawaliśmy się tu absurdalnie nie na miejscu, niczym konik morski na pustyni albo kwiat na Księżycu. W moim umyśle jał się formować jakiś lęk, nieukształtowana jeszcze myśl, której nie potrafiłem zwerbalizować. „Życie tutaj jest anomalią, a góry będą tolerować tę anomalię tylko do czasu”.

Od pierwszych godzin, które spędziłem w tych górach, przeczuwałem bezpośrednio otaczającego nas zagrożenia. Ani przez moment nie przestałem odczuwać realności i bliskości śmierci, ani przez moment nie opuścił mnie pierwotny lęk. A jednak, stojąc tak przed kadłubem fairchilda, dałem się porwać groźnej wspaniałości otoczenia. Było w tym niewiarygodne piękno - w ogromie i potędze tych gór, w smaganych wichrem polach śnieżnych, które jarzyły się tak doskonałą bielą, i w zdumiewającej urodzie andyjskiego nieba. Gdy uniosłem wzrok, niebo było bezchmurne i iskrzyło opalizującym odcieniem zimnego, intensywnego błękitu. Jego zjawiskowe piękno przepełniło mnie podziwem, ale jak wszystko tutaj bezmiar i pustka tego nieskończonego nieba sprawiały, że czułem się mały, zagubiony i niemożliwie oddalony od domu. W tym pierwotnym świetle, z jego przytłaczającą skalą, pozbawionym życia pięknem i zjawiskową ciszą, czułem się na bakier z rzeczywistością w najbardziej fundamentalnym sensie, co przerażało mnie bardziej niż cokolwiek innego, bo przeczuwałem, że nasze przetrwanie będzie zależeć od zdolności reagowania na wyzwania i katastrofy, których nie mogliśmy sobie jeszcze nawet wyobrazić. Graliśmy z przeciwnikiem nieznanym i bezwzględny. Stawka była straszliwa - nasze życie - ale nie znaleźliśmy jeszcze nawet podstawowych reguł. Wiedziałem, że aby przeżyć, będę musiał zrozumieć te

reguły, ale zimny biały świat wokół mnie nie podsuwał żadnych sugestii.

Podczas tych pierwszych dni naszej próby czułem się może bardziej zakorzeniony w nowej rzeczywistości, gdybym więcej pamiętał z samej katastrofy. Ponieważ straciłem przytomność w początkowej fazie wypadku, nie miałem żadnych wspomnień, póki nie doszedłem do siebie trzy dni później. Większość tych, którzy przeżyli, była świadoma przez cały czas, a kiedy mi zrelacjonowali szczegóły wypadku i owe rozpaczliwe dni, które potem nastąpiły, uprzytomniłem sobie, jakim cudem było to, że ktokolwiek z nas przeżył.

Pamiętałem lot nad przełęczą Planchon, gdzie lecieliśmy w tak gęstej pokrywie chmur, że widoczność spadła prawie do zera, a piloci musieli orientować się według przyrządów pokładowych. Silna turbulencja miotła samolotem, a w pewnym momencie wpadliśmy w dziurę powietrzną, a fairchild opadł sto kilkadziesiąt metrów. Po tej nagłej utracie wysokości znaleźliśmy się poniżej pułapu chmur i chyba wtedy właśnie piloci ujrzeli po raz pierwszy czarną grań wznoszącą się prosto przed nami. Natychmiast zwiększyli moc silników w desperackiej próbie nabrania wysokości. Udało im się unieść dziób samolotu o kilka stopni - co zapobiegło czołowemu zderzeniu z grzbietem, które przy prędkości 350 kilometrów na godzinę rozerwałoby fairchilda na kawałki - ale zareagowali zbyt późno, by całkowicie unieść maszynę ponad górę. Spód kadłuba trzasnął o grań mniej więcej na wysokości skrzydeł, a uszkodzenie okazało się katastrofalne. Najpierw oderwały się skrzydła. Prawe runęło na przełęcz. Lewe uderzyło o samolot, przecinając śmigłem poszycie kadłuba, po czym także spadło na góry. Sekundę później kadłub pękł wzdłuż linii biegnącej tuż nad moją głową, a część ogonowa się oderwała. Wszyscy, którzy siedzieli za

58

mną, zginęli - nawigator, steward i trzech chłopaków grających w karty. Był wśród nich Guido.

W tym samym momencie poczułem, jak jakaś nieopisana siła unosi mnie z fotela i ciska naprzód, jakby jakiś olbrzym zgarnął mnie niby piłkę do baseballa i rzucił z całych sił. Pamiętam, jak uderzyłem o coś, prawdopodobnie o ściankę dzielącą pomieszczenie dla pasażerów od kokpitu. Poczulem, jak ścianka się ugina, po czym straciłem przytomność i dla mnie katastrofa się zakończyła. Inni jednak dalej odbywali tę straszliwą jazdę, kiedy kadłub, ogołocony ze skrzydeł, silników i ogona, płynął naprzód niczym niekierowany pocisk. I tutaj spotkał nas pierwszy z wielu cudów. Samolot nie chy-botał się ani nie wszedł w ruch spiralny. Zamiast tego resztki jego aerodynamicznego kadłuba, pchane siłą bezwładności, kontynuowały lot na tyle daleko, że minęły kolejną czarną grań. Ale samolot tracił impet i w końcu jego czub opadł i zaczął tracić wysokość. W tym momencie ocalił nas drugi cud, jako że kąt spadania fairchilda prawie dokładnie odpowiadał kątowi nachylenia stromego zbocza góry, na którą spadaliśmy. Gdyby stok był trochę bardziej lub mniej nachylony, samolot fiknąłby kozła i roztrzaskał się na kawałki. Zamiast tego jednak wylądował na brzuchu i niczym tobogan pomknął po ośnieżonym górskim stoku. Pasażerowie krzyczeli i modlili się na głos, kiedy kadłub pędził po zboczu z szybkością jakichś 300 kilometrów na godzinę przez ponad 400 metrów, szczęśliwie znajdując drogę między głazami i występami skalnymi, którymi usiana była góra, po czym wpadł na wielką śnieżną płaszczyznę i gwałtownie się zatrzymał. Siła zderzenia była ogromna. Czub fairchilda zgniótł się jak papierowy kubek. W kabinie pasażerów fotele oderwały się od podłogi i poleciały naprzód razem z siedzącymi na nich ludźmi, uderzając o przednią ściankę. Kilka osób zostało zmiażdżonych od razu, kiedy rzędy siedzeń złożyły się na nich niczym miechy akordeonu, po czym zbiły się w jedną spletaną stertę, która prawie po sufit wypełniła przód kadłuba.

Coche Inciarte, jeden z kibiców drużyny, opowiedział mi potem, że kiedy samolot mknął w dół zbocza, on chwycił oparcie fotela z przodu, pewien, że śmierć nadejdzie lada chwila. Po uderzeniu, mówił, kadłub przetoczył się nieco na lewo i znieruchomiał ciężko w śniegu. Przez parę chwil panowała pełna oszołomienia cisza, ale wkrótce przerwały ją słabe jęki, a potem ostrzejsze okrzyki bólu. Coche stwierdził, że leży w płataninie foteli, bez żadnych ran, zdumiony tym, że przeżył. Wszędzie była krew, a ręce i nogi znieruchomiałych ciał sterczały spod sprasowanej sterty siedzeń. W całym tym zamieszaniu jego uwagę zwrócił własny krawat, porwany na nitki przez siłę pędu powietrza, jaki wytworzył się podczas dzikiej jazdy w dół zbocza. Alvaro Mangino pamiętał, jak podczas ostatniego uderzenia został wciśnięty pod fotel przed nim. Kiedy leżał tak uwięziony na podłodze, słyszał wszędzie wokół jęki i krzyki, zapamiętał zwłaszcza swoje zaskoczenie wyglądem Roya Harleya, który wydawał się jaskrawoniebie-ski. Dopiero później zrozumiał, że Roy został obłany paliwem lotniczym. Gustavo Zerbino siedział obok Alvara. Opowiadał, jak podczas pierwszego uderzenia, kiedy samolot grzmotnął o grań góry, zobaczył, jak fotel, który zajmował Carlos Valeta, odrywa się od podłogi i odlatuje. Kiedy kadłub ślizgał się po zboczu, Gustavo stał, trzymając się półki bagażowej nad głową. Zamknął oczy i modlił się. „Jezu, Jezu, ja chcę żyć!” - krzyczał. Był pewien, że zginie. Jakimś cudem stał nadal, kiedy samolot wbił się w zwal śniegu i nagle się zatrzymał.

Więc to prawda - pomyślał wtedy - człowiek nadal myśli po śmierci. Potem otworzył oczy. Kiedy zobaczył przed sobą

OO

wrak samolotu, instynktownie cofnął się o krok i natychmiast zapadł się po pas w śniegu. Uniósłszy wzrok, ujrzał poszarpaną linię pęknięcia, wzdłuż którego część ogonowa oderwała się od kadłuba, i zdał sobie sprawę, że wszystko, i wszyscy, co było za jego plecami, zniknęło. Podłoga kadłuba znajdowała się teraz na poziomie jego klatki piersiowej, a kiedy wciągnął się znowu do środka, musiał przejść przez znieruchomiałe ciało kobiety w średnim

wieku. Twarz miała potłuczoną i zakrwawioną, ale rozpoznał w niej moją matkę. Był studentem pierwszego roku medycyny, więc pochylił się i sprawdził jej tętno, ale już nie żyła. Gustavo przeszedł dalej kadłubem w stronę sterty foteli. Oderwał jeden i znalazł pod spodem Roberta Canessę. Canessa, także student medycyny, nie odniósł obrażeń. Po chwili obaj zaczęli wyciągać ze stosu następne siedzenia i zajmować się, na ile się dało, uwolnionymi przez siebie rannymi pasażerami.

W tym samym czasie Marcelo Perez sam się uwolnił spośród szczątków. Marcelo został podczas katastrofy ranny w bok, twarz miał posiniaczoną, ale były to drobne obrażenia, a będąc od dawna naszym kapitanem, natychmiast wszedł w rolę przywódcy. Najpierw zorganizował niekontuzjowanych chłopaków, każąc im uwalniać pasażerów uwięzionych pod stertą potrząskanych foteli. Była to mozolna praca. Siła uderzenia zgniotła fotele w niewyobrażalną płataninę, tak że każdy szczepiony był z innymi, tworząc skupiska, których nie dawało się ruszyć. Wielu z ocalałych było sportowcami w szczytowej formie fizycznej, mimo to kiedy zmagali się z fotelami, szarpiąc je i wyważając, by je rozdzielić, z trudem łapali oddech w rozrzedzonym górskim powietrzu.

Kiedy wydobyto pasażerów, jednego po drugim, pomiędzy oderwanych foteli, Roberto Canessa i Gustavo Zerbino ocenili ich stan i zrobili, co mogli, żeby opatrzyć ich obrażenia, niektóre

wręcz makabryczne. Nogi Artura Noguiery były połamane w kilku miejscach. Alvaro miał złamaną nogę, podobnie Pan-cho Delgado. Długa na piętnaście centymetrów stalowa rura przebiła niczym ostrze włóczni żołądek Enrique Platera, a kiedy Zerbino wyszarpnął mu ją z brzucha, wydostało się też kilka centymetrów jelit. Rana prawej nogi Rafaela Echavarrena była jeszcze okropniejsza. Mięsień łydki został oderwany od kości i wykręcony do przodu, tak że zwisał śliską masą w poprzek puszczeli. Kiedy Zerbino znalazł Echavarrena, kość jego nogi była całkowicie odsłonięta. Zerbino, tłumiąc odrazę, chwycił luźny mięsień, przesunął go na miejsce i owinął zakrwawioną łydkę pasami z czyjejs białej koszuli. Obandażował też brzuch Platera, a wtedy ten cichy i stoicki chłopak zabrał się do uwalniania innych, uwięzionych wśród foteli.

W miarę jak kolejnych pasażerów wydobywano spośród szczątków, „lekarze” stwierdzali ze zdumieniem, że większość ocalałych odniosła tylko drobne urazy. Canessa i Zerbino oczyszczali i bandażowali ich rany. Innych, z kontuzjami rąk i nóg, wysłali na lodowiec, gdzie mogli ukoić ból, chłodząc kończyny w śniegu. Każdy z uwolnionych, jeśli wyszedł z wypadku bez szwanku, zasilał szeregi ratowników, którzy wkrótce wydobyli wszystkich uwięzionych z wyjątkiem pewnej kobiety w średnim wieku, señory Marinari. Nie należała ona do naszej grupy. Leciąca do Chile na ślub córki i kupiła bilety na nasz lot bezpośrednio od sił powietrznych z uwagi na umiarkowaną cenę. Podczas katastrofy oparcie jej fotela poleciało do przodu, dociskając jej klatkę piersiową do kolan i unieruchamiając jej nogi pod fotelem. Inne siedzenia spadły na nią, przywalając stosem tak ciężkim i pechowo szczepionym, że żadnym wysiłkiem nie dało się jej uwolnić. Miała złamane obie nogi i krzyczała w męczarniach, ale niczego nie można było dla niej zrobić.

02

Nie można też było pomóc Fernando Vasquezowi, jednemu z kibiców drużyny. Kiedy Roberto zbadał go chwilę po wypadku, wydawał się oszołomiony, ale cały i zdrowy, zatem poszedł dalej. Gdy wrócił po jakimś czasie, znalazł go martwego w fotelu. Kiedy śmigło silnika przebiło się przez kadłub, obcięło Vasquezowi nogę poniżej kolana, więc gdy Roberto go zostawił, wykrwawił się na śmierć. Lekarz naszego zespołu Francisco Nicola i jego żona wylecieli ze swoich siedzeń i leżeli teraz martwi, jedno obok drugiego, w przedniej części kabiny pasażerów. Moja siostra Susy leżała tuż przy ciele naszej matki. Była przytomna, ale niezborna psychicznie, krew spływała jej po twarzy. Roberto otarł jej oczy i stwierdził, że to tylko powierzchowne rozcięcie skóry głowy, podejrzewał jednak, całkiem trafnie, że doznała

znacznie poważniejszych obrażeń wewnętrznych. Kilka metrów dalej znaleźli Panchita, z głowy leciała mu krew i mówił coś półprzytomnie. Roberto uklęknął przy nim, a Panchito wziął go za rękę, błagając, by go nie zostawiał. Roberto otarł mu krew z oczu, dodał otuchy i przeszedł dalej. Z przodu samolotu znalazł mnie, leżącego bez zmysłów, z twarzą pokrytą krwią i czarnymi sińcami, a głową spuchniętą już do rozmiarów piłki do koszykówki. Sprawdził mi puls, stwierdzając ze zdziwieniem, że serce nadal bije. Obrażenia wydawały się jednak tak poważne, że nie dał mi szans na przeżycie, tak więc przeszli z Zerbinem dalej, skupiając wysiłki na tych, którym, jak sądzili, mogli jeszcze pomóc.

Z kokpitu dobywały się jakieś jęki, ale wejście tam było nadal zabarykadowane masą przewróconych foteli. Canessa i Zerbino musieli wyjść na zewnątrz i przebrnąć przez głęboki śnieg na przód samolotu, gdzie udało im się wspiąć przez przedział bagażowy do kabiny pilotów. Znaleźli tam Ferrada-sa i Lagurara nadal przypiętych do foteli. Ostatnie zderzenie fairchilda ze zwałem śniegu zmiażdżyło mu dziób i wgniotło im tablicę przyrządów w klatki piersiowe, unieruchamiając na siedzeniach. Ferradas nie żył. Lagurara był przytomny, ale poważnie ranny i strasznie cierpiał. Canessa i Zerbino próbowali odciągnąć tablicę przyrządów od piersi drugiego pilota, ale nawet nie drgnęła.

- Minęliśmy Curico - wyszeptał Lagurara, kiedy lekarze próbowali mu pomóc. - Minęliśmy Curico.

Canessa i Zerbino zdołali wyjąć poduszkę z oparcia jego fotela, czym złagodźli nacisk na klatkę piersiową, ale nic więcej nie mogli zrobić. Dali mu trochę śniegu, żeby złagodzić pragnienie, potem zapytali, czy mogą użyć radia pokładowego. Lagurara wyjaśnił, jak mają ustawić skalę na nadawanie, ale kiedy spróbowali wysłać wiadomość, okazało się, że radio nie działa. Pilot zażądał jeszcze śniegu, więc dali mu więcej i zamierzali odejść. Kiedy Lagurara zdał sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji, poprosił, by przynieśli rewolwer z jego torby podręcznej, ale Canessa i Zerbino zignorowali go i ruszyli z powrotem do kabiny pasażerów. Wychodząc, usłyszeli jeszcze szept Lagurary:

- Minęliśmy Curico, minęliśmy Curico...

Po powrocie do kadłuba Marcelo przeprowadził w głowie jakieś ponure kalkulacje. Rozbiliśmy się o trzeciej trzydzieści po południu. Podejrzewał, że zanim odpowiednie władze potwierdzą zaginięcie samolotu, będzie czwarta. Do piątej trzydzieści, może szóstej zorganizują helikopter z ekipą ratunkową. Helikopter dotarłby do nich najwcześniej o siódmej trzydzieści, a ponieważ żaden pilot przy zdrowych zmysłach nie będzie latał nad Andami w ciemnościach, Marcelo rozumiał, że mogą się spodziewać pomocy dopiero nazajutrz. Będą musieli spędzić tam noc. Zaczynało się już ściemniać. Temperatura, grubo poniżej zera w chwili katastrofy, szybko spadała. Marcelo wiedział, że nie byliśmy przygotowani na spędzenie zimowej nocy

w Andach. Mieliśmy na sobie tylko lekkie letnie ubrania - niektórzy nosili sportowe marynarki lub kurtki, ale większość była w samych koszulach. Nie mieliśmy ciepłych płaszczy ani ko-cy, niczego, co mogłoby nas osłonić przed tym dojmującym chłodem. Marcelo rozumiał, że jeśli nie przygotujemy sobie w kadłubie przyzwoitego schronienia, żadne z nas nie dotrwa do rana, ale we wraku było tyle szczipionych foteli i luźnych szczątków, że podłogi nie wystarczyłoby dla położenia rannych, nie wspominając już o przygotowaniu miejsca dla ocalałych, którzy wyszli bez szwanku. Uświadomiwszy sobie, że wszystko, co zbędne, trzeba wyrzucić z kadłuba, Marcelo wziął się do pracy. Najpierw zebrał zespół zdrowych pasażerów i przydzielił im zadanie usunięcia z wraku zmarłych i rannych. Zaczęli wyciągać zwłoki na zewnątrz przy użyciu długich nylonowych pasków, które znaleźli w przedziale bagażowym. Rannych przeniesiono delikatniej, a kiedy już złożono ich na śniegu, Marcelo kazał ocalałym oczyścić w miarę możliwości podłogę. Pracowano dzielnie, żeby wykonać jego polecenia, ale robota była wyczerpująca i wlokła się straszliwie. Dokuczał im lodowaty wiatr, z trudem łapali oddech w rozrzedzonym powietrzu. Do zapadnięcia

ciemności oczyścili dopiero niewielką przestrzeń w pobliżu zięjącej dziury w tyle kadłuba. O szóstej wieczorem Marcelo kazał im wnieść rannych z powrotem do samolotu, potem weszli zdrowi, by przygotować się na czekającą ich długą noc. Kiedy wszyscy się ulokowali, Marcelo zaczął budować prowizoryczną ściankę, żeby zatkać ogromny otwór w tyle kadłuba, gdzie odłamała się część ogonowa. Z pomocą Roya Harleya ułożył w otworze walizki, części samolotu i luźne siedzenia, potem zalepił dziury śniegiem. Nie było to wcale szczelne, a wewnątrz kadłuba panował nadal straszliwy ziąb, ale Marcelo miał nadzieję, że ta ścianka osłoni nas przez najgorszym mrozem.

65

Kiedy była gotowa, ocaleni przygotowali się do przetrwania nocy. Na pokładzie fairchilda było początkowo czterdziestu pięciu pasażerów i członków załogi. Na miejscu wypadku znajdowało się pięciu zabitych. Osiem osób zaginęło, choć ocaleni mieli pewność, że jedna z nich, Carlos Valeta, nie żyje. Zerbino widział, jak fotel Valety wypada z samolotu, ale o dziwo przeżył on upadek. Chwilę po katastrofie grupa chłopaków dostrzegła, jak Valeta zatacza się, idąc w dół zbocza kilkaset metrów od fairchilda. Zawołali do niego i wyglądało na to, że odwrócił się do nich, ale potem potknął się w głębokim śniegu, stoczył po pochyłości i zniknął im z oczu. Tak więc na miejscu pozostało trzydziestu dwóch żywych. Lagurara był uwięziony w kabinie pilotów. Część rannych, wraz z Lilianą Methol, jedyną kobietą, która nie odniosła obrażeń, schroniła się w przedziale bagażowym fairchilda, jego najcieplejszej części. Reszta ścisnęła się na zaśmieconej podłodze w wąskiej przestrzeni kadłuba o wymiarach nie więcej niż 2,5 na 3 metry. Ponieważ noc zapadła tak szybko, nie starczyło czasu, żeby usunąć wszystkie ciała, dlatego ocaleni musieli ułożyć się między zmarłymi, przesuwając i popychając zwłoki przyjaciół, by zyskać parę centymetrów dla siebie. Była to scena jak z nocnego koszmaru, ale strach i fizyczne cierpienia ocalałych przytłumiły ich przerażenie. Ich ciasne schronienie było bardzo niewygodne, a mimo ścianki Marcela panował tam nieznośny chłód. Ocaleni tulili się do siebie, żeby ogrzać się wzajemnie ciepłem swych ciał. Niektórzy prosili sąsiadów, by uderzali ich pięściami po nogach i rękach w celu podtrzymania krążenia. W pewnym momencie Roberto zdał sobie sprawę, że można łatwo rozpiąć zamki błyskawiczne pokryć na siedzeniach, zdjąć je i wykorzystać jako przykrycie. Były z cienkiego nylonu i dawały niewielką ochronę przed zimnem, ale rozumiejąc, czym grozi hipotermia, wiedział, że muszą

66

zrobić wszystko co możliwe, żeby zachować ciepło organizmu. Nawet jeśli nie uchronią nikogo przed dokuczliwym chłodem, pomogą w każdym razie dotrzeć do rana. Położyli mnie obok Susy i Panchita pod wzniesioną przez Marcela ścianką. Była to najzimniejsza część kabiny. Podłoga pod nami została oderwana podczas wypadku i chłodne powietrze napływało od dołu, ale umieścili nas tam, nie licząc już na to, że przeżyjemy, a przeznaczili cieplejsze miejsca dla tych, którzy mieli szansę przetrwania. Susy i Panchito, nadal przytomni, musieli strasznie cierpieć owej pierwszej nocy, ale ja byłem nadal w śpiączce, zatem ominęła mnie ta męczarnia. W gruncie rzeczy możliwe jest, że lodowate powietrze ocaliło mi życie, zmniejszając obrzęk, który groził uszkodzeniem mózgu. Wraz z zapadaniem nocy chłód dręczył ocalałych, ziębiąc ich do szpiku kości i załamując psychicznie. Każda chwila zdawała się wiecznością, a gdy ściemniło się zupełnie, można było odnieść wrażenie, że mrok gór wsącza się w dusze rozbitków. Wszystkie celowe czynności, jakie wykonywali po wypadku, powstrzymywały ich przed poddaniem się lękom, a aktywność fizyczna pozwalała się rozgrzać. Teraz jednak, kiedy leżeli bezradnie w mroku, nic ich nie mogło ochronić przed zimnem ani przed gorszą jeszcze rozpaczą. Ci, którzy w ciągu dnia znosili wszystko po stoicku, szlochali teraz i krzyczeli z bólu. Dochodziło do dzikich wybuchów gniewu, gdy któryś z chłopaków w ciasnej przestrzeni zmienił pozycję, uderzając

ranną nogę drugiego, albo ktoś niechcący kopnął sąsiada, kiedy próbował zasnąć. Czas włókł się niemiłosiernie. W pewnym momencie Diego Storm - jeszcze jeden student medycyny w naszej grupie - dostrzegł w mojej twarzy coś, co kazało mu sądzić, że przeżyję, i przeciągnął mnie spod ścianki Marcela w cieplejsze miejsce kadłuba, gdzie inni ogrzewali mnie swoimi ciałami. Niektórym udało się zasnąć tamtej nocy, ale większość po prostu ją przeczekała, sekunda za sekundą, oddech za oddechem, kiedy odgłosy cierpienia i majaczeń wypełniały ciemność. Panchito słabym głosem żałośnie błagał o pomoc i wciąż mamrotał, że zamarza. Susy modliła się i wzywała naszą matkę. Señora Mariani krzyczała i wyla w męczarniach. W kabinie na przodzie majaczący pilot błagał o rewolwer i powtarzał raz po raz: „Minęliśmy Curico, minęliśmy Curico...”.

- Nando, to był koszmar - powiedział mi później Coche. - To było dantejskie piekło. Rozbitkowie przecierpieli ową pierwszą noc, otoczeni chaosem tych godzin bez końca, ale nareszcie nadszedł ranek. Marcelo pierwszy znalazł się na nogach. Pozostali nadal tulili się na podłodze kadłuba, żeby zachować ciepło, nie kwapiąc się do wstawania, ale Marcelo ich obudził. Noc była dla nich głębokim wstrząsem, lecz gdy zaczęli się ruszać w świetle wsączającym się do kabiny, humory zaczęły się poprawiać. Dokonali czegoś niemożliwego - przetrwali zimową noc w Andach. Ekipa ratunkowa na pewno ich dzisiaj odnajdzie. Przez całą tę straszną noc Marcelo zapewniał ich, że tak się właśnie stanie. Teraz mieli pewność, że niebawem znajdą się w domu, że najgorsze już minęło.

Kiedy pozostali przygotowywali się na kolejny dzień, Ca-nessa i Zerbino chodzili po kadłubie, sprawdzając stan rannych. Panchito leżał sztywny i nieruchomy. Umarł w nocy. W kokpicie znaleźli martwe ciało Lagurary. Señora Mariani nie ruszała się, ale gdy Canessa spróbował ją poruszyć, znowu krzyknęła z bólu, zatem zostawił ją w spokoju. Kiedy wrócił tam później, już nie żyła.

Nasi lekarze robili, co mogli dla rannych towarzyszy niedoli. Oczyszczali rany, zmieniali opatrunki i wyprowadzali chłopaków ze złamaniami kości na lodowiec, gdzie mogli złagodzić

68
ból, kładąc potrzaskane kończyny na śniegu. Znaleźli Susy leżącą pod ciałem Panchita. Była przytomna, ale nadal majaczyła. Roberto rozmasował jej stopy, czarne od odmrożeń, potem otarł jej krew z oczu. Była na tyle świadoma, że mu podziękowała.

Kiedy lekarze robili obchód, Marcelo i Roy Harley zburzyli część ścianki zbudowanej poprzedniego wieczora, a ocaleni rozpoczęli drugi dzień pobytu na górze. Przez cały czas obserwowali niebo w poszukiwaniu pomocy. Późnym popołudniem usłyszeli przelatujący samolot, ale niebo było zachmurzone, wiedzieli zatem, że ich nie dostrzeżono. Niedługo potem zaczęło szybko zmierzchać i wszyscy zebrali się we wraku, żeby stawić czoło kolejnej długiej nocy. Mając tym razem więcej czasu, Marcelo zbudował lepszą, bardziej szczelną osłonę. Ostatnie zwłoki usunięto z samolotu, a ponieważ zmarło jeszcze parę osób, zostało więcej miejsca do spania na podłodze, mimo to noc była długa, a ich cierpienie straszne. Trzeciego dnia po południu wybudziłem się ostatecznie ze śpiączki, a kiedy powoli zacząłem się orientować w sytuacji, w osłupienie wprawiła mnie myśl o tym, co przeszli już moi przyjaciele. Można było odnieść wrażenie, że stresy dotychczasowych przejść dodały im kilku lat. Twarze mieli blade i ściągnięte od napięcia i braku snu. Wskutek wyczerpania fizycznego i osłabiającego działania rozrzedzonego powietrza ich ruchy stały się powolne i niepewne, dlatego większość snuła się przygarbiona wokół miejsca katastrofy, jakby postarzeli się o całe dziesięciolecia w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Było tam teraz dwudziestu dziewięciu ocalałych, w większości młodych mężczyzn w wieku od dwiętnastu do dwudziestu jeden lat, ale niektórzy mieli ledwo siedemnaście. Najstarszy był teraz trzydziestoosmioletni Javier Methol, ale tak bardzo cierpiał wskutek młodości i zmęczenia

spowodowanych przez ostrą chorobę górską, że ledwo się trzymał na nogach. Większość załogi, w tym obaj piloci, zginęła. Przeżył tylko Carlos Roque, mechanik pokładowy, ale wstrząs zderzenia odczuł tak bardzo, że mogliśmy z niego wydobyć tylko bezsensowne majaczenia. Nie potrafił nawet powiedzieć, gdzie może być wyposażenie awaryjne, jak race i koce. Nie było nikogo, kto mógłby nam pomóc, nikogo, kto miałby jakąś wiedzę o górach, samolotach czy technikach przetrwania w skrajnych warunkach. Balansowaliśmy stale na krawędzi hysterii, ale nie wpadaliśmy w panikę. Wyłonili się przywódcy, a my reagowaliśmy, jak nas uczono u braci chrześcijan - jak jeden zespół.

Zasługę za to, że przetrwaliśmy owe pierwsze krytyczne dni, należy przypisać w znacznej mierze Marcelowi Perezowi, którego zdecydowane przywództwo uratowało wiele istnień ludzkich. Od samego początku naszej gehenny Marcelo reagował na pojawiające się osłupiające wyzwania z takim samym połączeniem odwagi, zdecydowania i przezorności, z jakim prowadził nas do tak wielu zwycięstw na boisku do rugby. Natychmiast rozumiał, że margines błędu był tu niewielki, a góra każe sobie drogę zapłacić za głupie pomyłki. Podczas meczu wahanie, niezdecydowanie i dezorientacja mogą kosztować zwycięstwo. Marcelo zdał sobie sprawę, że w Andach te same błędy możemy przypłacić życiem. Jego silna osobowość podczas pierwszych godzin po katastrofie zapobiegła wybuchowi całkowitej paniki. Działania ratunkowe, jakie szybko zorganizował, ocaliły życie wielu osób, które wydobyto spośród szepionych foteli, a bez ścianki ochronnej, którą zbudował pierwszej nocy, do rana wszyscy zamrzlibyśmy na śmierć.

Przywództwo Marcela było heroiczne. Nocą sypiał w najzimniejszej części kadłuba i zawsze prosił o to samo wszystkich

70

innych chłopaków, którzy nie zostali ranni. Zmuszał nas do aktywności, kiedy wielu miało ochotę po prostu skulić się na podłodze i czekać na ocalenie. Nade wszystko jednak podnosił nas na duchu, przekonując, że nasze cierpienia wkrótce dobiegną końca. Był przekonany, że pomoc jest już w drodze, i energicznie przekonywał o tym pozostałych. Rozumiał jednak, że przetrwanie w Andach, nawet przez kilka dni, będzie dla nas straszliwą próbą, i wziął na siebie odpowiedzialność za podjęcie środków, które miały zapewnić nam jak największe szansę przeżycia. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił, było zebranie - z walizek i podłogi kabiny - wszystkiego, co się nadawało do jedzenia. Niewiele tego było - kilka tabliczek czekolady i innych słodyczy, trochę orzeszków i krakersów, jakieś suszone owoce, parę słoiczków dżemu, trzy butelki wina, trochę whisky i kilka butelek likieru. Mimo przekonania, że przybycie pomocy to kwestia godzin, jakiś wrodzony instynkt przetrwania kazał mu zachować ostrożność, dlatego drugiego dnia naszej gehenny zaczął ściśle racjonować żywność - każdy posiłek składał się co najwyżej z małej kostki czekolady lub odrobiny dżemu, popitych łykiem wina z nakrętki opakowania aerozolu. Nie starczało tego, by zaspokoić czyjkolwiek głód, ale jako forma rytuału dodawało sił. Ilekroć zbieraliśmy się, żeby odebrać nasze skąpe racje, obiecywaliśmy, sobie i innym, że zrobimy wszystko, co możliwe, by przeżyć.

W tych pierwszych dniach wszyscy wierzyliśmy, że ratunek z zewnątrz to nasza jedyna szansa ocalenia, i trzymaliśmy się tej nadziei z żarliwością nieomal religijną. Musieliśmy w to wierzyć, alternatywa była zbyt straszna. Marcelo dbał o to, by nasza wiara w przybycie pomocy nie słabła. Nawet kiedy dni mijały, a pomoc nie nadchodziła, nie pozwalał nam zwątpić, że wszyscy zostaniemy uratowani. Nie umiem powiedzieć, czy sam naprawdę w to wierzył, czy po prostu

71

starał się podtrzymać nas na duchu. Tak mocno dawał wyraz temu przekonaniu, że nigdy w niego nie wątpiłem, ale nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak straszliwe jest jego brzemię i jak bardzo się obwinia za to, że zabrał nas wszystkich w tę fatalną podróż. Czwartego dnia po

południu niewielki samolot śmigłowy przeleciał nad miejscem wypadku, a ci z nas, którzy go widzieli, pewni byli, że zakołysał skrzydłami. Uznano to za znak, że nas dostrzeżono, dlatego wkrótce grupę ogarnęło poczucie ulgi i rozradowania. Kiedy tak wyczekiwaliśmy, długie cienie późnego popołudnia położyły się nad górami, ale do zmroku nikt się nie pojawił. Marcelo przekonywał, że piloci samolotu przyślą niebawem pomoc, inni jednak, znużeni napięciem oczekiwania, zaczęli dawać wyraz wątpliwościom.

- Dlaczego tak długo nie mogą nas odnaleźć? - zapytał ktoś.

Marcelo odpowiedział na to tak samo, jak zawsze. Może śmigłowce nie mogą latać w rozrzedzonym górskim powietrzu, mówił, i ekipa ratunkowa musi przybyć pieszo, a to potrwa.

- Ale skoro wiedzą, gdzie jesteśmy, czemu nie zrzucą nam prowiantu i ubrań?

Niemożliwe, odpowiadał Marcel. Ładunek zrzucony z samolotu wpadłby po prostu w śnieg i byłby stracony. Piloci wiedzieliby o tym. Większość chłopaków uznała logikę jego wyjaśnień. Wierzyli też głęboko w dobroć Boga.

- Bóg nie dopuścił, byśmy zginęli w katastrofie - powiadali. - Czy postąpiłby tak tylko po to, by pozostawić nas tu na śmierć?

Słuchałem tych dyskusji, przez długie godziny zajmując się Susy. Bardzo chciałem wierzyć w Boga tak jak oni. Ale Bóg zabrał już moją matkę i Panchita, i tak wielu innych.

Dlaczego miałyby ocalić nas, a nie ich? Tak samo pragnąłem wierzyć w nadejście pomocy, ale nie mogłem odegnać dręczącego poczucia, że jesteśmy zdani na własne siły. Leżąc obok Susy, czułem straszliwą bezradność i zniecierpliwienie. Wiedziałem, że umiera, a jedyną nadzieją jest szybki transport do szpitala. Każda stracona chwila była dla mnie torturą i przez cały czas z napięciem nasłuchiwałem odgłosów nadejścia pomocy. Nigdy nie przestałem się o to modlić, i o wstawiennictwo boskie. Jednocześnie jednak ten nieubłagany głos, który kazał mi oszczędzać łzy, wciąż szeptał mi gdzieś w tyle głowy: „Nikt nas nie znajdzie. Umrzemy tutaj. Musimy przygotować jakiś plan. Musimy sami się uratować”. Od pierwszych chwil, kiedy odzyskałem świadomość, dręczyła mnie otrzeźwiająca obawa, że jesteśmy tu zdani na własne siły, niepokoiło mnie, że inni pokładali taką wiarę w ocalenie z zewnątrz. Ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że nie jestem w tym odosobniony. Do takich „realistów”, jak ich nazywałem, należeli Canessa i Zerbino, Fito Strauch, dawny gracz Starych Chrześcijan, który uczestniczył w tej podróży na zaproszenie swego kuzyna Eduarda, oraz Carlitos Paez, którego ojciec Carlos Paez-Villaro był słynnym urugwajskim malarzem, podróżnikiem i przyjacielem Picassa. Całymi dniami grupka ta omawiała plany wspięcia się na wznoszącą się nad nami górę i sprawdzenia, co jest dalej. Mieliśmy podstawy, by wierzyć, że ucieczka jest możliwa. Wszyscy pamiętaliśmy słowa, które drugi pilot jęczał w agonii: „Minęliśmy Curico, minęliśmy Curico...”. Podczas pierwszych godzin po wypadku ktoś znalazł w kabinie pilotów mapy lotnicze. Arturo Nogueira, który z powodu strzaskanych nóg nie ruszał się z samolotu, całymi godzinami studiował je, szukając miasta Curico. Wreszcie je znalazł, leżało już za granicą chilijską, sporo za zachodnimi zboczami Andów.

73

Nikt z nas nie potrafił fachowo czytać tych map, ale wydawało się jasne, że jeśli rzeczywiście minęliśmy Curico, to nie ma wątpliwości, że przelecieliśmy całą szerokość Kordyliery. A to oznaczało, że miejsce katastrofy leży gdzieś w zachodnich przedgórzach Andów. Utwierdzały nas w tym przekonaniu odczyty wysokościomierza fairchilda, który pokazywał wysokość 2100 metrów. Gdybyśmy spadli w głębi Andów, byłibyśmy znacznie wyżej. Z pewnością znajdowaliśmy się w Prekordylerze, a wysokie granie na zachód od nas to już ostatnie wysokie szczyty, dalej teren zniżał się do zielonych hal. Byliśmy pewni, że za tymi zachodnimi wierzchołkami rozciągały się zielone pola Chile. Trafimy tam na jakąś osadę albo przynajmniej szałas pasterski. Będzie tam ktoś, kto nam pomoże. Wszyscy zostaniemy uratowani. Jak dotąd czuliśmy się jak rozbitkowie ze statku, zagubieni na oceanie, bez żadnej

wiedzy o tym, gdzie leży najbliższy ład. Teraz poczuliśmy, że w jakiejś mierze panujemy nad sytuacją. Wiedzieliśmy przynajmniej jedno: „Na zachód jest Chile”. To zdanie rychło stało się naszym zawołaniem, umacniającym naszą nadzieję podczas tych przejść.

Rankiem 17 października, piątego dnia naszego pobytu na górze, Carlitos, Roberto, Fito i jeszcze jeden z ocalałych, Numa Turcatti, zdecydowali, że nadszedł czas na wspinaczkę. Numa nie był rugbyistą, leciał z nami na zaproszenie przyjaciół, ale nie odniósł obrażeń, był silny fizycznie i miał w sobie jakąś spokojną determinację, która budziła we mnie instynktowne zaufanie. Roberto i Carlitos wyszli z katastrofy bez szwanku. Fito, poważny, spokojny chłopak, był początkowo dezorientowany, ale odzyskał już w pełni równowagę, z korzyścią dla nas, bo okazał się jednym z najrozsądniejszych i najbardziej

zaradnych spośród ocalałych. Niedługo po katastrofie, kiedy z trudem próbowaliśmy chodzić w głębokim, miękkim śniegu wokół wraka, Fito uświadomił sobie, że jeśliby przymocować poduszki z foteli fairchilda do stóp pasami bezpieczeństwa albo kawałkami kabla, to posłużą nam jako prowizoryczne rakiety śnieżne, pozwalające poruszać się bez zapadania. Czwórka wspinaczy wyruszyła teraz w stronę góry przez głębokie zwały śniegu, mając przymocowane do butów rakiety Fita. Liczyli, że dotrą na szczyt i zobaczą, co jest dalej. Po drodze chcieli poszukać oderwanego ogona fairchilda. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że będzie pełen jedzenia i ciepłych ubrań. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie mógł tam ktoś ocaleć. Carlos Roque, mechanik fairchilda, powiedział nam, że baterie zasilające radio pokładowe przechowywane są we wnęce na ogonie. Jeśli je znajdziemy, mówił, może uda nam się uruchomić radio i wysłać wezwanie o pomoc.

Gdy wyruszali, było pogodnie. Życzyłem im sukcesu i zająłem się siostrą. Kiedy wspinacze wrócili, popołudniowe cienie padały już na fairchilda. Usłyszałem poruszenie w kadłubie wywołane ich przybyciem, więc uniosłem wzrok i zobaczyłem, jak gramolą się do środka i opadają na podłogę. Byli fizycznie wyczerpani, z trudem łapali oddech. Pozostali szybko ich otoczyli, zarzucając pytaniami, złażeni jakichś obiecujących wieści. Podszedłem do Numy i spytałem, jak było.

Potrząsnął głową i zasepił się.

- Było cholernie ciężko, Nando - odparł, ledwo dysząc. - Jest stromo. Znacznie stromiej, niż się stąd wydaje.

- Brakuje powietrza - dodał Canessa. - Nie da się oddychać. Można się poruszać tylko bardzo powoli.

Numa kiwnął głową.

- Śnieg jest za głęboki, każdy krok to męczarnia. A pod spodem są szczeliny. Fito omal w jedną nie wpadł.

75

- Widzieliście coś na zachodzie? - zapytałem.

- Ledwo dotarliśmy do połowy zbocza - wyjaśnił Numa. - Nic nie widzieliśmy. Góry przesłaniają widok. Są znacznie wyższe, niż się wydaje.

- Roberto - zwróciłem się do Canessy. - Co o tym sądzisz? Gdybyśmy spróbowali raz jeszcze, uda nam się?

- Nie wiem, chłopie - szepnął. - Sam nie wiem...

- Nie możemy wejść na tę górę - mruknął Numa. - Musimy znaleźć inną drogę... jeśli jakaś jest.

Tamtej nocy w samolocie zapanował ponury nastrój. Czwórka, która wyruszyła, to byli najsilniejsi i najzdrowsi z nas, a góra pokonała ich z taką łatwością. Ale nie uznawałem tej porażki. Może gdybym był w zwykłym stanie umysłu, dostrzegłbym na ich twarzach, w posępnych spojrzeniach, które wymieniali, ponure objawienie, jakie przekazała im góra: że nie możemy stamtąd uciec, że jesteśmy już martwi. Zamiast tego jednak powiedziałem sobie,

że to mięczaki, że się boją, że zbyt łatwo dali za wygraną. Ta góra nie wydawała mi się tak zdradziecka. Pewien byłem, że jeśli wybierzemy właściwą drogę i właściwy czas, i po prostu nie poddamy się zimnu i wyczerpaniu, na pewno dotrzemy na szczyt. Uczepiłem się tego przekonania z tą samą ślepą wiarą, z jaką inni modlili się o pomoc z zewnątrz. Jaki mieliśmy wybór? Mnie wydawało się to makabrycznie proste - życie tu jest niemożliwe. Muszę pójść w miejsce, gdzie istnieje życie. Muszę iść na zachód, do Chile. W moim umyśle było tyle zwątpienia i pomieszania, że uczepiłem się rozpaczliwie jedynej rzeczy, którą wiedziałem na pewno: „Na zachód jest Chile. Na zachód jest Chile”. Pozwalałem, by te słowa rozbrzmiewały w moim umyśle niczym mantra. Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał podjąć wyzwanie.

76

Podczas pierwszych dni naszej gehenny prawie nie odstępowałem siostry. Cały czas spędzałem przy niej, rozcierając jej odmrożone stopy, pojąc wodą ze stopionego śniegu, karmiąc kawałeczkami czekolady, które odkładał dla niej Marcelo. Przede wszystkim próbowałem ją pocieszyć. I ogrzać. Nigdy nie miałem pewności, czy zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Przez cały czas była półprzytomna. Często pojękiwała. Czoło miała wiecznie zmarszczone w wyrazie troski i dezorientacji, a w oczach odbijał się zawsze jakiś żalony smutek. Czasem modliła się albo śpiewała kołysanki. Wielokrotnie wzywała naszą matkę. Uspokajałem ją i szeptałem do ucha. Każda spędzona z nią chwila była dla mnie cenna, nawet w tym strasznym miejscu, a łagodność jej ciepłego oddechu na moim policzku stanowiła dla mnie wielkie pocieszenie.

Ósmego dnia późnym popołudniem leżałem, trzymając Susy w ramionach, kiedy poczułem w niej nagle jakąś zmianę. Wyraz zatroskania zniknął z jej twarzy. Złagodniało napięcie ciała. Oddech stał się płytki i powolny, i poczułem, jak jej życie wyslizguje się z mego uścisku, ale w żaden sposób nie mogłem tego powstrzymać. Potem przestała oddychać i znieruchomiała.

- Susy? - krzyknąłem. - O Boże, Susy, proszę, nie! Wstałem na kolana, przetoczyłem ją na plecy i zrobiłem

sztuczne oddychanie. Nie miałem nawet pewności, jak to robić, ale rozpaczliwie pragnąłem ją uratować.

- No nie, Susy, proszę - krzyczałem - nie zostawiaj mnie!

Pracowałem nad nią, póki nie opadłem wyczerpany na podłogę. Zastąpił mnie Roberto, bez powodzenia. Potem spróbował Carlitos, na próżno. Pozostali otoczyli mnie w milczeniu.

Roberto podszedł do mnie.

- Przykro mi, Nando, ona nie żyje - powiedział. - Zostań z nią przez noc. Rano ją pochowamy.

77

eu urajEZjfods 'ui3D0>| uiAAsAzsnd uiXqtu\$ pod EjEds Aq^B['3iu -[o^ods BjEpfei\$X/w
'zjemi Ejgiuojspo bouo^ oSames op 3e(eim.

-EJSOZOd 'n\$3IUS O\$9UOZOJUIZ]UIEpSJE\$ 9TUZS3ldS31U fet

fe[ui3jEUJE\$po i rqq eu 5jjsois u qoa\$ i^^Cjd -y[oqo uiajEdo^Aw "ppeui fofoui
^ 9|uzbjAw3iu \$is yt>fe(nsXj uia^uzojizoj nptui Z9q 'Moqoa\$ z uiAupgf peu ui9jfeums 'npoi
i n\$9ius ayo

9ZJBAU ipi '9UZD0p|M. 9]

d^uui oueq9ZJ\$od 9izp\$ 'e po 0M9j bu n\$9ius eu Bosfeiui op Asns AuisuSuSfepgzj

"3UIBUIJOU BZ OJ

UI95BZ IB]UBZDzs9iui9zjd ijoi qosods Azsfeiuzoairaisfeu oj

|Xq B 'pISOU3Zjd 9(OUptUJ OZpjBq I '9UpBJAVZ9q I 9I^Z3]D feS \y[-OJAYZ 9Z 'Ipl
OjXzariBU 9IU9ZDpEIMSO p 9]B '3UJEUXpjO 5]S OJBM

-epAw qosods U9j m. faf 9iubmo^bji 'qpj\$ fet bu b[b^ojm 5[Bf

'UigjAzilEcl "\$9IUS BU n^BJM Z AIUS!I3U\$EpAM]]UIAW0ZB\$Bq]UI
-BSBd iuiAmouojAu iiiiSn^p Xsns ojbto Xuis]5uimo ui9i^uB>i
•Rl\ BU 9iqOS UI9JI{0MZ0d 9IU 9}E 'DOU BUU9SZ9q BjqSOIS Z
•uips BiBjnn 05 op tui zgodazs so
feupEjMO euui -\po\zs i^z5p jeusbzjjsm ui9jbid uiioi e
9]9IAV ^E['UI9|B|sXuiOd Xp9I^I 'MOS 'fof BIUEMOUlf9qO 9IU9ZEJAV OJ pBJ
X [w "nqD9ppo eu znf lug^nzDod 9iu 'jsn b(op]v "Azjbmj bu mosojm fof oso^5i
]BpEN -5zBjn fef 9Z '9]s DE(oq 9iu 'jts qDX^B3 z fef
UI3|§0UI ZBJ31 -SJJSOIS UI3|B(qO I EMOjg
-Z9q 'Auunz zn[>[9jnius
'{BZ 9IUUI 9M JBjqZ9M ' -OJAV

nią po raz ostatni, na moją śliczną Susy, po czym delikatnie zacząłem rzucać garście śniegu na policzki, aż jej twarz zniknęła pod iskrzącymi się kryształkami. Gdy skończyliśmy, pozostali wrócili do wraku. Odwróciłem się i spojrzałem w górę pochyłości lodowca, na skaliste grzbiety odgradzające nam drogę na zachód. Nadal widoczny był szeroki ślad, który wyźłobił w śniegu fairchild sunący po zboczu po otarciu się o grań. Przesunąłem wzrokiem wzdłuż tego toru, do miejsca, gdzie runęliśmy z nieba w szaleństwo, które było teraz jedyną dostępną nam rzeczywistością. Jak to się mogło stać? Byliśmy chłopakami lecącymi na mecz! Nagle ogarnęło mnie mdlące poczucie pustki. Od pierwszych chwil na górze cały czas i energię poświęcałem siostrze. Pocieszanie jej dawało mi poczucie celu i stabilizacji. Wypełniało godziny, odrywając uwagę od własnego bólu i lęku. Teraz byłem tak straszliwie samotny, nic nie mogło mnie zdystansować wobec okropności, jakie mnie otaczały. Matka nie żyła. Siostra nie żyła. Najlepsi przyjaciele wypadli z fairchilda podczas lotu albo leżeli tu pogrzebani pod śniegiem. Byliśmy poranieni, głodni i przemarznięci. Upłynął ponad tydzień, a pomoc nie nadchodziła. Czułem, jak pierwotna, brutalna siła tych gór skupia się wokół mnie, widziałem całkowity brak ciepła, litości czy miękkości tego krajobrazu. Kiedy uprzytomniłem sobie z nową palącą wyrazistością, jak daleko jesteśmy od domu, popadłem w rozpacz i po raz pierwszy zrozumiałem na pewno, że umrę. W gruncie rzeczy już byłem martwy. Ukradziono mi moje życie. Przyszłość, o jakiej marzyłem, nie miała się ziścić. Kobieta, którą miałem poślubić, nigdy mnie nie spotka. Moje dzieci się nie urodzą. Już nigdy nie będę się cieszył pełnym miłości spojrzeniem matki ani nie poczuję serdecznego uścisku siostry Gracieli. I nigdy już nie wrócę do ojca. Okiem umysłu ujrzałem go znowu w jego cierpieniu i odczułem tak gwałtowną tęsknotę za nim, że omal nie powaliło mnie to na kolana. Krztusiłem

79

się bezsilną wściekłością, która wzbierała mi w gardle, i czułem się tak przybity i zniewolony, iż przez chwilę myślałem, że postradam zmysły. A potem zobaczyłem ojca na tamtej rzece w Argentynie, wyczerpanego, pokonanego, na skraju rezygnacji, i przypomniałem sobie jego słowa sprzeciwu: „Postanowiłem, że nie dam za wygraną. Postanowiłem, że pocierpię jeszcze trochę”.

Była to moja ulubiona opowieść, ale teraz zdałem sobie sprawę, że jest to coś więcej, to znak od ojca, dar mądrości i siły. Przez moment miałem wrażenie, że jest tam ze mną. Ogarnął mnie jakiś niesamowity spokój. Wpatrywałem się w wielkie góry na zachodzie i wyobrażałem sobie ścieżkę prowadzącą przez nie do domu. Poczułem, jak ciągnie mnie miłość mego ojca, niczym lina asekuracyjna, kierując ku tym nagim zboczom. Patrząc na zachód, złożyłem ojcu milczące ślubowanie: „Będę walczył. Wrócę do domu. Nie dopuszczę, by pękła więź, która nas łączy. Obiecuję ci, nie umrę tutaj! Nie umrę tutaj!”.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jeszcze jeden oddech

Kiedy pochowaliśmy Susy, siedziałem sam przez kilka godzin w ciemnym wraku, wsparty o przechyloną ścianę kadłuba, podpartszy dłońmi potrzaskaną czaszkę. Potężne emocje szturmowały moją duszę - niedowierzanie, oburzenie, smutek i lęk, aż wreszcie ogarnęło mnie poczucie znużonej akceptacji, niczym westchnienie ulgi. Wydawało się, że mój umysł w zawrotnym tempie przechodził kolejne fazy żalu po stracie. W dawnym życiu, zwykłym życiu w Montevideo, strata mojej małej siostrzyczki spowodowałaby zastój, zaburzając równowagę emocjonalną na kilka miesięcy. Ale tutaj nic nie było zwyczajne, a jakiś pierwotny instynkt podpowiadał mi, że w tym bezlitosnym miejscu nie mogę sobie pozwolić na luksus pograżania się w rozpacz. Znów usłyszałem, jak ten zimny, opanowany głos przebija się przez chaos emocjonalny. „Patrz naprzód, mówić, oszczędzaj siły na rzeczy, które możesz zmienić. Jeśli uczepisz się przeszłości, umrzesz”. Nie chciałem wyzbyć się smutku. Brakowało mi obecności Susy we wraku, gdzie mogłem ją pocieszać i troszczyć się o nią, a ten smutek był teraz jedynym sposobem nawiązania z nią więzi, ale wydawało się, że nie mam tu nic do powiedzenia. Kiedy upłynęła długa noc, podczas której zmagalem się z mrozem, intensywność moich emocji przyblakła, a uczucia do siostry po prostu się rozwiały, jak sen rozwiewa się po przebudzeniu. Rankiem czułem już tylko kwaśną, tępą pustkę, kiedy moja ukochana Susy, jak wcześniej matka i Panchito, odpłynęła w przeszłość - przeszłość, która stawała się już odległa i nierzeczywista. Góry zmuszały mnie, bym się zmienił. Mój umysł stawał się chłodniejszy i prostszy, w miarę jak przystosowywałem się do nowej rzeczywistości. Zacząłem postrzegać życie, jak musi je widzieć zwierzę walczące

O przetrwanie - jako prostą grę zwycięstw i porażek, życia

i śmierci, ryzyka i możliwości. Brały górę pierwotne instynkty, tłumiąc złożone emocje i zawężając pole umysłu, aż cała egzystencja zaczęła obracać się wokół dwóch nowych zasad organizujących: mrozącego krew w żyłach lęku przed śmiercią i palącej potrzeby bycia z moim ojcem.

W dniach po śmierci Susy miłość do ojca była jedyną rzeczą, która trzymała mnie przy zdrowych zmysłach; raz po raz uspokajałem się, potwierdzając obietnicę złożoną na grobie siostry: wrócić do niego, pokazać mu, że przeżyłem, i złagodzić nieco jego katusze. Serce rozpierała mi tęsknota za nim i ani przez chwilę nie przestawałem wyobrazać go sobie w jego cierpieniu. Kto go pociesza? Jak walczy z rozpaczą? Widziałem, jak snuje się nocą po pustych pokojach albo rzuca w łóżku do świtu. Jaka tortura musiało dla niego być to poczucie bezradności. Jak zdradzony musiał się poczuć - przez całe życie chronił i utrzymywał ukochaną rodzinę tylko po to, by ją stracić. Był najsilniejszym człowiekiem, jakiego znałem, ale czy okaże się na tyle silny, by znieść taką stratę? Czy pozostanie przy zdrowych zmysłach? Czy utraci wszelką nadzieję i wolę życia? Czasem wyobrażnia podsuwała mi najgorsze, martwiłem się, że ojciec może coś sobie zrobić, zdecydować się położyć kres cierpieniu i połączyć się w śmierci z najbliższymi.

82

Takie rozmyślania o ojcu wywoływały we mnie zawsze przyływ miłości tak promiennej i naglącej, że zapierało mi dech. Nie mogłem znieść myśli, że przecierpi jeszcze choćby sekundę. Zrozpaczony, w milczeniu szalałem z wściekłości na wielkie szczyty, które wznosiły się nad miejscem katastrofy, przegradzając mi drogę do ojca i więząc mnie w tym

złowieszcym miejscu, gdzie w żaden sposób nie mogłem złagodzić jego bólu. Ta klaustrofobiczna frustracja zżerała mnie, aż zacząłem wpadać w panikę, niczym człowiek pogrzebany żywcem. Każdą chwilę przepełniał instynktowny lęk, jakby ziemia pod moimi stopami była tykającą bombą, która może w każdej chwili eksplodować; jakbym stał z przewiazanymi oczyma przed plutonem egzekucyjnym, czekając, aż poczuję uderzenie kul o klatkę piersiową. Ten straszliwy stan bezbronności - pewności, że zguba nastąpi lada chwila - nigdy nie ustępował. Wypełniał każdy moment mojego pobytu na górze. Stał się tłem każdej myśli i rozmowy. Wytworzył też we mnie obsesyjne pragnienie ucieczki. Z całych sił zwalczałem ten lęk, starając się uspokoić i myśleć jasno, ale zdarzały się chwile, kiedy zdawało się, że zwierzęcy instynkt przewycięży rozum, odbierając mi wolę, która pozwalała opierać się tej potrzebie rzucenia się na oślep w Kordyliere.

Początkowo jedynym sposobem uspokojenia tych lęków było wyobrażenie sobie momentu przybycia ekipy ratunkowej. W pierwszych dniach naszych przejść wszyscy czepialiśmy się tej nadziei. Marcelo podtrzymywał ją swoimi zapewnieniami, ale dni mijały i coraz trudniej było wyjaśnić brak ratowników. Marcelo, żarliwy katolik, coraz bardziej szukał oparcia w przekonaniach, które zawsze kształtowały jego życie. „Bóg nas kocha, powtarzał. Nie każe nam tyle cierpieć, by potem odwrócić się od nas i pozwolić nam umrzeć bezsensowną śmiercią”. Nie naszą rzeczą było pytać, upierał się, dlaczego Bóg

83

poddaje nas tak surowej próbie. Naszą powinnością - wobec Boga, rodzin i siebie wzajemnie - było przetrwać kolejne chwile, zaakceptować nasze lęki i cierpienie, i być żywym, kiedy ekipa ratunkowa wreszcie nas odnajdzie.

Słowa Marcela bardzo silnie działały na innych, większość nie kwestionowała jego argumentów. Tak bardzo chciałem mu wierzyć, ale z biegiem czasu nie potrafiłem uciszyć wątpliwości, które narastały w moim umyśle. Zakładaliśmy zawsze, że władze wiedzą mniej więcej, gdzie spadł nasz samolot. Musieli znać trasę naszego przelotu nad górami, powtarzaliśmy sobie, a piloci na pewno wysyłali w drodze komunikaty przez radio. To po prostu kwestia przeszukania naszej trasy, poczynając od miejsca ostatniego kontaktu radiowego. Czy tak trudno będzie dostrzec wrak dużego samolotu leżący na widoku na odsłoniętym lodowcu?

W wyniku intensywnej akcji poszukiwawczej już powinni nas odnaleźć, myślałem, a fakt, że pomoc jeszcze nie nadeszła, skłaniał mnie do rozważenia dwóch ponurych scenariuszy: albo błędnie oszacowali miejsce naszego upadku i prowadzą poszukiwania w jakimś innym odcinku Kordyliery, albo też w ogóle nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy w tych rozległych pustkowiach, i nie mogą efektywnie zawęzić pola poszukiwań. Przypominałem sobie dzikość gór oglądanych podczas przelotu nad przełęczą Planchon, wszystkie te stromościenne wąwozy, opadające setki metrów po zboczach tyłu czarnych, krętych grzbietów, i wszędzie jak okiem sięgnąć tylko kolejne zbocza i granie. Przemyślenia te skłaniały mnie do ponurego wniosku: Nie znaleźli nas jeszcze, bo nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy, a jeśli choćby w przybliżeniu nie wiedzą, gdzie nas szukać, to nigdy nas nie odnajdą.

Początkowo nie zdradzałem się z tymi myślami, mówiąc sobie, że nie chcę rozwiewać nadziei pozostałych. Może jednak

kierowały mną motywy nie tak bezinteresowne. Może nie chciałem dawać głośno wyrazu swoim odczuciom w obawie, że staną się prawdziwsze. Kiedy nie ma już nadziei, umysł broni się, stosując wyparcie, a takie zaprzeczanie chroniło mnie przed zmierzaniem się z tym, co wiedziałem. Mimo wszelkich wątpliwości w kwestii możliwości nadejścia pomocy, nadal chciałem tego samego co pozostali - żeby ktoś przyszedł i uniósł mnie z tego piekła, zabrał do domu i zwrócił mi życie. Choćby nie wiem jak silne instynkty kazały mi porzucić myślenie życzeniowe, nie mogłem sobie pozwolić na wykluczenie możliwości cudu. Ignorując

beznadziejność naszego położenia, moje serce trzymało się nadziei równie naturalnie, jak dalej biło. Każdej nocy modliłem się zatem z innymi, błagając Boga, by przyspieszył nadejście pomocy. Nasłuchiwałem warkotu nadlatujących śmigłowców. Potakiwałem zgodnie, gdy Marcelo wzywał nas wszystkich do zachowania wiary. A jednak moje wątpliwości nigdy nie ustały, więc w każdej spokojnej chwili mój umysł odpływał ku zachodowi, ku otaczającym nas masywnym grzbietom, a w mózgu eksplodowała mi burza straszliwych pytań. A jeśli będziemy musieli wy-karaskać się stąd na własną rękę? - zastanawiałem się. Czy mam dość sił, by przeżyć wędrówkę przez to pustkowie? Jak strome są zbocza? Jak zimno jest w nocy? Czy teren jest stabilny? Jakaś obrać drogę? A co będzie, jeśli spadnę? I zawsze: Co znajduje się na zachodzie, za tymi czarnymi grzbietami? Zacząłem przerabiać w myślach scenariusze ucieczki tak wyraziście i tak często, że marzenia te stały się wkrótce równie realne jak film wyświetlany w mojej głowie. Widziałem, jak pnę się po białych zboczach ku tym ponurym szczytom, wi-zualizowałem każdy kruchy chwyt w śniegu, sprawdzałem solidność każdego występu skalnego, którego chciałem się złapać, lustrowałem starannie każde miejsce, gdzie zamierzałem

85

postawić stopę. Dyszałem w rozrzedzonym powietrzu, smagany lodowatymi wichrami, brnąłem w śniegu po pas. W tym marzeniu na jawie każdy krok wspinaczki był mordęgą, ale nie ustawałem, piąłem się w górę, aż dotarłem na szczyt i spoglądałem ku zachodowi. Przedemną rozpościerała się szeroka dolina opadająca ku linii horyzontu. Widziałem, jak w niewielkiej odległości pola śnieżne ustępują zgrabnej mozaice brązów i zieleni - polom uprawnym wyściełającym dno doliny. Pola poprzecinane są cienkimi szarymi liniami; wiedziałem, że to drogi. Schodziłem niepewnym krokiem po zachodnim skłonie góry i wędrowałem godzinami przez skalisty teren, aż docierałem do jednej z tych dróg, po czym szedłem na zachód do gładkiej asfaltowej nawierzchni. Niedługo potem słyszałem warkot nadjeżdżającej ciężarówki. Machałem ręką zaskoczonemu kierowcy. Miał się na baczości przed tak zdesperowanym nieznajomym ukazującym się nie wiedzieć skąd. Musiałem mu wszystko wyjaśnić i wiedziałem dokładnie, co powiedzieć:

- Vengo de un avion que cayó en las montañas...

(„Jestem z samolotu, który rozbił się w górach...”).

Rozumie i wpuszcza mnie do szoferki. Jedziemy na zachód przez zielone pola uprawne do najbliższego miasteczka, gdzie znajduję telefon. Wykręcam numer ojca, a chwilę potem słyszę jego zdumiony szloch, kiedy poznaje mnie po głosie. Kilka dni później jesteśmy już razem i widzę wyraz jego oczu -odrobinę radości, przeświecającą teraz przez cały ten smutek. Nie mówi nic, tylko moje imię. Czuję, jak osuwa się na mnie, kiedy go obejmuję...

Marzenie to, jak mantra, jak osobisty mit, stało się wkrótce moją liną ratunkową, pielęgnowałem je i dopracowywałem, aż zaczęło błyszczeć w umyśle niczym klejnot. W miarę jak ta fantazja o ucieczce stawała się coraz bardziej

86

klarowna, obietnica, którą dałem ojcu, nabierała mocy świętego powołania. Ogniskowała umysł, zmieniała lęki w motywację, dawała poczucie kierunku i wyższego celu unoszące mnie z czarnej studni bezradności, w której tkwiłem od wypadku. Nadal modliłem się z Marcelo i resztą, nadal błagałem Boga o cud, nadal każdej nocy wyteżałem słuch, by usłyszeć odległy dźwięk śmigłowców lawirujących wśród grzbietów Kordyliery. Ale kiedy żadna z tych metod nie niosła uspokojenia, kiedy moje lęki stawały się tak gwałtowne, że niemal doprowadzały mnie do obłądu, zamykałem oczy i myślałem o ojcu. Odnawiałem obietnicę powrotu i podejmowałem, w umyśle, wspinaczkę.

Po śmierci Susy pozostało nas dwadzieścia siedem osób. Większość miała obtłuczenia i rany szarpane, ale biorąc pod uwagę gwałtowność całego zdarzenia oraz fakt, że przeżyliśmy trzy

poważne wstrząsy przy bardzo dużej szybkości, prawdziwym cudem było to, że tak niewielu doznało poważnych obrażeń. Część z nas, w tym Roberto, Gustavo, Liliana i jej mąż Javier, Pedro Algorta, Moncho Sabella, Daniel Shaw i Bobby Francois, wyszli z tego bez jednego draśnięcia. Ci z poważniejszymi obrażeniami, jak Alvaro Mangino i Pancho Del-gado, mający nogi połamane podczas wypadku, wracali teraz do zdrowia, mogli już kuśtykać po wraku. Antonio Vizintin, który prawie wykrwawił się na śmierć ze zranionej ręki, szybko odzyskiwał siły. Fito Strauch i jego kuzyn Eduardo stracili przytomność podczas ostatniego zderzenia, ale niebawem doszli do siebie. W gruncie rzeczy tylko trzech z nas odniosło rzeczywiście poważne kontuzje. Uraz mojej głowy należał do najgorszych, ale strzaskane kawałki czaszki zaczynały się zrastać, pozostały więc tylko dwie osoby z naprawdę groźnymi

87

obrażeniami: Arturo Noguiera, który doznał wielokrotnego złamania obu nóg, oraz Rafael Echavarren, u którego mięsień łydki został oderwany od kości. Obaj cierpieli intensywne i nieprzerwane bóle, a przyglądanie się ich męczarniom należało do najokropniejszych rzeczy, z jakimi musieliśmy się zmierzyć.

Robiliśmy dla nich co w naszej mocy. Roberto przygotował im posłania, proste hamaki zrobione z aluminiowych drążków i mocnych nylonowych pasków przyniesionych z luku bagażowego. Zawieszeni w hamakach, Rafael i Arturo nie musieli znosić męki spania razem z nami w niespokojnym ludzkim kłębowisku na podłodze wraku, gdzie najłżejsze pchnięcie czy szturchnięcie sprawiało im niewymowny ból. Na tych bujanych posłaniach nie grzało ich już ciepło naszych ściśniętych ciał, dlatego bardziej doskwierał im mróz. Chłód jednak, choć tak okrutny, był dla nich mniej dotkliwy niż ból.

Rafael nie należał do Starych Chrześcijan, ale miał w drużynie znajomych, którzy zaprosili go na tę wycieczkę. Nie znałem go wcześniej, ale zwróciłem na niego uwagę w samolocie. Śmiał się serdecznie z przyjaciółmi, wydał mi się bardzo przyjazny i otwarty. Od razu go polubiłem, a lubiłem coraz bardziej, widząc, jak znosi cierpienie. Roberto doglądał jego ran i opatrywał je najlepiej, jak potrafił, ale nasze zapasy środków medycznych były żałosne i niewiele mógł zdziałać. Codziennie zmieniał zakrwawione bandaże i przemywał rany znalezionej gdzieś wodą kolońską w nadziei, że zawarty w niej alkohol powstrzyma zakażenie. Ale rany Rafaela bezustannie ropiały, a skóra na nodze zaczynała czernieć. Gustavo i Roberto podejrzewali gangrenę, ale Rafael nigdy nie pozwolił sobie na uzalanie się nad sobą. Trzymał się dzielnie i z humorem, choć toksyny zalewały już jego organizm, a ciało na nodze gniło w oczach.

88

- Jestem Rafael Echavarran - wykrzykiwał co rano - i nie umrę tutaj!

Nie poddawał się, bez względu na to, jak cierpiał, a ja czułem się mocniejszy, ilekroć słyszałem z jego ust te słowa.

Arturo z kolei był chłopakiem spokojniejszym, bardziej poważnym. Należał do drużyny, był pomocnikiem środkowego pierwszej reprezentacji Starych Chrześcijan. Przed katastrofą nie byłem z nim szczególnie zaprzyjaźniony, ale odwaga, z jaką znosił cierpienie, zbliżyła mnie do niego. Arturo, podobnie jak Rafael, powinien się znaleźć na oddziale intensywnej terapii, gdzie specjaliści zajmowałiby się nim przez całą dobę. Ale był tu w Andach, kołyszając się w prowizorycznym hamaku, bez antybiotyków czy środków przeciwbólowych, gdzie troszczyło się o niego tylko kilku studentów pierwszego roku medycyny i grupa niedoświadczonych młokosów. Pedro Algorta, inny kibic zespołu, był szczególnie blisko z Arturem i spędzał z nim wiele godzin, przynosił mu wodę i jedzenie, i starał się sprawić, by zapomniawszy o bólu. Pozostali także siadywali przy nim na zmianę, podobnie jak przy Rafaelu. Zawsze wyczekiwałem rozmowy z Arturem. Na początku mówiliśmy przeważnie o rugby. Kopanie jest ważnym elementem gry - dobrze wymierzone kopnięcie może zmienić przebieg meczu - a Arturo był najsilniej i najcelniej kopiącym członkiem zespołu. Przypominałem mu jego

wspaniałe zagrania w kluczowych momentach naszych meczów i pytałem, jak zdołał postać piłkę tak daleko i tak celnie. Myślę, że lubił te rozmowy. Był dumny ze swoich kopnięć i często, leżąc w hamaku, próbował nauczyć mnie tych technik. Czasami zapominał się i usiłował zademonstrować coś jedną z połamanych nóg, co wywoływało grymas bólu, przypominając nam, gdzie jesteśmy.

W miarę jednak, jak poznawałem go bliżej, nasze rozmowy dotyczyły tematów znacznie głębszych niż sport. Arturo bardzo

8g

- Jestem Rafael Echavarran - wykrzykiwał co rano - i nie umrę tutaj!

Nie poddawał się, bez względu na to, jak cierpiał, a ja czułem się mocniejszy, ilekroć słyszałem z jego ust te słowa.

Arturo z kolei był chłopakiem spokojniejszym, bardziej poważnym. Należał do drużyny, był pomocnikiem środkowego pierwszej reprezentacji Starych Chrześcijan. Przed katastrofą nie byłem z nim szczególnie zaprzyjaźniony, ale odwaga, z jaką znosił cierpienie, zbliżyła mnie do niego. Arturo, podobnie jak Rafael, powinien się znaleźć na oddziale intensywnej terapii, gdzie specjaliści zajmowałiby się nim przez całą dobę. Ale był tu w Andach, kołysząc się w prowizorycznym hamaku, bez antybiotyków czy środków przeciwbólowych, gdzie troszczyło się o niego tylko kilku studentów pierwszego roku medycyny i grupa niedoświadczonych młokosów. Pedro Algorta, inny kibic zespołu, był szczególnie blisko z Arturem i spędzał z nim wiele godzin, przynosił mu wodę i jedzenie, i starał się sprawić, by zapomniał o bólu. Pozostali także siadywali przy nim na zmianę, podobnie jak przy Rafaelu. Zawsze wyczekiwałem rozmowy z Arturem. Na początku mówiliśmy przeważnie o rugby. Kopanie jest ważnym elementem gry - dobrze wymierzone kopnięcie może zmienić przebieg meczu - a Arturo był najsilniej i najcelniej kopiącym członkiem zespołu. Przypominałem mu jego wspaniałe zagrania w kluczowych momentach naszych meczów i pytałem, jak zdołał postać piłkę tak daleko i tak celnie. Myślę, że lubił te rozmowy. Był dumny ze swoich kopnięć i często, leżąc w hamaku, próbował nauczyć mnie tych technik. Czasami zapominał się i usiłował zademonstrować coś jedną z połamanych nóg, co wywoływało grymas bólu, przypominając nam, gdzie jesteśmy.

W miarę jednak, jak poznawałem go bliżej, nasze rozmowy dotyczyły tematów znacznie głębszych niż sport. Arturo bardzo

8g

się od nas różnił. Po pierwsze, był zapalonym socjalistą, a jego bezkompromisowe poglądy na temat kapitalizmu i dążenia do osobistej zamożności czyniły zeń swego rodzaju dziwaka w świecie dostatku i przywilejów, w którym większość nas dorastała. Część chłopaków uważała to po prostu za pozę - noszenie wytartych ubrań i zaczytywanie się w marksizmie tak przez przekorę. Arturo nie zawsze był łatwy w kontaktach. Potrafił być drażliwy i ostry w swoich opiniach, co wielu chłopakom działało na nerwy, ale w miarę jak coraz lepiej go rozumiałem, zacząłem podziwiać jego sposób myślenia. To nie jego poglądy polityczne mnie pociągały - w tym wieku w mojej głowie nie było miejsca na politykę. Zafascynowała mnie powaga, z jaką przeżywał życie, i zacięta pasja, z jaką uczył się samodzielnie myśleć. Dla Artura liczyły się rzeczy ważne: równość, sprawiedliwość, współczucie i uczciwość. Nie obawiał się kwestionować żadnych zasad konwencjonalnego społeczeństwa ani potępiać naszego systemu rządów i gospodarki, który - jak wierzył - służył silnym kosztem słabych.

Jego zdecydowane poglądy niepokoiły wiele osób i często doprowadzały w nocy do gniewnych sporów na temat historii, polityki czy aktualnych wydarzeń, ale zawsze chciałem usłyszeć, co Arturo ma do powiedzenia, a szczególnie frapowały mnie jego przemyślenia na temat religii. Jak większość ocalałych z wypadku zostałem wychowany w tradycji katolickiej i choć trudno byłoby mnie nazwać żarliwym wyznawcą, nigdy nie wątpiłem w podstawowe

nauki Kościoła. Jednak rozmowy z Arturem zmusiły mnie do zastanowienia się nad moimi poglądami religijnymi i zbadania zasad i wartości, których nigdy nie kwestionowałem.

- Skąd masz pewność, że spośród wszystkich ksiąg świata właśnie ta, w którą nauczono cię wierzyć, stanowi jedyne autentyczne słowo Boże? - pytał mnie. - Skąd wiesz, że tylko go

twoja koncepcja Boga jest prawdziwa? Jesteśmy krajem katolickim, bo Hiszpanie przypłynęli tu i podbili miejscowych Indian, po czym zastąpili ich boga Jezusem Chrystusem. Gdyby Amerykę Południową podbili Maurowie, wszyscy modlilibyśmy się do Mahometa, nie do Jezusa.

Pomysły Artura denerwowały mnie, ale jego sposób myślenia był frapujący. Fascynowało mnie też, że mimo całego tego religijnego sceptycyzmu był człowiekiem bardzo uduchowionym, wyczuwał mój gniew na Boga i nakłaniał mnie, bym się od Niego nie odwracał z powodu naszego cierpienia.

- Na co nam Bóg? - replikowałem. - Dlaczego pozwoliłby mojej matce i siostrze umrzeć w tak bezsensowny sposób? Skoro tak nas kocha, czemu pozwala nam tu cierpieć?

- Gniewasz się na Boga, w którego nauczono cię wierzyć w dzieciństwie - odparł Arturo. - Boga, który ma cię pilnować i chronić, który odpowiada na twoje modlitwy i przebacza grzechy. Taki Bóg to tylko bajeczka. Religie usiłują uchwycić Boga, ale Bóg jest ponad religią. Prawdziwy Bóg wymyka się naszemu pojmowaniu. Nie potrafimy zrozumieć jego woli, nie sposób go objaśnić w książce. Ani nas nie porzucił, ani nas nie ocali. Nie ma nic wspólnego z tym, że tu jesteśmy. Bóg się nie zmienia, on po prostu jest. Nie modłę się do Boga o przebaczenie czy łaskę. Modłę się, by być bliżej niego, podczas modlitwy napełniam serce miłością. Modląc się w ten sposób, wiem, że Bóg jest miłością. Kiedy czuję tę miłość, pamiętam, że nie potrzebujemy aniołów czy nieba, bo już jesteśmy częścią Boga.

Pokręciłem głową.

- Mam tyle wątpliwości - powiedziałem. - Czuję, że zasłużyłem na prawo do wątplenia...

- Ufaj swoim wątpliwościom - mówił Arturo. - Jeśli masz odwagę wątpić w Boga i kwestionować wszystko, czego cię

o nim nauczono, to możesz go odnaleźć naprawdę. Jest blisko nas, Nando. Wyczuwam go wszędzie wokół. Otwórz oczy, a też go zobaczysz.

Spojrzałem na Artura, żarliwego młodego socjalista leżącego w hamaku z nogami połamanymi jak patyki i oczami lśnącymi wiarą i zachętą, i poczułem do niego silny przypływ sympatii. Jego słowa głęboko mnie poruszyły. Jak taki młody człowiek zdołał poznać tak dobrze samego siebie? Rozmowy z Arturem zmusiły mnie, bym stanął twarzą w twarz z faktem, że nigdy nie traktowałem swego życia poważnie. Tyle spraw uznawałem za oczywiste, trwoniąc energię na dziewczyny, samochody i prywatki, i prześlizgując się beztrudnie z dnia na dzień. Ostatecznie po co się spieszyć? Jutro zdążę się nad wszystkim zastanowić. Zawsze było jakieś jutro...

Roześmiałem się smutno w duchu, myśląc: Jeśli jest jakiś Bóg, i jeśli pragnął mojej uwagi, to na pewno ma ją teraz... Pochyliłem się i położyłem rękę na piersi Artura, żeby go ogrzać.

Słuchając jego rytmicznego oddechu i czując, jak ciało tężeje mu okresowo z bólu, powiedziałem sobie: „To jest prawdziwy człowiek”.

Inspirowała mnie też odwaga i bezinteresowność innych. Enrique Platero, któremu rura przebiła brzuch podczas ostatniego zderzenia, zbywał swoje obrażenia, jakby to było drażnienie, chociaż tydzień po katastrofie fragment jelita nadal wystawał mu z rany. Zawsze lubiłem Enrique. Podziwiałem szacunek, z jakim traktował swoich rodziców, i wyraźną czułość, jaką okazywał swojej rodzinie, która przychodziła na wszystkie nasze mecze. Enrique, grający na pozycji filara, nie był efekciarskim zawodnikiem, ale działał na boisku w

sposób solidny i godny zaufania, zawsze gotów nam pomóc, nie żałując sił. Tak samo było tu na górze. Zawsze robił to, o co go proszono, i więcej, nigdy nie narzekał ani nie rozpaczał otwarcie, i choć był obecny we wraku w sposób nierzucający się w oczy, wiedzieliśmy, że zawsze zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc nam przetrwać.

Wywarła też na mnie wrażenie siła Gustava Nicholicha, zwanego przez nas Coco. Był naszym krzepkim „zawodnikiem nr 8”, grającym w trzeciej linii, gdzie pełnił funkcję ludzkiego klina, który utrzymywał nas wszystkich połączonych razem w młynie. Coco był twardym graczem, a przy tym chłopakiem z poczuciem humoru i silnym charakterem. Marcelo powierzył mu kierowanie ekipą sprzątaczy, złożoną głównie z młodszych chłopaków z grupy - Alvara Mangino, Coche Inciarte, Bobby'ego Francois i innych. Ich zadaniem było utrzymywanie czystości w kadłubie samolotu, wietrzenie co dzień rano poduszek od foteli i rozkładanie ich każdego wieczoru na podłodze przed snem. Coco dbał, by jego ekipa poważnie traktowała swoje obowiązki, ale wiedział też, że dając tym młodym chłopakom zajęcie, nie pozwala, by ich umysły opanował lęk. Kierując ich pracą, podtrzymywał ich na duchu, opowiadając dowcipy i anegdoty. Podczas przerw namawiał, by zabawiali się w szarady i inne gry. Jeżeli słychać gdzieś było śmiech, to za sprawą Coca. Odgłos śmiechu zakrawał w tych okolicznościach na cud, a ja podziwiałem Coca za odwagę - rozchmurzał tyle umysłów, kiedy sam, jak cała reszta, był znużony i przestraszony.

Szczególnie zaimponowała mi siła i odwaga Liliany Me-thol. Liliana, mająca trzydzieści pięć lat, była żoną Javiera Methola, który, jako trzydziestoosmiolatek, był najstarszym z ocalałych. Liliana i Javier byli ze sobą niezwykle życzliwi i bardzo dla siebie czuli. Oboje byli zapalonymi fanami zespołu, dla nich jednak wyprawa ta była też krótką, romantyczną ucieczką, rzadką szansą, by spędzić samotnie wspólny weekend z dala od czwórki małych dzieci, które zostawili w domu

Q3

z dziadkami. Tuż po katastrofie Javier zapadł na ostrą chorobę wysokościową, wskutek czego cierpiał na ustawiczne nudności i nasilone zmęczenie. Jego procesy myślowe były spowolnione i zmętniałe, potrafił tylko błąkać się po miejscu wypadku w stanie półotępienia. Liliana przeważnie zajmowała się nim, ale znajdowała też czas, by służyć jako niestrudzona pielęgniarka Robertowi i Gustawowi, i bardzo im pomagała w opiece nad rannymi.

Po śmierci Susy Liliana pozostała jedyną kobietą wśród ocalałych, więc początkowo traktowaliśmy ją w szczególny sposób, nalegając, by sypiała z ciężko rannymi w przedziale bagażowym, najcieplejszej części samolotu. Robiła tak tylko przez kilka nocy, potem stwierdziła, że nie może dłużej akceptować tak specjalnego traktowania. Od tego momentu sypiała z całą resztą w głównej części kadłuba, gdzie zbierała wokół siebie najmłodszych chłopaków, robiąc, co mogła, by ich pocieszyć i ogrzać.

- Nie odkrywaj głowy, Coche - powtarzała, kiedy leżeliśmy w mroku nocy. - Za dużo kaszlesz, zimne powietrze drażni ci gardło. Bobby, ciepło ci? Mam ci rozetrzeć stopy? Wciąż się martwiła o pozostawione w domu dzieci, mimo to miała dość odwagi i miłości, by matkować tym przestraszonym chłopcom, będącym tak daleko od rodzin. Stała się dla nas drugą matką, a miała wszystko, czego chciałoby się oczekiwać od matki: siłę, łagodność, miłość, cierpliwość i wielką odwagę.

Ale góry pokazały mi, że istnieje wiele rodzajów odwagi, i dla mnie nawet najcichsi spośród nas wykazywali się wielką odwagą, żyjąc po prostu z dnia na dzień. Wszyscy oni przyczynili się, samą swoją obecnością i siłą osobowości, do stworzenia ścisłego poczucia wspólnoty i wspólnego celu, które chroniło nas w jakimś stopniu przed brutalnością i bezwzględnością otoczenia. Coche Inciarte, na przykład, obdarzał nas swoim bystrym prześmiewczym humorem i serdecznym uśmiechem. Carlitos stanowił źródło ciągłego optymizmu i humoru. Pedro Algorta, bliski przyjaciel Artura, był niekonwencjonalnym myślicielem, bardzo bystrym i nieznoszącym sprzeciwu; lubiłem rozmawiać z nim po nocach. Wiele opiekuńczych

uczuc budził we mnie Alvaro Mangino, obdarzony łagodnym głosem życzliwy kibic zespołu, jeden z najmłodszych chłopaków w samolocie; często starałem się znaleźć miejsce do spania obok niego. Gdyby nie Diego Storm, który zabrał mnie z zimna, kiedy leżałem jeszcze w śpiączce, na pewno zamarłbym na śmierć jak Panchito. Daniel Fernandez, inny kuzyn Fita, był osobą zrównoważoną i trzeźwo myślącą; był też Bobby Francois, którego otwarta, wolna od skruchy, nieomal radosna rezygnacja z walki o życie na swój sposób oczarowała nas wszystkich. Bobby wydawał się niezdolny zatroszczyć o siebie w choćby najprostszy sposób - jeśli na przykład w nocy zsunęło się z niego okrycie, nie zadawał sobie trudu, by się znowu przykryć. Dlatego wszyscy uważaliśmy na niego, robiąc, co mogliśmy, by nie zmarł, sprawdzając, czy nie ma odmrożonych stóp, dbając, by wstał rano z posłania. Wszyscy ci chłopcy stanowili w górach część naszej rodziny, uczestnicząc, każdy w miarę swoich możliwości, w naszej wspólnej walce. Jednak przy wszystkich odmiennych rodzajach odwagi, jakie obserwowałem wokół siebie, tych efektownych i tych subtelnych, rozumiałem, że każdy z nas żyje w bezustannym lęku i widziałem, że każdy radzi sobie z tym na swój sposób. Jedni dawali upust lękowi poprzez gniew, wściekając się na los, który rzucił nas tutaj, albo na władze zwlekające z udzieleniem pomocy. Inni prosili Boga o odpowiedzi i błagali o cud. Wielu zaś tak obezwładnił strach, wszystkie te siły spiętrzone ponuro wokół nas, że popadali w rozpacz. Ci chłopcy nie wykazywali żadnej inicjatywy. Pracowali tylko na czyjeś polecenie, a i wtedy można im było powierzać jedynie najprostsze zadania. Z każdym mijającym dniem usuwali się coraz bardziej w cień, popadali w coraz większe przygnębienie i ośpienie, aż wreszcie niektórzy z nich stali się tak apatyczni, że leżeli przez cały dzień w tym samym miejscu, gdzie spali, czekając tylko na to, co nadejdzie: ratunek albo śmierć. Marzyli o domu i modlili się o cuda, ale marniejąc w półmroku kadłuba, dręczeni lękiem przed śmiercią, z tępym, pustym spojrzeniem, zmieniali się już w widma.

Ci z nas, którzy mieli dość sił, by pracować, nie zawsze odnosili się do nich łagodnie. Przy wszystkich napięciach, jakim musieliśmy stawić czoło, trudno było czasem nie traktować ich jak tchórzy i pasożytów. Większość nie była poważnie ranna, dlatego gniewało nas, że brakło im siły woli, by uczestniczyć we wspólnej walce o przetrwanie. „Ruszcie dupy! - krzyczeliśmy na nich. - Róbcie coś! Nie jesteście jeszcze martwi!“. Ten rozdźwięk emocjonalny między pracującymi a tymi zagubionymi chłopcami stwarzał w naszej małej społeczności potencjalną linię rozłamu, co mogło doprowadzić do konfliktu, okrucieństw, a nawet przemocy. Ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Nigdy nie uciekliśmy się do oskarżeń i obwiniania. Może zdecydowały o tym wszystkie te lata spędzone wspólnie na boisku. Może nauki braci chrześcijan nie poszły w las. W każdym razie potrafilimy pohamować resentymenty i walczyć jako zespół. Ci, którzy mieli dość serca i siły fizycznej, robili, co należało. Pozostali usuwali się w cień. Dopingowaliśmy ich, czasem dyrygowaliśmy nimi, ale nigdy nie pogardzaliśmy i nie zostawialiśmy własnemu losowi. Rozumieliśmy intuicyjnie, że w tym okropnym miejscu nikogo nie można sądzić według standardów zwykłego świata. Okropności, z jakimi musieliśmy się mierzyć, były przytłaczające, dlatego nie wiadomo było, jak

któreś z nas w danym momencie zareaguje. W takim miejscu nawet zwykłe przetrwanie wymagało heroicznego wysiłku, a ci chłopcy toczyli swoje prywatne mroczne zmagania. Rozumieliśmy, że nie ma sensu wymagać od kogoś, by robił więcej, niż może. Dbaliśmy jednak, by mieli dość wody i ciepłej odzieży. W najchłodniejszych godzinach nocy masowaliśmy im stopy, by zapobiec odmrożeniom. Uważaliśmy, by dobrze okrywali się we śnie, i topiliśmy dla nich śnieg, gdy nie mogli wykrzesać z siebie dość optymizmu, by wyjść na zewnątrz i samemu się napić. Nade wszystko jednak pozostawialiśmy towarzyszami w cierpieniu. Straciliśmy już zbyt wielu przyjaciół. Każde życie było dla nas cenne.

Zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc przeżyć wszystkim naszym przyjaciółom.

- Weź jeszcze jeden oddech - radziliśmy tym słabszym, kiedy mróz albo lęki czy rozpacz spychały ich na skraj kapitulacji. - Pożyj jeszcze przez jeden oddech. Dopóki oddychasz, walczysz o przetrwanie.

W gruncie rzeczy wszyscy na tamtej górze żyliśmy od oddechu do oddechu, starając się wykrzesać z siebie dość siły woli koniecznej, by przetrwać od jednego uderzenia serca do następnego. Każda chwila była dla nas cierpieniem i to różnego rodzaju, ale zawsze najbardziej doskwierał nam mróz. Nasze organizmy nigdy się nie przystosowały do tych lodowatych temperatur - żaden ludzki organizm by tego nie potrafił. W Andach nadal panowała zima, a śnieżyce szalały czasem przez całą dobę, więząc nas we wraku. Jednak w pogodne dni zalewały nas silne w górach promienie słoneczne i wtedy jak najwięcej czasu spędzaliśmy poza kadłubem, chłonąc ich ciepło. Wyciągaliśmy nawet na zewnątrz część foteli i ustawialiśmy je na śniegu niczym meble ogrodowe, by na siedząco zażywać kąpieli słonecznej. Aż nazbyt szybko jednak słońce

97

chowało się za grzbietami na zachodzie i w parę sekund, jak się zdawało, promiennie błękitne niebo blakło do ciemnego fioletu, rozbłyskiwały gwiazdy, a noc zalewała nas ze zbocza góry niczym fala przyływu. Gdy brakło słońca, które ogrzewało rozrzedzone powietrze, temperatura gwałtownie spadała, więc wycofywaliśmy się pod osłonę samolotu, przygotować się na udreki kolejnej nocy.

Mróz na dużej wysokości potrafi być agresywny i złośliwy. Pali i tnie, przenika każdą komórkę organizmu, napiera z siłą, która wydaje się zdolna miażdżyć kości. Pełen przeciągów wrak kadłuba osłaniał nas przed wiatrami, które by nas zabiły, mimo to powietrze wewnątrz było lodowate. Mieliśmy zapalniczki, więc łatwo moglibyśmy rozpaść ognisko, ale na górze było bardzo niewiele rzeczy nadających się do palenia. Spaliliśmy wszystkie banknoty - poszło z dymem prawie siedem i pół tysiąca dolarów amerykańskich - znaleźliśmy też na pokładzie dość kawałków drewna, by podsycać dwa czy trzy niewielkie ogniska, ale szybko się one wypaliły, a ten krótki luksus ciepła sprawił tylko, że gdy płomienie wygasły, chłód stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Naszą najlepszą obroną przed mrozem było skupienie się razem na rozłożonych na podłodze poduszkach od foteli i przykrycie się licznymi „kocami” w nadziei, że ogrzejemy się wzajemnie na tyle, by przetrwać kolejną noc. Całymi godzinami leżałem w ciemności, szczękając gwałtownie zębami, a ciało dygotało mi tak mocno, że mięśnie szyi i barków były w ciągłym skurczu. Wszyscy bardzo uważaliśmy, żeby chronić kończyny przed odmrożeniem, dlatego podczas snu zawsze trzymałem dłonie wetknięte pod pachy, a stopy pod czyimś ciałem, mimo to jednak mróz był taki, jakby w palce rąk i nóg walono drewnianym młotem. Czasem, kiedy obawiałem się, że krew zamarza mi w żyłach, prosiłem innych, by uderzeniami pięści pobudzili mi krążenie w rękach i nogach. Zawsze spałem z głową przykrytą kocem, by nie tracić ciepła wydychanego z oddechem. Czasem układałem się z głową przy twarzy śpiącego obok chłopaka, by wykraść mu trochę oddechu, trochę ciepła. Zdarzało się, że rozmawialiśmy nocami, ale nie było to łatwe, bo zęby nam szczękały, a szczęki dygotały w lodowatym powietrzu. Czasem próbowałem przez modlitwę oderwać się od tej udreki, albo wyobrażałem sobie mego ojca w domu, ale zimna nie dało się ignorować zbyt długo. Czasami jedynym wyjściem było poddać się cierpieniu i liczyć sekundy do świtu. W tych chwilach bezradności często nabierałem przekonania, że oszaleję.

Zimno było dla nas zawsze największą męczarnią, ale w pierwszych dniach naszych przejść największe zagrożenie stanowiło pragnienie. Na dużej wysokości ludzki organizm ulega odwodnieniu pięć razy szybciej niż na poziomie morza, głównie wskutek niewielkiej zawartości tlenu w atmosferze. Aby uzyskać go w dostatecznej ilości z rozrzedzonego

górskiego powietrza, organizm wymusza bardzo szybki oddech - to reakcja odruchowa, często dyszy się, nawet stojąc nieruchomo. Przyspieszony oddech wprowadza do krwiobiegu więcej tlenu, ale po każdym wdechu następuje wydech, podczas którego dochodzi do utraty cennej pary wodnej. Na poziomie morza organizm może wytrzymać bez wody nawet ponad tydzień. W Andach ten czas jest znacznie krótszy, a każdy oddech przybliża człowieka do śmierci.

W górach nie brakło oczywiście wody - osiedliśmy na zaśnieżonym lodowcu, otoczeni przez miliony ton śniegu i lodu. Problem stanowiło uzyskanie z tego wody pitnej. Dobrze wyposażeni wspinacze wysokogórscy noszą małe maszynki gazowe, aby topić wodę ze śniegu, a popijają ją bezustannie -codziennie kilka litrów - żeby odpowiednio nawodnić organizm. My nie mieliśmy kuchenek ani żadnej wydajnej metody

99

topienia śniegu. Początkowo po prostu wpychaliśmy go sobie garściami do ust, próbując go jeść, ale już po kilku dniach mieliśmy wargi tak spękane, zakrwawione i obolałe od suchego mrozu, że zjadanie tych lodowatych bryłek stało się nieznośną męczarnią. Nauczyliśmy się, że jeżeli zbijemy śnieg w kulkę i ogrzejemy w dłoniach, możemy ssać krople wody w miarę topnienia. Topiliśmy go też, potrząsając nim wewnątrz pustych butelek po winie, i chłęptaliśmy wodę z każdej kałuży, na jaką trafiliśmy. Na przykład śnieg na dachu wraku topniał w słońcu, a strużka wody spływała po wiatrochronie i zbierała się w wąskim rowku z aluminium utrzymującym na miejscu podstawę wiatrochronu. W słoneczne dni ustawialiśmy się w kolejce, aby wyssać trochę wody z rowka, ale nigdy nie było jej dosyć, żeby zaspokoić nasze pragnienie. W gruncie rzeczy żadna z naszych metod otrzymywania wody pitnej nie zapewniała jej w dostatecznej ilości, aby zapobiec odwodnieniu. Robiliśmy się coraz słabsi, bardziej apatyczni i otepliali, w miarę jak toksyny gromadziły się we krwi. Otoczeni zamrożonym oceanem, umieraliśmy powoli z pragnienia. Potrzebowaliśmy efektywnej metody szybkiego topienia lodu i znaleźliśmy ją dzięki pomysłowości Fita. Pewnego słonecznego poranka, kiedy siedział przed kadłubem, złakniony wody jak wszyscy inni, zauważył, że słońce topi cienką skorupę lodu, która tworzyła się każdej nocy na śniegu. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Szybko przejrzał stos odłamków, które wyciągnęliśmy na zewnątrz wraka, i pod porwaną tapicerką rozbitego fotela znalazł niewielki prostokątny płat cienkiej blachy aluminiowej. Podgiął jego brzegi, tworząc rodzaju płytkiej miski, i ścisnął jeden z rogów na kształt dzióbka. Potem napełnił miskę śniegiem i ustawił na silnym słońcu. W mgnieniu oka śnieg zaczął topnieć, a równomierna strużka wody popłynęła z dzióbka. Fito zebrał wodę do butelki, a kiedy inni zobaczyli, jak spraw-

00

topienia śniegu. Początkowo po prostu wpychaliśmy go sobie garściami do ust, próbując go jeść, ale już po kilku dniach mieliśmy wargi tak spękane, zakrwawione i obolałe od suchego mrozu, że zjadanie tych lodowatych bryłek stało się nieznośną męczarnią. Nauczyliśmy się, że jeżeli zbijemy śnieg w kulkę i ogrzejemy w dłoniach, możemy ssać krople wody w miarę topnienia. Topiliśmy go też, potrząsając nim wewnątrz pustych butelek po winie, i chłęptaliśmy wodę z każdej kałuży, na jaką trafiliśmy. Na przykład śnieg na dachu wraku topniał w słońcu, a strużka wody spływała po wiatrochronie i zbierała się w wąskim rowku z aluminium utrzymującym na miejscu podstawę wiatrochronu. W słoneczne dni ustawialiśmy się w kolejce, aby wyssać trochę wody z rowka, ale nigdy nie było jej dosyć, żeby zaspokoić nasze pragnienie. W gruncie rzeczy żadna z naszych metod otrzymywania wody pitnej nie zapewniała jej w dostatecznej ilości, aby zapobiec odwodnieniu. Robiliśmy się coraz słabsi, bardziej apatyczni i otepliali, w miarę jak toksyny gromadziły się we krwi. Otoczeni zamrożonym oceanem, umieraliśmy powoli z pragnienia. Potrzebowaliśmy efektywnej metody szybkiego topienia lodu i znaleźliśmy ją dzięki pomysłowości Fita. Pewnego słonecznego poranka, kiedy siedział przed kadłubem, złakniony wody jak wszyscy inni,

zauważył, że słońce topi cienką skorupę lodu, która tworzyła się każdej nocy na śniegu. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Szybko przejrzał stos odłamków, które wyciągnęliśmy na zewnątrz wraka, i pod porwaną tapicerką rozbitego fotela znalazł niewielki prostokątny płat cienkiej blachy aluminiowej. Podgiął jego brzegi, tworząc rodzaju płytkiej miski, i ścisnął jeden z rogów na kształt dzióbka. Potem napełnił miskę śniegiem i ustawił na silnym słońcu. W mgnieniu oka śnieg zaczął topnieć, a równomierna strużka wody popłynęła z dzióbka. Fito zebrał wodę do butelki, a kiedy inni zobaczyli, jak spraw-

100
nie działa to „urządzenie”, zgromadzili więcej płatów aluminium - każdy fotel zawierał po jednym - i przygotowali je w podobny sposób. Marcelo był pod takim wrażeniem tego wynalazku, że wyznaczył grupę chłopców, których głównym zadaniem miało być zapewnianie nam ciągłej dostawy wody. Nie mogliśmy jej otrzymać tyle, ile naprawdę potrzebowaliśmy, a nasze pragnienie nigdy nie było zaspokojone, ale zmyślność Fita zapewniła dość wody, byśmy utrzymali się przy życiu. Nie poddawaliśmy się. Dzięki pomysłowości i współpracy nie pozwoliliśmy się zabić zimnu i pragnieniu, ale niebawem stanęliśmy wobec problemu, którego sama pomysłowość i praca zespołowa nie mogły już rozwiązać. Kurczyły nam się zapasy żywności. Zaczynaliśmy głodować.

W pierwszym okresie naszej próby zbytnio głód nam nie doskwierał. Zimno i doznany wstrząs psychiczny, jak również przygnębienie i lęk, które odczuwaliśmy wszyscy, hamowały apetyt, a ponieważ byliśmy przekonani, że ekipa ratunkowa wkrótce nas odnajdzie, zadowalaliśmy się skąpymi racjami, wydzielanymi przez Marcela. Ale pomoc nie przybywała. Pewnego ranka, pod koniec naszego pierwszego tygodnia w górach, złapałem się na tym, że stoję przed wrakiem samolotu, spoglądając na pojedynczy orzeszek w czekoladzie, który trzymałem w dłoni. Nasze zapasy zostały wyczerpane, była to ostatnia porcja jedzenia, jaką dostałem. Ze smutną, niemal żalną desperacją postanowiłem, że będę się nim długo cieszył. Pierwszego dnia powoli zessałem z wierzchu czekoladę, po czym wrzuciłem go do kieszeni spodni. Drugiego dnia ostrożnie rozdzieliłem połówki orzeszka, jedną włożyłem do kieszeni, a drugą do ust. Ssałem delikatnie całymi godzinami, pozwalając sobie od czasu do czasu tylko na lekkie nadgryzie-nie. Podobnie postąpiłem trzeciego dnia, a kiedy wreszcie zużyłem tak cały orzeszek, nie zostało już nic więcej do jedzenia.

10

Na dużej wysokości zapotrzebowanie kaloryczne organizmu jest ogromne. Andynista wspinający się na którąś z gór otaczających miejsce katastrofy potrzebowałby aż piętnastu tysięcy kilokalorii dziennie, tylko aby zachować masę ciała. Nie wspinaliśmy się, mimo to na takiej wysokości nasze zapotrzebowanie kaloryczne było znacznie większe niż w domu. Od czasu wypadku, jeszcze zanim nasze racje się wyczerpały, nigdy nie otrzymywaliśmy więcej niż kilkaset kalorii dziennie. Teraz nie mieliśmy już nic. Kiedy wchodziliśmy w Montevideo na pokład samolotu, byliśmy krzepkimi i tryskającymi energią młodymi ludźmi - wśród nas było wielu sportowców u szczytu formy. Teraz obserwowałem, jak twarze moich przyjaciół chudną i zapadają się. Ich ruchy stały się ospałe i niepewne, w oczach mieli wyraz otępiatego znużenia. Zaczynaliśmy naprawdę głodować, bez nadziei na znalezienie jedzenia, ale głód stał się wkrótce tak nienasycony, że szukaliśmy, czego się da. Dostaliśmy obsesji na punkcie poszukiwania jedzenia, ale nie kierował nami zwykły apetyt. Kiedy mózg wyczuwa nadejście głodu - to znaczy, gdy dociera do niego, że organizm w celu zdobycia energii zaczyna rozkładać własne tkanki - inicjuje napływ adrenaliny stawiający go w stan alarmu, równie irytujący i potężny, jak impuls zmuszający ścigane zwierzę do ucieczki przed atakującym drapieżcą. Dochodziły do głosu pierwotne instynkty i to właściwie raczej strach niż głód zmuszał nas do tak gorączkowego poszukiwania pokarmu. Raz po raz przeczesywaliśmy wrak samolotu w poszukiwaniu resztek i okruchów. Próbowaliśmy zjadać skórzane paski oderwane od toreb na bagaże, choć wiedzieliśmy, że chemikalia, którymi je nasyciono,

przyniosą nam więcej szkody niż pożytku. Rozrywaliśmy poduszki foteli w nadziei, że znajdziemy tam słomę, ale była tam tylko niejadalna pianka tapicerska. Nawet gdy miałem już całkowitą pewność, że nie znajdziemy ani

102

odrobiny czegoś do zjedzenia, umysł nie znajdował spokoju. Całymi godzinami łamałem sobie głowę, poszukując jakiegoś źródła pokarmu. Może rośnie tu gdzieś jakaś roślina albo są jakieś owady pod kamieniami. Może piloci mieli przekąski w kokpicie. Może coś do jedzenia wyleciało przypadkowo, kiedy wyciągaliśmy fotele z kadłuba. Trzeba by znowu przebrać stertę śmieci. Czy przeszukaliśmy wszystkie kieszenie zmarłych, zanim ich pogrzebano? Wciąż dochodziłem do tego samego wniosku: jeśli nie chcieliśmy zjadać własnych ubrań, nie było tam nic poza aluminium, plastikiem, lodem i skałą. Czasem przerywałem długie milczenie, aby wykrzyknąć swoją frustrację.

- W tym pojebanym samolocie nie ma nic &ojedzenia\ Ale oczywiście na górze było jedzenie - było mięso, całe mnóstwo, i to w zasięgu ręki. Równie blisko, jak ciała zmarłych, leżące poza wrakiem pod cienką warstwą zmrożonego śniegu. Zastanawia mnie, że pomimo kompulsywnego pragnienia znalezienia czegokolwiek jadalnego tak długo ignorowałem oczywistą obecność jedynych jadalnych przedmiotów w promieniu setek kilometrów. Istnieją pewne granice, jak przypuszczam, które umysł ludzki przekracza bardzo powoli, ale kiedy mój przekroczył je ostatecznie, był to impuls tak prymitywny, że stało się to dla mnie wstrząsem. Było późne popołudnie, leżeliśmy we wraku, przygotowując się do nocy. Moje spojrzenie padło na gojącą się powoli ranę na nodze leżącego obok chłopaka. Środek rany był wilgotny i obtarty, pokryty na brzegu skorupą zeschłej krwi. Nie mogłem się oprzeć widokowi tej skorupy, a kiedy dobiegł mnie słaby zapach krwi, poczułem, jak narasta we mnie apetyt. Potem uniosłem wzrok i napotkałem spojrzenie innych chłopaków, którzy także wpatrywali się w tę ranę. Zawstydzeni, odczytaliśmy wzajemnie swoje myśli i szybko odwróciliśmy spojrzenia, ale

03

we mnie doszło do czegoś, czego nie mogłem negować: patrzyłem na ludzkie ciało i instynktownie rozpoznałem w nim pożywienie. Kiedy furтка ta już się otworzyła, nie dało się jej zamknąć, i od tego momentu moje myśli krążyły wokół przysypanych śniegiem zamrożonych zwłok. Wiedziałem, że to nasza jedyna szansa przetrwania, ale tak byłem przerażony tymi myślami, że tłumiłem swoje odczucia. W końcu jednak nie umiałem dłużej milczeć, dlatego pewnej nocy we wraku postanowiłem zwierzyć się Carlitosowi Paezowi, który leżał obok w ciemności.

- Carlitos - szepnąłem - nie śpisz?
- Nie - mruknął. - Kto by spał w tej zamrażarce.
- Głodny jesteś?
- Puta carajo - warknął. - A jak myślisz? Nie jadłem od wielu dni.
- Zagłodzimy się tu - podjąłem. - Nie sądzę, by ratownicy dotarli na czas.
- Tego nie wiesz - odparł Carlitos.
- Wiem to, i ty także - odrzekłem - ale nie umrę tutaj. Wrócę do domu.
- Nadal myślisz o wydostaniu się stąd przez góry? - spytał. - Nando, jesteś za słaby.
- Jestem słaby, bo nie jadłem.
- A co można zrobić? - powiedział. - Nie ma tu jedzenia.
- Jest - odparłem. - Wiesz, co mam na myśli. Carlitos poruszył się w ciemności, ale się nie odezwał.
- Wytnę mięso z pilota - szepnąłem. - To on nas tu wpakował, może pomoże się wydostać.
- Kurwa, Nando - szepnął Carlitos.
- Jest tu mnóstwo jedzenia - powiedziałem - ale trzeba to traktować po prostu jak mięso. Nasi przyjaciele nie potrzebują już swoich ciał.

Carlitos przez chwilę siedział w milczeniu.

- Boże, dopomóż - rzekł cicho. - Myślałem o tym samym...

Przez następne dni Carlitos powtórzył naszą rozmowę kilku innym. Niektórzy, tak jak on, przyznali się do podobnych myśli. Zwłaszcza Roberto, Gustavo i Fito uważali, że to dla nas jedyna szansa ocalenia. Przez kilka dni dyskutowaliśmy

O tym między sobą, potem postanowiliśmy zwołać zebranie

1 postawić sprawę otwarcie. Zgromadziliśmy się wszyscy w kadłubie samolotu. Było późne popołudnie, zaczynało się już ściemniać. Pierwszy odezwał się Roberto.

- Głodujemy - oznajmił po prostu. - Nasze organizmy trawią same siebie. Jeżeli nie zjemy wkrótce jakiegoś białka, umrzemy, a jedyne dostępne tu białko to zwłoki naszych przyjaciół. Kiedy przerwał, zaległa ciężka cisza. Wreszcie ktoś się odezwał.

- Co ty gadasz? - krzyknął. - Mamy jeść zmarłych?

- Nie wiemy, jak długo będziemy tu uwięzieni - podjął Roberto. - Jak nie będziemy jeść, umrzemy. To takie proste. Jeśli chcecie jeszcze zobaczyć wasze rodziny, to właśnie musicie zrobić.

Na twarzach obecnych pojawiło się zdumienie, kiedy dotarło do nich, co tamten ma na myśli.

Liliana powiedziała cicho:

- Nie mogę tego zrobić. Nie potrafiłabym.

- Nie zrobiłabyś tego dla siebie - odparł Gustavo - ale musisz to zrobić dla swoich dzieci.

Musisz przeżyć i wrócić do nich.

- Ale jak to wpłynie na nasze dusze? - zastanawiał się ktoś. - Czy Bóg by to przebaczył?

- Jeśli nie jesz, wybierasz śmierć - odpowiedział Roberto. - Czy Bóg by ci to przebaczył?

Myślę, że chce, byśmy zrobili, co w naszej mocy, żeby przeżyć.

IO5

Postanowiłem zabrać głos.

- Musimy przyjąć, że jest to teraz tylko mięso - powiedziałem. - Dusze odeszły. Jeśli pomoc jest w drodze, musimy zyskać na czasie, inaczej będziemy martwi, gdy nas odnajdą.

- A jeśli mamy wydostać się stąd na własną rękę - dodał Roberto - musimy mieć siłę, inaczej umrzemy na zboczach.

- Fito ma rację - oznajmiłem - a jeśli ciała naszych przyjaciół pomogą nam przeżyć, to nie zginęli na próżno.

Dyskusja ciągnęła się przez całe popołudnie. Wielu z nas -między innymi Liliana, Javier, Numa Turcatti i Coche Inciarte - w ogóle nie brali pod uwagę jedzenia ludzkiego mięsa, ale nikt nie próbował wyperswadować tego pozostałym. Bez słów zdaliśmy sobie sprawę, że osiągnęliśmy konsensus. Teraz trzeba było uporać się z makabryczną logistyką.

- Jak to zrobimy? - zapytał ktoś. - Kto ma dość odwagi, by pokroić ciało przyjaciela?

We wraku panowała teraz ciemność. Widziałem tylko słabo oświetlone sylwetki, ale po długiej chwili milczenia ktoś się odezwał. Poznałem głos Roberta.

- Ja to zrobię - powiedział. Gustavo wstał z miejsca i rzekł cicho:

- Ja pomogę.

- Ale kogo pociąć najpierw? - spytał Fito. - Jak mamy wybierać?

Wszyscy spojrzeliśmy na Roberta.

- Zajmiemy się tym z Gustavem - odparł. Wstał Fito.

- Pójdę z wami - oświadczył.

- Ja też pomogę - odezwał się Daniel Maspons.

Przez chwilę nikt się nie ruszał, potem wszyscy połączyliśmy dłonie we wspólnym uścisku, przysięgając, że gdyby któryś z nas tu zmarł, to reszta ma prawo wykorzystać jego ciało jako

OO

pożywienie. Potem wstał Roberto i pogrzebał we wraku, aż znalazł kilka kawałków szkła, po czym wyprowadził trójkę pomocników na groby. Słyszałem, jak rozmawiają cicho podczas pracy, ale nie miałem ochoty ich obserwować. Kiedy wrócili, mieli w rękach małe kawałki mięsa. Gustavo podał mi jeden. Przyjąłem. Było białoszare, twarde jak drewno i bardzo zimne. Przypomniałem sobie, że nie jest to już część istoty ludzkiej; dusza opuściła już ciało. Mimo to wolno podnosiłem to do ust. Unikałem cudzych spojrzeń, ale kątem oka widziałem innych wokół mnie. Jedni siedzieli jak ja z kawałkiem mięsa w ręku, szukając odwagi, by zacząć jeść. Inni poruszali już ponuro szczękami. W końcu zebrałem się w sobie i wsunąłem mięso do ust. Było bezsmaku. Pogryzłem je kilka razy, po czym zmusiłem się do przełknięcia. Nie czułem wstydu ani wyrzutów sumienia. Robiłem, co musiałem, żeby przeżyć. Rozumiałem siłę tabu, które właśnie przełamaliśmy, ale jeśli w ogóle odczuwałem jakieś silne emocje, to była to uraza, że los kazał nam wybierać między tą okropnością a horrorem pewnej śmierci.

Zjedzenie mięsa nie nasyciło mego głodu, ale uspokoiło umysł. Wiedziałem, że mój organizm wykorzysta to białko, by się wzmocnić i spowolnić proces głodzenia. Tamtej nocy, po raz pierwszy od katastrofy, poczułem iskierkę nadziei. Zmierzyliśmy się z naszą nową, ponurą rzeczywistością, i stwierdziliśmy, że mamy siłę stawić czoło niewyobrażalnej okropności. Nasza odwaga dała nam pewne, choć niewielkie poczucie kontroli nad okolicznościami i pozwoliła zyskać cenny czas. Nie mieliśmy już złudzeń, wszyscy wiedzieliśmy, że walka o przetrwanie będzie bardziej wstrętna i wstrząsająca, niż sobie wyobrażaliśmy, ale miałem wrażenie, że jako grupa zadeklarowaliśmy tej górze, że się nie poddamy, ja sam natomiast wiedziałem, że w ten smutny sposób uczyniłem pierwszy krok na drodze powrotu do ojca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Porzuceni

lazajutrz, jedenastego dnia naszego pobytu na górze, I stałem na dworze, oparty o aluminiowe poszycie fair-childa. Był pogodny poranek, około wpół do ósmej, wygrzewałem się w pierwszych promieniach słońca, które właśnie wstało nad górami na wschodzie. Byli ze mną Marcelo i Coco Nicholich, a także Roy Harley, wysoki, szybki napastnik flankowy Starych Chrześcijan. Jako osiemna-stolatek Roy należał do najmłodszych pasażerów samolotu. Poza tym najlepiej znał się na elektronice, pomagał kiedyś kuzynowi zainstalować w domu skomplikowany system stereo. Tuż po katastrofie znalazł wśród śmieci w kadłubie nieco zdezelowane radio tranzystorowe, pomajstrował przy nim trochę i przywrócił do życia. Wśród skalistej Kordyliery odbiór był bardzo marny, ale Roy dorobił antenę z kabli elektrycznych, które oderwał z samolotu, i przy pewnym wysiłku udało nam się nastawić je na stacje chilijskie. Codziennie wczesnym rankiem Marcelo budził Roya i wyprowadzał go na lodowiec, gdzie sam ustawiał antenę, a Roy regulował pokrętło skali. Mieli nadzieję, że usłyszą jakieś wieści o postępie akcji ratunkowej, ale jak dotąd udało im się podsłuchać wyniki rozgrywek piłki nożnej, prognozę pogody i propagandę polityczną ze stacji kontrolowanych przez rząd chilijski.

108

M

Tego poranka, jak we wszystkie inne, sygnał nasilał się i zanikał, ale nawet kiedy odbiór był najlepszy, głośniczek radia trzeszczał od zakłóceń. Roy oszczędzał baterie, dlatego po kilku minutach kręcenia przy skali już miał wyłączyć radio, gdy przez całe to buczenie i trzaskanie usłyszeliśmy głos spikera odczytującego wiadomości. Nie pamiętam dokładnie, jakich słów użył, ale nigdy nie zapomnę brzękliwego brzmienia i jego beznamiętnego tonu, kiedy oznajmiał:

Po dziesięciu dniach bezowocnych działań władze chilijskie odwołały poszukiwania zaginionego urugwajskiego samolotu czarterowego, który 13 października zaginał nad Andami. Działania w Andach są zbyt niebezpieczne, a po tak długim czasie spędzonym w lodowatych górach nie ma szans na to, by ktokolwiek przeżył.

Po chwili milczącego osłupienia Roy krzyknął z niedowierzaniem i zaczął szlochać.

- Co? - zawołał Marcelo. - Co on powiedział?

- Ellos han suspendido la busqueda! - wrzasnął Roy. - Odwołali poszukiwania! Zostawili nas!

Przez kilka sekund Marcelo wpatrywał się w Roya z wyrazem irytacji na twarzy, jakby tamten coś bredził, ale gdy dotarły do niego w końcu jego słowa, opadł na kolana i wydał z siebie bolesny skowyt, który odbił się echem w Kordylierze. Zataczając się pod wpływem wstrząsu, obserwowałem reakcje moich przyjaciół w milczeniu i bez zaangażowania, co jakiś obserwator mógłby mylnie wziąć za opanowanie, ale w rzeczywistości rozpadałem się wewnętrznie na kawałki, jakby wszystkie klaustrofobiczne lęki, które starałem się opanować, wymknęły się teraz spod kontroli, niczym wezbrane

mg

wody przez skruszoną zapórę. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się na krawędzi hysterii.

Błagałem Boga, krzyczałem do mego ojca. Kierowany silniejszym niż kiedykolwiek zwierzęcym impulsem, żeby pognać na oślep w Kordylierę, obsesyjnie lustrowałem horyzont, jakbym po dziesięciu dniach pobytu na górze mógł nagle dostrzec tam drogę ucieczki, którą wcześniej przeoczyłem. Potem powoli zwróciłem się na zachód, w stronę wysokich grzbietów, które oddzielały mnie od domu. Z nową wyrazistością ujrzałem straszliwą moc tych gór. Jakąż głupotą było myśleć, że taki niedoświadczony chłopak jak ja mógł pokonać te bezlitosne zbocza. Rzeczywistość pokazała mi teraz zęby, zrozumiałem, że wszystkie te marzenia o wspinaczce to tylko fantazja, która ożywiała moje nadzieje. Kierowany przerażeniem i sprzeciwem, wiedziałem, co dalej robić - pobiegnę do głębokiej szczeliny i rzucę się w jej otchłań. Niech te skały roztrzaskają wszelkie życie, i lęk, i cierpienie mego ciała. Ale nawet gdy w duchu widziałem, jak lecę w ciszę i spokój, mój wzrok spoczywał na zachodnich grzbietach, szacując odległości i próbując wyobrazić sobie stromość zboczy, a chłodny głos rozumu szeptał mi do ucha: „Ta szara linia skał może dać oparcie stopom... Pod tamtym występem tuż pod szczytem może być jakieś schronienie...”.

Był to w gruncie rzeczy rodzaj szaleństwa, czepianie się nadziei ucieczki, choć wiedziałem, że to niemożliwe, ale ten wewnętrzny głos nie dawał mi wyboru. Rzucenie wyzwania tym górom to jedyna przyszłość, jaką dopuszczało to miejsce, dlatego z poczuciem ponurej desperacji, która była teraz jeszcze zaciekłej zakorzeniona niż kiedykolwiek przedtem, zaakceptowałem w sercu tę prostą prawdę, że nie zaprzestanę walki o to, by opuścić to miejsce, pewien, że wysiłek mnie zabije, ale szaleńczo zdeterminowany, by podjąć wspinaczkę.

/ 10

r

Jakiś przestraszony głos zwrócił teraz moją uwagę. Był to Coco Nicolich, stojący obok.

- Nando - wyjąkał - proszę, powiedz, że to nieprawda!

- To prawda - syknąłem. - Carajo. Już po nas.

- Oni nas dobijają! - krzyknął Nicolich. - Zostawiają nas tu na śmierć!

- Muszę stąd odejść, Coco - rzuciłem cicho. - Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej!

Nicolich wskazał ruchem głowy nasz wrak.

- Inni nas słyszeli - powiedział. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak kilku naszych przyjaciół wyłania się z samolotu.

- Co nowego? - krzyknął ktoś. - Zauważyli nas?

- Musimy im powiedzieć - szepnął Nicolich. Spojrzeliśmy obaj na Marcela, który siedział pochylony na śniegu.

- Nie mogę im tego zrobić - wymamrotał. - Nie zniosą tego. Pozostali podeszli teraz bliżej.
- Co jest grane? - spytał ktoś. - Co słyszeliście?

Chciałem się odezwać, ale słowa uwięzły mi w gardle. Wtedy Nicolich wystąpił naprzód i powiedział zdecydowanie, mimo własnego lęku:

- Wejdźmy do środka, wszystko wyjaśnię.

Wszyscy poszliśmy za nim do kadłuba i stanęliśmy wokół niego.

- Słuchajcie, chłopaki - zaczął - słyszeliśmy pewne rzeczy. Przestali nas szukać.

Jego słowa oszołomiły ich. Jedni klęli, inni zaczęli płakać, ale większość po prostu wpatrywała się weń z niedowierzaniem.

- Ale nie martwcie się - podjął Coco - to są dobre wieści.

- Oszalałeś? - krzyknął ktoś. - Przecież to znaczy, że utknijemy tu na zawsze!

Wyczuwałem, że w grupie wzbiera panika, ale Coco nie tracił głowy.

- Musimy zachować spokój - podjął. - Teraz wiemy, co trzeba robić. Musimy polegać na sobie. Nie ma powodu dłużej zwlekać. Możemy zacząć planować, jak się stąd wydostać o własnych siłach.

- Mam pewne plany - warknąłem. - Odchodzę stąd już te-raz\ Nie zamierzam tu umierać!

- Uspokój się, Nando - powiedział Gustavo.

- Nie, kurwa. Nie uspokoję się! Dajcie mi na drogę trochę mięsa. Niech mi ktoś pożyczy drugą kurtkę. Kto idzie ze mną? Pójdę sam, jak będzie trzeba. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej!

Gustavo ujął mnie za ramię.

- Mówisz bez sensu - oznajmił.

- Nie, nie, zrobię to! - upierałem się. - Wiem, że mogę to zrobić. Wydostanę się stąd, wezwę pomoc... ale muszę iść teraz!

- Jeśli teraz pójdziesz, zginiesz - odparł Gustavo.

- I tak już nie żyję, jeśli tu zostanę! - powiedziałem. - Tu jest nasz cmentarz! Śmierć dotyka tu wszystkiego. Nie rozumiecie? Czuję na sobie jej dotyk! Wyczuwam jej pierdolony oddech!

- Nando, zamknij się i posłuchaj! - krzyknął Gustavo. - Nie masz zimowego ubrania, nie masz doświadczenia we wspinaczce, jesteś słaby, nie wiemy nawet, gdzie się znajdujemy.

Pójście teraz byłoby samobójstwem. Jeden dzień w tych górach cię zabije.

- Gustavo ma rację - rzekł Numa. - Nie jesteś jeszcze dość silny. Głowę masz wciąż pękniętą jak jajko. Zmarnujesz swoje życie.

- Musimy iść! - krzyknąłem. - Wydali na nas wyrok śmierci! Masz zamiar czekać tu po prostu na śmierć?

/ 12

Przetrząsałem na oślep kadłub fairchilda, szukając czegokolwiek - rękawiczek, koców, skarpet - co mogłoby się przydać podczas marszu, wtedy Marcelo odezwał się do mnie łagodnie.

- Cokolwiek robisz, Nando - powiedział - musisz brać pod uwagę dobro innych. Bądź rozsądny. Nie niszcź się. Nadal stanowimy zespół i potrzebujemy cię.

Głos Marcela był opanowany, ale dźwięczał w nim teraz jakiś smutek, poczucie bolesnej rezygnacji. Coś się w nim załamało, kiedy usłyszał, że odwołano poszukiwania. Wydawało się, że w parę chwil stracił siłę i pewność siebie, które czyniły zeń tak niezawodnego przywódcę. Kiedy stał teraz oparty o ścianę kabiny pasażerów, wydawał się mniejszy, poszarzały, wiedziałem, że szybko poddaje się rozpacz. Ale nadal darzyłem go głębokim szacunkiem i nie mogłem odmówić mu racji, dlatego skinąłem na znak zgody i przysiadłem obok innych na podłodze wraka.

- Wszyscy musimy zachować spokój - rzekł Gustavo - ale Nando ma słuszość. Umrzemy, jeśli tu zostaniemy, zatem prędzej czy później trzeba będzie podjąć wspinaczkę. Ale musimy to zrobić w sposób jak najbardziej przemyślany. Musimy wiedzieć, na co się porywamy. Niech kilku chłopaków pójdzie dziś w górę. Może się dowiemy, co jest za tymi szczytami.
- Niezły pomysł - rzucił Fito. - Po drodze poszukamy tylnej części kadłuba. Mogą tam być jedzenie i ciepłe ubrania. A jeśli Roque ma rację, także baterie do radia.
- Dobra - odezwał się Zerbino. - Ja pójdę. Jeśli szybko wyruszymy, możemy wrócić przed zachodem. Kto idzie ze mną?
- Ja - powiedział Numa, który miał już za sobą pierwszą próbę zdobycia zboczy od zachodu.
- Ja też - zgłosił się Daniel Maspons, napastnik flankowy drużyny Starych Chrześcijan i przyjaciel Coca.

/ 13

- Dobra - skwitował Gustavo. - Weźmiemy najcieplejsze ubrania i wyruszamy. Teraz, gdy znamy już sytuację, nie ma czasu do stracenia. Przygotowanie wyprawy zajęło Zerbinowi niespełna godzinę. Każdy z uczestników miał nałożyć parę wymyślonych przez Fita rakiet śnieżnych z poduszek od foteli oraz okulary słoneczne, które wykonał Eduardo, kuzyn Fita, wycinając „szkła” ze znalezionych w kokpicie osłon przeciwsłonecznych z przyciemnionego plastiku i łącząc je miedzianym drutem. Rakiety miały zapobiegać zapadaniu się w miękkim śniegu, a okulary chronić oczy przed intensywnym odbłaskiem słońca na ośnieżonych zboczach. Poza tym wspinacze byli marnie wyposażeni. Ubrani byli w swetry nałożone na lekkie bawełniane koszule oraz cienkie letnie spodnie. Na nogach wszyscy mieli lekkie mokasyny. Inni musieliby wyruszyć w płóciennych tenisówkach. Żaden nie nosił rękawiczek, nie mieli też kocy, ale dzień był pogodny, wiał tylko lekki wiatr, a jasne słońce grało na tyle, że górskie powietrze było do zniesienia. Jeśli wspinacze zgodnie z planem wrócą do fairchilda przed zmrokiem, mróz nie będzie zagrożeniem.

- Módlcie się za nas - poprosił Gustavo, kiedy wyruszali.

Potem obserwowaliśmy, jak cała trójka kroczy przez lodowiec w stronę wysokich szczytów na zachodzie, posuwając się wzdłuż bruzdy wyoranej w śniegu przez kadłub fairchilda. W miarę jak oddalali się po zboczu, powoli nabierając wysokości, ich postacie robiły się coraz mniejsze, aż stały się trzema punkcikami, sunącymi po białej ścianie góry. Podczas tej wspinaczki wydawali się mali i krusi niczym trzy komary, a mój szacunek dla ich odwagi był bezgraniczny.

Przez cały ranek obserwowaliśmy, jak się wspinają, aż zniknęli nam z pola widzenia, potem czuwaliśmy do późnego popołudnia, przeczesując wzrokiem zbocza w poszukiwaniu jakichś oznak ruchu. Zaczęło się już ściemniać, ale nadal nie było ich widać. Potem zapadł zmrok, a przejmujące zimno zagnało nas z powrotem pod osłonę wraku. Tamtej nocy silne wiatry uderzały o kadłub fairchilda, wciskając wszystkimi szczelinami strumienie śniegu. Kiedy kuliliśmy się, dygocząc, w naszej ciasnej kwaterze, myślami byliśmy z naszymi przyjaciółmi na otwartych zboczach. Modliliśmy się żarliwie za ich bezpieczny powrót, ale trudno było nie tracić nadziei. Próbowałem wyobrazić sobie ich cierpienie, uwięzionych na odkrytym terenie w cienkich ubraniach, bez żadnej osłony przed zabójczym wiatrem. Wszyscy wiedzieliśmy teraz doskonale, jak wygląda śmierć, i łatwo mi było sobie wyobrazić, jak moi przyjaciele leżą sztywni na śniegu. Widziałem ich w duchu, tak jak ciała na miejscu pochówku obok wraku samolotu - ta sama woskowata, sinawa bladość skóry, martwe, zeszywniałe twarze, skorupa szronu na brwiach i wargach pogrubiająca szczękę, pobielająca włosy.

Widziałem ich, jak leżą bez ruchu w ciemności, następnych trzech przyjaciół, którzy stali się teraz tylko zamarzniętymi przedmiotami. Ale gdzie dokładnie upadli? Kwestia ta zaczynała mnie fascynować. Każdy odnalazł dokładnie swój czas i miejsce śmierci. A kiedy przyjdzie mój

czas? Gdzie było moje miejsce? Czy istniało w tych górach miejsce, gdzie padnę ostatecznie i pozostanę, zamrożony na zawsze, jak wszyscy inni? Czy było takie miejsce dla każdego z nas? Czy takie było nasze przeznaczenie - spocząć gdzieś na tej bezimiennej ziemi? Moja matka i siostra przy miejscu katastrofy, Zerbino i inni na zboczach, a reszta tam, gdzie dopadnie ich śmierć? A jeśli okaże się, że ucieczka jest niemożliwa? - zastanawiałem się. Czy mamy tu tkwić i czekać na śmierć? A skoro tak, to jakie będzie życie ostatnich ocalałych, albo co gorsza, ostatniego z nich? A jeśli tym ostatnim będę ja? Jak długo pozostanę przy zdrowych zmysłach, siedząc nocą samotnie we wraku samolotu, mając za towarzystwo jedynie widma, słysząc tylko ciągle zawodzenie wiatru? Próbowałem uciszyć te myśli, przyłączając się do wspólnej modlitwy za wspinających się, ale w głębi duszy nie miałem pewności, czy modłę się za ich bezpieczny powrót, czy po prostu za zbawienie ich dusz, dusz nas wszystkich, bo wiedziałem, że nawet gdy leżymy we względnie bezpiecznym schronieniu kadłuba, śmierć jest coraz bliżej. To tylko kwestia czasu, powtarzałem sobie, a może tamtym na zboczu poszczęściło się w nocy, bo dla nich oczekiwanie dobiegło końca?

- Może znaleźli jakieś schronienie? - rzucił ktoś.
 - Na tej górze nie ma żadnego schronienia - odparł Roberto.
 - Ale wyście poszli i przeżyliście - zauważył ktoś.
 - Wspinaliśmy się za dnia, a mimo to było ciężko - odparł Roberto. - W nocy tam na górze musi być o dwadzieścia stopni zimniej.
 - Są silni - odpowiedział ktoś. Inni przytaknęli i przez szacunek trzymali język za zębami. Wtedy przerwał milczenie Marcelo, który nie odzywał się od wielu godzin.
 - To moja wina - stwierdził cicho. - Zabiłem was wszystkich.
- Wszyscy widzieliśmy jego przygnębienie, spodziewaliśmy się, że to nastąpi...
- Nie myśl tak, Marcelo - rzekł Fito. - Wszyscy dzielimy tu wspólny los. Nikt cię nie obwinia.

- Ja wyczarterowałem ten samolot! - warknął tamten.
- Wynająłem pilotów! Zaplanowałem mecze i namówiłem was na tę podróż.
- Nie namawiałeś mojej matki i siostry - zauważyłem.
- Ja to zrobiłem, a teraz obie nie żyją. Ale nie mogę brać za to odpowiedzialności. To nie nasza wina, że samolot spada w locie...
- Każdy z nas dokonał pewnych wyborów - zauważył ktoś.
- Jesteś dobrym kapitanem, Marcelo, nie trać ducha.

Ale Marcelo tracił ducha, i to bardzo szybko. Przykro mi było widzieć go tak przygnębnym. Zawsze był dla mnie bohaterem. Gdy chodziłem do podstawówki, był już wyróżniającym się rugbystą w Stella Maris i uwielbiałem patrzeć, jak gra. Na boisku był zawsze władczy i pełen entuzjazmu, zachwycały mnie radość i pewność siebie, z jakimi rozgrywał mecze. Wiele lat później, gdy zacząłem grać w drużynie Starych Chrześcijan, mój szacunek dla jego uzdolnień sportowych tylko się pogłębił. Ale respekt budziła nie tylko sprawność w grze. Marcelo, podobnie jak Arturo, był inny niż my, dojrzalszy, bardziej pryncypialny. Był żarliwym katolikiem, stosował się do wszystkich nauk Kościoła i starał się żyć jak najcnotliwiej. Nie był wcale zadufany w sobie, w gruncie rzeczy należał do najskromniejszych facetów w zespole. Ale wiedział, w co wierzy, i czasem, korzystając z tego samego autorytetu i spokojnej charyzmy, dzięki którym sprawiał, że stawaliśmy się lepszymi członkami zespołu, nakłaniał nas do bycia lepszymi ludźmi. Wciąż, na przykład, beszał Panchita i mnie za naszą niespokojną obsesję na punkcie płci przeciwnej.

- Życie to nie tylko uganianie się za dziewczynami - mówił nam z kwaśnym uśmiechem. - Wy dwaj musicie trochę dorosnąć i spojrzeć na wszystko poważniej.
- Marcelo ślubował, że pozostanie czysty aż do małżeństwa, i wielu chłopaków nabijało się z niego. Zwłaszcza Panchito uważał, że to śmieszne - żadnych kobiet aż do ślubu? Dla Panchita

było to nakłanianie ryby, by nie pływała. Marcelo jednak nie przejmował się docinkami, a zawsze imponowała

/ n

mi jego powaga i szacunek do siebie. Pod wieloma względami bardzo się różnił od Artura, żarliwego socjalista o heretyckich poglądach na religię, ale podobnie jak tamten, zdawał się dobrze znać własny umysł. Gruntownie przemyślał wszystkie zasadnicze kwestie życiowe i jasno widział, na czym stoi. Dla Marcela świat był miejscem uporządkowanym, strzeżonym przez mądrego i kochającego Boga, który obiecał nam opiekę. Naszym zadaniem było przestrzeganie jego przykazań, przyjmowanie sakramentów, kochanie Boga i kochanie bliźnich, jak nauczał Chrystus. To była mądrość, która tworzyła fundamenty jego życia i kształtowała jego charakter. Stanowiła też źródło wielkiej pewności siebie na boisku, operatywności jako kapitana zespołu i charyzmy, dzięki której był tak silnym przywódcą. Łatwo iść za człowiekiem, który nie ma wątpliwości. Zawsze darzyliśmy Marcela pełnym zaufaniem. Jak mógł sobie pozwolić na wahania teraz, kiedy najbardziej go potrzebowaliśmy? Może, myślałem, nigdy nie był tak silny, jak się wydawało. I wtedy zrozumiałem: Marcelo załamał się nie dlatego, że jego umysł był słaby, ale ponieważ był zbyt silny. Jego wiara w nadejście pomocy była absolutna i niezłomna: „Bóg nas nie opuści. Władze nie pozwolą nam tu umrzeć”.

Usłyszawszy wiadomość o odwołaniu poszukiwań, Marcelo musiał się poczuć, jakby stracił grunt pod nogami. Bóg odwrócił się od niego, jego świat zawalił się i wszystko, co czyniło z Marcela tak wielkiego przywódcę - pewność siebie, zdecydowanie, niewzruszona wiara we własne przekonania i decyzje - nie pozwalało mu teraz dojść do siebie po tym ciosie i odzyskać równowagi. Jego pewność, która tak dobrze służyła mu w zwyczajnym świecie, pozbawiła go równowagi i elastyczności potrzebnych, aby dostosować się do nowych, dziwnych reguł, według których walczyliśmy teraz o życie.

8

Kiedy podstawowe reguły uległy zmianie, Marcelo trzasnął jak szkło. Patrząc, jak szłoch cicho w ciemności, zrozumiałem nagle, że w tym okropnym miejscu nadmiar pewności siebie może zabić; zwykłe, cywilizowane myślenie może nas kosztować życie. Przysięgłem sobie, że nigdy nie będę udawał, że rozumiem te góry. Nie wpadnę w potrzask własnych oczekiwań. Nie będę udawał, że wiem, co się dalej zdarzy. Reguły gry były tu tak dzikie i niesamowite, a wiedziałem, że nawet nie potrafię wyobrazić sobie trudności, komplikacji i okropności, które mogą nas jeszcze czekać. Nauczę się więc żyć w stanie ciągłej niepewności, chwila za chwilą, krok za krokiem. Będę żył, jakbym już nie żył. Nie mam nic do stracenia, nic mnie nie może zaskoczyć, nic nie powstrzyma mnie przed walką, lęki nie przeszkodzą mi słuchać instynktów i żadne ryzyko nie będzie zbyt duże.

Wiatr szalał przez całą noc i mało kto z nas spał, ale w końcu nadszedł poranek. Jeden po drugim strząsaliśmy szron z twarzy, wsuwaliśmy stopy w zmarznięte buty i z trudem stawaliśmy na nogi. Potem zebraliśmy się przed samolotem i zaczęliśmy lustrować góry w poszukiwaniu śladów zaginionych przyjaciół. Niebo było pogodne, słońce grzało już powietrze, a wiatr przycichł do lekkiej bryzy. Widoczność była całkiem niezła, ale mimo wielogodzinnego wypatrywania nie dojrzelśmy żadnych ruchów na zboczach. A potem, późnym przedpołudniem, rozległ się czyjś krzyk.

- Coś tam się rusza! Tam, ponad tym grzbieciem!

- Ja też widzę! - zawtórował ktoś.

Wbiłem wzrok w górę i wreszcie dojrzałem to, co oni - trzy czarne punkciki na śniegu.

- To są skały - mruknął jakiś głos.

i ig

- Nie było ich tam wcześniej...

- Przywidziało wam się - rzekł ktoś z westchnieniem.

- Popatrz tylko. Ruszają się.

Nieco niżej na zboczu znajdował się ciemny występ skalny. Wykorzystując go jako punkt odniesienia, przypatrywałem się plamkom. Z początku byłem pewien, że są nieruchome, ale po kilku minutach stało się jasne, że przybliżyły się do skały. To prawda!

- To oni! Ruszają się!

- Puta carajo! Oni żyją!

Z miejsca poprawiły nam się humory, poklepywaliśmy się i poszturchiwaliśmy wzajemnie ze szczęścia.

- Vamos, Gustavo!

- Dawaj, Numa! Dawaj, Daniel!

- Dalej, skurczybyki! Dacie radę!

Zejście ze zbocza i przebycie lodowca zajęło tamtej trójce dwie godziny, przez cały ten czas wykrzykiwaliśmy słowa zachęty, ciesząc się, jakby nasi przyjaciele wrócili ze świata zmarłych. Celebracje ustały jednak nagle, kiedy zbliżyli się na tyle, że widać było, w jakim są stanie. Szli przygarbieni i zmaltretowani, zbyt słabi, by unosić stopy nad śnieg, kiedy wlekli się ku nam, opierając się o siebie wzajemnie. Gustavo mrużył oczy i wyciągał przed siebie rękę, jakby oślepl, a wszyscy trzej wydawali się tak zmęczeni i chwiejni, że miałem wrażenie, jakby najłżejszy podmuch mógł ich zbić z nóg. Najgorszy jednak był wyraz ich twarzy.

Wyglądali, jakby w ciągu jednej nocy postarzeliby się o dwadzieścia lat, jakby góra pozbawiła ich ciała młodości i wigoru, a w ich oczach dojrzałem coś, czego wcześniej tam nie było - niepokojącą kombinację strachu i rezygnacji, jaka maluje się czasem na twarzy bardzo starych ludzi. Popędziliśmy im na spotkanie, pomogliśmy wejść do samolotu i podłożyliśmy poduszki, by się położyli.

20

||

Roberto bezzwłocznie ich zbadał. Stopy mieli prawie zamrożone. Potem zauważył lzy płynące z zaczerwienionych oczu Gustava.

- To od śniegu - wyjaśnił tamten. - Było takie silne słońce...

- Nie używałeś okularów słonecznych? - spytał Roberto.

- Połamały się - odparł Gustavo. - Czuję się, jakbym miał piasek w oczach. Chyba ośleplęm. Roberto wpuścił mu do oczu jakieś krople - znalazł wcześniej w jednej z walizek coś, co mogło złagodzić podrażnienie - i owinał mu głowę podkoszulkiem, żeby osłonić urażone oczy przed światłem. Potem kazał pozostałym na zmianę rozcierać zamrożone stopy uczestników wyprawy. Ktoś przyniósł im wielkie porcje mięsa. Postanowiliśmy rozpalić ognisko i upiec je, choć nasze zapasy cennego drewna były niewielkie. Byli wygłodniali jak wilki. Po krótkim odpoczynku zaczęli opowiadać o wspinaczce.

- Ta góra jest taka stroma - zaczął Gustavo. - Miejscami przypomina to wchodzenie po ścianie. Trzeba chwytać śnieg przed sobą, żeby się podciągnąć...

- A powietrze jest rozrzedzone - podjął Maspons. - Dyszysz, serce ci wali. Robisz pięć kroków, a czujesz się, jakbyś przebiegł kilometr.

- Czemu nie wróciliście przed nocą? - zapytałem.

- Wspinaliśmy się przez cały dzień, a dotarliśmy ledwie do połowy zbocza - tłumaczył Gustavo. - Nie chcieliśmy wracać i powiedzieć wam, że zawaliliśmy sprawę. Chcieliśmy zobaczyć, co jest za tymi górami, przynieść dobre wieści. Postanowiliśmy więc poszukać na noc schronienia, a rano podjąć wspinaczkę.

Opowiedzieli, jak znaleźli płaskie miejsce w pobliżu skalnego występu. Wzniesli krótką ściankę z leżących wokół dużych kamieni i skulili się za nią w nadziei, że w nocy osłoni

121

ich od wiatru. Po tylu nocach marznięcia we wraku nie sądzili, by chtëd mógł być bardziej dokuczliwy. Szybko zrozumieli swój błąd.

- Na tych zboczach panuje niewyobrażalny mróz - tłumaczył Gustavo. - Wydziera z człowieka życie. Pali jak ogień. Nie wierzyłem, że dożyjemy do rana. Opowiedzieli, jak straszliwie cierpieli w lekkich ubraniach, uderzając się wzajemnie pięściami po rękach i nogach, żeby podtrzymać krążenie krwi, i leżąc blisko siebie dla zachowania ciepła. Czas włókł się niemiłosiernie, a oni byli pewni, że decyzję pozostania na górze przypłaca życiem, ale jakimś cudem dotrwali do świtu, kiedy nareszcie poczuli, jak pierwsze promienie słońca grzeją zbocza. Zdumieni, że jeszcze żyją, pozwolili zmarzniętym ciałom tajać na słońcu, po czym wrócili na stok i podjęli wspinaczkę.

- Znaleźliście ogon? - spytał Fito.

- Znaleźliśmy tylko szczątki samolotu i trochę bagażu - odparł Gustavo. Potem opowiedział, jak trafili na ciała wszystkich tych, którzy wypadli z fairchilda, wielu jeszcze przypiętych pasami do foteli.

- Zabraliśmy im te rzeczy - rzekł, wyciągając kilka zegarków, portfeli, medalików i innych osobistych drobiazgów.

- Te ciała leżały bardzo wysoko na zboczu - wyjaśnił Gustavo - ale byliśmy jeszcze daleko od szczytu. Zabrakło nam sił, żeby pisać się wyżej, a nie chcieliśmy tam utknąć na kolejną noc.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy w kadłubie samolotu trochę się uspokoiło, poszedłem do Gustava.

- Co tam było na górze? - zapytałem. - Widzieliście, co jest za tymi szczytami? Jaką zielen? Pokręcił, znużony, głową.

- Szczyty są za wysokie. Nie widać daleko.

22

- Ale przecież musieliście coś widzieć... Wzruszył ramionami.

- Widziałem między dwoma szczytami, w oddali...

- Co widziałeś?

- Sam nie wiem, Nando, coś żółtawego, burawego, trudno powiedzieć, ką był bardzo ostry. Ale jedno powinieneś wiedzieć: jak byliśmy wysoko na stoku, spojrzałem z góry na miejsce wypadku. Fairchild to mała plamka na śniegu. Nie sposób odróżnić go od skały czy cienia. Nie ma nadziei, żeby pilot zauważył go z samolotu. Nie było żadnych szans, że zostaniemy uratowani.

Wiadomość o odwołaniu poszukiwań przekonała nawet największych optymistów, że jesteśmy zdani na własne siły, a jedyną szansą przeżycia jest teraz działanie na własną rękę. Ale niepowodzenie misji Gustava zniechęciło nas, a z biegiem dni nasze samopoczucie pogorszyło się jeszcze, kiedy Marcelo, zrozpaczony i wątpiący we własne siły, w milczeniu zrezygnował z roli lidera. Nie było nikogo, kto zająłby jego miejsce. Gustavo, od pierwszych chwil po wypadku wyróżniający się odwagą i pomysłowością, wyczerpany po wyprawie na górę nie mógł odzyskać sił. Roberto był nadal silny, nabraliśmy zaufania do jego bystrości i żywej wyobraźni, ale był to niezwykle uparty młody człowiek, nazbyt drażliwy i wojowniczy, by wzbudzić zaufanie, jakie mieliśmy do Marcela. Jako że nie wyłonił się żaden silny lider, pojawił się swobodniejszy, mniej formalny styl przywództwa. Tworzyły się sojusze, oparte na wcześniejszych przyjaźniach, zbliżonych temperamentach i wspólnych zainteresowaniach. Najsilniejszy utworzyli Fito i jego kuzyni Eduardo Strauch i Daniel Fernandez. Wśród nich Fito był najmłodszy i najbardziej znaczący. Był spokojnym

123

chłopcem i początkowo sądziłem, że jest wręcz chorobliwie nieśmiały, ale wkrótce okazał się błyskotliwy i trzeźwo myślący, a ponieważ doskonale rozumiał, jak niewielkie mamy szansę, wiedziałem, że zamierza walczyć z całym światem o przetrwanie nas wszystkich. Cała trójka kuzynów pozostawała w bardzo zażyłych stosunkach, a ponieważ Daniel i Eduardo zawsze szli za przykładem Fita, stanowili siłę jednoczącą, mającą spory wpływ przy podejmowaniu

wszelkich decyzji. Było to dobre dla nas wszystkich. „Kuzyni”, jak ich nazywaliśmy, tworzyli jakby silne, stabilne centrum, które zapobiegało rozpadowi grupy na frakcje, chroniąc nas przed wszystkimi konfliktami i zamieszaniem, jakie mogło to spowodować. Potrafili też przekonać większość ocalałych, że nasze życie jest teraz w naszych rękach i każde z nas musi robić wszystko, co możliwe, aby przetrwać. Idąc za tą radą i ustępując przed błaganiami Javiera, Liliana zaczęła w końcu jeść. Pozostali oporni - Numa, Coche i inni - poszli kolejno za jej przykładem, mówiąc sobie, że czerpanie energii do życia z ciał zmarłych przyjaciół przypomina czerpanie siły duchowej z ciała Chrystusa podczas przyjmowania komunii. Czując ulgę, że zaczęli się odżywiać, nie kwestionowałem ich przesłanek, dla mnie jednak zjadanie ciał zmarłych stanowiło jedynie trudny, pragmatycz-ny wybór, jakiego dokonałem, aby przetrwać. Poruszała mnie świadomość, że nawet po śmierci przyjaciele dają mi to, czego potrzebuję do życia, ale nie czułem żadnej poczekającej duchowej łączności ze zmarłymi. Moi przyjaciele odeszli. Te ciała były teraz tylko przedmiotami. Głupotą byłoby ich nie wykorzystać.

Z upływem dni nauczyliśmy się coraz efektywniej przygotowywać to mięso. Fito i jego kuzyni wzięli na siebie wycinanie go i dzielenie na porcje i niebawem wymyślili skuteczny system. Po pokrojeniu mięsa na plasterki układali je na kawałkach aluminium i suszyli na słońcu, dzięki czemu stawało się znacznie łatwiej strawne. Korzystając z rzadkich okazji, kiedy rozpalaliśmy ognisko, gotowali je nawet, co niezmiernie poprawiało smak. Dla mnie jedzenie mięsa stawało się z czasem coraz łatwiejsze. Niektórzy nie mogli przezwyciężyć odrazy, ale wszyscy teraz jedliśmy dość, by powstrzymać głodzenie organizmu. Przez wzgląd na mnie pozostali obiecali, że nie tkną zwłok mojej matki i siostry, mimo to ciała były dla nas dosyć na kilka tygodni, jeśli oszczędnie racjonowalibyśmy mięso. Żeby pokarmu starczyło na dłużej, zaczęliśmy w końcu zjadać nerki, wątroby, a nawet serca. Te organy wewnętrzne były bardzo pożywne i choć zabrzmiało to może makabrycznie, na tym etapie naszych przejść większość nas zobojętniała na okropności ćwiartowania zmarłych przyjaciół jak bydła.

Mimo to jedzenie ludzkiego mięsa nie zaspokajało mego głodu ani nie przywracało sił. Nadal traciłem na wadze, podobnie jak inni, a niewielka ilość pokarmu, na jaką pozwalaliśmy sobie codziennie, jedynie spowalniała proces głodzenia. Czas uciekał i wiedziałem, że już niedługo będę za słaby, by podjąć wspinaczkę. Tego bałem się najbardziej: że tak opadniemy z sił, iż ucieczka stanie się niemożliwa, że zużyjemy wszystkie ciała i alternatywą będzie sterczenie na miejscu wypadku, trwanie sobie wzajemnie w oczy i wyczekiwanie, który z naszych przyjaciół stanie się kolejnym posiłkiem. Prześladował mnie ten makabryczny scenariusz i odbierał czasem całą siłę woli, każąc zignorować życzenia innych i wyruszyć samotnie. Ale wyprawa Gustava, omal nie zakończona katastrofą, pozwoliła mi jaśniej zrozumieć, jak trudna będzie taka wspinaczka. Podobnie jak wszyscy inni, byłem oszołomiony tym, co góry zrobiły z Gustavem, znanym z twardości i wytrzymałości na boisku. Czemu miałbym wierzyć, że zdołam

125

pokonać tę górę, skoro jemu się to nie udało? W chwilach słabości poddawałem się rozpaczom. „Spójrz na te szczyty, mówiłem sobie. To niemożliwe, jesteśmy tu uwięzieni. Koniec z nami. Wszystkie nasze cierpienia były daremne”. Ilekroć jednak popadałem w taki defetyzm i użalanie się nad sobą, wypływała mi z pamięci twarz ojca, przypominając o jego cierpieniu i mojej obietnicy, że do niego powrócę. Czasem, kiedy sądziłem, że nie zniosę już ani przez sekundę dłużej zimna, pragnienia czy dręczącego przerażenia, czułem przemożną chęć poddania się. „Możesz skończyć z tym, gdy tylko zechcesz, mówiłem sobie. Połóż się na śniegu. Niech oładnie tobą zimno. Odpocznij po prostu. Uspokój się. Zaprzestań walki”. Były to uspokajające, uwodzicielskie myśli, ale jeśli delectowałem się nimi zbyt długo, przerywał mi ten głos w moim umyśle. „Podczas wspinaczki sprawdź, czy każdy chwyt jest

pewny. Nie licz na to, że skała cię utrzyma, kontroluj każdy krok. Wypatruj pod śniegiem ukrytych szczelin. Znajdź dobre schronienia na noc...".

Rozmyślałem wtedy o wspinaczce, co przypominało o danej ojcu obietnicy. Myślałem o nim, serce napełniało się miłością do niego, a była ona silniejsza niż cierpienie czy strach. Po dwóch tygodniach na górze moja miłość do ojca nabrała nieodpartej mocy biologicznego popędu. Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał podjąć wspinaczkę, choć będzie to próba skazana na niepowodzenie. Ale jakie to miało znaczenie? Przecież i tak byłem już martwy. Dlaczego nie zginąć w górach, walcząc o każdy krok, a gdybym umarł, umarłbym o krok bliżej domu. Gotów byłem stawić czoło takiej śmierci, ale choć wydawała się nieunikniona, nadal czułem iskierkę nadziei, że jakoś zdołam przebrnąć przez to pustkowie i dotrzeć do domu. Myśl o opuszczeniu kadłuba samolotu wprawiała mnie w przerażenie, choć jednocześnie nie mogłem się tego doczekać. Wiedziałem, że

120

zdobędę się jakoś na odwagę, by zmierzyć się z górami, ale rozumiałem też, że nigdy nie będę dość dzielny, by uczynić to w pojedynkę. Potrzebowałem na tę podróż towarzysza, kogoś, kto uczyniłby mnie silniejszym i lepszym, zacząłem zatem obserwować innych, szacując ich siłę, temperament, zachowanie w warunkach stresu, próbując zdecydować, którego z tych obszarpanych, zagłodzonych i przestraszonych chłopaków najbardziej chciałbym mieć przy sobie.

Jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej decyzja byłaby prosta - wybrałbym Marcela, naszego kapitana, oraz Gustava, którego siłę charakteru zawsze podziwiałem. Teraz jednak pierwszy był pogrążony w rozpacz, drugi zaś wyniszczony i oślepiiony przez górę, dlatego obawiałem się, że żaden z nich nie dojdzie do siebie w porę, by ze mną iść. Musiałem wybrać kogoś z pozostałych zdrowych towarzyszy, a gdy im się przyjrzałem, kilku szybko zwróciło moją uwagę. Fito Strauch wykazał się odwagą podczas pierwszej próby zdobycia góry i zyskał nasz szacunek swoim spokojem i jasnością myślenia przez cały czas naszej gehenny. Kuzyni Fita, Eduar-do i Daniel Fernandez, służyli mu oparciem, więc czasami zastanawiałem się, jak by się zachowywał w górach, będąc sam, ale Fito zdecydowanie zajmował wysoką pozycję na mojej liście. Podobnie jak Numa Turcatti. Numa nie należał do Starych Chrześcijan i niewielu z nas znało go przed tą wycieczką, ale jego zachowanie na górze szybko zyskało mu szacunek i przyjaźń całej grupy. Zrównoważony, odważny i serdeczny, zdawał się przejawiać autentyczne poczucie obowiązku wobec pozostałych i nikt nie walczył bardziej twardo o nasze przetrwanie. Działał niestrudzenie, dłużej niż inni opiekował się słabymi, w razie potrzeby dodawał otuchy młodszym chłopcom i na ochotnika uczestniczył w obu wyprawach na górę, gdzie dobrze się spisał.

/27

Kolejnym kandydatem był Daniel Maspons, który wspinał się dzielnie z Gustavem, a także Coco Nicolich, którego bezinteresowność i opanowanie zaimponowały mi. Antonio Vizin-tin, Roy Harley i Carlitos Paez byli zdrowi i silni. Był też Roberto, najbystrzejszy, najtrudniejszy i najbardziej skomplikowany charakter na tamtej górze.

Roberto był zawsze trudny w pożyciu. Ten syn znanego kardiologa z Montevideo był błyskotliwy, pewny siebie, egotyczny i skłonny podporządkować się tylko własnym regułom. Dzięki tak krnąbrnej naturze miał ustawiczne kłopoty w szkole, a jego matkę wciąż wzywano do gabinetu dyrektora w sprawie wykroczeń syna. Roberto po prostu nie znosił, kiedy mówiono mu, co ma robić. Miał, na przykład, konia, na którym dojeżdżał co rano na lekcje, chociaż bracia chrześcijanie wielokrotnie zabraniali mu wprowadzać zwierzę na teren szkoły. Roberto najzwyczajniej ich ignorował. Przywiązywał wierzchowca do stojaka na rowery, a koń uwalniał się z postronka i jakąś godzinę później bracia znajdowali go w ogrodzie, gdzie wałęsał się, chrupiąc ich konkursowe krzewy i kwiaty. Roberto galopował też na nim przez tłoczne ulice Carasco, jeżdżąc po chodnikach i przez ruchliwe skrzyżowania tak szybko, że

podkowy krzesły iskry. Kierowcy skręcali gwałtownie, piesi uskakiwali mu z drogi. Nasi sąsiedzi wciąż składali skargi, a policja rozmawiała kilkakrotnie z ojcem Roberta, ale chłopak nie zrezygnował z tych przejażdżek.

Bracia chrześcijanie zachęcili go do gry w rugby w nadziei, że jego niesforność znajdzie w ten sposób konstruktywne ujście. Dzięki silnej naturze chłopak stał się fantastycznym zawodnikiem. Grał jako lewy skrzydłowy, na tej samej pozycji, co Panchito po prawej stronie, ale podczas gdy tamten z gracją uchylał się i lawirował między szarżującymi ku polu punktowemu, Roberto wolał w sposób bardziej bezpośredni przebijać

128

się przez przeciwników dzięki kolejnym zderzeniom czołowym. Nie należał do najpotężniejszych graczy, ale miał tak imponująco rozwinięte nogi, że nazywaliśmy go Musculo. Dzięki krępkim kończynom i wrodzonej wojowniczości dorównywał znacznie postawniejszym przeciwnikom i niczego nie uwiebiał tak bardzo, jak wystawiania barku, aby obalić jakiegoś przero-śniętego szarżującego.

„Muskuł” uwielbiał rugby, ale nie uległo to jego uporu, na co liczyli bracia chrześcijanie. Roberto pozostał Robertem, na boisku czy poza nim, i nawet w połowie ciężkiego meczu nie lubił, jak mu się mówi, co ma robić. Trenerzy przygotowywali nas starannie do każdego meczu, opracowując strategię gry, i cała reszta zawodników starała się jak najściślej do nich stosować. Roberto jednak zawsze rezerwował sobie prawo do samowolnej improwizacji. Zwykle oznaczało to, że zatrzyma piłkę, kiedy powinien ją podać, albo rzuci się prosto na przeciwnika, kiedy według trenerów powinien był popędzić na otwarte pole. Kiedy niechętnie wysłuchiwał ich reprimendy, ponure spojrzenie jego przenikliwych oczu zdradzało opór i niecierpliwość. Irytował się, kiedy mówiono mu, co ma robić. Uważał po prostu, że zawsze wie lepiej. I postępował tak w każdej sferze życia. Ta nieugiętość czyniła zeń trudnego przyjaciela i nawet w komfortowych warunkach naszego życia w Carasco bywał arogancki i apodyktyczny. W pełnej napięć atmosferze, jaka panowała we wraku, jego zachowanie często było nie do zniesienia. Notorycznie ignorował decyzje podejmowane przez grupę i naskakiwał na każdego, kto mu się przeciwstawiał, miotając argumenty i obelgi wojowniczym falsetem, jakim zaczynał mówić, kiedy ponosiły go nerwy. Potrafił być brutalnie nietaktowny. Jeśli na przykład musiał wyjść w nocy z samolotu oddać mocz, deptał po prostu po rękach i nogach ludzi śpiących mu na drodze. Sypiał, gdzie chciał, nawet jeśli oznaczało to spychanie innych z miejsc, które sobie wybrali.

Porywczy i konfrontacyjny sposób bycia Roberta powodował zupełnie niepotrzebne spięcia, co zużywało naszą energię, na której trwonienie nie mogliśmy sobie pozwolić, a jego bezlitosna szorstkość nieraz omal nie doprowadziła do rękoczynów.

Szanowałem go jednak mimo trudnego charakteru. Był najbardziej inteligentny i pomysłowy z nas wszystkich. Gdyby nie jego szybka pomoc medyczna tuż po katastrofie, wielu chłopaków, którzy wychodzili teraz z obrażeń, mogło by już nie żyć, a jego twórcze myślenie pozwoliło rozwiązać wiele problemów, dzięki czemu nasze życie na górze stało się bardziej bezpieczne i wygodne. To Roberto zauważył, że pokrycia foteli można zdjąć i wykorzystać jako koce, co może uchroniło nas wszystkich od zamarznięcia. Większość prostych narzędzi, których używaliśmy, oraz nasz zaimprovizowany zestaw środków medycznych zostały przygotowane przez niego z przedmiotów wyszukanych na pokładzie wraku. Mimo całej jego egotycznej fanfaronady wiedziałem, że przejawia silne poczucie obowiązku wobec pozostałych. Widząc, jak Arturo i Rafael cierpieli w nocy, kiedy leżeli na podłodze samolotu (i wrzeszcząc na nich dziko, by przerwali te żalosne jęki), nazajutrz rano Roberto kilka godzin poświęcił na przygotowanie hamaków, które nieco złagodziły cierpienia obu rannych. Tak właściwie to nie współczucie skłoniło go do tego wszystkiego, raczej poczucie obowiązku. Świadom był swoich uzdolnień i możliwości, uznał zatem po prostu, że powinien zrobić to, czego, jak wiedział, nikt inny zrobić nie mógł.

Wiedziałem, że jego pomysłowość okaże się bardzo przydatna podczas każdej próby wydostania się stamtąd. Ufałem też jego realistycznej ocenie sytuacji - rozumiał, że nasze położenie jest rozpaczliwe, a uratować się możemy tylko sami.

30

Przede wszystkim jednak chciałem mieć go ze sobą, bo był to właśnie Roberto, najbardziej stanowcza i uparta osoba, jaką znałem. Jeśli ktokolwiek z naszej grupy mógł stawić czoło Andom siłą czystego uporu, to właśnie on. Nie byłby najłatwiejszym towarzyszem i martwiłem się, że jego trudna natura może po drodze sprowokować konflikt, co odbierze nam nawet ten cień szansy dotarcia do cywilizacji. Rozumiałem jednak intuicyjnie, że upór i egotyzm Roberta będą doskonałym uzupełnieniem dzikich impulsów, które gnały mnie na oślep na to pustkowie. Moje obsesyjne pragnienie ucieczki będzie silnikiem, który przeciągnie nas przez te góry; swarliwy duch Roberta zadziała jak sprzęgło, nie pozwalając mi nadmiernie zwiększać obrotów. Nie mogłem przewidzieć, jakie trudności czekają na tym pustkowiu, ale wiedziałem, że dzięki Robertowi będę podczas drogi silniejszy i lepszy. To jego powinienem zabrać ze sobą, a gdy nadszedł stosowny czas i znaleźliśmy się obaj sami, poprosiłem, by ze mną wyruszył.

- Roberto, musimy to zrobić, ty i ja - powiedziałem. - Mamy na to największe szansę.
- Oszalałeś, Nando - warknął, podnosząc głos. - Spójrz na te pieprzone góry. Masz pojęcie, jakie są wysokie?

Utkwiłem spojrzenie w najwyższym szczycie.

- Pewnie że dwa-trzy razy wyższe niż Pan de Azucar - rzuciłem, czyniąc aluzję do najwyższej „góry” Urugwaju.

Roberto tylko parsknął.

- Nie bądź idiotą! - wrzasnął. - Na Pan de Azucar nie leży śnieg! Ma tylko ze 450 metrów wysokości! Ta góra jest przynajmniej dziesięć razy wyższa!

- A jaki mamy wybór? - spytałem. - Musimy spróbować. Dla mnie klamka zapadła. Podejmę wspinaczkę, Roberto, ale boję się. Sam nie dam rady. Potrzebuję cię ze sobą.

Pokręcił z żalem głową.

131

- Widziałeś, co się stało z Gustavem - powiedział. - A doszli tylko do połowy zbocza.

- Nie możemy tu zostać - upierałem się. - Wiesz to równie dobrze jak ja. Musimy wyruszyć jak najprędzej.

- Nie ma mowy! - krzyknął. - Trzeba to zaplanować. Musimy to zrobić jak najmądrzej.

Przemyśleć każdy szczegół. Jak pójdziemy? Którym zboczem? W którą stronę?

- Wciąż nad tym rozmyślam - powiedziałem. - Będzie nam potrzebna woda, jedzenie, ciepłe ubrania...

- A jak uchronimy się przed zamarznięciem w nocy? - zapytał.

- Znajdziemy osłonę pod skałami - powiedziałem - albo wykopimy jamy w śniegu...

- Bardzo ważny jest wybór chwili - podjął. - Musimy poczekać, aż się pogoda poprawi.

- Ale nie możemy czekać tak długo, aż będziemy za słabi, by odbyć wspinaczkę - dodałem.

Roberto milczał przez moment.

- To nas zabije, wiesz o tym - powiedział.

- Pewnie tak - odparłem - ale jeśli zostaniemy tutaj, to już jesteśmy martwi. Roberto, sam nie dam rady. Chodź ze mną, proszę.

Przez chwilę lustrował mnie przenikliwym spojrzeniem, jakby mnie nigdy dotąd nie widział.

Potem wskazał ruchem głowy kadłub samolotu.

- Wejdzmy do środka - powiedział. - Wiatr się wzmaga, a cholernie mi zimno.

* * *

W ciągu kolejnych dni wszyscy byliśmy zajęci dyskusjami nad naszym planem wydostania się pieszo z Kordyliery i wkrótce zdałem sobie sprawę, że pozostali zaczynają wierzyć
132

w niego równie rozpaczliwie, jak wcześniej w niechybne nadejście pomocy. Ponieważ pierwszy poruszyłem konieczność ucieczki i ponieważ wiedzieli, że będę na pewno jednym z tych, którzy tego spróbują, wielu zaczęło we mnie postrzegać lidera. Jeszcze nigdy w życiu nie podejmowałem takiej roli - zawsze byłem tym, który dryfuje z prądem, pozwalając innym wskazywać drogę. Na pewno nie czułem się teraz jak przywódca. Czyż oni nie widzieli, jaki jestem niepewny i przestraszony? Czy naprawdę chcieli przywódcy, który uważa w głębi duszy, że wszyscy już jesteśmy skazani? Ja ze swej strony nie miałem zamiaru nikim kierować; potrzebowałem całej mojej siły, żeby powstrzymać się przed psychicznym rozpadem. Martwiło mnie, że daję im fałszywą nadzieję, ale ostatecznie zdecydowałem, że fałszywa nadzieja jest lepsza niż żadna. Dlatego nie dzieliłem się swoimi przemyśleniami. Były to przeważnie mroczne myśli, ale pewnej nocy zdarzyło się coś niezwykłego. Minęła już północ, we wraku było ciemno i zimno jak zawsze, a ja leżałem niespokojnie w stanie płytkiego, półprzytomnego ośpienia, które zastępowało mi wówczas prawdziwy sen, kiedy nie wiedzieć czemu, poczułem przyływ radości tak głębokiej i wzniosłej, że prawie uniosła mnie fizycznie nad podłogę. Na moment zimno zniknęło, jakbym się skąpał w ciepłym, złotym świetle, i po raz pierwszy od katastrofy pewien byłem, że przeżyję. Podekscytowany, obudziłem innych.

- Ludzie, słuchajcie! - krzychałem. - Wszystko będzie w porządku. Na Boże Narodzenie będziemy już w domu!

Mój wybuch entuzjazmu wyraźnie zaintrygował pozostałych. Pomamrotali coś z cicha i zapadli znowu w sen. Po chwili moja euforia ustąpiła. Przez całą noc próbowałem ponownie przywołać to uczucie, ale umknęło na dobre. Rankiem wypełniały mnie znowu już tylko wątpliwości i lęki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Grobowiec

ostatnim tygodniu października wybraliśmy grupę, która miała opuścić miejsce katastrofy w poszukiwaniu pomocy. Nikt nie wątpił, że ja pójdę - żeby mnie powstrzymać, musieliby mnie przywiązać do skały. Roberto ostatecznie zgodził się wyruszyć ze mną. Resztę zespołu mieli stanowić Fito i Numa. Pozostali zaaprobowali taki wybór i zaczęli nazywać nas „członkami ekspedycji”. Postanowiono, że będziemy dostawać większe racje żywności, by wzmocnić nasze siły. Mieliśmy też otrzymać cieplejsze ubrania i najlepsze miejsca do spania oraz zostać zwolnieni z codziennych obowiązków, żebyśmy zachowali energię na czas wyprawy.

Po wyznaczeniu uczestników ekspedycji plany naszej wyprawy w końcu nabierały realnych kształtów, a w konsekwencji nastroje w grupie zaczęły się poprawiać. Po dwóch tygodniach na górze mieliśmy inne powody do nadziei: mimo takich cierpień i tylu okropności nikt z nas nie umarł od ósmego dnia po wypadku, kiedy straciłem Susy. Przy tylu zamrożonych ciałach leżących na śniegu mieliśmy dość pożywienia, żeby utrzymać się przy życiu, a chociaż nadal cierpieliśmy podczas lodowatych nocy, wiedzieliśmy, że póki kulimy się pod osłoną fairchilda, zimno nas nie zabije. Sytuacja pozostawała krytyczna, ale zaczęliśmy odnosić wrażenie, że kryzys

już minął. Życie trochę się ustabilizowało. Wyeliminowaliśmy bezpośrednie zagrożenia, a teraz graliśmy na zwłokę - odpoczywaliśmy i nabieraliśmy sił, czekając na poprawę pogody, potem mieliśmy wyruszyć. Może najgorsze już minęło. Może wszystkich dwudziestu siedmiu ocalałych miało przeżyć. Inaczej po co Bóg by nas ocalił? Takie myśli podnosiły na duchu wielu z nas, kiedy wieczorem 29 października wchodziliśmy do wraka samolotu, by przygotować się do snu.

Noc była wietrzna. Ułożyłem się na podłodze, obok ulokowała się Liliana. Przez chwilę rozmawiała po cichu z Javierem, który leżał twarzą do niej. Jak zawsze mówili o dzieciach. Liliana zamartwiała się o nie bezustannie, a mąż ją pocieszał, zapewniając, że dziadkowie dobrze się nimi opiekują. Wzruszała mnie ich wzajemna czułość. Łączyła ich taka intymność, poczucie partnerstwa. Zupełnie jakby stanowili jedność. Przed katastrofą wiedli życie, o jakim marzyłem - dobrane małżeństwo, radości ogniska domowego i kochającej się rodziny. Ciekaw byłem, czy kiedykolwiek powrócą do tego wszystkiego? A co ze mną? Czy moje szansę na takie szczęście umrą wraz ze mną w tym lodowatym piekle? Dałem się ponieść fantazji. Gdzie była w tym momencie kobieta, którą miałem poślubić? Czy też rozmyślała nad swoją przyszłością: kogo poślubi i gdzie on teraz jest?

Tu jestem, pomyślałem, mrozę tyłek na szczycie świata i myślę o tobie...

Po chwili Javier spróbował zasnąć, a Liliana odwróciła się do mnie.

- Jak twoja głowa, Nando? - zapytała. - Wciąż boli?
- Tylko trochę - odparłem.
- Powinieneś więcej odpoczywać.
- Cieszę się, że postanowiłaś jeść - zmieniłem temat.
- Chcę zobaczyć moje dzieci - odrzekła. - A jak nie będę jeść, to umrę. Robię to dla nich.

135

- Jak Javier?

- Wciąż taki chory. - Westchnęła. - Często się za niego modlę. Jestem pewna, że Bóg da nam szansę.

- Tak sądzisz? - zapytałem. - Sądzisz, że Bóg nam pomoże? Jestem taki zagubiony, pełen wątpliwości.

- Bóg pozwolił nam żyć jak dotąd - powiedziała. - Musimy mu ufać.

- Ale czemu miałby nas ocalić, a innym pozwolił umrzeć? Mojej matce, mojej siostrze, Panchitowi, Guidowi? Czy oni nie chcieli, żeby ich Bóg uratował?

- Nie sposób pojąć Boga ani jego logiki - odparła.

- Czemu więc mielibyśmy mu ufać? - zapytałem. - A co ze wszystkimi Żydami, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych? - ciągnąłem. - Co z niewinnymi ofiarami zarazy, czystek i katastrof naturalnych? Dlaczego Bóg miałby odwrócić się od nich, a znaleźć czas dla nas?

Liliana westchnęła, poczułem na twarzy ciepło jej oddechu.

- Robisz się zbyt skomplikowany - zauważyła z łagodną nutką w głosie. - Możemy tylko kochać Boga, kochać innych i ufać woli boskiej.

Jej słowa mnie nie przekonały, ale serdeczność i życzliwość podniosły na duchu. Próbowałem sobie wyobrazić, jak bardzo musi tęsknić za dziećmi, i odmówiłem modlitwę, żeby znowu byli razem, potem zamknąłem oczy i zapadłem w zwykły mętny półsen. Drzemałem przez chwilę, może z pół godziny, a potem zbudziłem się, przestraszony i skonfundowany, kiedy jakiś wielki ciężar zwałił mi się na piersi. Zdarzyło się coś strasznego. Czułem na twarzy lodowato wilgotny ucisk, a miazdzące brzemie przygniatało mnie tak mocno, że wyciskało powietrze z płuc. Po chwili zdałem sobie sprawę, co się stało - z góry zeszła lawina i napełniła wrak kadłuba śniegiem. Nastąpił moment całkowitej ciszy, potem usłyszałem

powolne, wilgotne skrzypienie, kiedy luźny śnieg zapadał się pod własnym ciężarem i zbijął wokół mnie na kamień. Spróbowałem się poruszyć, ale miałem wrażenie, jakby mnie oblano betonem, nie mogłem nawet kiwnąć palcem. Zrobiłem kilka płytkich oddechów, ale wkrótce śnieg zapchał mi usta i nozdrza i zacząłem się dusić. Początkowo ucisk na klatkę piersiową był nieznośny, ale kiedy przyćmiła mi się świadomość, przestałem zwracać uwagę na ten dyskomfort. Myśli stały się spokojne i przejrzyste. „To moja śmierć, pomyślałem, teraz zobaczę, co jest po tamtej stronie”. Nie odczuwałem silnych emocji. Nie próbowałem krzyczeć ani walczyć. Po prostu czekałem, a kiedy uznałem swoją bezradność, ogarnęło mnie uczucie spokoju. Czekałem cierpliwie, aż życie dobiegnie końca. Nie było żadnych aniołów, objawień ani długiego tunelu prowadzącego do jasnego, pełnego miłości światła. Czułem tylko tę samą czarną ciszę, w jaką zapadłem, kiedy fairchild uderzył o górę. Odpłynąłem z powrotem w tę ciszę. Nie stawiałem oporu. Było po wszystkim. Już żadnych lęków. Żadnej walki. Tylko niezgłębiona cisza i spokój.

Potem jakaś ręka zgarnęła mi śnieg z twarzy i powróciłem gwałtownie do świata żywych. Ktoś wykopał wąski tunel w ponad metrowej warstwie, żeby się do mnie dostać. Wyplułem śnieg z ust i łączywie zaczerpnąłem zimnego powietrza, choć ciężar na piersi uniemożliwiał głębszy oddech.

Usłyszałem nad sobą głos Carlitosa.

- Kto to? - krzyknął.

- Ja - wycharczałem. - To ja, Nando.

Wtedy mnie zostawił. Wokół słyszałem chaotyczne odgłosy, jakieś krzyki i szlochy.

- Odkopujcie twarze - krzyczał ktoś. - Żeby mieli powietrze!

- Coco! Gdzie jest Coco?

137

- Pomóście mi tutaj!

- Czy ktoś widział Marcela?

- Ilu mamy? Kogo brakuje?

- Niech ktoś policzy!

Potem usłyszałem histeryczny krzyk Javiera.

- Liliana? Liliana? Pomóście jej! Liliana, wytrzymaj! Och, proszę, pospieszcie się, znajdźcie ją!

Zamieszanie trwało zaledwie parę minut, potem we wraku zapadła grobowa cisza. Chwilę później odkopali mnie i zdołałem podnieść się ze śniegu. Mroczny kadłub nieziemsko rozświetlał płomień zapalniczki trzymanej przez Pancha Delga-do. Zobaczyłem, że kilku moich przyjaciół leży bez ruchu. Inni chłopcy wstawali ze śniegu niczym zombie z grobu. Javier klęczał obok mnie, z Liliana w ramionach. Po zwieszonych bezwładnie rękach i głowie poznałem, że kobieta nie żyje. Pokręciłem z niedowierzaniem głową, kiedy Javier zaczął szlochać.

- Nie - powiedziałem beznamiętnie. - Nie.

Jakbym mógł dyskutować o tym, co się właśnie stało. Jakbym mógł odmówić temu prawdziwości. Spojrzałem na innych, stojących wokół. Jedni płakali, inni pocieszali Javiera, jeszcze inni wpatrywali się tylko w cienie ze zdumionym wyrazem twarzy. Przez chwilę nikt się nie odzywał, ale kiedy pierwszy wstrząs minął, inni opowiedzieli mi, co się wydarzyło. Zaczęło się od odległego ryku na górze. Roy Harley usłyszał ten hałas i skoczył na równe nogi. Parę sekund później lawina zmiotła prowizoryczną ściankę na tyle kadłuba, zasypując chłopaka po pas. Zdjęty grozą zobaczył, że wszyscy, którzy spali na podłodze, zostali pogrzebani pod śniegiem. Przerażony, że zginęliśmy i zostanie sam na górze, zaczął kopać. Szybko odgrzebał Carlitosa, Fita i Roberta. Każdy z uwolnionych także zaczął kopać. Deptali tu i tam po powierzchni

śniegu, rozpaczliwie szukając pogrzebanych towarzyszy, ale mimo wysiłków nie byli dość szybcy, by uratować wszystkich. Ponieśliśmy ciężkie straty. Marcelo nie żył. Podobnie Enrique Platero, Coco Nicolich i Daniel Maspons. Carlos Roque, mechanik fairchilda, i Juan Carlos Menendez zginęli pod zawałoną ścianką. Diego Storm, który trzeciego dnia naszych przejść, gdy byłem jeszcze w śpiączce, uratował mi życie, przeciągając w ciepłe miejsce kadłuba, udusił się pod śniegiem. A Liliana, która parę chwil wcześniej pocieszała mnie tak życzliwie, także odeszła. Gustavo pomógł Javierowi ją odkopać, ale upłynęło zbyt wiele czasu i kiedy do niej dotarli, już nie żyła.

Trudno opisać głębię rozpacz, jaka ogarnęła nas w następstwie tej lawiny. Śmierć naszych przyjaciół stanowiła dotkliwy cios. Pozwoliliśmy sobie na wiarę, że najgorsze już minęło, ale teraz zobaczyliśmy, że tu nigdy nie będziemy bezpieczni. Ta góra mogła nas zabić na wiele sposobów. Największą udręką była dla mnie kapryśna natura śmierci. Jak mogłem to zrozumieć? Daniel Maspons spał ledwie kilka centymetrów na prawo ode mnie. Liliana znajdowała się równie blisko po lewej. Oboje nie żyli. Dlaczego oni, a nie ja? Czy byłem silniejszy? Bardziej inteligentny? Lepiej przygotowany? Odpowiedź była jasna: Daniel i Liliana pragnęli żyć nie mniej niż ja, byli równie silni i równie twardo walczyli o przetrwanie, ale o ich losie zdecydował zwykły pech - wybrali sobie tej nocy takie, a nie inne miejsca do spania i ta decyzja ich zabiła. Pomyślałem o tym, że moja matka i Susy także same wybrały fotele w samolocie. Wspomniałem Panchita, który zamienił się ze mną miejscami na kilka chwil przed katastrofą. Oburzała mnie przypadkowość wszystkich tych śmierci, ale i przerażała, bo skoro śmierć była tu tak bezsensowna i nieprzewidywalna, to nic, żadna doza odwagi, planowania czy determinacji nie mogła mnie przed nią uchronić.

I3Q

Nieco później tej samej nocy, jakby szydząc z moich lęków, góra posłała jeszcze jedną lawinę, która spłynęła z rykiem w dół zbocza. Słyszeliśmy ją i przygotowaliśmy się na najgorsze, ale tym razem śnieg po prostu przetoczył się nad nami. Fairchild był już cały zagrzebany.

* * *

Wrak fairchilda zawsze był schronieniem ciasnym i pełnym przeciągów, ale w następstwie lawiny zmienił się w prawdziwe piekło. Śnieg, który wpadł do wnętrza, był tak głęboki, że nie można się było wyprostować, mogliśmy co najwyżej łązić po samolocie na czworakach. Gdy tylko doszliśmy do siebie, ułożyliśmy ciała zabitych w tyle kadłuba, gdzie śnieg był najgłębszy, tak że pozostała niewielka pusta przestrzeń w pobliżu kokpitu, gdzie mogli sypiać żywi. Wepchaliśmy się tam wszyscy - teraz już tylko dziewiętnastu, upakowani w miejscu, które pomieściłoby wygodnie czterech - nie mając innego wyboru, jak ścisnąć się razem, z kolanami, stopami i łokciami spletanymi w jakiejś koszarnej wersji młyna z meczu rugby. Powietrze w kadłubie było przesycone wilgocią, wskutek czego ziąb stał się jeszcze bardziej przenikliwy. Wszyscy byliśmy oproszeni śniegiem, który topniał szybko od ciepła naszych ciał, ubrania mieliśmy wkrótce całe przemoczone. Na domiar złego wszystkie nasze rzeczy leżały teraz pogrzebane pod ponad metrowym zwałem na podłodze kadłuba. Nie mieliśmy prowizorycznych koców, żeby się ogrzać, butów, żeby osłonić stopy przed zimnem, ani poduszek, które izolowałyby nas od zmarzłej powierzchni śniegu, który był teraz dla nas jedynym pościelaniem. Przestrzeń nad głowami była tak ciasna, że musieliśmy kłaść się z pochyłymi ramionami i brodami przyciśniętymi do piersi, mimo to potylicą uderzaliśmy o sufit. Kiedy na tej rozpychającej się stercie ciał usiłowałem przybrać jakąś wygodniejszą pozycję, poczułem, jak panika niczym gula rośnie mi w gardle, i ledwo się powstrzymałem, by nie krzyknąć. Ile śniegu leżało nad nami? - zastanawiałem się. Pół metra? Pięć metrów? Dziesięć? Czy zostaliśmy pogrzebani żywcem? Czy fairchild stał się

naszą trumną? Wyczuwałem wręcz nacisk śniegu wokół nas. Odizolował nas od odgłosu wiatru i przekształcał dźwięki rozbrzmiewające wewnątrz, tworząc gęstą, stłumioną ciszę, i przydając naszym głosom delikatnego echa, jakbyśmy rozmawiali na dnie studni. Pomyślałem, że teraz już wiem, jak to jest być uwięzionym w okręcie podwodnym na dnie oceanu. Mimo zimna pod kołnierzykiem zebrał mi się lepki pot. Miałem wrażenie, że ściany samolotu zwierają się nade mną. Wszystkie klaustrofobiczne lęki - przed byciem uwięzionym w otaczających nas górach, pozbawionym możliwości ucieczki i odciętych od ojca - ziszczają się w absurdalnie dosłowny sposób. Zostałem uwięziony wewnątrz aluminiowej rury pod tonami stwardniałego śniegu. Będąc na skraju paniki, przypomniałem sobie spokojną akceptację, jaką czułem pod lawiną, i przez moment zapragnąłem, by zamiast mnie odkopali Lilianę.

Następne godziny należały do najbardziej mrocznych podczas naszej andyjskiej gehenny. Javier żałośnie opłakiwał Lilianę, a prawie wszyscy pozostali byli pogrążeni w żalu po stracie przynajmniej jednego szczególnie bliskiego przyjaciela. Roberto stracił swego najbliższego amigo, Daniela Masponsa. Carlitos - Coca Nicolicha i Diega Storma. Wszyscy żalowaliśmy Marcela i Enrique Platera. Śmierć przyjaciół była dla nas dotkliwym ciosem i uczyniła nas bardziej bezradnymi i bezbronnymi niż kiedykolwiek wcześniej. Góra dała kolejny pokaz siły i nie mogliśmy na to w żaden sposób zareagować, tylko siedzieć, dygocząc w żalonym ścisku na twardym śniegowym posłaniu, bez koców, bez butów, nie mając nawet dość miejsca, żeby wyprostować kręgosłup albo wyciągnąć ręce czy nogi. Minuty wlokły się jak godziny. Wkrótce część ocalałych zaczęła kaszleć i kichać i zdałem sobie sprawę, że w kadłubie robi się duszno. Śnieg otulił nas tak ściśle, że odciął dostęp powietrza. Jeśli czegoś szybko nie zrobimy, wkrótce się podusimy. Dostrzegłem wystający ze śniegu koniec aluminiowego drążka. Bez namysłu wyciągnąłem go, chwyciłem jak lancę, opierając się na kolanach, i zacząłem wpychać jego zaostroszony koniec w sufit. Wyteżając wszystkie siły, dźgałem raz po raz, aż jakimś cudem udało mi się przedziurawić dach fair-childa. Wepchnąłem drążek głębiej, czując opór zalegającego nad samolotem śniegu. Potem opór ustąpił i drążek wysunął się na zewnątrz. Nie zostaliśmy pogrzebani bez nadziei. Nad kadłubem było co najwyżej metr śniegu.

Cofnąłem drążek, przez otwór wpłynęło świeże powietrze i wszystkim nam lżej się oddychało, kiedy usadowiliśmy się znowu, próbując usnąć. Tamta noc nie miała końca. Nadszedł wreszcie świt, okna kadłuba rozjaśniły się nieco, gdy stłumione światło przeniknęło przez śnieg. Bez chwili zwłoki zabraliśmy się do kopania wyjścia z aluminiowego grobu. Wiedzieliśmy, że samolot leży na lodowcu przechylony w ten sposób, że okna prawej strony kokpitu skierowane są ku górze. Kiedy tony śniegu zablokowały dotychczasowe wyjście z tyłu kadłuba, postanowiliśmy, że okna te będą najlepszą drogą wyjścia. Ale przejście do kabiny pilotów także zapchane było śniegiem. Zaczęliśmy się przez niego przekopywać, używając jako szufli kawałków metalu i połamanych fragmentów plastiku. Mogła się tam zmieścić tylko jedna osoba, więc kopaliśmy na zmianę po piętnaście minut: jeden łupał twardy jak kamień śnieg, pozostali odgarniali rozdrobnione kawałki na tył samolotu. W przyćmionym świetle nie mogłem pozbyć się wrażenia, że moi brodaci, wychudzeni i niechlujni koledzy przypominają zdesperowanych więźniów drążących tunel z celi jakiegoś gūlāgu.

Przebicie przejścia do kokpitu zajęło parę godzin, ale w końcu Gustavo dokopał się do fotela i stanawszy na martwym ciele pilota, zdołał dosięgnąć okna. Nacisnął je w nadziei, że wypchnie je z ramy, ale śnieg zalegający od zewnątrz okazał się zbyt ciężki i nie starczyło mu sił. Potem spróbował Roberto, ale i jemu nie poszło lepiej. Wreszcie na siedzenie pilota wspiął się Roy Harley i otworzył okno wścickłym pchnięciem. Wydostawszy się przez powstały otwór, przekopał się przez ponad metrową warstwę śniegu, aż znalazł się na jej powierzchni, gdzie zdołał się rozejrzeć. Dał silny wiatr, ciskając śniegiem, który kłuf Roya w

twarz. Mrużąc oczy, zobaczył, że lawina całkowicie pogrzebała wrak samolotu. Przed powrotem do nas spojrział jeszcze w niebo. Było jednolicie zasnuwane chmurami.

- Jest śnieżycyca - oznajmił, wpełzłszy z powrotem. - A śnieg wokół wraku jest za głęboki, żeby chodzić po nim. Pewnie zapadlibyśmy się w nim na amen. Jesteśmy uwięzieni tu w środku, dopóki burza nie ucichnie, a nie wydaje mi się, by nastąpiło to szybko.

Uwięzieni przez niepogodę, nie mieliśmy innego wyjścia, jak skulić się w naszym żalnym więzieniu i znosić niedole. Aby poprawić sobie nastrój, rozmawialiśmy o jedynej tztziy, która dawała nam pocieszenie - planach ucieczki, a w miarę tych dyskusji wyłaniał się nowy pomysł. Dwie fatalnie zakończone próby wspięcia się na górę wznoszącą się nad nami przekonały wielu członków grupy, że ucieczka na zachód jest niemożliwa. Teraz zwrócili uwagę na szeroką dolinę, która opadała od miejsca wypadku ku wschodowi. Ich teoria była następująca: jeśli byliśmy tak blisko Chile, jak nam się wydawało, to cała woda z tego regionu musi spływać przez

przedgórze chilijskie na zachód, do Pacyfiku. Dotyczyłoby to również całego śniegu topniejącego w tej części Kordyliery. Ta woda musi znaleźć sobie ujście na zachód, rozmawiali, a gdyby udało nam się odnaleźć trasę tego przepływu, trafilibyśmy na drogę ucieczki.

Nie miałem zbyt dużego zaufania do tego planu. Po pierwsze, nie wierzyłem, że góry tak łatwo nas wypuszczą. Wydawało się też szaleństwem ignorować jedyną rzecz, co do której mieliśmy pewność - na zachód jest Chile - i obrać drogę, która prawie na pewno zaprowadzi nas dalej w głąb Andów. Ale gdy inni zapalili się do nowego planu, nie oponowałem. Nie wiem, dlaczego. Może przestałem jasno myśleć z powodu dużej wysokości, odwodnienia albo braku snu. Może czułem ulgę na myśl, że zostanie mi oszczędzona groza zderzenia się z tą górą. Z jakiegoś powodu bez dyskusji zaakceptowałem ich decyzję, chociaż czułem, że to strata czasu. Zależało mi tylko na tym, byśmy odeszli z tego miejsca, i to jak najprędzej.

- Jak tylko śnieżycyca ucichnie - odezwałem się - musimy iść.

- Musimy poczekać na poprawę pogody - zaproponował Fito.

- Męczy mnie to czekanie - odparłem. - Skąd mamy wiedzieć, czy w tym cholernym miejscu pogoda w ogóle się poprawi?

Wtedy Pedro Algorta przypomniał sobie rozmowę, którą odbył kiedyś z taksówkarzem w Santiago.

- Powiedział, że lato w Andach rozpoczyna się jak w zegarku 15 listopada.

- Nando, to tylko trochę ponad dwa tygodnie - powiedział Fito. - Tyle możesz poczekać.

- Zaczekam - zgodziłem się. - Ale tylko do 15 listopada. Jeśli wtedy nikt nie będzie gotów iść, wyruszę sam.

Dni, które spędziliśmy uwięzieni pod lawiną, były najgorsze podczas całej gehenny. Nie mogliśmy spać, ogrzać się ani wysuszyć przemoczonych ubrań. Jako że zostaliśmy przysypani w środku, wymyślone przez Fita „maszynki” do topienia wody były bezużyteczne, więc jedynym sposobem złagodzenia pragnienia było gryzienie kawałków brudnego śniegu, na którym czołgaliśmy się i sypialiśmy. Większym problemem był głód. Nie mając dostępu do pozostawionych na zewnątrz zwłok, byliśmy pozbawieni pokarmu i szybko zaczęliśmy słabnąć. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że ciała ofiar lawiny leżą w zasięgu ręki, ale nie od razu zmierzylśmy się z problemem ćwiartowania ich. Do tej pory wycinanie mięsa odbywało się poza kadłubem i nikt poza wykonawcami nie musiał tego oglądać. Nigdy nie wiedzieliśmy, z czyjego ciała pochodzi nasz posiłek. Ponadto, leżąc przez tyle dni pod śniegiem, tamte zwłoki zamarzły na kość i łatwiej je było traktować jak martwe przedmioty. Nie można było jednak zdepersonalizować w ten sposób ciał wewnątrz kadłuba. Ledwie dzień wcześniej były jeszcze ciepłe i pełne życia. Jakże mogliśmy jeść mięso, które trzeba było

wykrawać na naszych oczach z niedawno zmarłych? Bez słów zgodziliśmy się, że raczej przeczekamy burzę, głodując. Ale 31 października, trzeciego dnia spędzonego pod lawiną, zrozumieliśmy, że dłużej nie wytrzymamy. Obyło się bez większych dyskusji. Fito znalazł kawałek szkła, odgarnął śnieg z jednego z ciał i zaczął ciąć. To była makabra - patrzeć, jak wykrawa plasterki z przyjaciela, słuchać cichych odgłosów szkła rozrywającego skórę i piłującego mięśnie. Kiedy Fito podał mi kawałek, poczułem odrazę. Dotychczas mięso przed jedzeniem suszyliśmy na słońcu, co łagodziło smak i czyniło je znośniejszym w dotyku, ale skrawek, który wręczył mi teraz, był miękki i tłusty, pokryty krwią i drobinami

P45

wilgotnej chrząstki. Wkładając go ust, poczułem skurcz w gardle, i musiałem użyć całej siły woli, by go przełknąć. Fito musiał nakłaniać wielu innych do jedzenia - wepchnął nawet siłą kilka kawałków do ust swemu kuzynowi Eduardo. Niektórych jednak, w tym Numa i Coche, którzy nawet w najbardziej sprzyjających warunkach ledwo potrafili strawić ludzkie mięso, nie dało się przekonać do jedzenia. Szczególnie niepokoił mnie upór Numa. Został wybrany na uczestnika ekspedycji, a im dłużej obserwowałem jego zachowanie, tym bardziej liczyłem, że będę miał go przy sobie podczas naszej wyprawy.

- Numa - powiedziałem - musisz jeść. Będziemy cię potrzebować, kiedy stąd wyruszymy. Musisz zachować siły.

Skrzywił się i pokręcił głową.

- Do tej pory ledwo przetykałem to mięso - wyjaśnił. - Nie zniosę tego w ten sposób.

- Pomyśl o swojej rodzinie - zacząłem z innej beczki. - Jeśli chcesz ich jeszcze zobaczyć, musisz jeść.

- Przykro mi, Nando - odparł, odwracając się ode mnie. - Po prostu nie mogę.

Rozumiałem, że za odmową Numa kryje się coś więcej niż zwykłe obrzydzenie. Miał po prostu dość tych okropności, a jego odmowa jedzenia była buntem przeciw nieuniknionemu koszmarowi, jakim stało się nasze życie. Czułem to samo. Kto przetrwałby tyle potworności, jakie musieliśmy tu znosić? Co zrobiliśmy, żeby zasłużyć na takie nieszczęście? Jakie było znaczenie naszego cierpienia? Czy nasze życie miało jakąś wartość? Jaki Bóg mógłby być tak okrutny? Pytania te dręczyły mnie bezustannie, ale podświadomie czułem, że to niebezpieczne myśli. Mogły doprowadzić tylko do bezpłodnej wściekłości, która szybko przeradza się w apatię. W tym miejscu apatia oznaczała śmierć, zatem odpędzałem te pytania, przywołując myśli o pozostałej w domu rodzinie. Wyobrażałem sobie siostrę Gracielę z jej malutkim synkiem. Tak bardzo chciałem być dla niego wujem. Nadal miałem czerwone buciki, które moja matka kupiła mu w Mendozie, i widziałem w duchu, jak wsuwam je na jego małe stopki, całuję w główkę i szepczę: Yo soy su tío, Nando. Myślałem o babci Linie, mającej błyszczące niebieskie oczy i kochający uśmiech mojej matki. Ile bym dał, żeby poczuć jej uścisk w tym strasznym miejscu. Myślałem nawet o moim psie Jimmym, swawolnym bokserze, który chodził ze mną wszędzie. Pękało mi serce na myśl, że leży tam smutny na moim pustym łóżku albo czeka przy drzwiach frontowych na mój powrót do domu. Myślałem o przyjaciółach z Montevideo. Marzyłem o odwiedzeniu ulubionych miejsc.

Wspominałem wszystkie rozrywki - pobyty na plaży, mecze piłkarskie i wyścigi samochodowe, przyjemność spania we własnym łóżku i kuchnię pełną jedzenia. Czy rzeczywiście był taki czas, kiedy otaczały mnie podobne skarby, kiedy miałem w zasięgu ręki tyle szczęścia? Wszystko to wydawało się teraz tak odległe, tak nierzeczywiste. Kiedy dygotałem na lepkim śniegu, zdesperowany i zmuszony żuć surowe i wilgotne grudki mięsa wykrawane na moich oczach z ciał zmarłych przyjaciół, trudno było uwierzyć w cokolwiek z tego, co składało się na moje życie przed katastrofą. W takich chwilach zmuszałem się do myślenia o ojcu i obiecywałem raz jeszcze, że nigdy nie zaprzestamę walki o powrót do domu. Czasem przynosiło to nadzieję i spokój, ale często, gdy spoglądałem na nasz żalony stan oraz otaczające nas okropności, trudno mi było cofnąć się w myślach do szczęśliwego życia, które

przedtem wiodłem, i po raz pierwszy obietnica dana ojcu zaczęła brzmieć pusto. Śmierć zbliżała się coraz bardziej, jej fetor nasilał się wokół mnie. W naszym cierpieniu było teraz coś wstrętnego i obrzydliwego, jakieś mroczne zepsucie, które zatruwało mi duszę. W górach miałem bardzo

W

niewiele snów - rzadko spałem dość głęboko, by śnić - ale pewnej nocy, pod lawiną, zobaczyłem we śnie samego siebie, jak leżę na plecach z rozrzuconymi na boki rękoma. Oczy miałem zamknięte. „Czy umarłem? - zapytałem. - Nie, mogę myśleć, jestem przytomny”. Stała nade mną jakaś mroczna postać.

- Roberto? Gustavo? Kim jesteś? Kto tu jest?

Żadnej odpowiedzi. Zobaczyłem, jak coś błysnęło postaci ręką i zdałem sobie sprawę, że trzyma odłamek szkła. Staralem się wstać, ale nie mogłem się poruszyć.

- Odejdź ode mnie! Kim, u diabła, jesteś? Co ty robisz?

Postać przykłęka przy mnie i zaczęła mnie kroić odłamkiem szkła. Brała kawałeczki ciała z mojego przedramienia i podawała innym postaciom stojącym za nią.

- Przestań! - krzyknąłem. - Przestań ciąć, jestem żywy! Pozostali włożyli kawałki do ust. Zaczęli żuć.

- Nie! Jeszcze nie! - wołałem. - Nie króćcie mnie!

Obcy działał dalej, tnąc moje ramię. Zdałem sobie sprawę, że mnie nie słyszy. Potem uprzytomniłem sobie, że nie czuję bólu.

- O Boże! Czy jestem martwy? Och, nie, proszę, Boże, proszę...

Chwilę potem zbudziłem się gwałtownie.

- Wszystko w porządku, Nando? - To był Gustavo, leżący obok. Serce mi łomotało.

- Miałem koszmarne sen - wyjaśniłem.

- W porządku - odparł. - Już się obudziłeś.

Tak, powiedziałem sobie, już się obudziłem. Wszystko jest świetnie.

* * *

W dniu 31 października, trzeciego dnia pod lawiną, przypadały dziewiętnaste urodziny Carlitosa. Leżąc obok niego we

48

wraku tamtej nocy, obiecałem mu, że urządzimy mu imprezę po powrocie do domu.

- Ja mam urodziny 9 grudnia - powiedziałem. - Pojedziemy wszyscy do domu mego ojca w Punte del Este i uczymy wszystkie zaległe okazje.

- Skoro mowa o urodzinach - powiedział - jutro obchodzą je mój ojciec i siostra.

Myślałem o nich, teraz jestem pewien, że znowu ich zobaczę. Bóg ocalił mnie podczas katastrofy i podczas lawiny. Pewnie chce, żebym przeżył i wrócił do rodziny.

- Sam już nie wiem, co teraz myśleć o Bogu - odparłem.

- Czyżbyś nie czuł, jak blisko nas jest Bóg? - zapytał. - Tak mocno czuję tu jego obecność. Spójrz, jakie spokojne są góry, jakie piękne. Bóg jest w tym miejscu, a gdy czuję jego obecność, wiem, że wszystko będzie w porządku.

Podobnie jak on dostrzegałem piękno w tych górach, dla mnie jednak było to piękno zabójcze, a my byliśmy na nim skazą, którą góra chciała wymazać. Zastanawiałem się, czy Carlitos rzeczywiście rozumie, w jakie wpadliśmy tarapaty, mimo to podziwiałem go za odwagę bycia optymistą.

- Jesteś silny, Nando - powiedział. - Uda ci się. Znajdziesz pomoc.

Nie odezwałem się. Carlitos zaczął się modlić.

- Carlitos, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - szepnąłem. A potem spróbowałem usnąć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na wschód

ankiem 1 listopada śnieżycy wreszcie ustała. Niebo kbyło bezchmurne, a słońce świeciło mocno, więc kilku chłopaków wspięto się na dach wraku, żeby stopić śnieg na wodę do picia. Reszta zabrała się do usuwania zwałów śnieżnych, które zatarasowały wnętrze samolotu. Oczyszczenie kadłuba zajęło osiem dni. Dziabaliśmy twarde jak kamień śnieg kruchymi plastikowymi szuflami, przekazując każdą porcję przez kabinę, z ręki do ręki, aż można ją było wyrzucić na zewnątrz. Jako przyszły członek ekspedycji byłem oficjalnie zwolniony z tej mordęgi, mimo to nie uchylałem się od pracy. Teraz, gdy wybraliśmy już dzień wymarszu, nie mogłem odpoczywać. Musiałem się czymś zająć z obawy, że chwile próżniactwa osłabiają moje postanowienie albo doprowadzą mnie do szaleństwa.

Podczas gdy my działaliśmy, żeby z kadłuba samolotu zrobić znowu miejsce nadające się do zamieszkania, pozostali uczestnicy przyszłej ekspedycji, Numa, Fito i Roberto, przygotowywali się do wyprawy. Zrobili sanki, mocując nylonowy pasek do połówki walizki z twardego plastiku, i załadowali na nie wszystko, co uznali za przydatne podczas marszu - nylonowe pokrycia na fotele zamiast koców, wymyślone przez Fita rakiety śnieżne z poduszek od siedzeń, butelkę, w której mieliśmy topić śnieg, oraz inny ekwipunek. Roberto

150
przygotował dla nas plecaki: związał nogawki spodni i przyszył do nich nylonowe paski w taki sposób, że mogliśmy je zarzucić na plecy. Do plecaków spakowaliśmy resztę wyposażenia, zostawiając jednak miejsce na mięso, które Fito z kuzynami wykrawali dla nas i chłodzili w śniegu. Wszyscy z uwagą obserwowaliśmy pogodę, wyczekując oznak nadejścia wiosny, a w drugim tygodniu listopada wydawało się, że zima jakby zelżała. Na słońcu było przyjemnie ciepło, nawet do dziesięciu stopni. Ale w chmurne dni bywało nadal zimno i nawet lekki wiaterek mroził powietrze. Noce były wciąż przejmująco chłodne, a burze nadal przewalały się przez góry, często zupełnie nieoczekiwanie. Największy niepokój budziła we mnie myśl, że zostaniemy uwięzieni podczas śnieżycy na otwartym terenie.

W pierwszym tygodniu listopada postanowiliśmy włączyć do wyprawy Antonia Vizintina. Antonio, czyli „Tintin”, jak go nazywaliśmy, należał do najsilniejszych spośród nas. Barczysty, z nogami jak pnie drzewa, był jednym z filarów młyna Starych Chrześcijan, grał na tej pozycji z siłą byka. Miał też byczy temperament, potrafił być równie wybuchowy i apodyktyczny jak Roberto, a martwiłem się, że zmaganie się z górami w towarzystwie tych dwóch wielkich realistów może stać się receptą na katastrofę. Ale Tintin nie był tak skomplikowany jak Roberto, nie miał jego szalonego ego i nie czuł potrzeby mówienia innym, co mają robić. W kategoriach siły fizycznej znosił tygodnie pobytu na górze równie dobrze, jak każdy z nas, i mimo moich niepokojów, rad byłem, że do nas dołączył, bo sądziłem, że przy pięciu osobach zamiast czterech rosną szansę na to, że przynajmniej jedna zdoła się przedrzeć. Ledwie jednak zespół zyskał nowego uczestnika, straciliśmy innego, bo Fito dostał takiego ataku hemoroidów, że krew spływała mu po nogach, a przejście choćby kawałka stało się

151

męczarnią. W takim stanie nie mógł maszerować przez góry, uzgodniliśmy więc, że pójdziemy bez niego, tylko we czwórkę. W miarę jak zbliżał się dzień naszego wymarszu, czułem, że nastrój w grupie się poprawia wraz ze wzrostem zaufania w powodzenie naszej

misji. Nie podzielałem ich pewności siebie. Nadal wiedziałem w duchu, że jedynym sposobem wydostania się z tych gór jest wspinaczka po zboczach, ku przerażającym szczytom wznoszącym się od zachodu, ale nie sprzeciwiałem się decyzji pozostałych, chcących pójść drogą na wschód. Powiedziałem sobie, że w najgorszym razie łatwiejszy szlak na wschód będzie dobrym treningiem przed trudniejszą przyszlą trasą. W gruncie rzeczy, myślę, że sprawa wyglądała jeszcze prościej. Zbyt długo tłumilem w sobie niepokoje i niezdolność potrzebę ucieczki. Nie mogłem wytrzymać ani chwili dłużej na miejscu katastrofy. Myśl o odejściu stamtąd, nieważne w jakim kierunku, była zbyt nieodparta. Jeśli inni upierali się przy kierunku wschodnim, pójdę z nimi. Zrobię wszystko, by znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj. W głębi duszy wiedziałem jednak, że ta wyprawa to co najwyżej preludium, a martwiło mnie, że stracimy cenny czas. Wszyscy robiliśmy się coraz słabsi, a kilku opadało z sił w alarmującym tempie. Coche Inciarte należał do najsłabszych. Ten wieloletni wielbiciel Starych Chrześcijan trzymał się raczej w cieniu. Znany był z tego, że wycygał papierosy i pakował się na najcieplejsze miejsca do spania, ale zawsze robił to z wielkim wdziękiem i trudno go było nie lubić. Coche miał otwartą i przyjazną naturę, cięty dowcip i czarujący uśmiech. Jego jowialny sposób bycia poprawiał nam nastroje nawet w najbardziej mrocznych chwilach, a delikatny humor stanowił dobry bufor wobec co bardziej agresywnych członków grupy. Rozpraszać napięcia i prowokując nas do uśmiechu, Coche pomagał na swój sposób wszystkim utrzymać się przy życiu.

/52

Podobnie jak Numa, należał do tych, którzy odmówili jedzenia, kiedy zaczęliśmy wykrawać mięso z ciał zmarłych. Po kilku dniach zmienił zdanie, ale myśl o spożywaniu ludzkiego mięsa budziła w nim nadal taką odrazę, że wciąż nie potrafił wmusić w siebie dość pokarmu, by zachować siły. Wychudł straszliwie, a jego układ odpornościowy został tak osłabiony, że organizm nie potrafił już zwalczać infekcji. W rezultacie drobne skaleczenia na jego chudych jak patyki nogach uległy zakażeniu i pojawiły się wielkie, zaognione czyraki.

- No i jak? - zapytał mnie, podciągając do kolana nogawkę spodni i kręcąc kokietyrnie łydką. - Szczuplutka, co? Poleciałbyś na panienkę z takimi nogami?

Musiał bardzo cierpieć z powodu tych zaognionych ran na nogach, a wiedziałem, że jest równie przestraszony i słaby jak każdy z nas, ale mimo to pozostawał sobą i nadal potrafił mnie rozbawić.

Choć z Coche nie było dobrze, wyglądało na to, że znacznie gorzej jest z Royem Harleyem. Jemu także trudno było jeść ludzkie mięso, dlatego ten wysoki, barczysty chłopak szybko tracił tkankę mięśniową. Chodził teraz przygarbiony, niepewnym krokiem, jakby jego kości były kruchym zestawem patyków. Także jego stan psychiczny ulegał pogorszeniu. Zawsze był dzielny i nieustępliwym graczem Starych Chrześcijan, ale góra wypaliła go emocjonalnie, zdawał się teraz żyć ustawicznie na krawędzi hysterii, płakał z byle powodu, kwilił jak dziecko, zawsze z twarzą ściągniętą grymasem lęku i skrajnej rozpacz.

Wielu młodszych chłopaków słabło, zwłaszcza Moncho Sa-bella, ale najgorzej było z Arturem i Rafaelem. Choć Rafael straszliwie cierpiał od pierwszych chwil po katastrofie, nie utracił wojowniczego ducha. Pozostał odważny i arogancki,

153

i nadal każdy dzień rozpoczynał od głośnej proklamacji swojej woli przeżycia, z której wszyscy czerpaliśmy siłę. Arturo z kolei stał się jeszcze spokojniejszy i bardziej introspektywny, a gdy przysiadalem przy nim teraz, czułem, że zbliża się do kresu swej walki.

- Arturo, jak się czujesz?

- Tak mi zimno, Nando - powiedział. - Ból mi zbytnio nie dokucza. Nie czuję już nóg.

Trudno mi oddychać.

Jego głos robił się słaby i cichy, ale oczy mu błyszczały, kiedy gestem przywołał mnie bliżej i oznajmił z łagodnym zniecierpliwieniem:

- Wiem, że zbliżam się do Boga. Czasem czuję tak blisko jego obecność. Wyczuwam jego miłość, Nando. Tyle miłości, że chce mi się krzyczeć.
 - Arturo, spróbuj wytrzymać.
 - Nie sądzę, żeby to dla mnie jeszcze długo potrwało -odparł. - Czuję, jak On mnie przywołuje. Niebawem spotkam Boga, a wtedy poznam odpowiedzi na wszystkie twoje pytania.
 - Arturo, przynieść ci wody?
 - Nando, chciałbym, byś pamiętał, że nasze życie, nawet w tym miejscu, ma sens. Nasze cierpienie nie jest daremne. Nawet jeśli zostaliśmy tu uwięzieni na zawsze, możemy kochać nasze rodziny i Boga, i siebie wzajemnie, dopóki żyjemy. Nawet w tym miejscu nasze życie warte jest tego, by je przeżywać.
- Kiedy to mówił, jego twarz była rozświetlona. Milczałem w obawie, że głos mi się załamie, gdybym spróbował się odezwać.
- Powiesz mojej rodzinie, że ich Kocham, dobrze? Teraz tylko to się dla mnie liczy.
 - Sam im to powiesz.

Arturo uśmiechnął się na to kłamstwo.

- Jestem już gotów, Nando - podjął. - Wypowiadałem się Bogu. Moja dusza jest czysta. Umrę bez grzechów.
- Co ty gadasz? - Roześmiałem się. - Myślałem, że nie wierzysz w Boga, który przebacza grzechy.

Arturo spojrzał na mnie i zdobył się na wątpliwy, autoironiczny uśmiešek.

- W takiej sytuacji - wyjaśnił - rozsądne wydaje się uwzględnienie wszystkich możliwości. W ciągu pierwszego tygodnia listopada Arturo robił się coraz słabszy i bardziej nieobecny. Jego najbliższy przyjaciel Pe-dro Algorta przez cały ten czas trzymał się blisko niego, przynosząc wodę, dbając, by było mu ciepło, i modląc się wraz z nim. Pewnej nocy Arturo zaczął cicho płakać. Kiedy Pedro spytał, czemu szlocha, odparł z nieobecnym spojrzeniem:
- Bo jestem tak blisko Boga.

Nazajutrz dostał wysokiej gorączki. Przez dwie doby był w delirium, tracąc okresowo przytomność. Ostatniego dnia pomogliśmy mu zejść z hamaka, żeby mógł spać obok Pedra. Gdzieś przed świtem Arturo Nogueira, jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich znałem, zmarł spokojnie w ramionach swego najlepszego przyjaciela.

Rankiem 15 listopada Numa, Roberto, Tintin i ja stanęliśmy przed wrakiem naszego samolotu, spoglądając w dół doliny, która opadała ku wschodowi. Numa był obok mnie i choć próbował to ukryć, widziałem, że cierpi. Od zejścia lawiny zmuszał się do jedzenia, mimo całej odrazy, wiedząc, że będzie potrzebował sił na czas wyprawy. Jednak podobnie jak Coche nie potrafił strawić więcej niż kilka kawałków naraz, czasem nie mógł przełknąć ani jednego, i chociaż zachował

I 55

silną wolę, jasne było, że jego ciało słabnie. Kilka dni wcześniej ktoś przeciskający się w nocy przez ciemny kadłub nadepnął mu na łydkę. Szybko pojawił się paskudny siniak, a gdy Roberto zobaczył, jak noga bardzo spuchła, poradził mu wycofać się z ekspedycji. Numa zapewniał go, że ten siniak to drobiazg, i zdecydowanie obstawał przy swoim udziale.

- Jak się czujesz? - zapytałem go, kiedy zebraliśmy swoje rzeczy i pożegnaliśmy się z innymi. - Pewien jesteś, że możesz iść z tą nogą?

Numa wzruszył ramionami.

- To nic takiego - powiedział. - Będzie w porządku. Kiedy ruszyliśmy w dół zbocza, niebo było zachmurzone,

a powietrze chłodne, ale wiał lekki wiatr, więc mimo wszystkich moich wątpliwości co do tej wyprawy na wschód dobrze się czułem, odchodząc ostatecznie z miejsca katastrofy. Początkowo schodziliśmy w dobrym tempie, ale po jakiejś godzinie marszu niebo pociemniało, temperatura spadła, a wokół nas gwałtownie wirowały spirale śniegu. W mgnieniu oka ogarnęła nas gwałtowna burza. Wiedząc, że liczy się każda sekunda, pobrnęliśmy z powrotem w górę zbocza i wpadliśmy do wraku, wystraszeni i przemarznięci, w chwili gdy burza przybrała rozmiary prawdziwej śnieżycy. Kiedy porywy wiatru zakołysały samolotem, wymieniliśmy z Robertem ponure spojrzenia. Rozumieliśmy bez słów, że gdyby rozpełtało się to parę godzin później, unieruchamiając nas bez osłony na otwartym zboczu, to już byłibyśmy martwi albo konający.

Śnieżycą, jedna z najgorszych, jakie przeżyliśmy podczas wszystkich tygodni pobytu w Andach, nie wypuszczała nas z kadłuba przez dwa długie dni. Kiedy czekaliśmy, aż ustanie, Roberto coraz bardziej niepokoił się stanem nogi Numa. Utworzyły się na niej teraz dwa wielkie wrzody, każdy prawie rozmiarów kuli bilardowej. Kiedy Roberto przeciął je

50

i oczyścił, zdał sobie sprawę, że Numa nie nadaje się do wyprawy w góry.

- Z twoimi nogami jest coraz gorzej - oznajmił. - Będziesz musiał zostać.

Po raz pierwszy podczas naszego pobytu na górze Numa wybuchnął gniewem.

- Moja noga jest okej! - wrzasnął. - Zniosę ból!

- Twoja noga uległa zakażeniu - rzekł Roberto. - Jeśli będziesz więcej jeść, twój organizm będzie miał dość sił, by zwalczyć infekcję.

- Nie zostanę tu!

Roberto spojrział na Numę i skonstatował w typowy dla siebie, obcesowy sposób:

- Jesteś za słaby. Będziesz tylko opóźniać marsz. Nie możemy sobie na to pozwolić.

Teraz Numa zwrócił się do mnie.

- Nando, proszę, dam radę. Nie każ mi zostawać. Pokręciłem głową.

- Numa, przykro mi - odparłem. - Zgadzam się z Robertem. Kiepsko z twoją nogą.

Powinieneś tu zostać.

Kiedy inni powiedzieli to samo, Numa poczuł się bardzo urażony i zamknął się w sobie.

Rozumiałem, jak bardzo pragnie być z nami, i jak trudno mu będzie patrzeć, jak wyruszamy.

Wiedziałem, że sam nie zniósłbym podobnego rozczarowania. Miałem tylko nadzieję, że niepowodzenie to nie załamie go psychicznie.

Śnieżycą wreszcie ustała i kiedy zbudziliśmy się rankiem 17 listopada, był pogodny, spokojny dzień. Bez wielkiej pompy Roberto, Tintin i ja zebraliśmy rzeczy i wyruszyliśmy znowu w dół zbocza, tym razem w jasnym słońcu i przy lekkim

157

wietrze. Niewiele rozmawialiśmy. Szybko wszedłem w rytm marszu i przez kolejne kilometry jedynym dźwiękiem było chrzęszczenie moich butów do rugby na śniegu. Roberto, który ciągnął sanki, wysunął się naprzód, a po jakiejś półtorej godzinie wędrówki usłyszałem jego okrzyk. Stał na wielkich zwałach śniegu, a kiedy doszliśmy do niego i spojrzeliśmy dalej, zobaczyliśmy, co pokazuje - kilkaset metrów przed nami leżały szczątki ogonowej części naszego fairchilda. Dotarliśmy do nich po paru minutach. Wszędzie porozrzucane były walizki, rozrywaliśmy je, chcąc się dostać do zamkniętych tam skarbów: skarpet, swetrów, ciepłych spodni. Z radością zerwaliśmy z siebie zniszczone, brudne łachy i włożyliśmy czyste ubrania.

Wewnątrz ogona znaleźliśmy kolejne bagaże, także pełne ubrań. W torbach było też trochę rumu, pudełko czekoladek i trochę papierosów. Niewielka kuchnia fairchilda również mieściła się w ogonie. Trafiliśmy tam na trzy paszteciki z mięsem, które pochłonęliśmy natychmiast, oraz zapleśniałe kanapki w folii plastikowej, które zachowaliśmy na później.

Cała ta nieoczekiwana zdobycz tak nas podekscytowała, że prawie zapomnieliśmy o bateriach do radia, które według Carlosa Roque miały być gdzieś w ogonie samolotu. Po krótkich poszukiwaniach znaleźliśmy je we wnęce przy włączniku w zewnętrznej powłoce kadłuba. Były większe, niż się spodziewałem. W ładowni za kuchnią znaleźliśmy też kilka pustych drewnianych skrzynek po coca-coli, które wynieśliśmy na zewnątrz, by rozpaścić ognisko. Roberto upiekł część przyniesionego mięsa, które zjedliśmy z wielkim apetytem. Obrawszy z pleśni kanapki, także je pochłonęliśmy. Kiedy zapadła noc, poszliśmy spać do ogonowej części fairchilda. Ładownia była luksusowo przestronna i ciepła. Od czasu katastrofy nigdy nie spało mi się tak dobrze. Rankiem kusilo

158

nas, żeby zostać dłużej w tej przytulnej kwaterze, ale wspomnieliśmy pozostałych towarzyszy i nadzieje, jakie wiązali z naszą wyprawą, zatem wkrótce po przebudzeniu znów ruszyliśmy na wschód.

Tego ranka padał śnieg, ale później niebo się przejaśniło, słońce ogrzewało nam barki i intensywnie się pociliśmy w ciepłych ubraniach. Po tylu tygodniach spędzonych w lodowatym zimnie ten nagły upał szybko nas wyczerpał, dlatego w południe musieliśmy odpocząć w cieniu skalnego występu. Zjedliśmy trochę mięsa i popiliśmy wodą ze stopionego śniegu, ale nawet wtedy żaden z nas nie miał tyle energii, by iść dalej i postanowiliśmy zabiwakować przez noc pod skałą.

Po południu słońce świeciło jeszcze mocniej, ale o zachodzie temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Wykopaliliśmy sobie schronienie w śniegu i owinęliśmy się kocami, ale gdy ogarnął nas chłód nocy, wszystko to nie zdało się na nic. Był to mój pierwszy nocleg poza wrakiem samolotu i wystarczyło parę chwil, bym zrozumiał, jak strasznie Gustavo, Numa i Ma-spons musieli cierpieć podczas długiej nocy spędzonej na odkrytym zboczu. Nasza nie była wcale lepsza. Mróz był dojmujący, bałem się, że krew mi zamarznie w żyłach. Obejmując się wzajemnie w poszukiwaniu ciepła, dygotaliśmy wszyscy. Odkryliśmy, że ułożenie się na kształt kanapki - jeden między dwoma pozostałymi - pozwala ogrzać tego środkowego. Leżeliśmy tak godzinami, zmieniając się miejscami, i choć wcale nie spaliśmy, dotrwaliliśmy do świtu. Kiedy wreszcie nastał ranek, wypęziliśmy z naszego marnego schronienia, by ogrzać się w pierwszych promieniach słońca, osłupieni tym, co przeżyliśmy, i zdumieni, że jeszcze żyjemy.

- Nie przetrwamy następnej takiej nocy - oświadczył Roberto. Patrzył na wschód, na góry, które w miarę naszej wędrówki zdawały się coraz większe i bardziej odległe.

15Q

- O czym myślisz? - zapytałem.

- Nie sądzę, by ta dolina w ogóle skręcała na zachód - powiedział. - Zagłębiamy się tylko w Kordyliere.

- Może masz rację - przyznałem. - Tamci na nas liczą. Może powinniśmy pójść trochę dalej. Roberto zmarszczył brwi.

- To beznadziejne! - warknął. Usłyszałem, jak jego głos przechodzi w ten gniewny falset. - Co im to da, jak zginiemy?

- Cóż zatem mamy robić?

- Wyjmijmy baterie z ogona i zabierzmy do fairchilda - odparł. - Możemy je pociągnąć na sankach. Jak nam się uda uruchomić radio, zdołamy się uratować, nie ryzykując życia.

Moje zaufanie do radia było nie większe niż do perspektywy marszu na wschód, ale powiedziałem sobie, że musimy sprawdzić każdą ewentualność, nawet najmniej prawdopodobną. Zabraliśmy więc rzeczy i wróciliśmy do ogona fairchilda. Wyjęcie baterii z samolotu i załadowanie na nasze sanki potrwało tylko parę chwil. Ale gdy Roberto spróbował je pociągnąć, zaryły się głęboko w śniegu i ani drgnęły.

- Cholera, za ciężkie - powiedział. - Nie damy rady przeciągnąć ich pod górę do samolotu.

- Nie możemy ich przecież nieść - odparłem. Roberto pokręcił głową.
- Nie. Ale możemy wymontować radio i przywieźć je tutaj - oznajmił. - Weźmiemy ze sobą Roya. Może zdoła podłączyć je do baterii.

Nie spodobał mi się ten pomysł. Byłem pewien, że uszkodzeń radia nie da się naprawić, obawiałem się przy tym, że próby uruchomienia go odciągną Roberta od tego, co, jak rozumieliśmy teraz jaśniej niż kiedykolwiek, było dla nas jedyną szansą przeżycia - wspinaczki na góry wznoszące się od zachodu.

IÓÓ

1972: Drużyna rugby - Klub Rugby Starych Chrześcijan, NANDO PARRADO stoi (czwarty od lewej). 1972: Radość ocalałych podczas akcji ratunkowej.

4

22 grudnia 1972: Ostatnia noc w samolocie spędzona z ekipą ratowników.

Od lewej do prawej: ADOLFO STRAUCH, GUSTAW) ZERBINO, BOBBY FRANCOIS, ROY HARLEY, ALFREDO DELGADO, RAMON SABELLA.

Kadr z filmu „Alive: dramat w Andach” wyprodukowanego w 1993 roku przez firmę DISNEY.

22 grudnia 1972:

Koledzy z drużyny

ROBERTO CANESSA (z prawej)

i FERNANDO PARRADO (z lewej)

z pasterzem,

Sergio Catalanem Martinezem, który wszczął alarm.

22 grudnia 1972: Ocalaty ROBERTO CANESSA.

ROBERTO CANESSA wskazuje trasę, którą wraz z FERNANDO PARRADO

pokonali, by sprowadzić pomoc.

23 grudnia 1972: FERNANDO PARRADO i CARLITOS PAEZ w objęciach ojca PAEZA tuż po wylądowaniu na lotnisku LOS MAITENES, CHILEON.

22 grudnia 1972: Ocalały z katastrofy podtrzymywany przez chilijskiego żołnierza po przybyciu do San Fernando.

Grudzień 1972: BOBBY FRANCOIS, szpital w SAN RAFAEL, CHILE.

- Naprawę sądzisz, że zdołamy je uruchomić? - zapytałem.
- Skąd mam wiedzieć? - zachnął się. - Ale warto spróbować.
- Martwię się, że stracimy za dużo czasu...
- Musisz się o wszystko spierać? - huknął. - To radio może ocalić nam życie.
- Zgoda - powiedziałem. - Pomogę ci. Ale jak nie zadziała, wspinamy się. Umowa stoi?

Roberto skinął głową. Pozwoliliśmy sobie jeszcze na dwie luksusowe noce w ładowni fairchilda, a po popołudniu 21 listopada wyruszyliśmy stamtąd, pnąc się z powrotem do wraku. Droga w dół doliny z miejsca katastrofy była łatwa, tak łatwa, że nie doceniłem stopnia nachylenia zboczy. Teraz, po ledwie kilku minutach marszu pod górę, znaleźliśmy się u granic wytrzymałości. Stok był miejscami nachylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a śnieg sięgał często po pas. Zmaganie się z górą szybko mnie wyczerpało. Dyszałem ciężko, plecy zmęczone mięśnie, po każdym kilku krokach musiałem odpoczywać pół minuty. Posuwaliśmy się straszliwie powoli. Zejście od kadłuba do ogona fairchilda trwało niespełna dwie godziny, powrót miał nam zająć dwa razy tyle.

Na miejsce katastrofy dotarliśmy późnym popołudniem, gdzie czekało nas ponure powitanie.

Wyruszyliśmy przed sześcioma dniami, nasi towarzysze liczyli, że jesteśmy już blisko cywilizacji. Nasz powrót zniweczył te nadzieje, ale nie był to jedyny powód ich marnego humoru. Podczas naszej nieobecności zmarł Rafael Ecchevarran.

- Pod koniec zaczął majaczyć - opowiadał mi Carlitos. -Wciąż wzywał ojca, żeby go stąd zabrał. Jego ostatniej nocy pomodliłem się z nim, co go trochę uspokoiło. Kilka godzin

IÓI

później zaczął ciężko dyszeć, potem zmarł. Próbowaliśmy z Gustavem reanimacji, ale było już za późno.

Śmierć Rafaela okazała się dotkliwym ciosem. Stał się dla nas takim symbolem odwagi i uporu, że jego odejście po całej tej dzielnej walce stanowiło kolejny argument na rzecz przekonania, że prędzej czy później ta góra upomni się o każdego z nas. Czyżby nasze cierpienia nie miały żadnego sensu? Jeden walczy dzielnie i odchodzi, inny wcale nie walczy i nadal żyje? Od zejścia lawiny kilku chłopaków uczepiło się przekonania, że Bóg ocalił dziesięć z nas z tej katastrofy, bo zostaliśmy wybrani, aby przeżyć. Odejście Rafaela osłabiło wiarę, że Bóg w ogóle zwraca na nas uwagę.

Kiedy rozlokowaliśmy się tamtej nocy w kadłubie, Roberto wyjaśnił, dlaczego wróciliśmy.

- Droga na wschód jest do niczego - powiedział. - Prowadzi jeszcze głębiej w góry. Ale trafiliśmy na część ogonową fairchilda, z większością bagażu. Przynieśliśmy ciepłe ubrania dla wszystkich. I mnóstwo papierosów. Ale co najważniejsze, znaleźliśmy te baterie.

Pozostali słuchali w milczeniu, kiedy wyjaśniał plan naprawy radia pokładowego. Wszyscy się zgodzili, że warto tego spróbować, choć ich reakcja była mało entuzjastyczna. Ich oczy przybrały teraz jakiś nowy wyraz - znużonej akceptacji. Niektórzy mieli przymglone, nieobecne spojrzenie, jakie widziałem na zdjęciach osób, które przeżyły obozy koncentracyjne. Jeszcze parę tygodni temu wszyscy byli tryskającymi energią młodymi ludźmi. Teraz chodzili chwiejni i przygarbieni, niczym słabi starcy, a ich ubrania zwisały luźno na sterczących kościach bioder i ramion. Coraz bardziej przypominali żywe trupy, a wiedziałem, że sam wyglądam nie lepiej. Czułem, że ich nadzieja wygasa, i trudno ich było za to winić. Tyle przecierpieliśmy, a przyszłość zapowiadała się

I O2

dość kiepsko - Rafael zmarł mimo dzielnego oporu. Nasza wyprawa na wschód nie powiodła się. Dwie próby zdobycia gór od zachodu omal nie zakończyły się katastrofą. Wydawało się, że każde drzwi, przez które chcieliśmy przejść, zatraskiwano nam przed nosem. Owszem, przytakiwali, powinniśmy spróbować z radiem. Ale najwyraźniej żaden z nich nie oczekiwał sukcesu.

Nazajutrz rano, 21 listopada, zabraliśmy się z Robertem do demontowania radia fairchilda. Kokpit pełen był tarcz, przetyczek i skomplikowanych instrumentów, a przy naszej ignorancji musieliśmy się sporo nagłówekować, żeby zgadnąć, co może być częścią radia, a co nie. Wreszcie ustaliliśmy, że składa się ono z dwóch części, jednej przymocowanej do pulpitu kabiny pilotów i drugiej - ukrytej za plastikową płytą w ścianie przedziału bagażowego. Część na pulpicie, do której podłączono słuchawki i mikrofon, dała się łatwo wyjąć po odkręceniu kilku śrub. Druga, wsunięta w ciemne, ciasne i płytkie zagłębienie w ścianie, była mocniej przytwierdzona i znacznie trudniej ją było wymontować. Manipulując niezręcznie palcami i kawałkami plastiku i metalu, które służyły nam za narzędzia, usiłowaliśmy rozluźnić śruby i zaciski utrzymujące nadajnik na miejscu, ale dopiero po dwóch pełnych frustracji dniach udało nam się zdjąć go ze ściany. Kiedy uwolniliśmy go ostatecznie i postawiliśmy obok części z kokpitu, pojąłem daremność naszych wysiłków.

- Carajo! - wrzasnąłem. - Spójrz na ten bajzel!

Z tylnej części obu elementów sterczała szalona płatanina cienkich przewodów elektrycznych.

- Roberto, to niemożliwe! Jak mamy połączyć wszystkie te kable?

Roberto zignorował mnie i starannie przeliczył przewody obu części.

63

- Z tyłu tej części wychodzi sześćdziesiąt siedem przewodów - powiedział. - Także sześćdziesiąt siedem wychodzi z nadajnika.

- Ale który łączy się z którym? - zapytałem. - To niemożliwe! Zbyt wiele kombinacji.
- Widzisz te oznaczenia? - podjął. - Każdy przewód ma inne. Powiedzą nam one, które kable połączyć.
- Sam nie wiem, Roberto - zawahałem się - tracimy tyle czasu, a nawet nie wiemy, czy to radio nadal działa.

W jego oczach błysnął gniew.

- To radio może ocalić nam życie! - warknął. - Naszym obowiązkiem wobec siebie jest sprawdzić to, zanim wyruszymy, by błąkać się na oślep po górach, stawiając na kartę swoje życie.
- W porządku! W porządku! - uspokoiłem go. - Esta bien. Ale poprośmy Roya, by na to rzucił okiem.

Zawołałem Roya i pokazałem mu radio. Zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie sądzę, by dało się to uruchomić - orzekł.
- Uruchomimy to - oświadczył dobitnie Roberto. - Ty to uruchomisz.
- Nie dam rady! - zaprotestował Roy wysokim i przenikliwym głosem. - To zbyt skomplikowane... Nie mam zielonego pojęcia o takim radiu!
- Weź się w garść, Roy - rzekł Roberto. - Zawieziemy to do części ogonowej. Pójdiesz z nami. Uruchomimy je i wezwiemy przez nie pomoc.

Na te słowa oczy Roya rozszerzyły się z przerażenia.

- Nie pójdę tam! - wrzasnął. - Za słaby jestem! Spójrzcie na mnie! Ledwie chodzę. Proszę, nie przejdę do ogona i z powrotem!
- Przejdziesz, bo musisz - odparł Roberto.
- Ale tego radia nie da się uruchomić! - zawył Roy. - To niemożliwe!

Może i tak - przyznał Roberto - ale musimy spróbować, a tylko ty masz szansę to zrobić. Roy wykrzywił twarz i rozszlochał się. Przerażała go myśl o opuszczeniu kadłuba, a przez kolejne dni błagał każdego, kto chciał go słuchać, aby zwolniono go z tej misji. Fito i jego kuzyni byli nieustępliwi, nalegali, by poszedł. Kazali pomyśleć o dobru innych. Zmusili nawet, aby potrenował przed wymarszem, chodząc tam i z powrotem poza samolotem. Roy przystał na to niechętnie, ale często płakał, brnąc w śniegu.

Roy przeżywał katusze emocjonalne podczas pobytu na górze, ale sądzę, że w innych relacjach z naszych perypetii przedstawiono go niesprawiedliwie. Roy nie był tchórzem. Wiedziałem to na długo przed katastrofą, widząc, jak gra w rugby i jak przeżywa życie. W pierwszych dniach naszych przejść, kiedy miał jeszcze siły, był produktywnym członkiem grupy. Działał u boku Marcela, kiedy ten organizował nasze życie w samolocie bezpośrednio po wypadku, i pomagał mu zbudować ściankę, która chroniła przed mrozem. Nie mógłbym też zapomnieć, że gdyby nie szybka akcja Roya tuż po zejściu lawiny, wszyscy podusilibyśmy się pod śniegiem. Roy był bardzo młody. Rozumiałem, że cierpienia odebrały mu odwagę, a widać było, jak nasze przejścia wyniszczyły mu organizm. Był teraz chodzącym szkieletem, jednym z najchudszych i najsłabszych z nas i powinienem mieć dla niego tyle współczucia, co dla innych. Podczas naszego pobytu na górze rzadko wpadałem w gniew z powodu któregoś z towarzyszy niedoli. Rozumiałem lęki i stresy, jakie przeżywali, zwłaszcza młodszy chłopcy, nietrudno zatem było okazać im cierpliwość, kiedy strach czynił ich samolubnymi, leniwymi czy zaleknionymi. Roy cierpiał tyle samo co inni i zasługiwał na podobne

/Ó5

względy z mojej strony, ale w miarę jak tracił siły, a jego stan emocjonalny się pogarszał, do szafu doprowadzały mnie jego częste przejawy cierpienia i nie wiedzieć czemu, coraz trudniej mi było okazywać mu życzliwość. Dlatego kiedy błagał mnie, zrozpaczony, bym nie kazał mu iść z nami do ogona, nawet nie spojrzałem mu w oczy.

- Niedługo wyruszamy - warknąłem. - Lepiej się przygotuj. Roberto przez kilka dni badał radio, a kiedy czekałem, aż skończy, coraz bardziej niepokoiłem się o Nume. Odkąd wykluczyliśmy go ze składu wyprawy, załamał się psychicznie. Pogrążywszy się w ponurym milczeniu, był wściekły na siebie i swoje ciało, które zdradziło go w taki sposób. Stał się drażliwy i posępny, i, co gorsza, odmawiał jedzenia czegokolwiek. W rezultacie szybciej tracił na wadze, a stan wrzodów na jego nogach się pogarszał. Miał teraz dwa wielkie czyraki, większe niż piłka golfowa, oba wyraźnie zainfekowane. Znacznie bardziej martwił mnie jednak wyraz rezygnacji w jego oczach. Numa należał do najsilniejszych i najbardziej bezinteresownych z ocalałych i zmagał się nie mniej dzielnie od innych, aby utrzymać nas wszystkich przy życiu. Teraz jednak, kiedy nie mógł już dla nas walczyć i musiał się troszczyć tylko o siebie, zdawał się upadać na duchu. Pewnej nocy usiadłem przy nim, próbując dodać mu otuchy.

- Numa, zjesz coś dla mnie? - zapytałem. - Niedługo wyruszamy do ogona. Miło by było zobaczyć przed wyjściem, jak coś jesz.

Pokręcił słabo głową.

- Nie mogę. To dla mnie zbyt bolesne.

- To jest bolesne dla nas wszystkich - odparłem - ale musisz to zrobić. Pamiętaj, że to teraz nasze jedyne pożywienie.

- Jadłem przedtem tylko dlatego, żeby się wzmocnić przed drogą - powiedział. - Po co mam się teraz zmuszać?

166

- Nie poddawaj się - zachęcałem. - Trzymaj się. Wydostaniemy się stąd.

Numa potrząsnął głową.

- Nando, jestem taki słaby. Nie mogę nawet ustać. Długo już chyba nie pociągnę.

- Numa, nie mów tak. Nie umrzesz. Numa westchnął.

- W porządku, Nando - oświadczył. - Przyjrzałem się swojemu życiu i wiem, że nawet jeśli jutro umrę, i tak przeżyłem wspaniałe lata.

Roześmiałem się.

- Dokładnie to samo powtarzał Panchito - powiedziałem.

- I żył zgodnie z tymi słowami. Był zuchwały i dzielny. Uważał, że tak będzie zawsze. I zazwyczaj tak było.

- Znany był z tego - powiedział Numa. - Ile miał lat?

- Tylko osiemnaście. Ale tyle przeżył, miał tyle przygód i, macho! kochał się z tyloma pięknymi dziewczynami.

- Może dlatego Bóg go zabrał - rzekł Numa. - Żeby zostało trochę dziewczyn dla innych.

- Numa, zostanie ich dla ciebie mnóstwo - zapewniłem.

- Ale najpierw musisz zacząć jeść. I żyć. Chcę, żebyś żył.

Numa uśmiechnął się i skinął głową.

- Spróbuję - powiedział.

Później jednak, kiedy przynieśli mu trochę mięsa, zobaczyłem, jak macha ręką, żeby dali mu spokój.

Wyruszyliśmy nazajutrz o ósmej rano i szybko zesliśmy po zboczach. Kiedy podchodziliśmy do ogona, dostrzegłem na śniegu czerwoną skórzaną torbę. Natychmiast poznałem, że to kosmetyczka mojej matki. W środku znalazłem szminkę, której mogłem użyć do ochrony ust przed słońcem, trochę cukierków i mały zestaw do szycia. Powpychałem to wszystko do naszych plecaków i ruszyłem dalej. Niespełna dwie godziny

I 67

po opuszczeniu fairchilda znów znaleźliśmy się przy ogonowej części samolotu.

Pierwszego dnia odpoczywaliśmy. Nazajutrz rano Roy i Roberto zabrali się do radia. Bardzo się trudzili, próbując podłączyć baterię, ale pracowali metodą prób i błędów, więc kiedy już

się wydawało, że posuwają się naprzód, przewody błyskały i syczały i następowało głośnie spięcie. Roberto kłął, kazał Royowi bardziej uważać i zaczęli od nowa.

Za dnia było teraz cieplej, a śnieg wokół ogona szybko topniał. Walizki przysypane jeszcze kilka dni temu, kiedy trafiliśmy na szczątki ogona, leżały teraz na widoku. Kiedy Roy i Roberto majstrowali przy radiu, przeszukaliśmy z Tintinem rozrzucone wokół bagaże. W jednej z walizek znaleźliśmy dwie butelki rumu. Otworzyliśmy jedną i pociągnęliśmy parę łyków.

- Drugą zachowamy - powiedziałem. - Przyda się podczas wspinaczki.

Tintin skinął głową. Obaj wiedzieliśmy, że radio nie zadziała, ale Roy i Roberto nadal pracowali jak szaleni. Dłubali przy urządzeniu przez całe popołudnie i następny ranek. Miałem coraz większą ochotę zakończyć ten eksperyment i wrócić do wraku, gdzie mogliśmy się przygotować do wspinaczki.

- Roberto, długo to jeszcze potrwa? - zapytałem. Spojrzał na mnie z irytacją w oczach.

- Tyle, ile trzeba - mruknął.

- Kończy nam się jedzenie - dodałem. - Powinniśmy chyba pójść z Tintinem po zapas.

- Niezły pomysł - zgodził się. - My będziemy dalej działać.

Zabraliśmy z Tintinem nasze rzeczy i po paru minutach ruszyliśmy w górę doliny do fairchilda. Raz jeszcze uderzyło mnie, o ile trudniej było wspiąć się po tych zboczach, niż po nich schodzić. Mozoliliśmy się całymi godzinami, robiąc częste postoje dla zaczerpnięcia oddechu, i dotarliśmy do wraku póź-

IÓ8

nym popołudniem. Znowu czekało nas ponure powitanie i trudno było nie zauważyć, że od naszego odejścia pozostali zrobili się jeszcze słabsi i bardziej apatyczni.

- Przyszliśmy po mięso - wyjaśniłem. - Naprawa radia potrwa dłużej, niż sądziliśmy.

Fito zasępił się.

- Kończy nam się jedzenie. Szukaliśmy wszędzie ciał przysypanych przez lawinę, ale śnieg jest bardzo głęboki, a my jesteśmy zmęczeni. Wspinaliśmy się nawet parę razy po zwłoki, które Gustavo znalazł podczas wyprawy.

- Nie martw się - powiedziałem. - Pokopiemy z Tintinem.

- Jak idzie z radiem?

- Nieszczerólnie - odparłem. - Sądzę, że nie zadziała.

- Czas ucieka - rzekł Fito. - Wszyscy jesteście słabi. Jedzenia nie starczy na długo.

- Musimy iść na zachód - oznajmiłem. - Może to niemożliwe, ale to dla nas jedyna szansa.

Musimy wyruszyć jak najprędzej.

- Czy Roberto myśli tak samo?

- Nie wiem, co myśli - odparłem. - Znasz Roberta. Zrobi, co będzie chciał.

- Jeśli odmówi - rzekł Fito. - Pójdę z wami. Uśmiechnąłem się do niego serdecznie.

- Dzielny jesteś - powiedziałem - ale z tymi wrzodami w dupie ledwo przechodzisz pięć metrów. Nie, musimy przekonać Roberta, żeby iść na zachód, i to szybko.

Zostaliśmy z Tintinem w kadłubie przez dwa dni, przekopując śnieg w poszukiwaniu nowych ciał. Kiedy znaleźliśmy, czego szukaliśmy, Fito i kuzyni pokroili dla nas mięso, więc po krótkim odpoczynku ruszyliśmy znowu w dół lodowca. Dotarliśmy do części ogonowej koło południa. Roy i Roberto mozolili się przy radiu. Uznali, że dobrze połączyli przewody, ale

IÓQ

kiedy podłączyli baterię, usłyszeli tylko trzaski. Roy sądził, że może antena uległa uszkodzeniu podczas katastrofy, i zamajstrował nową z miedzianego drutu wyciągniętego z obwodów elektrycznych ogona. Wraz z Robertem przymocowali ją do radia i rozłożyli długie miedziane druty na śniegu. Nie zadziałało. Roy odłączył antenę i umocował do małego odbiornika tranzystorowego, który ze sobą przyniósł. Dzięki długiej antenie radio dawało teraz silny sygnał. Roy nastroił je na jakąś stację ze swoją ulubioną muzyką i wrócił do pracy.

Chwilę potem muzykę przerwał serwis informacyjny. Usłyszeliśmy zaskakującą wiadomość, że urugwajskie siły powietrzne wysyłają na poszukiwanie nas specjalnie wyposażonego Douglasa C-47.

Roy aż krzyknął z radości. Roberto odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Nando, słyszałeś to? Szukają nas!
- Nie róbcie sobie nadziei - powiedziałem. - Pamiętajcie, co mówił Gustavo - nasz fairchild, widziany ze zbrocza, to tylko jedna z plamek na lodowcu...
- Ale to specjalnie wyposażony samolot - zaproponował Roberto.
- A Andy są ogromne - zauważyłem. - Nie wiedzą, gdzie jesteśmy. Nawet gdyby nas mieli znaleźć, może to potrwać wiele miesięcy...
- Musimy zostawić im jakiś znak - powiedział Roberto, ignorując moje sceptyczne nastawienie. Kazał nam pozbierać walizki i ułożyć je na śniegu na kształt wielkiego krzyża. Gdy skończyliśmy, zapytałem Roberta o radio.
- Chyba nie da się go naprawić - odparł. - Powinniśmy wracać do samolotu.
- I przygotować się do wyprawy na zachód - dodałem. - Zgodnie z umową.

170

Skinął z roztargnieniem głową i poszedł po swoje rzeczy. Kiedy ja zbierałem swoje, Tintin podszedł do mnie z niewielkim prostokątnym kawałkiem tkaniny izolacyjnej, którą wyjął z ogona samolotu.

- Owinięto tym wszystkie rury - powiedział. - Trzeba to jakoś wykorzystać. Pomacałem materiał palcami. Był lekki i wytrzymały, wewnątrz mechaty, z grubą, gładką powłoką tekstylną od zewnątrz.
- Może dałoby się tym pokryć nasze ubrania - powiedziałem. - Wygląda, jakby dobrze trzymał ciepło.

Tintin skinął głową i przeszliśmy do ogona. Szybko zerwaliśmy z rur całą izolację i upchaliśmy do plecaków. Słyszając jakiś harmider, wyjrzelśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy, jak Roberto gniewnie depcze radio na kawałki.

- Powinien oszczędzać energię - zauważył Tintin - To będzie ciężka wspinaczka.
- Wyruszyliśmy przed południem. Niebo było zaciągnięte, a pułap chmur bardzo niski, ale było dość ciepło i bezwietrznie. Roberto i Tintin szli przodem, Roy włókł się za mną. Tak jak poprzednio brnięcie pod górę w śniegu po kolana było wyczerpujące, więc często odpoczywaliśmy. Wiedziałem, że Roy idzie z wielkim trudem, zatem miałem go na oku i zwalniałem kroku, by nie zostawał za bardzo w tyle. Po jakiejś godzinie marszu spojrzałem w niebo podczas odpoczynku i zdumiało mnie to, co zobaczyłem. Chmury nabrzmiały, przybierając złowieszczy ciemnoszary odcień. Wisiały tak nisko, że niemal można ich było dotknąć. A potem na moich oczach pognały na nas niczym grzbiet zabójczej fali. Nim zdążyłem zareagować, niebo się zważyło i opadła nas jedna z tych błyskawicznych śnieżyc, przez znawców And nazywanych riento blanco („biały wiatr”). W kilka sekund wszystko ogarnął chaos. Temperatura gwałtownie

171

spadła. Wiatr napierał i targał mną tak zaciekle, że z całych sił walczyłem, by nie upaść. Wokół tworzyły się wiry gęstego śniegu, szczypiąc w twarz i szarpiąc rzeczy. Mrużąc oczy, wpatrywałem się w śnieżycę, ale widoczność była bliska zeru i nie widziałem nikogo z pozostałych. Przez chwilę ogarnęła mnie panika. „Którędy w górę zbrocza? - pytałem sam siebie. - W którym kierunku iść?”.

Wtedy usłyszałem głos Roberta, słaby i odległy na tle straszliwego ryku burzy.

- Nando, słyszysz mnie?
- Roberto! Tu jestem! Spojrzałem za siebie. Roy zniknął.
- Roy? Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi. Jakies dziesięć metrów za sobą dostrzegłem na śniegu niewyraźny szary kształt i zdałem sobie sprawę, że Roy upadł.

- Roy! - ryknąłem. - Dawaj naprzód!

Nie poruszył się, więc pobnąłem do niego w dół zbocza. Leżał skulony na śniegu, obejmując się rękoma, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej.

- Rusz dupę! - krzyknąłem. - Ta burza nas zabije, jak nie będziemy się ruszać!

- Nie mogę - zaskowyczał. - Już ani kroku.

- Wstawaj, skurczybyku! - wrzasnąłem. - Zginiemy tu! Roy uniósł wzrok, twarz wykrzywił mu grymas strachu.

- Nie, proszę - załkał. - Nie mogę. Zostawcie mnie tu. Burza błyskawicznie przybierała na sile, a kiedy stałem nad

Royem, wiatr szarpał tak gwałtownie, że prawie odrywał mnie od podłoża. Zewsząd otaczała nas teraz ściana bieli. Zupełnie straciłem poczucie kierunku, jedyną nadzieją na powrót do wraku było podążanie po śladach pozostawionych przez Roberta i Tintina. Ale gęsty śnieg szybko zasypywał odciski ich

72

butów. Wiedziałem, że na nas nie zaczekają - sami również walczyli o życie - rozumiałem też, że każda sekunda spędzona z Royem przybliżyła nas obu do katastrofy. Spojrzałem na niego - ramiona dygotały mu od płaczu, już prawie przysypał go śnieg.

Muszę go tu zostawić albo zginę, pomyślałem. Czy mogę to zrobić? Czy potrafiłbym zostawić go tutaj na śmierć? Nie odpowiedziałem na te pytania słowem, ale czynem.

Odwróciłem się od Roya i ruszyłem śladem tamtych w górę zbocza. Zataczając się w porywach wiatru, wyobrażałem sobie leżącego na śniegu chłopaka. Widziałem w myślach, jak obserwuje mój cień znikający wśród burzy. Byłaby to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek oglądał. Po jakim czasie straci przytomność? - zastanawiałem się. Jak długo będzie cierpiał? Dzieliło nas teraz jakieś piętnaście metrów, nie mogłem wymazać z pamięci jego obrazu: skulonego na śniegu, tak bezradnego, żałosnego, pokonanego. Poczułem dziki przypływ pogardy za jego słabość i brak odwagi, tak mi się w każdym razie wówczas wydawało. Dziś rozumiem, że mój gniew na Roya podsycaly bardziej złożone emocje - czy nie dostrzegałem w nim zbyt wiele z siebie? Teraz wiem, że ten ostry, napięty skowyt w jego głosie był dokładnie głosem strachu, jaki nosiłem w sobie. Wykrzywiony grymas cierpienia na jego twarzy doskonale wyrażał przerażenie, jak\ęja sam odczuwałem w duchu. A gdy poddał się burzy i padł na śnieg, nie mogłem nie zadać sobie pytania, jak bliska jest moja chwila poddania. Kiedy leżał tam, zrozumiałem, że osiągnął granicę, kres swoich zmagañ, miejsce, gdzie dopadnie go wreszcie śmierć. Gdzie było miejsce, na którym wyczerpią się ostatecznie moje wola i siła? Gdzie, i kiedy, zrezygnuję z walki i opadnę, przerażony i pokonany jak Roy, szukając ulgi na śniegu?

73

Roy pokazywał mi moją przyszłość i za to go nienawidziłem.

Na tamtej smaganej wiatrem górze nie było oczywiście czasu na taką introspekcję. Działalem wyłącznie instynktownie, a kiedy wyobrażałem sobie Roya szlochającego na śniegu, cała pogarda i szyderstwo, jakie budził we mnie podczas ostatnich tygodni, eksplodowały morderczą wściekłością. Impulsywnie kłąłem jak szaleniec wśród podmuchów wiatru.

Mierda! Carajo! La reconcha de la reputisma mądre! La re-puta mądre que lo recontra miły una pario! Gniew odbierał mi rozum i nim pojąłem, co się dzieje, zsuwałem się już po zboczu do miejsca, gdzie upadł Roy. Znalazłszy się przy nim, dałem mu brutalnego kopa w zębra. Padłem na niego, waląc go kolanami w bok. Klęcząc przy nim, zacisnąłem pięść i tłukłem go ile sił. Kiedy toczył się i wrzeszczał na śniegu, ubliżałem mu słownie równie zaciekłe, jak atakowałem pięściami.

- Ty kurwi synu! - krzyczałem. - Ty piłkarski bękartie! Wstawaj na nogi, ty żałosny matkojebie! Wstawaj, bo cię zabiję! Przysięgam, bydlaku!

Odkąd znalazłem się na tej górze, starałem się zachować spokój i nie tracić energii przez dawanie upustu gniewowi i lękom. Teraz jednak, stojąc nad Royem, poczułem, jak moja dusza wyrzuca z siebie całą wściekłość i jad, nagromadzone podczas pobytu na tym pustkowiu. Deptałem butami do rug-by po jego biodrach i ramionach. Wcisnąłem go w śnieg. Obrzucałem go wszelkimi wyzwiskami, jakie mi przyszły do głowy, obrażałem jego matkę w sposób, którego wolałbym nie pamiętać. Roy płakał i krzyczał, kiedy go znieważałem, ale wreszcie stanął na nogi. Pchnąłem go naprzód, tak mocno, że omal się znowu nie przewrócił. Popychałem go brutalnie, zmuszając za każdym razem do przejścia paru kroków pod górę. Brnęliśmy przez śnieżycę. Roy cierpiał straszliwie z wysiłku, a ja szybko traciłem siły. Agresywność tej burzy była przerażająca. Kiedy usiłowałem zaczerpnąć rozrzedzonego powietrza, wietrzne wiry wrywały mi oddech, potem znowu wpychały mi go do gardła, od czego charczałem i dławiałem się, jakbym tonął. Atakowało mnie zimno, a brodzenie w głębokim, ciężkim śniegu było wysiłkiem ponad siły. Mięśnie miałem już zupełnie wyczerpane, a każdy krok wymagał kolosalnego aktu woli. Trzymałem Roya przed sobą, by móc popychać go naprzód, i pieliśmy się tak krok po kroku. Ale po kilkuset metrach chłopak osunął się do przodu i upadł. Wtedy zrozumiałem, że jest u kresu sił. Tym razem nie próbowałem go pobudzić do wysiłku. Objąłem go tylko i podniosłem ze śniegu. Mimo tylu warstw ubrań czułem, jaki zrobił się chudy i słaby, i zmiękło mi serce.

- Pomyśl o swojej matce, Roy - powiedziałem, przyciskając usta do jego ucha, żeby usłyszał mnie przez burzę. - Jeśli chcesz ją znowu zobaczyć, musisz dla niej teraz pocierpieć. Miał luźną szczękę, a oczy wywrócone do góry. Był bliski omdlenia, mimo to zdobył się na ciche przytaknięcie - będzie walczył. Pozwoliłem mu oprzeć się o mnie i podjęliśmy wspinaczkę. Roy starał się ile sił, ale wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie zbocze stawało się niemożliwie nachylone. Spojrzał na mnie smutno. Mrużąc oczy, wpatrywałem się w smagający śnieg, próbując oszacować stromość stoku, potem chwyciłem chłopaka mocniej w pasie i ostatkiem sił uniosłem nad ziemię, tak że jego ciężar opierał się na moim ramieniu. Potem robiąc powoli po jednym mozolnym kroku, poniosłem go pod górę. Ciemniało już i coraz gorzej było widać ślady poprzedników. Wspinałem się, kierowany intuicją, a kiedy tak brnąłem po omacku w stronę miejsca katastrofy, wciąż dręczyła mnie myśl, że zmyliłem kierunek i krocę w pustkę. Wreszcie jednak,

175

kiedy nikt nie widział ostatnie światła popołudnia, dostrzegłem przez gęsty śnieg niewyraźną sylwetkę fairchilda. Raczej ciągnąłem teraz Roya, niż niosłem, ale mając przed oczyma samolot, poczułem przypływ energii, i wreszcie dotarliśmy do wraku. Wtoczyliśmy się do środka, zdjęto mi Roya z ramion. Roberto i Tin-tin leżeli na podłodze, a ja osunąłem się ciężko obok nich. Nie mogłem opanować drżenia, a mięśnie piekły mnie i dygotały po tym najbardziej forsownym marszu życia. Wypaliłem się, pomyślałem, już nie dojdę do siebie. Nie starczy mi sił, żeby się stąd wydostać. Byłem jednak zbyt zmęczony, by się tym przejąć. Wcisnąłem się w stertę ciał stłoczonych wokół mnie, korzystając z ich ciepła, i po raz pierwszy usnąłem szybko i spałem mocno przez wiele godzin.

Rankiem odpoczywałem. Dni spędzone poza wrakiem pozwoliły mi spojrzeć na wszystko z dystansem, dlatego teraz świeżym okiem ujrzałem okropności, które stały się rutyną naszej codziennej egzystencji. Wokół kadłuba walały się stosy kości. Duże kawałki ciała - jakieś przedramię, ludzka noga, od biodra do palców - zgromadzono przy otworze wraku dla łatwego dostępu. Pasy tłuszczu rozłożono na dachu, aby wyschły na słońcu. Po raz pierwszy w stosie kości zobaczyłem czaszki. Kiedy zaczęliśmy żywić się ludzkim mięsem, zjadaliśmy głównie małe kawałki wykrojone z wielkich mięśni. Ale z czasem zapas pokarmu malał i nie mieliśmy wyboru - trzeba było poszerzyć dietę. W pewnym okresie zjadaliśmy wątroby, nerki

i serca, ale mięsa zostało już tak niewiele, że musieliśmy rozłupywać czaszki, żeby się dostać do mózgu. Podczas naszej nieobecności głód zmusił niektórych naszych kolegów do zjadania części, których wcześniej nie potrafilibyśmy przełknąć: płuc, fragmentów dłoni i stóp, a nawet skrzepów krwi, powstałych w naczyniach wieńcowych. Zwykłemu człowiekowi postęпки takie muszą się wydawać niewypowiedzianie

176

odrażające, ale instynkt samozachowawczy jest bardzo głęboko zakorzeniony, a w obliczu śmierci istota ludzka przyzwyczaja się do wszystkiego. A jednak mimo udręki głodu i desperackich prób odnalezienia na zboczach utraconych w lawinie ciał moi towarzysze nigdy nie złamali obietnicy danej mnie i Javierowi: ciała mojej matki i siostry oraz Liliany, wszystkie łatwo dostępne, pozostały nietknięte, nadal leżały w całości na śniegu. Poruszyło mnie to, że nawet na skraju śmierci głodowej dana obietnica nadal coś dla tych ludzi znaczyła. Te góry przyczyniły się do tylu strat i cierpień. Odebrały najlepszych przyjaciół i ukochane osoby, zmusiły do zmierzenia się z nieznośnymi okropnościami i przeobraziły nas w sposób, którego zrozumienie zajęło nam potem całe lata. A jednak mimo wszystkich doznanych cierpień zasady przyjaźni, lojalności, współczucia i honoru nadal liczyły się dla moich towarzyszy. Andy zrobiły tyle, by nas zniszczyć, a każdy z nas rozumiał, że jego życie wisi na włosku. Nie poddaliśmy się jednak prymitywnemu instynktowi samozachowawczemu. Nadal walczyliśmy razem, jako zespół. Nasze ciała słabły, ale człowieczeństwo przetrwało. Nie pozwoliliśmy górcom wykraść sobie duszy.

W pierwszym tygodniu grudnia zaczęliśmy na serio przygotowywać się do wspinaczki na zachód. Fito z kuzynami nakroili nam mięsa i przechowywali je w śniegu, natomiast Antonio, Roberto i ja gromadziliśmy ubrania i wyposażenie potrzebne w podróży. Dziwna mieszanina ekscytacji i przygnębienia wisiała nad nami podczas przygotowań do tej ostatniej wyprawy. Wcześniejsze próby wspinaczki i nieudana eskapada na wschód ukazały nam przytłaczającą potęgę Andów, ale wyuczyły też podstaw sztuki przetrwania. Nasze wyposażenie było nadal nieodpowiednie, aby mierzyć się

77

z otaczającym nas pustkowiem, ale przynajmniej rozumieliśmy trochę jaśniej, jak niebezpieczne bywają góry. Wiedzieliśmy na przykład, że w drodze stawimy czoło dwóm wielkim wyzwaniom. Pierwszym będą surowe wymagania, jakie wspinaczka wysokogórska stawia organizmowi. Nauczyliśmy się, dzięki bolesnym doświadczeniom, że w rozrzedzonym górskim powietrzu nawet najłżejszy wysiłek staje się wyczerpującą próbą wytrzymałości i woli. Nie było na to żadnej rady, mogliśmy tylko wyruszyć, zanim staniemy się zbyt słabi, i dobrać odpowiednie tempo wspinaczki.

Drugim wyzwaniem miała być ochrona przed warunkami atmosferycznymi, zwłaszcza po zmierzchu. O tej porze roku mogliśmy oczekiwać za dnia temperatury dużo powyżej zera, ale noce były nadal zabójczo mroźne, a wiedzieliśmy już, że nie ma szans na znalezienie osłony na otwartych zboczach. Musieliśmy znaleźć sposób na przetrwanie długich nocy bez marznięcia na kość, a rozwiązanie podsunęły nam pikowane płyty izolacji zabrane z ogonowej części fairchilda. Były to niewielkie, prostokątne kawałki rozmiarów ilustrowanego magazynu. Po powrocie z ogona powpychaliśmy je między warstwy ubrań, odkrywając przy tym, że choć lekkie i cienkie, bardzo skutecznie chronią przed chłodem nocy. Kiedy łamaliśmy sobie głowy nad szczegółami wyprawy, zdaliśmy sobie sprawę, że można zszyć razem wszystkie kawałki izolacji, tworząc wielką ciepłą kołdrę. A potem zaświtało nam, że jeśliby złożyć ją na pół i połączyć brzegi, powstanie ocieplany śpiwór, dość wielki, by pomieścić trzech członków wyprawy. Grzejąc się wzajemnie pod osłoną tkaniny izolacyjnej, mieliśmy szansę przetrzymać najzimniejsze noce.

Zajął się tym Carlitos. Kiedy był chłopcem, matka nauczyła go szyć, zabrał się więc do pracy, używając igieł i nici z zestawu, który znalazłem w torbie matki. Była to żmudna robota,

78

a musiał uważać, by wszystkie szwy były dość mocne, żeby wytrzymały intensywne użytkowanie. W celu przyspieszenia prac Carlitos nauczył innych szycia, więc wszyscy trudziliśmy się na zmianę, ale wielu miało do tego zbyt niezgrabne palce. Najlepszymi i najszybszymi szwaczami okazali się Carlitos, Coche, Gustavo i Fito.

Ich praca postępowała naprzód, ja z Tintinem przygotowywaliśmy się do wędrówki, ale Roberto jakoś powoli zbierał swoje rzeczy. Martwiąc się, czy nie ma jakichś wątpliwości w kwestii naszej wyprawy, pewnego popołudnia podszedłem do niego, kiedy odpoczywał przed wrakiem samolotu.

- Skończą śpiwór lada chwila - zagaiłem. - Cała reszta także gotowa. Powinniśmy wyruszyć jak najprędzej.

Roberto pokręcił głową.

- Głupio by było wyruszać akurat, kiedy znów podjęli poszukiwania.
- Była umowa - przypomniałem. - Radio nie zadziało, czas teraz wyruszyć na zachód.
- Owszem, pójdziemy na zachód - odparł. - Dajmy im tylko trochę czasu.
- Ile czasu?
- Jakieś dziesięć dni - odrzekł. - To chyba rozsądne dać im szansę.
- Słuchaj, Roberto - powiedziałem - nikt nie wie lepiej od ciebie, że nie mamy tyle czasu. Za dziesięć dni połowa z nas może już nie żyć.

Rzucił mi wojownicze spojrzenie.

- Zatem jaki masz błyskotliwy pomysł, Nando? - warknął. - Wymaszerować w góry właśnie teraz, gdy wiemy, że ekipa ratunkowa próbuje nas odnaleźć?
- To nie jest ekipa ratunkowa - odparowałem. - Oni szukają naszych ciał. Wcale im się nie spieszy.

179

Roberto zmarszczył brwi i odwrócił się.

- Jeszcze nie czas - mruknął. - Jeszcze za wcześnie.

W połowie pierwszego tygodnia grudnia śpiwór był gotowy. Zebraliśmy całe nasze wyposażenie, mięso na drogę zostało pocięte i spakowane w skarpety, i wszyscy zrozumieli, że nadszedł czas naszego wymarszu - to znaczy wszyscy prócz Roberta, który wynajdował kolejne zwariowane powody, by opóźnić wyprawę. Najpierw narzekał, że śpiwór jest za słaby i nalegał, by go wzmocnić. Potem oświadczył, że nie może odejść, bo Coche, Roy i reszta wymagają jego opieki medycznej. Na koniec oznajmił, że nie odpoczął dostatecznie przed drogą i potrzebuje jeszcze kilku dni na odzyskanie sił. Fito z kuzynami próbowali nakłonić go do działania, ale Roberto agresywnie im się sprzeciwiał. W gruncie rzeczy naskakiwał gniewnie na każdego, kto mu zarzucał, że zwleka. I dawał głośno do zrozumienia, iż nie wyruszy, dopóki nie uzna, że jest gotów.

W miarę jak jego upór zaczynał irytować pozostałych, stawał się coraz bardziej spięty i skłonny do konfrontacji. Tyranizował słabszych. Wszczywał bójki bez najmniejszej prowokacji. Raz, po jakiejś błahej sprzeczce, chwycił za włosy swego bliskiego przyjaciela Alvara Mangina i walnął nim o ścianę. Chwilę potem, pełen wyrzutów sumienia, przeprosił go i obaj się objęli, ale miałem tego dość. Zaczekałem, aż zostaniemy z Robertem sami, i powiedziałem:

- Tak dalej być nie może. Wiesz, że pora ruszać.
- Tak - zgodził się - niedługo pójdziemy, ale trzeba poczekać na poprawę pogody.
- Męczą mnie to czekanie - rzekłem cicho.
- Już powiedziałem - warknął - wyruszymy, jak będzie lepsza pogoda!

180

Staralem się zachować spokój, ale jego agresywny ton sprowokował mnie do wybuchu.

- Tylko się rozejrzyj! - wrzasnąłem. - Kończy nam się jedzenie! Nasi przyjaciele umierają. Coche już zaczął w nocy majaczyć. Niewiele czasu mu zostało. Z Royem jest jeszcze gorzej. Sama skóra i kości. Javier traci siły, a młodszy chłopcy, Sabella, Mangino, Bobby, są wszyscy bardzo słabi. A popatrz tylko na nas! Chudniemy z godziny na godzinę! Musimy wyruszyć, nim będziemy zbyt słabi, by utrzymać się na nogach!

- Nando, posłuchaj - odpalił Roberto. - Dwa dni temu mieliśmy okropną burzę. Nie pamiętasz? Gdyby złapała nas na zboczach, zginęlibyśmy.

- Albo zabije nas lawina - powiedziałem - albo wpadniemy w szczelinę. Możemy się poślizgnąć i runąć kilkaset metrów na skały! Roberto, nie da się wyeliminować tych zagrożeń i nie możemy już dłużej zwlekać!

Odwrócił wzrok, lekceważąc moje uwagi. Wstałem z miejsca.

- Roberto, wybrałem już datę. Wyruszę dwunastego grudnia rano. Jak nie będziesz gotów, pójdę bez ciebie.

- Nie możesz iść beze mnie, ty głupi bydlaku.

- Słyszałeś - skwitowałem, odchodząc. - Wyruszę dwunastego. Z tobą albo bez ciebie.

Dziewiątego grudnia wypadały moje dwudzieste pierwsze urodziny. Tamtej nocy we wraku samolotu koledzy dali mi jedno z cygar znalezionych w bagażu z części ogonowej.

- Nie jest to Punte del Este, jak planowaliśmy - zażartował Carlitos - ale to jest hawańskie cygaro.

- Nie potrafię docenić jakości - przyznałem, krztusząc się. - Wiem tylko, że dym jest ciepły.

- Nie udały nam się urodziny - rzekł Carlitos - ale czuję w duchu, że będziemy z bliskimi na Boże Narodzenie. Uda ci się, Nando. Jestem tego pewien.

Nie odpowiedziałem, ale rad byłem, że półmrok panujący w kadłubie ukrył zwątpienie w moich oczach.

- Prześpij się - rzekłem, po czym wydmuchałem mu w twarz kłęb kosztownego kubańskiego dymu.

Dziesiątego grudnia Gustavo i ja rozmawialiśmy z niepokojem o Numie.

- Prosił, żebym mu zbadał wrzód na plecach - rzekł Gustavo - i zajrzałem mu pod ubranie. To już właściwie same kości. Nie wytrzyma dłużej niż kilka dni.

Odszedłem od Gustava i przyklęknąłem przy Numie.

- Numa, jak się czujesz? Tamten uśmiechnął się słabo.

- Już chyba długo nie pociągnę.

Dostrzegłem w jego oczach wyraz akceptacji. Odważnie mierzył się ze śmiercią i nie chciałem tego deprecjonować, opowiadając mu kłamstwa.

- Spróbuj wytrzymać - zachęcałem. - Niedługo wyruszymy. Idziemy wreszcie na zachód.

- Na zachodzie jest Chile - powiedział ze znużonym uśmiechem.

- Dojdę tam albo zginę po drodze.

- Uda ci się, jesteś silny.

- To ty musisz być silny, Numa, dla twojej rodziny. Znowu ich zobaczysz.

Numa tylko się uśmiechnął.

- Zabawne - powiedział. - Myślę, że większość ludzi umiera, żałując błędów, które w życiu popełnili, ale ja niczego

I 82

nie żałuję. Staralem się wieść dobre życie. Dobrze traktować ludzi. Mam nadzieję, że Bóg to weźmie pod uwagę.

- Numa, nie mów tak.

- Ależ ja pogodziłem się z losem - oświadczył. - Gotów jestem na wszystko, co mnie czeka. Rankiem 11 grudnia Numa zapadł w śpiączkę. Po południu już nie żył. Należał do najlepszych z nas: młody człowiek bez ciemnej strony, którego współczucie i wspaniałomyślność nigdy nie słabły, bez względu na to, jak cierpiał. Do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że ktoś taki zmarł od zwykłego uderzenia w nogę, drobnego obtłuczenia, urazu, który w normalnych warunkach nie zasługiwałby na uwagę... Patrząc na moich przyjaciół, zastanawiałem się, czy rodziny, które pożegnały ich jako beztruskich młodzieńców, poznają ich teraz, ze ściągniętymi twarzami, wystającymi krawędziami kości oczodołów i zapadłymi policzkami niczym na zwiędłych obliczach gargulców i goblinów, w większości ledwo mających siłę, by ustać, nie chwiejąc się. Wszelkie nadzieje, które hołubili w sobie, rozwiewały się już, widziałem to w ich oczach. Ich ciała zmieniły się w puste, wyschłe łupiny. Życie gasło w nich jak barwa opadłych liści. Myślałem o wszystkich, którzy już umarli, wyobrażałem sobie, jak ich duchy gromadzą się wokół nas, dwadzieścia siedem szarych postaci skulonych w milczeniu na śniegu, wśród nich także Numa. Tyle śmierci, tak wiele przerwanych żywotów. Poczułem, jak ogarnia mnie straszliwe znużenie.

- Dostyc tego - mruknąłem. - Dostyc.

Czas zakończyć całą tę historię. Znalazłem Roberta przed wrakiem, opartego o poszycie fairchilda.

- Wszystko gotowe - powiedziałem. - Tintin i ja zamierzamy wyruszyć. Wychodzimy jutro rano. Idziesz z nami?

I 83

nie żałuję. Staralem się wieść dobre życie. Dobrze traktować ludzi. Mam nadzieję, że Bóg to weźmie pod uwagę.

- Numa, nie mów tak.

- Ależ ja pogodziłem się z losem - oświadczył. - Gotów jestem na wszystko, co mnie czeka. Rankiem 11 grudnia Numa zapadł w śpiączkę. Po południu już nie żył. Należał do najlepszych z nas: młody człowiek bez ciemnej strony, którego współczucie i wspaniałomyślność nigdy nie słabły, bez względu na to, jak cierpiał. Do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że ktoś taki zmarł od zwykłego uderzenia w nogę, drobnego obtłuczenia, urazu, który w normalnych warunkach nie zasługiwałby na uwagę... Patrząc na moich przyjaciół, zastanawiałem się, czy rodziny, które pożegnały ich jako beztruskich młodzieńców, poznają ich teraz, ze ściągniętymi twarzami, wystającymi krawędziami kości oczodołów i zapadłymi policzkami niczym na zwiędłych obliczach gargulców i goblinów, w większości ledwo mających siłę, by ustać, nie chwiejąc się. Wszelkie nadzieje, które hołubili w sobie, rozwiewały się już, widziałem to w ich oczach. Ich ciała zmieniły się w puste, wyschłe łupiny. Życie gasło w nich jak barwa opadłych liści. Myślałem o wszystkich, którzy już umarli, wyobrażałem sobie, jak ich duchy gromadzą się wokół nas, dwadzieścia siedem szarych postaci skulonych w milczeniu na śniegu, wśród nich także Numa. Tyle śmierci, tak wiele przerwanych żywotów. Poczułem, jak ogarnia mnie straszliwe znużenie.

- Dostyc tego - mruknąłem. - Dostyc.

Czas zakończyć całą tę historię. Znalazłem Roberta przed wrakiem, opartego o poszycie fairchilda.

- Wszystko gotowe - powiedziałem. - Tintin i ja zamierzamy wyruszyć. Wychodzimy jutro rano. Idziesz z nami?

183

Roberto spojrzal na góry na zachodzie. Poznałem po oczach, że śmierć Numy wstrząsnęła nim jak nami wszystkimi. - Tak - odparł. - Będę gotowy. Pora wyruszyć.

* * *

Wieczorem 11 grudnia, sześćdziesiątego drugiego dnia naszego pobytu w Andach, siedziałem przed kadłubem samolotu, na jednym z wyciągniętych na zewnątrz foteli, i spoglądałem na zachód, na góry, które przegradzały mi drogę do domu. Wraz z zapadnięciem nocy największa z nich, ta, na którą musiałem się wspiąć, stała się jeszcze ciemniejsza i bardziej złowieszcza. Nie dostrzegałem w niej wrogości, tylko ogrom, i moc, i okrutną obojętność. Trudno mi było przyjąć do wiadomości, że chwila, której pragnąłem i obawiałem się, nareszcie nadeszła. W mózgu kotłowały się pytania. Jak to jest zamarznąć na śmierć? - zastanawiałem się. Czy to śmierć bolesna, czy lekka? Szybka czy powolna? Chyba bardzo samotna. Jak się umiera z wyczerpania? Czy po prostu pada się na szlaku? Strasznie byłoby umrzeć z głodu, ale wolałbym już głód niż upadek. Proszę, Boże, nie pozwól mi spaść. To mnie najbardziej przeraża - sunąć po jakimś stromym zboczach setki metrów, chwytając się śniegu, wiedząc, że zbliżam się do urwiska i długiego, beznadziejnego lotu na skały setki metrów niżej. Co się czuje, spadając tak daleko? Czy umysł wyłącza się, żeby oszczędzić człowiekowi okropności, czy pozostaje jasny, dopóki nie uderzy się o ziemię? Proszę, Boże, oszczędź mi takiej śmierci.

Nagle w umyśle mignął mi jakiś obraz. Ujrzałem samego siebie, z góry, jako nieruchomą postać zwiniętą na śniegu. Życie uciekało z mego ciała. Odnalazłem moje granice, miejsce i chwilę śmierci. Jak będzie wyglądać ta chwila? Co będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczę? Śnieg? Niebo? Cień skały?

Twarz przyjaciela? Czy będę samotny? Czy oczy będę miał otwarte, czy zamknięte, kiedy mój duch opuści ciało? Czy przyjmę śmierć spokojnie, jak wtedy pod lawiną, czy będę lamentował, czepiając się każdej chwili życia?

Śmierć wydawała się taka rzeczywista, tak bliska, a czując jej obecność, zacząłem dygotać, wiedząc, że brak mi odwagi, by zmierzyć się z tym, co mnie czeka.

Nie mogę tego zrobić. Nie chcę umierać. Postanowiłem powiedzieć pozostałym, że zmieniam zdanie. Zostanę. Może Roberto ma rację, a ekipa ratunkowa jednak nas odnajdzie...

Wiedziałem jednak, że to nie ma sensu. Prawie skończyło nam się jedzenie. Jak długo potrwa, aż nie zostanie już nic i rozpocznie się straszliwe oczekiwanie na czyjąś śmierć? Kto odejdzie pierwszy? Jak długo zaczekamy, zanim go pokroimy? A co będzie z ostatnim, który pozostanie przy życiu? Znowu spojrzałem na górę i zrozumiałem, że nic z rzeczy, które mogła ze mną zrobić, nie będzie gorsze od tego, co czeka mnie tutaj. Przemówiłem do góry w nadziei, że jej zbocza okażą się miłosierne. „Opowiedz mi o swoich tajemnicach - szeptałem. - Pokaż mi, jak się wspinąć”. Góra, rzecz jasna, milczała. Utkwiłem spojrzenie w wyniosłych graniach, próbując okiem amatora odnaleźć najlepszą drogę na szczyt. Ale wkrótce zapadła noc. Zbocza zniknęły w ciemności. Wszedłem do fair-childa, położyłem się tam po raz ostatni i spróbowałem usnąć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przeciwieństwo śmierci

Jeśli w ogóle spałem tamtej nocy, to tylko po parę niespokojnych chwil naraz, a gdy pierwsze światło poranka rozjarzyło się słabo w oknach fairchilda, przez kilka godzin leżałem przytomny. Niektórzy chłopcy już wstali, ale żaden nie odezwał się do mnie, kiedy podniosłem się z postania i szykowałem do drogi. Ubrałem się na wyprawę już poprzedniego wieczoru. Bezpośrednio na ciele miałem bawełnianą koszulkę polo i wełniane spodnie. Były to kobiece spodnie, znalezione w bagażach - pewnie Liliany - ale po sześćdziesięciu dwóch dniach w górach bez trudu wciągnąłem je na swoje kościste biodra. Na nie nałożyłem trzy pary dżinsów, a na koszulkę trzy swetry. Miałem cztery pary skarpet, które owinąłem teraz plastikowymi torebkami z supermarketu, żeby nie zamokły na śniegu. Na stopy wsunąłem zniszczone buty do rugby i starannie zawiązałem sznurowadła. Potem naciągnąłem na głowę wełnianą czapkę i przykryłem to kapturem i całą częścią ramion, które odciąłem od płaszcza ze skóry antylopy należącego do Susany. W rezultacie wszystko, co robiłem tego ranka, miało w sobie posmak ceremonii. Umysł miałem ostry niby brzytwa, ale rzeczywistość wydawała się przytłumiona jak we śnie. Odnosiłem wrażenie, jakbym obserwował się z dystansu. Reszta chłopaków stała spokojnie, nie wie-

186

dząc, co powiedzieć. Opuszczałem ich już wcześniej, kiedy wyruszaliśmy na wschód, ale wtedy wiedziałem od początku, że to tylko ćwiczenie. Tego ranka silnie odczuwałem, że nasz wymarsz ma charakter ostateczny, to samo czuli pozostali. Po tylu tygodniach bliskiego koleżeństwa i wspólnej walki nagle pojawił się między nami dystans. Już ich zostawiałem. Chwyciłem aluminiowy drążek, którego miałem używać jako laski, i zdjąłem plecak z półki nad głową. Wypchany był racjami mięsa i wszystkimi drobiazgami, które uznałem za użyteczne - jakieś pasy tkaniny do owinięcia dłoni, żeby nie zmarzły, szminka dla ochrony przed wiatrem i słońcem pokrytych pęcherzami warg. Przygotowałem wszystko, zanim położyłem się spać. Chciałem, by moje odejście odbyło się w miarę szybko i prosto, opóźnienia podkopałyby tylko moją odwagę.

Roberto skończył się ubierać. Skinęliśmy sobie w milczeniu głowami, potem wsunąłem na rękę zegarek Panchita i wyszedłem za Robertem na zewnątrz. Panował przenikliwy chłód, ale było sporo powyżej zera. Doskonały dzień na wspinaczkę - wiał lekki wiatr, niebo było jaskrawoniebieskie.

- Pospieszmy się - powiedziałem. - Nie chcę stracić tej pogody.

Fito z kuzynami przynieśli nam trochę mięsa na śniadanie. Zjedliśmy szybko. Prawie nie było rozmów. Gdy nadszedł czas wymarszu, stanęliśmy, by się pożegnać. Carlitos wystąpił naprzód i objęliśmy się. Uśmiechał się radośnie, a jego głos był pełen silnej zachęty.

- Uda wam się! - powiedział. - Bóg was ochroni! Dostrzegłem w jego oczach niepohamowaną nadzieję. Był

taki chudy i słaby, ciemne oczy zapadły mu się w głąb czaszki, a skóra twarzy napięta była na kościach. Serce krajało mi się na myśl, że byłem jego nadzieją, że beznadziejna wędrówka,

187

którą mieliśmy właśnie rozpocząć, to dla niego jedyna szansa ocalenia. Chciałem potrząsnąć nim, dać upust łzom, krzyknąć: „Carlitos, co ja, kurwa, robię? Tak się boję! Ja nie chcę umierać!”. Wiedziałem jednak, że jeśli dam wyraz tym uczuciom, to opuszczą mnie resztki odwagi. Zamiast tego podałem mu jeden z malutkich czerwonych bucików, które matka kupiła w Mendozie dla mego siostrzeńca. Miały dla mnie wartość niemal magiczną, bo matka wybrała je z taką miłością dla wnuka i z taką czułością obchodziła się z nimi w samolocie.

- Zatrzymaj to - powiedziałem. - Ja zachowam drugi. Jak wrócę po ciebie, znów będziemy mieć parę.

Pozostali pożegnali się uściskami i spojrzeniami pełnymi cichej zachęty. Ich twarze zdradzały tyle nadziei i lęku, że trudno mi było patrzeć im w oczy. W końcu to ja zaplanowałem tę wyprawę. To ja najbardziej obstawałem przy tym, że można dotrzeć do Chile na piechotę.

Wiedziałem, że inni postrzegali moje zachowanie jako optymistyczne i pewne siebie, i może dawało im to nadzieję. Ale to, co dla nich wyglądało na optymizm, w rzeczywistości nie miało z nim nic wspólnego. Była to panika. Przerazenie. Impuls, który gnał mnie, by wędrować na zachód, był tym samym, który zmusza kogoś, by skoczył z dachu płonącego budynku. Zawsze ciekaw byłem, co człowiek myśli w takim momencie, przyklejony do jakiegoś występu muru, wyczekując tego ułamka sekundy, kiedy jeden rodzaj śmierci wyda się bardziej sensowny niż drugi. Jak umysł podejmuje taką decyzję? Jaka logika podpowiada nam, że nadszedł już czas, by zrobić ten krok w pustkę? Tego ranka poznałem odpowiedź. Uśmiechnąłem się do Carlitosa, po czym odwróciłem się, by nie dostrzegł cierpienia w moich oczach. Moje spojrzenie padło na miękki kopiec śniegu znaczący miejsce, gdzie pogrzebano matkę i siostrę. Podczas tygodni, które upłynęły od śmierci Susany, nie pozwoliłem sobie nawet na jedną senty-

mentalną myśl o nich. Teraz jednak odżył w mojej pamięci moment, kiedy kładłem siostrę do jej płytkiego grobu i przysypywałem roziskrzonym śniegiem. Prawie dwa miesiące minęły od owego dnia, ale nadal bardzo wyraźnie widziałem jej twarz, kiedy białe kryształki padały miękko na policzki i czoło. Jeśli umrę, pomyślałem, ojciec nigdy się nie dowie, jak ją pocieszałem i ogrzewałem, i jak spokojnie wyglądała w swoim białym grobie.

- Nando, jesteś gotów?

Roberto czekał. Góra była za jego plecami, jej białe zbocza płonęły we wczesnych promieniach słońca. Przypominałem sobie, że te straszliwe szczyty były jedyną rzeczą, która blokowała mi drogę do ojca, i że nadszedł wreszcie czas, by rozpocząć długi marsz do domu, ale myśli te nie dodawały mi odwagi. Byłem bardzo bliski paniki. Wszystkie lęki, jakie dręczyły mnie, odkąd wybudziłem się ze śpiączki, zdawały się zbiegać w jedno, a ja dygotałem jak skazaniec, mający wejść na stopnie szubienicy. Gdybym był sam, pewnie kwiliłbym jak dziecko, a jedyną myślą byłoby błaganie przerażonego dzieciaka - ja nie chcę iść. Przez kilka miesięcy podtrzymywałem się na duchu myślami o ucieczce, ale teraz, u progu tejże ucieczki, rozpaczliwie pragnąłem zostać z przyjaciółmi. Skulić się z nimi w nocy w kadłubie, rozmawiać o naszych domach i rodzinach, dać się pocieszyć ich modlitwom i ciepłu ich ciał. Miejsce katastrofy wyglądało strasznie, przesycone moczem, zapachem śmierci, usiane potrzaskanymi kawałkami ludzkich kości i chrząstek, mnie jednak wydało się nagle bezpieczne, ciepłe i swojskie. Chciałem tam zostać. Tak bardzo chciałem zostać.

Roberto znów zawołał:

- Nando?

- Jestem gotów - powiedziałem. Pomachaliśmy sobie po raz ostatni i ruszyliśmy w górę.

Żaden z nas nie miał wiele do powiedzenia, kiedy szliśmy po łagodnej pochyłości lodowca ku dolnym zboczom góry. Sądziliśmy, że wiemy, co nas czeka i jak niebezpieczna może okazać się góra. Nauczyliśmy się, że nawet najłagodniejsza burza może nas zabić, jeśli nas dopadnie na otwartej przestrzeni. Rozumieliśmy, że wielkie nawisy śniegu na wysokich grzbietach są niestabilne, a najmniejsza lawina może zgarnąć nas ze zbocza niby miotła zmiatająca okruchy. Wiedzieliśmy, że pod cienką skorupą zmarzłego śniegu kryją się głębokie szczeliny, a kawały skały wielkości telewizora wałęsały się często z kruchych występów wysoko na górze. Nie mieliśmy jednak pojęcia o technice i strategii górskiej wspinaczki, a tego, czego nie wiedzieliśmy, wystarczyłoby, żeby nas zabić.

Nie wiedzieliśmy, na przykład, że wysokościomierz fairchilda dawał błędny odczyt: miejsce katastrofy nie leżało na wysokości 2100 metrów, jak sądziliśmy, tylko blisko 3650 metrów. Nie mieliśmy też pojęcia, że góra, z którą mieliśmy się zmierzyć, należy do najwyższych w Andach - wznosi się na wysokość prawie 5200 m, a jej zbocza są tak strome i trudne, że stanowiłyby nie lada wyzwanie dla zespołu wytrawnych wspinaczy. Doświadczeni andyniści w istocie nawet nie zbliżyliby się niej bez całego arsenału specjalistycznego wyposażenia,

stalowych karabinków, wkrętów lodowych, lin asekuracyjnych i innych istotnych gadżetów, mających zapewnić im bezpieczeństwo na zboczu. Wzięliby czekany, nieprzemakalne namioty i solidne ocieplane buty wyposażone w raki - czyli metalowe kolce, gwarantujące przyczepność na najbardziej stromych zaladzonych pochyłościach. Byliby, ma się rozumieć, w doskonałej kondycji fizycznej i podjęliby wspinaczkę

ICO

w wybranym przez siebie czasie, starannie zaplanowawszy najdogodniejszą drogę na szczyt. Nasza trójka pięła się w miejskich ubraniach, dysponując tylko topornym ekwipunkiem sporządzonym z materiałów uzyskanych z samolotu. Organizmy mieliśmy już wyniszczone tygodniami wyczerpania, głodu i zimna, a życie przed katastrofą dało nam niewielkie przygotowanie do takiego zadania. Urugwaj to kraj ciepły i nizinny. Żaden z nas nigdy przedtem nie widział prawdziwych gór. Przed katastrofą Roberto i Tintin nie widzieli nawet śniegu. Gdybyśmy mieli jakieś pojęcie o wspinaczce, wiedzielibyśmy, że nasz los jest już przesądzony. Na szczęście nie wiedzieliśmy nic, a ta ignorancja stanowiła naszą jedyną szansę.

Naszym pierwszym zadaniem było obranie drogi w górę zbocza. Doświadczeni wspinacze rychło dostrzegliby grań ciągnącą się od szczytu aż po skraj lodowca, do miejsca położonego niespełna półtora kilometra na południe od miejsca katastrofy. Gdybyśmy mieli dostateczną wiedzę i podeszli do tej grani, by wspiąć się jej długim, wąskim grzbietem, czekałyby nas bardziej stabilne podłoże, łagodniejsze zbocza i bezpieczniejsza i szybsza droga na szczyt. Nawet jej nie zauważyliśmy. Przez całe dni zaznaczałem wzrokiem miejsce, gdzie słońce zachodziło za tymi grzbietami, a w przekonaniu, że najlepsza będzie najkrótsza droga, wyznaczyliśmy sobie trasę na zachód prosto jak strzelił na ten punkt. Był to amatorski błąd, który zmusił nas do brnięcia przez najbardziej strome i niebezpieczne zbocza góry. Początek był jednak obiecujący. Śnieg na dolnym skłonie był twardy i względnie równy, a korki butów do rugby dobrze trzymały się zamrożonej skorupy. Pchany intensywnym napływem adrenaliny, szedłem szybko pod górę i w krótkim czasie wysforowałem się jakieś pięćdziesiąt metrów przed

igi

moich towarzyszy. Wkrótce jednak musiałem zwolnić. Zbocze stało się znacznie bardziej strome, a z każdym krokiem zdawało się coraz bardziej pochylać, niczym mechaniczna bieżnia, która stale zwiększa kąt nachylenia. Dyszałem z wysiłku w rozrzedzonym powietrzu, a co kilka metrów musiałem odpoczywać z dłońmi wspartymi o kolana.

Przed południem słońce ogrzewało nas podczas wspinaczki, ale grzało też śnieg, którego twarda powierzchnia zaczęła wkrótce mięknąć nam pod nogami. Z każdym krokiem stopy przebijały się przez coraz cieńszą skorupę i zapadałem się po kolana w miękkich, głębokich zwałach. Każdy ruch wymagał teraz skrajnego wysiłku. Unosiłem kolano prawie do klatki piersiowej, żeby wydobyć but ze śniegu. Potem przesuwalem stopę do przodu, opierałem na niej ciężar ciała i znowu przebijałem się przez cienki lód. W rozrzedzonym powietrzu musiałem odpoczywać, wyczerpany, po każdym kroku. Obejrawszy się, zobaczyłem, że podobnie zmagają się pozostali. Uniosłem wzrok ku słońcu i zdałem sobie sprawę, że tego ranka zbyt długo zwlekaliśmy z wymarszem. Logika podpowiadała, że rozsądniej będzie iść za dnia, zaczekaliśmy więc do wschodu słońca. Eksperci wiedzą, że najlepsza pora na wspinaczkę to godziny przed świtem, nim słońce zmieni śnieg na zboczach w mokrą papkę. Góra kazała nam płacić za kolejny amatorski błąd. Zastanawiałem się, jakie jeszcze czekają nas pomyłki i z ilu zdołamy wyjść z życiem.

Wreszcie cała zewnętrzna skorupa stopniała i musieliśmy brnąć pod górę przez głęboki śnieg sięgający nam niekiedy po pas.

- Wypróbujmy rakiety śnieżne! - krzyknąłem. Pozostali przytaknęli, zaraz zsunęliśmy z pleców prowizoryczne rakiety Fita i umocowaliśmy do stóp. Początkowo sprawdzały się, pozwalając nam iść bez zapadania się. Ale gabaryty grubych

IQ2

poduszek zmuszały nas do uginania nóg podczas marszu i zataczania stopami nienaturalnie szerokich półkoli, aby rakiety się nie zderzały. Na domiar złego wypełniacz i tapicerka szybko nasiąkły wodą z topniejącego śniegu. Miałem wrażenie, jakbym piął się pod górę z pokrywami studzienek ściekowych przytwierdzonymi do butów. Szybko upadałem na duchu. Byliśmy już na skraju wyczerpania, a przecież prawdziwa wspinaczka nawet się nie rozpoczęła.

* * *

Stok góry robił się coraz bardziej ostry i niebawem osiągnęliśmy zbocza, które były zbyt strome i wystawione na wiatry, żeby zalegała tam grubsza warstwa śniegu. Z ulgą zdjęliśmy rakiety, umocowaliśmy je na plecach i pięliśmy się wyżej. Sporo przed południem dotarliśmy już na oszałamiającą wysokość. Wokół nas więcej było teraz błękitnego powietrza i słońca niż skał i śniegu. Całkiem dosłownie pięliśmy się do nieba. Już sama wysokość i ziejąca otwartość rozległych zboczy budziły we mnie obezwładniające wrażenie niedowierzania. Góra opadała teraz za mną tak stromo, że gdy spoglądałem w dół na Tintina i Roberta, widziałem tylko ich głowy i ramiona na tle 600 metrów pustej przestrzeni. Kąt nachylenia zbocza był ostry jak na drabince dachowej, ale wyobraźcie sobie drabinę, po której można wspiąć się na księżyc! Od tej ekspozycji kręciło mi się w głowie, a mrowiące skurcze przebiegały po ścięgnach podkolanowych i kręgosłupie. Odwracanie się, by spojrzeć za siebie, przypominało piruet na gzymsie drapacza chmur.

Na takich stromych, odkrytych zboczach, gdzie człowiek ma wrażenie, że góra pragnie go strząsnąć z siebie samym kątem nachylenia, i gdzie trudno o dobre chwytty, specjaliści użyliby lin asekuracyjnych, umocowanych do stalowych kotwiczek

f7Ó\

E '3UqBJ§Z3IU I 3qnj§ SIS

ui^zdiu pizsezd jo^om Sis iui

l3]dui91 UIIMJOZ A\ ZEJ91 9IS

od ioso^osAm bu 3m{BZ3zsndAzad peud mojpui 009

3Z

EUZBpZ

ojS |oq /fofenuifezjd oq

p sbu ojepip

3ZJ0§ [31 M SOD iAzsp fejBUO^SOp fol [3JBD mOJMOd OJEIDip AV 'XZSID AV

'JO^OM 3!Zp3ZSAV

S03

'DTDOJM

-foiui oi eu uiajEzjfods AzsAuaid zbi od Apsr^ 'oj ui9|nzD0d ibi

MOUOIjIUI po m JEMOUBd \yfi\ 'n(0^[0dS 0§3|BU0>[S0p UI9IU3ZS

-ruEu ojXq oj o^isAzsm 'ojBMOSEd 3iu m dp&Z 'Nnj ojEMOsed

3TU 01 0>[lSy(zSM "SIUKAUISZid 0 I)|JEAY feuZD^SEjp 9TUEZS9IUIEZ I SEJBq

'3TU3ldj3p SMIJ^ZJ^ 3ZSEU 'ETDXq^Zjd 0§3ZSEU J3p]UI -JEq I pS0UM01JBAV§ -

3MPSEJAY3TU tli 5]S OIEAVEpAv\ 'OJEZEIAY IUI -EU Z 5IS OD 'O^ISAZSM

'VM.pSV}M3IU SIUjEIUaUIEpunj ^E('3fep

-Aw buo 5is nDsoiui eu stu i EpEisoad yp['ui3jAzDEqoz " eu SuiEid EUJEjtiSsiSiu ?b>[e(

Z A0J1SE1E>I SDSfolUI EU XiO§ Z UI3JEZj(ods

i o§3iSojav 'o§3UMEpEad sod 'oSsDfefe^odsiu sod 5is ojjLq ui3u>[5id wfy w/iyed ez
^Eupsf 'sufu^ods i ai^Dp '3jeuo>is -op }[Ei '3^§3|Z0J y[m o\Aq 0>psXzsM "moSsius
udAzdtmsjzp iprA o§3UOZJe(zoj 'jo§ aDAuoiuojzso 'Eq3iu o§3upi
3IUU1 3T^e['EUi(5ld O§31^izp DE§3ZIIS0p 3]U
sf iu3|§oui 3tu 'AuozeJSzad 'euse(zd3zj 'uisjAg -iuieu pod feuii^5jq m ui3iuEMoqXzsod
pazjd seu ejemAuiAzjism

-Od MODIEd aDADEUZJEUI I §0U 'iIEJ IIDAZSEU EJIS EDEUqEJS Ca\M !0§3I^EI DIU
XuiS|piUI 3IU Ay\['EZOJpod 5]S AqXjEU1AzJl 9]UZD3ld

-Z3q Añq \p\ uio^ej i^5izp e 'poi Azd 5]E^s m ipAuoZDzsndiw

głowy, odwrócenie się, by coś powiedzieć do Roberta - sprawiał, że łąpałem powietrze, jakbym właśnie przebiegł kilometr, ale bez względu na to, jak forsownie oddychałem, nie mogłem napełnić płuc. Miałem wrażenie, jakbym wciągał powietrze przez kawał filcu. Nie domyślałem się tego wówczas, ale cierpiałem na objawy choroby wysokościowej. Fizjologiczny stres wysiłku przy ubogim w tlen powietrzu to jedno z wielkich zagrożeń wspinaczki wysokogórskiej. Choroba wysokościowa, atakująca zwykle na wysokości ponad 2500 metrów, może dawać wiele osłabiających objawów, jak ból i zawroty głowy oraz intensywne zmęczenie. Powyżej 3600 metrów może się pojawić obrzęk płuc i mózgu, co grozi trwałym jego uszkodzeniem i szybkim zgonem. Na dużej wysokości trudno uniknąć efektów łagodnej choroby wysokościowej, ale stan ulega zaostrzeniu podczas szybkiej wspinaczki. Specjaliści zalecają, by nie podchodzić więcej niż 300 metrów dziennie, bo takie tempo umożliwia organizmowi aklimatyzację do warunków rozrzedzonego powietrza. My w ciągu jednego ranka pokonaliśmy wysokość dwa-kroć większą, na domiar złego kontynuowaliśmy wspinaczkę, kiedy nasze organizmy rozpaczliwie wołały o odpoczynek. W rezultacie moje niedotlenione ciało zmagало się ze skutkami oddychania rozrzedzonym powietrzem. Puls przyspieszył gwałtownie, a krew gęstniała w żyłach - w ten sposób organizm stara się zachować tlen w krwiobiegu i wysłać go szybciej do najważniejszych narządów i tkanek. Częstość oddechów wzrosła do granicy hiperwentylacji, a wydychając, traciłem tyle pary wodnej, że z każdym oddechem stawałem się coraz bardziej odwodniony. Aby zaopatrzyć się w ogromne ilości wody potrzebnej organizmowi na dużej wysokości, wytrawni wspinacze używają przenośnych maszynek gazowych do topienia śniegu i pochłaniają codziennie litry płynu. Dla

IQ5

nas jedynym źródłem wody był śnieg zjadany garściami lub topiony w szklanej butelce, noszonej w jednym z plecaków. Niewiele nam to pomagało. Odwodnienie szybko wyczerpywało nam siły a podczas drogi bezustannie odczuwaliśmy palące pragnienie. Po pięciu czy sześciu godzinach ciężkiej wspinaczki pokonaliśmy jakieś 750 metrów różnicy wysokości, ale mimo naszych wysiłków szczyt wcale nie wydawał się bliższy. Straciłem ducha, kiedy oceniwszy dystans do odległego wierzchołka, zdałem sobie sprawę, że każdy pełen udreki krok przybliżył mnie do niego o niespełna czterdzieści centymetrów. Pojąłem z okrutną wyrazistością, jak nieludzkiego podjęliśmy się zadania. Przytłoczony strachem i poczuciem daremności, zapragnąłem nagle paść na kolana i pozostać tam. Wtedy usłyszałem w głowie ten spokojny głos - głos, który przywracał mi równowagę podczas tak wielu chwil kryzysu. Tym razem jednak zabrzmiał odmiennie, energiczniej i bardziej swojsko. Przedtem przebijał się zawsze przez zgiełk szaleńczych i lękliwych myśli, teraz jednak słuchałem go ze spokojnym umysłem. Głos ten przejął teraz kontrolę i zdałem sobie wreszcie sprawę, że należy do mojej najgłębszej jaźni. Ten głos stał się moim wewnętrznym głosem, a kiedy się odezwał, zrozumiałem, co mam robić. Przytłaczały mnie odległości. Musiałem myśleć na mniejszą skalę. Na zboczu przede mną znajdowała się wielka skała. Postanowiłem, że zapomnę o szczycie i obiorę ją sobie za jedyny cel. Brnąłem ku niej, ale podobnie jak szczyt zdawała się cofać przede mną, gdy się ku niej piałem. Wtedy zrozumiałem, że wprowadza

mnie w błęd ogromna skała tej góry. Nic na tych rozległych, pustych zboczach nie stanowi punktu odniesienia - nie ma tam żadnych domów, ludzi czy drzew - dlatego skała, która zdaje się

mieć trzy metry szerokości i leżeć sto metrów dalej, może być w rzeczywistości dziesięciokrotnie większa i odległa o ponad dwa kilometry. Mimo to piąłem się ku niej bez wytchnienia, a kiedy wreszcie tam dotarłem, obrałem sobie kolejny cel i zacząłem wszystko od nowa.

Brnąłem tak całymi godzinami, całkowicie skupiając uwagę na określonym celu - skale, cieniu, niezwyklej zmarszczce na śniegu - aż dystans do tego celu stawał się najważniejszy w świecie. Słyszałem tylko własny ciężki oddech i rytmiczny chrzęst butów na śniegu. Wpadłem niebawem w rodzaj transu, kroczyłem jak automat. Gdzieś tam w głębi duszy nadal tęskniłem za ojcem, cierpiałem wskutek zmęczenia, niepokoiłem się, że nasza misja jest przegrana, ale teraz myśli te stały się przytłumione i drugorzędne, niczym dźwięk radia grającego w drugim pokoju. Krok-naciśnięcie, krok-naciśnięcie. Nic innego się nie liczyło. Czasem obiecywałem sobie, że odpocznę, gdy dotrę do następnego celu, ale nigdy nie dotrzymałem obietnicy. Czas upływał, odległości malały, śnieg przesuwiał się pod stopami. Byłem lokomotywą wtaczającą się pod górę. Byłem jak lunatyk poruszający się w zwolnionym tempie. Utrzymywałem to tempo, aż wysforowałem się daleko przed Roberta i Tintina, którzy musieli aż krzyknąć, żebym się zatrzymał. Zaczekałem na nich na płaskim występie skalnym. Zjedliśmy trochę mięsa i popiliśmy wodą ze stopionego śniegu. Żaden z nas nie miał wiele do powiedzenia. Wiedzieliśmy, w co się pakujemy.

- Ciągłe myślisz, że zdążymy przed nocą? - zapytał Roberto. Spoglądał ku szczytowi. Wzruszyłem ramionami.

- Powinniśmy poszukać miejsca na biwak. Po zmierzchu zrobi się zimno. Jak nie znajdziemy jakiejś osłony, do świtu zamarzniemy.

/97

Spojrzałem z góry na miejsce katastrofy. Nadal rozróżniałem drobne kształty naszych przyjaciół obserwujących nas z foteli wyciągniętych przed wrak samolotu. Zastanawiałem się, jak to wszystko wygląda z ich perspektywy. Czy widzą, jak desperacko walczymy? Czy zaczynają tracić nadzieję? A gdybyśmy w jakimś momencie znieruchomieli, jak długo by czekali, aż zaczniemy się znowu poruszać? A jak by postąpili, gdybyśmy się więcej nie poruszyli? Myśli takie pojawiały się jak chłodne i oderwane obserwacje. Nie czułem już emocjonalnego związku z chłopakami na dole. Życzyłem im jak najlepiej, ale mój świat zmienił się, odkąd odszedłem z miejsca wypadku. Byłem teraz uwięziony w samotnym wszechświecie. Koleżeństwo, współczucie, jakkolwiek odpowiedzialność za los innych - wszystkie te sprawy zostały wypchnięte z mojego umysłu przez czysty i pierwotny lęk przed śmiercią i niepokonywane dążenie, by przetrwać. Tintin i Roberto byli moimi towarzyszami w tej walce, ale tak naprawdę nie byli ze mną, tak jak ja nie byłem z nimi. W jeden poranek ta góra uświadomiła mi całą prawdę - w ostatecznym rachunku walkę o przetrwanie toczy się samotnie.

Roberto wstał z miejsca i podniósł plecak.

- Czym sobie na to zasłużyliśmy? - mruknął.

Spojrzałem na górę, szukając ścianki lub głazu, które mogłyby osłonić nas w nocy.

Widziałem tylko nieskończoną, płaską pokrywę śniegu.

W miarę jak pieliśmy się w górę, pokrywa śniegowa ustąpiła jeszcze trudniejszemu terenowi. Teraz spod śniegu wystawały skały, niektóre ogromne i nie do zdobycia. Potężne granie i

występy przesłaniały widok na zbocze przed nami, więc wybierałem drogę, kierując się intuicją. Często się przy tym myliłem i stawałem przed niemożliwą do przejścia półką

iq8
skalną czy u podstawy pionowej ścianki. Zwykle mogłem wycofać się po własnych śladach lub stawersować ukosem zbocze, by znaleźć nową drogę. Czasem nie miałem innej możliwości, jak przeć naprzód.

W pewnym momencie wczesnym popołudniem zauważyłem, że drogę przegradza mi niezwykle stroma, ośnieżona pochyłość. Na jej górnym skraju dostrzegłem płaską półkę skalną. Gdyby nie udało mi się przebyć ukosem tej stromizny i wdrapać na wąską półeczkę, musiałbym się cofnąć. Mogliśmy przez to stracić kilka godzin, a ponieważ zmierzch zbliżał się nieubłaganie, wiedziałem, że nie wchodzi to w rachubę. Obejrzałem się na Tintina i Roberta. Patrzyli, co zamierzam zrobić. Zlustrowałem stromiznę. Była to spadzista i gładka płyta, żadnych chwytów dla rąk. Ale śnieg zdawał się na tyle stabilny, by mnie utrzymać. Musiałem wbijać w niego stopy i wspinać się pochyłony, by przesunąć ciężar ciała ku przodowi. Wszystko zależało od zachowania równowagi.

Zacząłem się wspinać po zamrożonej ścianie, ryjąc śnieg kantami butów i przyciskając klatkę piersiową do zbocza, żeby nie runąć do tyłu. Podłoże było stabilne, więc bardzo ostrożnie dobrnąłem do skalnej półki i wdrapałem się na płaski teren. Machnąłem do Tintina i Roberta.

- Idźcie za mną! - krzyknąłem. - Ostrożnie, jest bardzo stromo.

Odwróciłem się od nich i ruszyłem zboczem ku górze. Chwilę później obejrzałem się. Roberto sforsował tamtą stromiznę. Teraz kolej na Tintina. Podjąłem wspinaczkę i przebyłem jeszcze jakieś trzydzieści metrów, kiedy na górze rozległ się echem okrzyk przerażenia:

- Utknąłem! Nie dam rady!

Odwróciwszy się, dostrzegłem Tintina znieruchomiałego w połowie płyty.

skalną czy u podstawy pionowej ścianki. Zwykle mogłem wycofać się po własnych śladach lub stawersować ukosem zbocze, by znaleźć nową drogę. Czasem nie miałem innej możliwości, jak przeć naprzód.

W pewnym momencie wczesnym popołudniem zauważyłem, że drogę przegradza mi niezwykle stroma, ośnieżona pochyłość. Na jej górnym skraju dostrzegłem płaską półkę skalną. Gdyby nie udało mi się przebyć ukosem tej stromizny i wdrapać na wąską półeczkę, musiałbym się cofnąć. Mogliśmy przez to stracić kilka godzin, a ponieważ zmierzch zbliżał się nieubłaganie, wiedziałem, że nie wchodzi to w rachubę. Obejrzałem się na Tintina i Roberta. Patrzyli, co zamierzam zrobić. Zlustrowałem stromiznę. Była to spadzista i gładka płyta, żadnych chwytów dla rąk. Ale śnieg zdawał się na tyle stabilny, by mnie utrzymać. Musiałem wbijać w niego stopy i wspinać się pochyłony, by przesunąć ciężar ciała ku przodowi. Wszystko zależało od zachowania równowagi.

Zacząłem się wspinać po zamrożonej ścianie, ryjąc śnieg kantami butów i przyciskając klatkę piersiową do zbocza, żeby nie runąć do tyłu. Podłoże było stabilne, więc bardzo ostrożnie dobrnąłem do skalnej półki i wdrapałem się na płaski teren. Machnąłem do Tintina i Roberta.

- Idźcie za mną! - krzyknąłem. - Ostrożnie, jest bardzo stromo.

Odwróciłem się od nich i ruszyłem zboczem ku górze. Chwilę później obejrzałem się. Roberto sforsował tamtą stromiznę. Teraz kolej na Tintina. Podjąłem wspinaczkę i przebyłem jeszcze jakieś trzydzieści metrów, kiedy na górze rozległ się echem okrzyk przerażenia:

- Utknąłem! Nie dam rady!

Odwróciwszy się, dostrzegłem Tintina znieruchomiałego w połowie płyty.

199

- Dalej, Tintin! - krzyknąłem. - Dasz radę! Pokręcił głową.

- Nie mogę się ruszyć.

- To plecak! - oznajmił Roberto. - Jest za ciężki.

Miał rację. Ciężar plecaka, umieszczonego bardzo wysoko na plecach Tintina, odciągał go od ściany. Chłopak starał się przesunąć środek ciężkości ku przodowi, ale nie znajdował chwytu dla rąk, a wyraz jego twarzy mówił mi, że długo tak nie wytrzyma. Widziałem oszłamiającą panoramę za jego plecami i rozumiałem, co by się stało, gdyby odpadł. Najpierw przez długi czas szybowałby w rozrzedzonym powietrzu coraz dalej od nas, potem gruchnąłby o zbocze albo jakiś występ skalny i zleciał po stoku jak szmaciana lalka, dopóki jakiś zwał śniegu albo grań nie zatrzymałaby w końcu jego potrzaskanego ciała.

- Tintin, wytrzymaj! - krzyknąłem. Roberto stał na skraju skalnej półki nad tamtą stromizną, wyciągając do niego rękę. Brakowało mu kilku centymetrów.

- Zdejmij plecak! - krzyknął. - Daj mi go!

Tintin zdjął ostrożnie plecak, starając się zachować równowagę, kiedy powolutku zsuwał z ramion paski i podawał go Robertowi. Nieobciążony plecakiem, odzyskał teraz równowagę i wspiął się bezpiecznie po płycie. Kiedy dotarł na półkę, osunął się na śnieg.

- Dalej nie dam rady - oświadczył. - Jestem zbyt zmęczony. Ledwo powłóczę nogami.

Głos Tintina zdradzał strach i wyczerpanie, ale wiedziałem, że musimy iść dalej, aż znajdziemy jakieś osłonięte miejsce na nocny odpoczynek, więc podjąłem wspinaczkę, nie dając tamtym wyboru - musieli iść za mną. W drodze lustrowałem zbocza ze wszystkich stron, ale góra była tak skalista i stroma, że nie znajdowałem bezpiecznego miejsca na

200

- Dalej, Tintin! - krzyknąłem. - Dasz radę! Pokręcił głową.

- Nie mogę się ruszyć.

- To plecak! - oznajmił Roberto. - Jest za ciężki.

Miał rację. Ciężar plecaka, umieszczonego bardzo wysoko na plecach Tintina, odciągał go od ściany. Chłopak starał się przesunąć środek ciężkości ku przodowi, ale nie znajdował chwytu dla rąk, a wyraz jego twarzy mówił mi, że długo tak nie wytrzyma. Widziałem oszłamiającą panoramę za jego plecami i rozumiałem, co by się stało, gdyby odpadł. Najpierw przez długi czas szybowałby w rozrzedzonym powietrzu coraz dalej od nas, potem gruchnąłby o zbocze albo jakiś występ skalny i zleciał po stoku jak szmaciana lalka, dopóki jakiś zwał śniegu albo grań nie zatrzymałaby w końcu jego potrzaskanego ciała.

- Tintin, wytrzymaj! - krzyknąłem. Roberto stał na skraju skalnej półki nad tamtą stromizną, wyciągając do niego rękę. Brakowało mu kilku centymetrów.

- Zdejmij plecak! - krzyknął. - Daj mi go!

Tintin zdjął ostrożnie plecak, starając się zachować równowagę, kiedy powolutku zsuwał z ramion paski i podawał go Robertowi. Nieobciążony plecakiem, odzyskał teraz równowagę i wspiął się bezpiecznie po płycie. Kiedy dotarł na półkę, osunął się na śnieg.

- Dalej nie dam rady - oświadczył. - Jestem zbyt zmęczony. Ledwo powłóczę nogami.

Głos Tintina zdradzał strach i wyczerpanie, ale wiedziałem, że musimy iść dalej, aż znajdziemy jakieś osłonięte miejsce na nocny odpoczynek, więc podjąłem wspinaczkę, nie dając tamtym wyboru - musieli iść za mną. W drodze lustrowałem zbocza ze wszystkich stron, ale góra była tak skalista i stroma, że nie znajdowałem bezpiecznego miejsca na

200

rozłożenie naszego śpiwora. Robiło się już późne popołudnie. Słońce odplynęło za zachodnie grzbiety, a na zboczach słały się cienie. Temperatura spadała. Zobaczyłem, jak w dole, na miejscu katastrofy, nasi przyjaciele wycofują się do kadłuba, uciekając przed zimnem. Panika zaczynała ścisnąć mi gardło, gdy gorączkowo przeczesałem wzrokiem zbocza w poszukiwaniu bezpiecznego, płaskiego miejsca na nocleg.

W półmroku wspiąłem się na wysoki występ skalny, żeby mieć lepszy widok. Podczas wspinaczki zaklinowałem prawą stopę w niewielkiej szczelinie, a lewą ręką chwyciłem róg

głazu wystającego ze śniegu. Głaz wyglądał solidnie, ale gdy się podciągnąłem, oderwała się od niego bryła rozmiarów kuli armatniej i runęła obok mnie.

- Uwaga! Uwaga na dole! - krzyknąłem. Spojrzałem na znajdującego się niżej Roberta. Nie miał czasu zareagować. Oczy rozwarły mu się, kiedy czekał na uderzenie skały, która chybiła jego głowy o kilka centymetrów. Po chwili osłupiałego milczenia spojrział na mnie.

- Ty skurwysynu! Ty skurwysynu! - wrzeszczał. - Chcesz mnie zabić? Uważaj! Uważaj, kurwa, co robisz!

Potem umilkł, pochylił się, a ramiona zaczęły mu dygotać. Zdałem sobie sprawę, że płacze. Słyszając jego łkanie, doznałem przyływu poczucia beznadziejności tak ostrego, że aż poczułem je na języku. Potem ogarnęła mnie nagła, niewypowiedziana wściekłość.

- Pierdolę to! Pierdolę to! - mamrotałem. - Mam tego dosyć! Mam tego dosyć!

Chciałem, by wszystko się już skończyło. Chciałem odpocząć. Opaść na śnieg. Leżeć spokojnie i cicho. Nie pamiętam żadnych innych myśli, zatem nie wiem, co kazało mi iść dalej, ale kiedy Roberto wziął się w garść, znów podjęliśmy wspinaczkę w słabnącym świetle. Wreszcie znalazłem płytkie

20/

zagłębienie w śniegu pod wielkim głazem. Słońce grzało go przez cały dzień, a ciepło promieniujące ze skały wytopiło niewielką jamę. Była ciasna, dno miała ostro nachylone zgodnie ze spadkiem zbocza, ale mogła nas osłonić przed nocnym mrozem i wiatrem. Położyliśmy poduszki z foteli na dnie zagłębienia jako izolację przed zimnem, na nich rozestaliśmy śpiwór. Nasze życie zależało od tej torby i ciepła naszych ciał, które miała zachować, ale była to rzecz prowizoryczna, zszyta prymitywnie kawałkami miedzianego drutu, więc traktowaliśmy ją z wielką ostrożnością. Nie chcąc rozedrzeć szwów, zdjeliśmy buty przed wsunięciem się do środka.

- Wysikałeś się chociaż? - spytał Roberto, kiedy lokowałem się w śpiworze. - Nie możemy przez całą noc wyłazić i włożyć do tego wora.

Uspokoili mnie, że powrócił do swego zwykłego gderliwego tonu.

- Wysikałem się - odparłem. - A ty? Nie chcę, żebyś nam zaszczał śpiwór.

Roberto się zachnął.

- Jeśli ktoś go zaszcza, to właśnie ty. I uważaj z tymi no-galami.

Kiedy wszyscy trzej znaleźliśmy się w śpiworze, spróbowaliśmy ułożyć się wygodnie, ale podłoże było bardzo twarde, a dno jamy tak pochyłe, że prawie staliśmy, z plecami przyciśniętymi do zbocza i nogami wpartymi w dolną krawędź zagłębienia. Tylko niewielki gzyms śnieżny powstrzymywał nas przed zjechaniem w dół. Wszyscy byliśmy wyczerpani, a ja byłem zbyt przestraszony i przemarznięty, by się odprężyć.

- Roberto - powiedziałem. - Jesteś studentem medycyny. Jak się umiera z wyczerpania? Czy to bolesne? Czy też po prostu się odpływa?

Pytanie to najwyraźniej go zirytowało.

202

- Co za różnica, jak się umiera? - parsknął. - Będziesz martwy i tyle.

Milczeliśmy przez długi czas. Niebo było teraz czarne jak atrament, usiane miliardami jasnych gwiazd, każda niemożliwie wyraźna i rozjarzona niczym ognisty punkcik. Na tej wysokości miałem wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by ich dotknąć. W innym czasie i miejscu zachwyciłoby mnie całe to piękno. Ale tutaj i teraz przypominało to prostacki pokaz mocy. Świat pokazywał mi, jaki jestem mały, jaki słaby i niezna-czący. I efemeryczny.

Wsluchiwałem się we własny oddech, zapewniając się, że póki oddycham, nadal żyję.

Obiecałem sobie nie myśleć o przyszłości. Będę żył bieżącą chwilą, od oddechu do oddechu, aż wyczerpię swoje życie do końca.

Tamtej nocy temperatura spadła tak bardzo, że naszą butelkę z wodą rozsadził mróz. Skuleni razem w śpiworze, nie zamrzliśmy, a jednak cierpieliśmy straszliwie. Rankiem położyliśmy

zamarznięte buty na słońcu i odpoczywaliśmy w śpiworze, póki nie odtajały. Potem zjedliśmy coś, spakowaliśmy manatki i podjęliśmy wspinaczkę. Słońce świeciło jasno. Kolejny idealny dzień.

Byliśmy teraz na wysokości ponad 4500 metrów, a z każdą setką metrów nachylenie zbocza zbliżało się do pionu. Po odkrytych stokach nie dało się już wspiąć, zaczęliśmy więc szukać drogi wzdłuż skalnych krawędzi krętych pionowych żlebów, rozcinających zbocze góry. Doświadczeni wspinacze wiedzą, że żeby bywają strefami śmierci - dzięki swemu kształtowi stanowią doskonałą zjeżdżalnię dla wszelkich walących się z góry kamieni i skał - ale ubity śnieg na ich dnie dawał solidne oparcie dla stóp, a skalne krawędzie zapewniały mocne chwytty.

203

Niekiedy jeden brzeg żebru prowadził do miejsca, którego nie dano się sforsować. Wtedy przechodziłem przez zasypane śniegiem dno na przeciwną stronę. Podczas wspinaczki żlebami coraz bardziej niepokoiła mnie rozciągająca się w dół zabójcza próżnia. Może to oszałamiająca wysokość, może zmęczenie albo jakaś sztuczka niedotlenionego mózgu, ale poczułem, że pustka za moimi plecami przestała być tylko pasywnym zagrożeniem. Zyskała teraz osobowość i zamiary, bardzo złe zamiary; wiedziałem, że jeżeli nie będę się jej opierał z całych sił, to wywabi mnie z tej góry i ciśnie w dół zbocza. Śmierć pukała mnie w ramię, a świadomość tego czyniła mnie powolnym i niepewnym. Krytycznie rozważałem każdy ruch i straciłem zaufanie do własnego poczucia równowagi. Uprzytomniłem sobie z bolesną wyrazistością, że nie dostanę tu drugiej szansy. Żadnego marginesu błędu. Jedno poślizgnięcie, jedna chwila nieuwagi, jedna nietrafna decyzja pošlę mnie prosto w dół zbocza. Ta próżnia ciągnęła mnie bezustannie. Chciała mnie, a jedynym, co mogło mnie przed tym uchronić, była moja sprawność. Życie skurczyło się do prościutkiej gry - wspinaj się dobrze i przeżyj albo zachwiej się i giń - a pole świadomości zawężyło się do tego stopnia, że nie było tam miejsca na żadne inne myśli poza uważnym i gruntownym badaniem skały, którą miałem chwycić, albo półki, na której miałem oprzeć stopę. Nigdy nie doświadczyłem takiego skupienia uwagi. Nigdy mój umysł nie doświadczał tak intymnej więzi z moją zwierzęcą naturą ani takiego czystego, nieskomplikowanego poczucia celu.

Postaw tam prawą stopę. Tak, ta krawędź wytrzyma. Teraz lewą ręką sięgnij do szczeliny w tym głazie. Czy jest solidna? Dobrze. Podciągnij się. Teraz postaw prawą stopę na tej półce. Czy jest bezpieczna? Zaufaj swojemu poczuciu równowagi. Uważaj na lód!

204

Zapamiętałem się w intensywnej koncentracji, zapomniałem o lękach i zmęczeniu i przez chwilę odnosiłem wrażenie, jakby wszystko, czym kiedyś byłem, zniknęło, a teraz stałem się tylko wolą wspinania. Była to chwila zwierzęcej euforii.

Nigdy wcześniej nie czułem się tak skupiony, zmotywowa-ny, tak wściekle żywy. Podczas tych zdumiewających chwil odeszło cierpienie, a życie stało się przepływem. Ale nie trwało to długo. Wkrótce wróciły lęk i wyczerpanie, i znowu wspinaczka zmieniła się w męczarnię. Byliśmy teraz na dużej wysokości, dlatego ruchy stały się ociężałe, a myślenie powolne. Zbocza były prawie pionowe i coraz trudniejsze do przebycia, ale mówiłem sobie, że skoro jest tak stromo, to pewnie zbliżamy się do szczytu. Aby się uspokoić, wyobrażałem sobie scenę, jaką zobaczę z wierzchołka, jak czyniłem to wcześniej tak wiele razy - pofalowane wzgórza z szachownicą zielonych i brązowych pól uprawnych, drogi prowadzące do bezpieczeństwa, i gdzieś daleko jakiś szałas czy wiejska chata...

Nie potrafię powiedzieć, jakim cudem pieliśmy się dalej. Dygotałem spazmatycznie z zimna i zmęczenia. Mój organizm był na skraju kompletnego wyczerpania. Mogłem myśleć tylko o najprostszych rzeczach. Wtedy ujrzałem przed sobą w oddali zarys pochyłego grzbietu, ostro odcinający się na tle pogodnego błękitnego nieba. I już żadnej góry powyżej. To szczyt!

- Udało się! - krzyknąłem i z nową energią drapałem się na grań. Ale kiedy podciągnąłem się ponad jej krawędź, grań przeszła w płaską półkę szeroką na kilka metrów, nad którą znowu wznosiła się góra. Wprowadził mnie w błąd ostry kąt nachylenia zbocza. To tylko kolejna sztuczka góry, fałszywy wierzchołek. I wcale nie ostatni. Przez całe popołudnie mozoliliśmy się ku kolejnym fałszywym szczytom, aż dobrze przed zachodem słońca trafiliśmy na osłonięte miejsce, gdzie postanowiliśmy zabiwakować.

205

Kiedy leżeliśmy tej nocy w śpiworze, Roberto był ponury.

- Jak pójdziemy wyżej, zginiemy - powiedział. - Ta góra jest za wysoka.
- A mamy jakieś inne wyjście? - zapytałem.
- Możemy wrócić - odparł. Na moment odebrało mi mowę.
- Wrócić i czekać na śmierć? - upewniłem się. Pokręcił głową.
- Widzisz tam, tę ciemną linię na górze? Myślę, że to droga. Wskazał odległy o całe kilometry górski grzbiet pod drugiej stronie szerokiej doliny.

- Sam nie wiem. - Zawahałem się. - Wygląda to na jakiś uskok w skale.
- Nando, ledwo to widzisz - warknął. - To droga, mówię ci!
- O czym myślisz? - zapytałem.
- Że powinniśmy wrócić i pójść tą drogą. Dokądś przecież prowadzi.

Była to ostatnia rzecz, jaką chciałem usłyszeć. Odkąd opuściliśmy wrak fairchilda, dręczyły mnie wątpliwości i złe przeczucia. Czy postępujemy właściwie? A jeśli ekipa ratunkowa przybyła, kiedy my byliśmy w górach? A jeśli chilijskie pola uprawne wcale nie leżą tuż za tym grzbietem? Plan Roberta wydawał się obłąkańczy, ale zmuszał do rozważenia innych możliwości, a nie miałem teraz do tego serca.

- Ta góra leży jakieś czterdzieści kilometrów stąd - powiedziałem. - Jeśli tam dotrzemy i podejdziemy do tamtej czarnej linii i okaże się, że to tylko warstwa łupku, nie starczy nam sił na powrót.
- Nando, to droga, pewien jestem!
- Może i droga, a może nie - odparłem. - Tylko jedno wiemy na pewno: że na zachód jest Chile.

Roberto zmarszczył brwi.

206

- Powtarzasz to od miesięcy, ale połamiemy sobie karki, zanim tam dotrzemy. Przez kilka godzin spieraliśmy się na temat drogi, ale kiedy zasypialiśmy, wiedziałem, że sprawa nie została rozstrzygnięta. Kiedy zbudziłem się nazajutrz rano, niebo znów było pogodne.

- Mamy szczęście z tą pogodą - zauważył Roberto. Nie wyszedł jeszcze ze śpiwora.
- Co postanowiłeś? - zapytałem. - Wracasz?
- Nie jestem pewien - odparł. - Muszę się namyślić.
- Ja się wspinam dalej - powiedziałem - może niedługo dotrzemy do szczytu.

Kiwnął głową.

- Zostawcie tu bagaże - zaproponował. - Zaczekam, aż wróćcie.

Przytaknąłem. Przerażała mnie myśl o dalszej wspinaczce bez Roberto, ale nie miałem teraz zamiaru wracać. Zaczekałem, aż Tintin spakuje plecak, po czym ruszyliśmy dalej do góry. Po kilku godzinach powolnej wspinaczki utknęliśmy u podstawy wysokiego na ponad sto metrów urwiska. Jego ściana była niemal pionowa, pokryta twardo ubitym śniegiem.

- Jak mamy się na to wdrapać? - zapytał Tintin. Przyjrzałem się ścianie. Myślałem ospale, ale chwilę potem przypominałem sobie o aluminiowym drążku przytroczonym do plecaka.

- Potrzebne nam stopnie - powiedziałem. Wyciągnąłem drążek i zacząłem ryć jego ostrym szpicem prymitywne schodki w śniegu. Używając ich jak szczebli drabiny, pięliśmy się dalej. Była to mordercza praca, ale kontynuowałem ją z tępym uporem zwierzęcia pociągowego i powoli, krok po kroku, zdobywaliśmy wysokość. Tintin szedł moim śladem. Wiem, że był przestraszony, ale nie skarżył się. W każdym razie tylko

207

niejasno zdawałem sobie sprawę z jego obecności. Uwagę skupiałem na najbliższym zadaniu: ryj, pnij się, ryj, pnij się. Czasem miałem wrażenie, jakbyśmy się pięli po stromych ścianach zamrzniętego drapacza chmur, i bardzo trudno mi było zachować równowagę podczas dłubania stopni, ale nie przejmowałem się już próżnią za plecami. Miałem dla niej respekt, ale nauczyłem się tolerować jej obecność. Człowiek, jak już mówiłem, przyzwyczajają się do wszystkiego.

Pokonywanie w ten sposób góry centymetr za centymetrem było prawdziwą udręką, a godziny płynęły powoli. Późnym rankiem dostrzegłem niebieskie niebo ponad linią grani i ruszyłem w tym kierunku. Po tylu fałszywych szczytach nauczyłem się powściągać nadzieje, tym razem jednak, kiedy wdrapałem się na krawędź grani, zbocze opadało dalej płasko, a ja stanąłem na ponurym garbie skalnym i osmaganym przez wiatr twardym śniegu.

Uprzytomniałem sobie powoli, że nie ma już nade mną góry. Dotarłem na szczyt.

Nie pamiętam już, czy odczułem wówczas jakąś radość z tego osiągnięcia. Nawet jeśli tak, to ulotniła się ona szybko, gdy tylko rozejrzałem się wokół. Z wierzchołka roztaczał się nieprzesłonięty niczym widok na wszystkie strony. Widziałem stamtąd, jak linia widnokregu otacza świat niczym krawędź kolosalnej czary, a w każdym kierunku aż po blaknącą niebieską dal czarę wypełniały całe legiony ośnieżonych gór, każda równie stroma i nieprzystępna jak ta, na którą się właśnie wspiąłem. Natychmiast zrozumiałem, że drugi pilot fairchilda ogromnie się pomylił. Nie minęliśmy Curico. Wcale nie byliśmy blisko zachodniego skraju Andów. Nasz samolot spadł gdzieś pośrodku rozległej Kordyliery.

Nie wiem, jak długo stałem tam, wpatrując się w góry. Minutę. Może dwie. Tkwiłem bez ruchu, aż poczułem palący ucisk w płucach i zdałem sobie sprawę, że zapomniałem

208

o oddychaniu. Zacerpnałem powietrza. Nogi zrobiły mi się jak z waty i opadłem na ziemię. Przeklinałem Boga i wściekałem się na góry. Miałem przed sobą całą prawdę: mimo wszystkich zmaganiań, wszystkich nadziei, obietnic danych sobie i ojcu, tak to się miało skończyć. Wszyscy umrzemy w tych górach. Zasypie nas śnieg, zapadnie nad nami pradawna cisza, a bliscy nigdy się nie dowiedzą, jak ciężko walczyliśmy, żeby do nich powrócić.

W tym momencie wszystkie moje marzenia, założenia

1 oczekiwania życiowe ulotniły się w rozrzedzone andyjskie powietrze. Zawsze uważałem, że życie to coś rzeczywistego, coś naturalnego, a śmierć to po prostu jego kres. Teraz, w tym pozbawionym życia miejscu, pojąłem ze straszliwą wyrazistością, że śmierć jest elementem stałym, jest podstawą, a życie to jedynie krótki, kruchy sen. Byłem już martwy. Urodziłem się martwy, a to, co uważałem za życie, było tylko grą, jaką śmierć pozwalała mi prowadzić, kiedy czekałem, aż umrę. W tej chwili rozpacz ogarnęła mnie nagle gwałtowna tęsknota za łagodnością mojej matki i siostry i serdecznym, silnym uściskiem ojca. Wezbrała mi w sercu miłość do niego i zdałem sobie sprawę, że mimo beznadziejności mojej sytuacji wspomnienie o nim napełnia mnie radością. Wprawiło mnie to w osłupienie: góry, mimo całej ich mocy, nie były silniejsze niż moje przywiązanie do ojca. Nie mogły zdławić mojej zdolności do miłości. Poczułem chwilę spokoju i jasności, a w tej jasności umysłu odkryłem prostą, zdumiewającą tajemnicę. Śmierć ma swoje przeciwieństwo, ale jej przeciwieństwem nie jest tylko życie. Nie jest to odwaga, ani wiara, ani ludzka wola. Przeciwieństwem śmierci jest miłość. Jak mogłem to przeoczyć? Jak ktokolwiek mógłby to przeoczyć? Miłość to nasza

jedyna broń. Tylko ona potrafi zmienić zwykłe życie w cud i nadać cenne znaczenie cierpieniu i lękowi. W tym krótkim,

20Q

magicznym momencie wszystkie lęki rozwiały się i zrozumiałem, że nie pozwolę śmierci zapanować nad sobą. Z miłością i nadzieją w sercu będę szedł przez tę zapomnianą przez Boga i ludzi krainę, która oddziela mnie od domu. Będę szedł, póki nie zachodzę się na śmierć, a kiedy padnę, umrę o tyle bliżej ojca. Te myśli umocniły mnie i z nową nadzieją zacząłem wypatrywać ścieżek przez góry. Niedługo potem usłyszałem głos Tintina wołającego mnie ze zbocza poniżej.

- Nando, widzisz jakąś zieleń? - krzyczał. - Widzisz jakąś zieleń?

- Wszystko będzie dobrze! - odkrzyknąłem. - Powiedz Robertowi, żeby tu podszedł i sam zobaczył.

Czekając, aż Roberto do mnie dołączy, wyjąłem z plecaka plastikową torbę i szminkę. Szminką napisałem na torebce słowa „Góra Selera” i wetknąłem ją pod kamień. Ta góra była moim przeciwnikiem, pomyślałem. A teraz poświęcam ją ojcu. Cokolwiek się stanie, będzie to przynajmniej moja mała zemsta.

Minęły trzy godziny, zanim Roberto wspiął się po stopniach. Rozglądał się przez chwilę, kręcąc głową.

- No, cóż, koniec z nami - oznajmił beznamiętnie. - Nie starczy nam sił na dalszą wspinaczkę.

- Musi być jakaś droga przez te góry - powiedziałem. - Widzisz tam, w oddali, te dwa mniejsze szczyty, nieośnieżone? Może tam kończą się góry. Chyba powinniśmy tam się kierować.

Roberto potrząsnął głową.

- To pewnie z osiemdziesiąt kilometrów - skwitował. - A kto wie, ile jeszcze zostanie, jak tam dojdziemy. Jak mamy odbyć taką wędrowkę w naszym stanie?

- Spójrz na dół - powiedziałem. - U podnóża tej góry jest dolina. Widzisz ją?

2/0

Roberto skinął głową. Dolina wiała się wśród gór całymi kilometrami, mniej więcej w kierunku tamtych dwóch niższych szczytów. W ich pobliżu rozdzielała się na dwa odgałęzienia. Nie widzieliśmy ich stamtąd, bo skręcały za większe góry, ale byłem pewien, że ta dolina zaprowadzi nas tam, gdzie powinniśmy dojść.

- Jedno z tych odgałęzień musi prowadzić w stronę tych niskich gór - powiedziałem. - Tam jest Chile, tyle że dalej, niż sądziliśmy.

Roberto się zasepił.

- To za daleko - powiedział. - Nie damy rady. Nie mamy dość jedzenia.

- Moglibyśmy odesłać Tintina - zaproponowałem. - Z jego jedzeniem i resztkami naszego spokojnie wytrzymałybyśmy ze dwadzieścia dni.

Roberto odwrócił się i spojrzał daleko na wschód. Wiedziałem, że myśli o tamtej drodze. Znowu spojrzałem na zachód i zmartwiałem na myśl o samotnej wędrowce przez to pustkowie.

Późnym popołudniem znaleźliśmy się znowu na naszym biwaku. Kiedy obaj zjedliśmy, Roberto odezwał się do Tintina.

- Jutro odeślemy cię z powrotem - oświadczył. - Podróż będzie dłuższa, niż zakładaliśmy, więc potrzebujemy twojego jedzenia. W każdym razie we dwójkę idzie się szybciej niż we trójkę.

Tintin skinął z aprobatą głową. W jego oczach pojawił się błysk ulgi.

Rankiem Roberto oznajmił, że postanowił zostać ze mną. Uściskaliśmy Tintina i odesłaliśmy go na dół.

- Pamiętaj - powiedziałem, kiedy odchodził - będziemy iść ciągle na zachód. Gdyby się pojawiła ekipa ratunkowa, niech nas odszukają!

2 //

Odpoczywaliśmy przez cały dzień, przygotowując się do czekającej nas wędrówki. Późnym popołudniem zjedliśmy trochę mięsa i wczłgaliśmy się do śpiwora. Tamtego wieczoru, kiedy słońce schowało się za wznoszącym się nad nami grzbieciem, Andy rozjarzyły się najwspanialszym zachodem słońca, jaki kiedykolwiek widziałem. Słońce przemieniło góry w lśniące złoto, a niebo nad nimi rozświetliły kłęby szkarłatu i lawendy. Przyszło mi na myśl, że byliśmy zapewne z Robertem pierwszymi ludźmi, którzy podziwiali ten majestatyczny pokaz z takiego punktu. Bezwiednie poczułem się wdzięczny i wyróżniony, co się często zdarza osobom uhonorowanym jednym z takich cudów natury, ale potrwało to tylko chwilę. Po tym, czego nauczyła mnie ta góra, rozumiałem, że całe to piękno nie jest dla mnie. Andy wystawiały ten spektakl przez miliony lat, na długo zanim człowiek zaczął chodzić po Ziemi, i będą to nadal robić po tym, jak wszyscy przeminiemy. Moje życie czy śmierć w niczym tego nie zmieni. Słońce będzie zachodzić, śnieg będzie padać...

- Roberto - powiedziałem - wyobrażasz sobie, jak piękne by to było, gdybyśmy nie byli martwi?

Poczułem, jak mnie obejmuje. Tylko on rozumiał wymiar tego, co już zrobiliśmy i co nadal pozostawało do zrobienia. Wiedziałem, że jest równie przestraszony jak ja, ale taka bliskość dodawała mi siłę. Byliśmy teraz związani jak bracia. Czyniliśmy się nawzajem lepszymi ludźmi.

Rankiem wspięliśmy się po stopniach na szczyt. Roberto stanął obok mnie. W jego oczach dostrzegłem lęk, ale też odwagę, więc z miejsca wybaczyłem mu tygodnie arogancji, impulsywności i uporu.

- Może idziemy ku śmierci - dodałem - ale wolę już iść na spotkanie śmierci, niż czekać, aż ona przyjdzie po mnie.

Roberto skinął głową.

2 /2

- Jesteśmy przyjaciółmi, Nando - powiedział. - rak wiele przeszliśmy. Umrzemy razem.

Przeszliśmy na zachodni skraj szczytu, wygramoliliśmy się ostrożnie na jego krawędź i rozpoczęliśmy zejście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Widzę człowieka...”

(najwyższe partie zachodniej ściany góry były ośnieżone i niezwykle strome, a widok w dół - którego nie oglądał nigdy żaden inny człowiek - mroził krew w żyłach. Stromość zboczy i sama oszałamiająca wysokość - wspinaliśmy się w stronę chmur - odbierały mi odwagę, więc zmuszałem się do wysiłku. Kiedy zsunęliśmy się z wierzchołka i kierowaliśmy się z wolna ku dołowi, natychmiast uprzytomniłem sobie, że zejście będzie jeszcze bardziej przerażające niż podejście. Wspinaczka na szczyt to zmaganie, atak, a każdy krok do góry stanowi małe zwycięstwo nad grawitacją. Ale zejście bardziej przypomina kapitulację. Nie walczy się już z siłą ciężkości, ale próbuje wejść z nią w układ, a kiedy człowiek opuszcza się ostrożnie od jednego zdradzieckiego stopnia do następnego, wie, że przy najmniejszej okazji ściągnie go ona z góry w błękitną pustkę nieba. Kiedy zgramoliłem się kilka metrów ze szczytu, nie mogłem się powstrzymać, by nie mamrotać z niedowierzania.

- Carajo! Już po mnie. Co my tutaj robimy?

Trzeba było wielkiego wysiłku, żebym zebrał się na odwagę, ale udało mi się to, zacząłem ostrożnie szukać drogi po stromiznach pod samym wierzchołkiem. Zbocza były tu zbyt urwiste, żeby zalegał na nich śnieg, a wiatr wymiółł górę do

2/4

golej skały, więc opuszczaliśmy się centymetr po centymetrze, chwytając się krawędzi wystających głazów i wciskając buty w przestrzenie między spękanymi skałami. Czasem gramoliliśmy się po zboczu jak kraby, zwróceni plecami w stronę góry, innym razem schodziliśmy tyłem do nieba. Każdy krok był zdradliwy - skały wyglądające na solidnie związane z podłożem odłupywały nam się pod nogami, musieliśmy szukać pospiesznie jakiegoś solidnego chwytu. Nie mając wiedzy ani doświadczenia, nie potrafiliśmy planować z wyprzedzeniem najdogodniejszej drogi ze szczytu. Zaprzętało nas tylko to, jak przeżyć kolejny krok, dlatego czasami obierana na chybił trafił droga doprowadzała nas do nieprzebytej ściany albo na skraj występu przewieszzonego nad zboczem jak balkon, skąd roztaczał się mrozący krew w żyłach widok na podnóża góry setki metrów w dół. Żaden z nas nie znał podstaw wspinaczki skałkowej, ale udawało nam się forsować takie przeszkody albo je omijać, czasem zaś schodziliśmy wąskimi szczelinami między nimi. Niekiedy nie mieliśmy innego wyboru, jak przeskakiwać ze skały na skałę, mając pod sobą tylko setki metrów rozrzedzonego powietrza.

Schodziliśmy tak ponad trzy godziny, pokonując co najwyżej pięćdziesiąt metrów różnicy poziomów, wreszcie jednak skalisty teren przeszedł w otwarte zbocza z grubą pokrywą śniegu. Mozolne schodzenie w śniegu po pas nie było tak przerażające jak techniczna wspinaczka w wyższych partiach, ale wyczerpywało siły, a stale wprowadzały nas w błąd pofalowane, łagodnie rzeźbione stoki. Raz za razem takie wygodne zbocze wyprowadzało nas na skraj lodowej ścianki, ukrytego urwiska albo niesamowicie stromej pochyłej płyty. Każda taka ślepa uliczka zmuszała do wycofywania się i szukania innej drogi. Godzinami zmagaliśmy się w śniegu, a Roberto wciąż przestrzegał, żebym zwolnił kroku, ale nie potrafiłem

2/5

opanować impulsów, które pchały mnie naprzód, a raz, na łagodniejszym odcinku zbocza, zacząłem nawet biec w głębokim śniegu, krzyząc: „Tato, wracam! Wracam do domu!”. Kiedy zesliśmy kilkaset metrów w dół zbocza, charakter podłoża uległ drastycznej zmianie. Ponieważ ta część zachodniego skłonu góry była codziennie po południu eksponowana na promienie słoneczne, większość śniegu topniała, odsłaniając skalistą powierzchnię. Ten suchy teren był łatwiejszy do pokonania niż śnieg po kolana w wyższych partiach, ale miejscami zalegała gruba na kilka centymetrów warstwa kamieni. Te okruchy skalne tworzyły niebezpiecznie luźne podłoże, dlatego często potykałem się i chwytalem rozpaczliwie skał i brył lodu, żeby nie zjechać z góry. W miarę możliwości zsuwaliśmy się po tym gruzie skalnym na siedzeniach albo schodziliśmy do ogromnych, usłanych rumoszem żlebów i kierowaliśmy się nimi w dół zboczy. W południe, po jakichś pięciu godzinach wędrówki, dotarliśmy do miejsca, gdzie stoki były zacienione przez wznoszącą się od zachodu górę. Pokrywa śnieżna była tu znów głęboka, a kiedy spojrzałem w dół tej gładkiej, białej powierzchni, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Bez większych ceregieli rzuciłem na śnieg jedną z poduszek od foteli i usiadłem na niej. Chwyając obiema rękami aluminiową laskę, podciągnąłem nogi, odepchnąłem się i zacząłem jazdę na poduszce w dół zbocza. Już po paru sekundach zrozumiałem, że zrobiłem coś bardzo głupiego. Powierzchnia śniegu była twarda i śliska, dlatego po kilku metrach osiągnąłem alarmującą prędkość. Jazda motorem po szosach Urugwaju wyrobiła we mnie wyczucie prędkości, pewien jestem, że leciałem po tym zboczu jakieś sto kilometrów na godzinę. Próbuując wyhamować, wbijałem aluminiowy drążek w śnieg i zapierałem się butami, ale nie zdało się to na nic, tyle że przesunąłem się do przodu na poduszce. Wiedziałem, że jeśli z niej spadnę

210

i pokoziołkuję w dół zbocza, to połamię sobie wszystkie kości, więc przestałem hamować i utrzymywałem tylko równowagę, przelatując obok skał i podskakując na wybrzuszeniach, nie mając możliwości ani zatrzymać mego „pojazdu”, ani nim kierować. Wreszcie ukazała się przede mną ściana śniegu i zdałem sobie sprawę, że jestem na kursie kolizyjnym. Jeśli pod tym śniegiem jest skała, pomyślałem, to już po mnie. Chwilę potem walnąłem z pełną szybkością w śnieżną skarpe i choć uderzenie mnie oszołomiło, głęboki śnieg złagodził wstrząs i przeżyłem. Kiedy wygramoliłem się z zasy i otrząsałem ze śniegu, usłyszałem dobiegający z góry przenikliwy falset Roberta. Nie rozumiałem słów, ale wiedziałem, że wychodzi z siebie, widząc moją lekkomyślność.

Zamachałem rękoma, by mu pokazać, że wszystko w porządku, i odpoczywałem, podczas gdy on ostrożnie schodził do mnie. Poszliśmy razem w dół zbocza, tak że późnym popołudniem zostawiliśmy już za sobą dwie trzecie wysokości góry. Na miejscu katastrofy cień rzucany przez wznoszące się od zachodu szczyty skracał nam dni, ale tutaj, po stronie zachodniej, było jasno aż do wieczora i chciałem wykorzystać każdą chwilę.

- Będziemy iść aż do zachodu - powiedziałem.

- Muszę odpocząć. - Roberto pokręcił głową.

Zobaczyłem, że mój towarzysz jest wyczerpany. Ze mną było podobnie, ale gnające mnie lęk i desperacja były silniejsze niż zmęczenie. Przez długie miesiące tłumiliłem kompulsywną potrzebę ucieczki. Teraz byłem wolny i przestawałem nad sobą panować. Pokonaliśmy górę, która więziła nas na miejscu wypadku, a teraz leżała przed nami otwarta dolina, wskazując drogę do domu. Jak mogliśmy zatrzymać się na odpoczynek?

- Jeszcze godzinę - powiedziałem.

2/7

- Musimy się zatrzymać - warknął Roberto. - Musimy być rozsądni, bo się wypalimy.

Jego oczy były zaczerwienione ze zmęczenia, ale była w nich też determinacja. Wiedziałem, że nie ma sensu się spierać. Rozłożyliśmy śpiwór na płaskiej, suchej skale i wsunęliśmy się do środka, by odpocząć przez noc.

Ponieważ zeszedliśmy już znacznie niżej, a skała, na której spaliśmy, była zapewne nagrzana od słońca, w nocy nie dokuczał nam zbyt chłód. Nazajutrz był 16 grudnia, piąty dzień naszej wyprawy. Zbudziłem Roberta po wschodzie słońca i ruszyliśmy dalej w dół zbocza. Kiedy dotarliśmy do podnóża góry, gdzieś koło południa, stanęliśmy u wejścia do doliny, która - jak liczyliśmy - miała nas doprowadzić do cywilizacji. Jęzor lodowca spływał łagodnie jej nachylnym dnem, wijąc się jak rzeka między wyrastającymi z obu stron wielkimi górami. Z oddali ośnieżony lodowiec wydawał się gładki jak szkło, ale było to złudzenie. Z bliższej perspektywy zobaczyliśmy, że jego powierzchnia jest spękana w miliony lodowych brył i poszarpanych płyt. Był to trudny teren, potykaliśmy się przy każdym kroku, jakbyśmy maszerowali po stosach betonowego gruzu. Wielkie bryły śniegu przetaczały się i przesuwwały pod stopami. Chwiały nam się nogi w kostkach, a buty ślizgały się i klinowały w wąskich przestrzeniach między bryłami lodu. Była to trudna i bolesna droga, a musieliśmy uważać na każdy krok - obaj wiedzieliśmy, że na tym pustkowiu złamanie nogi w kostce oznaczałoby wyrok śmierci. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby jeden z nas doznał urazu.

Zostawiłbym Roberta? A on zostawiłby mnie?

Cały tamten dzień spędziliśmy, brnąc przez lodowiec, a kolejne godziny zlewały nam się w jedno. Obaj zmagaliśmy się z trudnym terenem, ale ja utrzymywałem szaleńcze tempo i coraz bardziej wysforowywałem się przed Robertem.

2/8

- Nando, zwolnij! - krzyczał do mnie. - Zabijesz nas!

Ja z kolei przynaglałem, by szedł szybciej, i żałowałem straconego czasu, ilekroć musiałem na niego czekać. Wiedziałem jednak, że ma rację. Roberto zbliżał się do kresu sił. Ja także słabłem. W nogach łapały mnie bolesne kurcze, wskutek czego każdy krok był udręką, a oddech stał się zbyt częsty i płytki. Wiedziałem, że zachodzimy się na śmierć, ale nie potrafiłem się zatrzymać. Czas nam się kończył, a im byłem słabszy, tym bardziej gorączkowo parłem naprzód. Ból, ciało przestały się liczyć, były teraz tylko narzędziem, spaliłbym się na popiół, gdyby okazało się to potrzebne, żeby dotrzeć do domu.

Było teraz na tyle ciepło, że mogliśmy wędrować po zachodzie, czasami udawało mi się nawet skłonić Roberta do marszu jeszcze późno w nocy. Nawet w stanie takiego wyniszczenia potrafiliśmy podziwiać dzikie piękno Andów po zmroku. Niebo, w kolorze bardzo ciemnego indygo, usiane było doskonale jasnymi gwiazdami. Światło księżyca zmiękczało kontury poszarpanych szczytów i przydawało polom śnieżnym niesamowitej poświaty. Raz, kiedy schodziliśmy zboczem doliny, dostrzegłem przed sobą dziesiątki niewyraźnych postaci, przypominających zakapturzonych mnichów zgromadzonych na modły w świetle księżyca. Kiedy do nich doszliśmy, okazało się, że są to wysokie słupy śniegu - penitentes, jak nazywają je geolodzy - wyrzeźbione u podstawy ośnieżonych zboczy przez kłębiące się wiatry. Były ich tu całe tuziny, stały w milczeniu jeden obok drugiego, a my musieliśmy znaleźć między nimi drogę, jakbyśmy kluczyli w labiryncie. Czasem widziałem, jak mój cień przesuwają się obok mnie na śniegu, przekonywało mnie to, że jestem rzeczywisty, że tam naprawdę jestem. Często jednak czułem się na tych zalanych światłem księżyca polach śnieżnych jak duch, widmo uwięzione między światem

2/Q

żywych i zmarłych, kierowane niczym więcej jak wolą i wspomnieniami, i niezniszczalną tęsknotą za domem.

Rankiem 18 grudnia, siódmego dnia naszej wędrówki, wyczerpująca nasze siły pokrywa śnieżna była już mniej rozległa, pod nogami chrzęściły ostre skały i brudne płyty lodu. Każdy krok wymagał teraz maksymalnego wysiłku i całkowitego skupienia woli. Pole świadomości zawęziło mi się tak bardzo, że nie było tam już miejsca na nic poza następnym krokiem, starannym postawieniem stopy, krytyczną kwestią ruchu naprzód. Wszystko inne przestało się liczyć - moje znużenie, ból, los moich przyjaciół na górze, nawet beznadziejność naszych

wysiłek. Zapominałem o tym wszystkim. Zapominałem też o Robercie, dopóki słysząc, jak krzyczy, nie odwracałem się, by zobaczyć, że znów pozostał daleko w tyle. Był to przypuszczalnie rodzaj autohipnozy, powodowany przez hipnotyzujące działanie rytmicznego oddechu, miarowego chrzęstu butów na skałach i śniegu i powtarzanej bezustannie litanii Zdrowaś Mario. W tym zbliżonym do transu stanie znikwały odległości i zlewały się godziny. Niewiele świadomych myśli przełamywało ten czar, a jeśli tak się działo, to były one bardzo proste.

Uważaj na tę luźną skalę...

Czy zabraliśmy dość jedzenia?...

Co my tu robimy? Spójrz na te góry! Jesteśmy udupieni!

W pewnym momencie tej fazy naszej wędrówki zauważyłem, że podeszwa mojego prawego buta odrywa się od cholewki. Uświadomiłem sobie, że jeśli but rozleci się na tym surowym terenie, to jestem załatwiony, ale moja reakcja na to była dziwnie obojętna. Umysł przedstawił mi obraz mnie samego kuśtykającego bez butów po ostrych skałach, dopóki

220

gołe stopy nie były zbyt zakrwawione, by iść dalej. Potem zobaczyłem, jak pełnę na czworakach, aż ręce i kolana miałem całe pocięte. Wreszcie opadałem na brzuch i czołgałem się na łokciach do utraty sił. Uznałem, że w tym momencie umrę. W zmienionym stanie świadomości obrazy te nie sprawiały mi przykrości. W gruncie rzeczy działały uspokajająco. Jeśli but się rozpadnie, mam gotowy plan. Jest coś, co mogę zrobić. Pozostanie jeszcze jakaś przestrzeń między mną a śmiercią.

Takie to proste myśli wypełniały chwile wędrówki. Były jednak momenty, kiedy moc i piękno tych gór wrywały mnie z tępego zapatrzenia w siebie. Zdarzało się to nagle: odczuwałem lęk przed wiekiem i doświadczeniem tych gór, uprzytomniałem sobie, że wznosiły się tu milczące i nieświadome, podczas gdy cywilizacje rodziły się i upadały. W obliczu scenerii Andów nie sposób było ignorować faktu, że ludzkie życie to ledwie krótka chwilka; wiedziałem, że gdyby góry miały umysły, to nasze życie mijałoby zbyt szybko, by zdołały to spostrzec. Uderzało mnie jednak, że nawet one nie są wieczne. Jeśli Ziemia istnieć będzie dostatecznie długo, wszystkie te szczyty pewnego dnia rozpadną się w proch. Jakież zatem znaczenie ma jedno ludzkie życie? Dlaczego walczymy? Dlaczego znosimy takie cierpienia i ból? Co każe nam tak rozpaczliwie walczyć o życie, skoro moglibyśmy po prostu się poddać, zapaść w ciszę i cień, i poznać spokój?

Nie miałem odpowiedzi na te pytania, ale kiedy zaczynały mnie zbytnio nękać, albo w chwilach, gdy wydawało mi się, że jestem już u kresu sił, przypominałem sobie obietnicę daną ojcu. Postanawiałem wtedy, jak on na tamtej argentyńskiej rzece, pocierpieć jeszcze trochę. Robiłem kolejny krok, potem jeszcze jeden, mówiąc sobie, że każdy z nich przybliżył mnie do ojca, że każdy krok był krokiem wykradzonym śmierci.

22/

Po południu 18 grudnia usłyszałem przed sobą w oddali jakiś dźwięk - stłumiony jednostajny szum, który narastał, w miarę jak się zbliżałem. Niebawem poznałem, że to ryk płynącej wody. Nadal szliśmy po nierównych polach śnieżnych, ale przyspieszyłem kroku, przerażony, że to odgłos jakiegoś nieprzebytego strumienia, który odetnie nam drogę, przypie-czętowując nasz los. Zszedłem po łagodnym zboczach, potem ześlizgnąłem się po małej lodowej ścianie i po kilku krokach zauważyłem, że pod stopami linia śniegu urywa się jak brzeg dywanu. Stałem teraz na warstwie żwiru, pod którą znajdował się brudny lodowiec. Naprzeciw mnie wznosiła się jakaś ogromna góra. Dolina, którą podążaliśmy, kończyła się bezpośrednio u jej podnóża, ale oddzielały się od niej dwie mniejsze dolinki, znikające po obu stronach szczytu. To jest to rozwidlenie, które widzieliśmy z wierzchołka, pomyślałem. Jesteśmy na drodze do domu, jeśli tylko starczy nam sił.

Skręciłem w lewo i obszedłem krótkie, łukowato wygięte urwisko lodowe, w kierunku tajemniczego ryku. Obszedłszy skałę, znalazłem się u podstawy ścianki lodowej wysokiej na jakieś pięć metrów. Gruby strumień wody, zasilany przez tony topniejącego śniegu, tryskał ze ściany przez wielką szczelinę około pięciu metrów nad ziemią. Woda rozpryskiwała się u moich stóp, a potem płynęła szybko przez lód i żwir do leżącej niżej doliny. Człowiekowi tutejsza pochyłość wydawała się łagodna, ale była dość stroma, by nadać wodzie wielki pęd, a ledwie kilkaset metrów przede mną widziałem miejsce, gdzie kaskada wód roztopowych rozszerzała się gwałtownie, tworząc potężny strumień.

- Tu rodzi się rzeka - powiedziałem do Roberta, kiedy do mnie doszedł. - Ona nas stąd wyprowadzi.

222

Ruszyliśmy naprzód wzdłuż jej biegu, pewni, że wywiedzie nas przez te górskie tereny w jakiś cywilizowany rejon. Ale wcale nie szło nam się tu łatwiej niż po polach śnieżnych, ponieważ równina zalewowa po obu stronach strumienia usiana była ogromnymi głazami, wyższymi częstokroć od nas, zatem musieliśmy lawirować między nimi lub wspinać się na nie, albo przeskakiwać z jednego chwiejnego kamienia na drugi. Przebycie pół głazów zajęło nam parę godzin, ale w końcu teren stał się wygodniejszy i znowu szliśmy po niestabilnym gruzie skalnym i nieustępliwych łątach topniejącego śniegu. Rzeka płynąca obok z każdym kilometrem stawała się coraz szersza i potężniejsza, aż jej ryk zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Szedłem, jak zawsze, w stanie transu, żyjąc od jednego mozolnego kroku do następnego, i przez kolejne kilometry jedynym faktem mojej egzystencji, mojego wszechświata, był niewielki kawałek trudnego, skalistego terenu, na którym miałem postawić kolejny krok. Całymi godzinami miałem spojrzenie wbite w ziemię, widząc tylko luźne skały, śnieg i uporczywe łąty szarego lodu przesuwające się pod stopami. Potem nagle zlodowaciały śnieg skończył się jak brzeg dywanu, a ja znalazłem się na suchej ziemi. Uniosłem wzrok i spojrzałem przed siebie.

Wędrowaliśmy tego dnia aż do zachodu, a kiedy odpoczywaliśmy, Roberto pokazał mi kawałek skały podniesiony po drodze.

- Zatrzymam to na pamiątkę dla Laury - wyjaśnił. Laura Surraco była jego narzeczoną.
- Musi być z twego powodu bardzo zmartwiona - zauważyłem.
- To wspinała dziewczyna. Bardzo mi jej brak.
- Zazdroszczę ci, Roberto - powiedziałem. - Nigdy nie byłem poważnie związany z żadną dziewczyną. Nigdy nie byłem zakochany.

223

- Naprawdę? - Roześmiał się. - A wszystkie te laski, za którymi uganiałście się z Panchitem? Żadna nigdy nie skradła ci serca?

- Chyba nigdy żadnej nie dałem szansy - odparłem. - Myślałem, że gdzieś tam jest dziewczyna, z którą się ożenię. Chodzi sobie, żyje swoim życiem. Może czasem zastanawia się, kogo poślubi, gdzie on jest, co właśnie teraz robi? Czy wpadło jej do głowy, że jest on teraz w górach, próbując przebyć Andy, aby się do niej dostać? Jak nam się nie uda, nigdy jej nie spotkam. Ona nigdy mnie nie pozna. Wyjdzie za kogoś innego, nie domyślając się nawet, że istnieje.

- Nie martw się - pocieszył mnie Roberto. - Dojdziemy do domu i znajdziesz sobie kogoś. Uszczęśliwisz kogoś.

Uśmiechnąłem się, słysząc jego życzliwe słowa, ale nie przyniosły mi one pocieszenia. Wiedziałem, że gdzieś w normalnym świecie żyje kobieta, którą miałem poślubić, zbliżając się do punktu w czasie, kiedy moglibyśmy się spotkać i miała się rozpocząć moja przyszłość. Teraz rozumiałem, że gdy dojdzie ona do tego punktu, mnie tam nie będzie. Nigdy mnie nie pozna. Nasze dzieci się nie urodzą. Nie założymy rodziny ani się wspólnie nie zestarzejemy. Góry pozbawiły mnie tego, taka była rzeczywistość i zaczynałem to akceptować. Ale jednak,

mimo wszystko, tęskniłem za rzeczami, których - jak wiedziałem - nigdy nie będę miał: miłością żony, własną rodziną, spotkaniem z babką i starszą siostrą, i zawsze za uściskiem ojca. Nasze przejścia uprościły mi umysł i zredukowały mnie niemal do istoty tego, czym byłem. Rozumiałem teraz, że ta tęsknota, ta miłość i czułość dla samej idei mego życia były głębszą częścią mnie niż beznadziejność, lęk, cierpienie czy głód. Wydawała się ona żyć wbrew wszelkim racjom. Zastanawiałem się, jak trwałe to było. Jak długo jeszcze przetrwa? A jeśli ostatecznie zgaśnie, czy nastąpi to w momencie,

224
gdy zawiedzie moje ciało? A może utrzyma się do ostatniej chwili świadomości? Czy umierając, będę tęsknił za życiem, którego nie mogłem mieć?

Dziewiętnastego grudnia był kolejny pogodny dzień, ósmy idealny dzień z rzędu. Wędrowaliśmy rano przez kilka godzin, a teraz, czekając, aż Roberto do mnie dołączy, oglądałem podeszwę buta. Zerwało się już tyle szwów, że kłapała mi podczas marszu. Spojrzałem na poszarpane skały, którymi usiane było dno doliny. Ciekaw jestem, myślałem, czy najpierw rozleci się mój but, czy ja sam? Zostawiliśmy za sobą tyle niebezpieczeństw - nie groziło nam już zamrożenie ani śmiertelny upadek. Była to teraz kwestia zwykłej wytrzymałości, odrobiny szczęścia i czasu. Szliśmy ku śmierci, licząc na to, że natkniemy się na jakąś pomoc, zanim wypalą się w nas resztki życia. Później tego ranka daleko przed nami w dolinie dojrzelśmy drzewa, a Robertowi wydawało się nawet, że widzi coś jeszcze.

- Coś się rusza koło tych drzew - powiedział, wpatrując się w linię widnokregu. - Chyba widzę krowy.

Krótkowzroczność nie pozwalała mi dojrzeć niczego tak daleko, ale martwiłem się, że mój towarzysz ma halucynacje z wyczerpania.

- To może być jeleń - zauważyłem. - Chodźmy dalej. Parę godzin później Roberto pochylił się, podniósł coś z ziemi i pokazał mi. Była to przerdzewiała puszcza po zupie.

- Byli tu ludzie - skonstatował. Nie chciałem robić sobie nadziei.

- Mogli tu być wiele lat temu - powiedziałem. - A może to wypadło z samolotu...

Roberto zmarszczył brwi i odrzucił puszkę.

225

- Ty ciemniaku - huknął - w samolotach nie ma okien. Później znaleźliśmy jeszcze podkowę i jakieś placki łajna,

zdaniem Roberto - krowiego.

- Zechcesz może wyjaśnić - zapytał - jak krowie gówno mogło wypaść z samolotu?

- Idź dalej - powiedziałem. - Jak znajdziemy farmera, zacznę się podniecać.

Wędrując dalej, trafialiśmy na kolejne oznaki obecności człowieka: krowie łajno, końskie łajno i pniaki z widocznymi jeszcze śladami topora. I wreszcie, wychodząc zza zakrętu doliny, kilkaset metrów przed nami ujrzeliśmy małe stadko krów, które Roberto dostrzegł tego ranka.

- Mówiłem ci, że widziałem krowy - przypomniał. - Gdzieś bardzo blisko musi być jakaś chata czy coś takiego.

- Ale czy ktoś nie zostawił tu tych krów samych na wypas? - zaoponowałem. - Tu jest bardzo wysoko. I takie pustkowia. Trudno uwierzyć, by ktoś mieszkał w takim miejscu.

- Dowód masz przed oczami - powiedział mój towarzysz. - Jesteśmy ocaleni. Jutro znajdziemy farmera, do którego należą te krowy.

Kiedy zabiwakowaliśmy wieczorem, Roberto był w doskonałym humorze, ale wiedziałem, że nie wytrzyma już wielu godzin w górach.

- Bardzo mnie bołą nogi - przyznał - i jestem taki słaby. Czasem muszę wyteńczyć wszystkie siły, żeby unieść stopę i postawić przed sobą.

- Odpocznij trochę - poradziłem. - Może jutro znajdziemy pomoc.

Nazajutrz był 20 grudnia, dziewiąty dzień naszej wędrówki. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem i znaleźliśmy dobrą

226

ścieżkę wzdłuż rzeki. Była wydeptana przez krowy czy inne zwierzęta, po raz pierwszy szło nam się wygodnie. Roberto spodziewał się, że lada chwila natkniemy się na jakąś chatę, ale ponieważ godziny mijały, a my nie dostrzegaliśmy żadnych innych śladów życia, szybko się zmęczył i częściej niż zwykle musiałem czekać, aż odpocznie. Jednak dzięki ścieżce szybko posuwaliśmy się naprzód, aż późnym rankiem dotarliśmy do miejsca, gdzie wpadł do strumienia głąz wielkości piętrowego budynku. Jego masywna bryła całkowicie tarasowała nam drogę.

- Musimy się na to wspiąć - powiedziałem.

Roberto obejrzał skałę i dostrzegł wąską półkę biegnącą wokół niej ponad pędzącymi wodami rzeki.

- Pójdę tędy - powiedział.

- To zbyt niebezpieczne - odparłem. - Jedno poślizgnięcie i jesteś w wodzie. Musimy przejść górą.

- Jestem za słaby na wspinaczkę - oznajmił. - Spróbuję szczęścia na półce.

Wgramolił się na nią i przeszedł wokół skały, aż straciłem go z oczu, po czym zacząłem się wspinać. Kiedy zszedłem na dół po drugiej stronie, nie było śladu Roberta, choć droga, którą wybrał, była krótsza od mojej. Czekałem, najpierw niecierpliwie, potem z niepokojem. Kiedy się w końcu ukazał, słał się na nogach, zgięty w pół, i trzymał za brzuch. Krew odpłynęła mu z twarzy, oczy miał zwężone z bólu.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Kiszki mi eksplodują - mruknął. - To biegunka. Bardzo ciężka. Złapała mnie, jak byłem na półce.

- Możesz chodzić? - zapytałem. - Droga wygląda na łatwą.

Pokręcił głową.

Nie mogę - szepnął. - Za bardzo boli.

227

Osunął się żałośnie na ziemię. Bałem się, że choroba pozbawi go resztek sił, a nie chciałem go tu zostawiać.

- Chodź - powiedziałem - jeszcze kawałek...

- Nie, proszę - błagał - zostaw mnie.

Spojrzałem w dal. Dolina prowadziła na szeroki płaskowyż. Gdyby udało nam się wdrapać na jego wierzchołek, stanowiłby świetny punkt obserwacyjny, żeby poszukać jakichś zagród czy szałasów.

- Poniosę ci plecak - zaproponowałem - ale musimy iść dalej. Wejdzmy na szczyt tego płaskowyżu, potem odpoczniemy.

Nim zdążył odpowiedzieć, chwyciłem jego plecak i ruszyłem w drogę, nie dając mu wyboru. Szybko został w tyle, ale miałem go na oku. Szedł przygarbiony, kulejąc, bardzo zbolaty i cierpiący przy każdym kroku.

- Nie poddawaj się, Muskuł - szeptałem pod nosem i wiedziałem, że wytrwa. Parł teraz naprzód uporem i siłą woli. Obserwując go, zrozumiałem, że słusznie wybrałem go na towarzysza wędrówki. Późnym popołudniem dotarliśmy do podnóża płaskowyżu i pomagając sobie wzajemnie, wspięliśmy się stromą ścieżką na szczyt. Pod nami rozciągała się łąka gęstej trawy. Były tam drzewa, dzikie kwiaty, na lewo zaś niskie kamienne ścianki

górskiego korralu. Staliśmy teraz wysoko nad wąwozem, a teren opadał stromo ku jego brzegom. Inne strome zbocze wznosiło się po drugiej stronie strumienia, szerokiego w tym miejscu na jakieś dziesięć metrów i rwącego z ogromną siłą. Roberto już ledwo chodził, więc pomogłem mu przejść przez łąkę do niewielkiego skupiska drzew, gdzie postanowiliśmy zabiwakować.

- Odpocznij - powiedziałem. - Rozejrzę się trochę. Może jest gdzieś w pobliżu jakiś dom. Roberto skinął głową. Ledwie miał siłę mówić, a kiedy opadł ciężko na miękką murawę, zrozumiałem, że dalej już

228

ze mną nie pójdzie. Wolałem nie myśleć, co się stanie, jeżeli będę go musiał zostawić. Popołudniowe słońce przygasało już, kiedy podążyłem krętą ścieżką wzdłuż jaru strumienia, by zobaczyć, co jest dalej. Zobaczyłem kilka krów pasących się na trawiastym zboczu, co obudziło we mnie nadzieję, ale po przejściu jakichś trzystu metrów ujrzałem dokładnie to, czego się obawiałem: kolejny szeroki, bystry potok wpływał z lewej strony, wpadając do tego, z którego biegiem szliśmy. Byliśmy odcięci u zbiegu tych dwóch wielkich strumieni. Nie wyglądało na to, byśmy mogli sforsować któryś z nich. Jeśli nie miał się zdarzyć jakiś cud, znaleźliśmy się u kresu naszego szlaku.

Kiedy wróciłem do Roberta, powiedziałem mu o rzece i zwierzętach, które widziałem. Skończyło nam się jedzenie, byliśmy bardzo głodni, przez moment zastanawialiśmy się nawet, czy nie zabić i nie poćwiartować krowy, ale Roberto zauważył, że pewnie nie zachęciłoby to jej właściciela do udzielenia nam pomocy. W każdym razie wątpliwe było, czy dalibyśmy radę we dwóch pochwyć i poskromić takie wielkie zwierzę, dlatego szybko zarzuciliśmy ten pomysł. Zapadały już ciemności i robiło się zimno.

- Poszukam jakiegoś drewna na ognisko - powiedziałem, ale ledwie przeszedłem kilka metrów przez łąkę, usłyszałem krzyk Roberta.

- Nando! Widzę człowieka na koniu! Spójrz! Człowiek na koniu!

Roberto pokazywał na zbocze po drugiej stronie jaru. Wytężyłem wzrok w wieczornym półmroku.

- Nic nie widzę.

- Idź! Biegnij! - krzyknął. - Zejdz nad rzekę!

Na oślep pognałem w dół zbocza w stronę wody, a Roberto korygował na bieżąco mój kierunek:

22Q

- Na prawo, nie, powiedziałem na prawo! Nie, za daleko! Na lewo!

Zbiegałem zygzakiem zgodnie z jego instrukcjami, ale nie widziałem żadnego jeźdźca. Odwróciwszy się, zobaczyłem, jak Roberto schodzi, słaniając się, za mną po stoku.

- Przysięgam, że coś widziałem - zarzekał się.

- Ciemno tam - odparłem. - Może to był cień skały. Wziąłem go za ramię i pomogłem podejść z powrotem na

wzniesienie, gdzie biwakowaliśmy, kiedy poprzez ryk rzeki usłyszeliśmy charakterystyczny dźwięk ludzkiego głosu. Odwróciliśmy się gwałtownie i tym razem ja również go dojrzałem - jeźdźca na koniu. Krzyczał do nas, ale huk wody zagłuszał go prawie zupełnie. Potem zawrócił konia i zniknął w półmroku.

- Słyszałeś go? - krzyknął Roberto. - Co mówił?

- Usłyszałem tylko jedno słowo - odparłem. - Słyszałem, jak krzyczy mañana.

- Jesteśmy uratowani - powiedział Roberto.

Pomogłem mu podejść do naszego biwaku, potem rozpałem ogień i położyliśmy się spać. Pierwszy raz od katastrofy poczułem prawdziwą nadzieję. Będę żył. Znowu zobaczę mojego ojca, byłem tego pewien. Ale teraz wróciła troska o tych, których zostawiliśmy.

Zaabsorbowany własnym przetrwaniem, prawie o nich nie myślałem, odkąd dziewięć dni temu opuściliśmy miejsce wypadku. Teraz odchodziłem od zmysłów z niepokojem.

- Martwię się o chłopaków - powiedziałem. - Roy i Coche byli tacy słabi. Mam nadzieję, że zostało im jeszcze trochę czasu.

- Nie martw się - odparł Roberto. - Kiedy ten człowiek wróci tu jutro, przekonamy go, że nie ma chwili do stracenia.

- Jeśli wróci... - odrzekłem. Nie podzielałem pewności Roberta, że nasza wyprawa miała się ku końcowi.

230

- Na prawo, nie, powiedziałem na prawo! Nie, za daleko! Na lewo!

Zbiegałem zygzakami zgodnie z jego instrukcjami, ale nie widziałem żadnego jeźdźcy.

Odwróciwszy się, zobaczyłem, jak Roberto schodzi, słaniając się, za mną po stoku.

- Przysięgam, że coś widziałem - zarzekał się.

- Ciemno tam - odparłem. - Może to był cień skały. Wziąłem go za ramię i pomogłem podejść z powrotem na

wzniesienie, gdzie biwakowaliśmy, kiedy poprzez ryk rzeki usłyszeliśmy charakterystyczny dźwięk ludzkiego głosu. Odwróciliśmy się gwałtownie i tym razem ja również go dojrzałem - jeźdźca na koniu. Krzyczał do nas, ale huk wody zagłuszał go prawie zupełnie. Potem zawrócił konia i zniknął w półmroku.

- Słyszałeś go? - krzyknął Roberto. - Co mówił?

- Usłyszałem tylko jedno słowo - odparłem. - Słyszałem, jak krzyczy małana.

- Jesteśmy uratowani - powiedział Roberto.

Pomogłem mu podejść do naszego biwaku, potem rozpałem ogień i położyliśmy się spać.

Pierwszy raz od katastrofy poczułem prawdziwą nadzieję. Będę żył. Znowu zobaczę mojego ojca, byłem tego pewien. Ale teraz wróciła troska o tych, których zostawiliśmy.

Zaabsorbowany własnym przetrwaniem, prawie o nich nie myślałem, odkąd dziewięć dni temu opuściliśmy miejsce wypadku. Teraz odchodziłem od zmysłów z niepokojem.

- Martwię się o chłopaków - powiedziałem. - Roy i Coche byli tacy słabi. Mam nadzieję, że zostało im jeszcze trochę czasu.

- Nie martw się - odparł Roberto. - Kiedy ten człowiek wróci tu jutro, przekonamy go, że nie ma chwili do stracenia.

- Jeśli wróci... - odrzekłem. Nie podzielałem pewności Roberta, że nasza wyprawa miała się ku końcowi.

230

Nazajutrz rano, 21 grudnia, dziesiątego dnia naszej wędrówki, zbudziliśmy się z Robertem przed świtem i popatrzyliśmy na drugi brzeg rzeki. Trzech ludzi siedziało w blasku ogniska.

Zbiegiem po zboczu na skraj jaru, potem wygramoliłem się na sam brzeg. Po drugiej stronie jeden z mężczyzn, ubrany w strój roboczy wieśniaka z przedgórza, zrobił to samo.

Próbowałem krzyczeć, ale ryk wody zagłuszał moje słowa. Wskazałem na niebo, potem wykonałem rękoma ruchy mające naśladować spadanie samolotu. Wieśniak wpatrywał się tylko we mnie. Zacząłem biegać w górę i w dół nadrzecznej skarpy, z rękoma rozłożonymi jak skrzydła. Tamten odwrócił się ode mnie i krzyknął coś do swoich przyjaciół. Na moment wpadłem w panikę, myśląc, że uznają mnie za wariata i zostawią bez pomocy. On jednak wyjął z kieszeni jakiś papier, nagryzmolił coś, po czym owinał papier wokół kamienia i związał kawałkiem sznurka. Za sznurek wsunął ołówek i rzucił wszystko do mnie na drugi brzeg. Rozwinąłem papier i przeczytałem:

Później przyjdzie człowiek, którego wysłałem. Powiedz, czego chcesz.

Wziąłem ołówek i zacząłem pisać na odwrocie notatki wieśniaka. Wiedziałem, że muszę precyzyjnie dobrać słowa, żeby zrozumiał, jak nagła jest sytuacja i że potrzebujemy

pomocy bezzwłocznie. Ręce mi się trzęsły, ale gdy ołówek dotknął papieru, wiedziałem już, co napisać:

Vengo de un avion que cayó en los montañas...

... jestem z samolotu, który spadł w górach. Jestem Urugwajczykiem. Wędrowaliśmy przez dziesięć

23

dni. Wyżej jest mój ranny przyjaciel. W samolocie zostało czternaście rannych osób. Musimy się stąd szybko wydostać, a nie wiemy jak. Nie mamy żadnego jedzenia. Jesteśmy słabi.

Kiedy po nas przyjdziecie? Proszę. Nie damy nawet rady iść. Gdzie jesteście?

Nie chcąc tracić cennego czasu, nawet się nie podpisałem. Owinąłem kamień papierem, jak zrobił to wcześniej wieśniak, i wzięłem zamach, żeby przerzucić pakunek przez strumień. Ale gdy oszacowałem odległość i potrzebną do tego siłę, nagle zdałem sobie sprawę, jak jestem słaby. Nie byłem pewien, czy mam w ręku dość siły, żeby cisnąć kamień tak daleko. A jeśli nie doleci i wpadnie w wodę? Czy wieśniak straci wtedy cierpliwość i odejdzie? Czy będzie marnować czas i rzuci następny papier? Zebrałem się w sobie i cisnąłem kamieniem z całych sił. Upadł na skraju wody i potoczył się na brzeg. Kiedy wieśniak przeczytał wiadomość, skinął głową i uniósł otwarte dłonie gestem mówiącym: „Czekajcie tutaj. Rozumiem”. Przed odejściem rzucił mi trochę chleba. Zniosłem go Robertowi i pożarliśmy go, a potem czekaliśmy, aż nadejdzie pomoc.

Około dziewiątej rano podjechał na mule inny mężczyzna, tym razem po naszej stronie strumienia. Przedstawił się jako Armando Serda. Wyjął z kieszeni kawałek sera i dał nam, potem kazał poczekać, aż doglądnie swoich owiec na wysokich pastwiskach. Powrócił po kilku godzinach. Kiedy zobaczył, że Roberto nie może chodzić, pomógł mu wsiąść na muła, a potem zaprowadził nas do spokojniejszego odcinka nurtu, gdzie można go było przebyć w bród. Mniej więcej po trzydziestu minutach wędrówki po szlakach wśród górskich lasów dotarliśmy na jakąś polanę. Zobaczyłem dwa prymitywne drewniane szałas-y nad brzegiem rzeki.

232

- Gdzie jesteście? - zapytałem go po drodze.

- W Las Maitenes - odparł Armando. Jest to górzysty region chilijskiej prowincji Colchaagua w pobliżu rzeki Azufre.

- Używamy tych szałasów, wypasając stada na wysokich halach.

- Tam na górze są jeszcze nasi przyjaciele - powiedziałem.

- Oni umierają, musimy jak najszybciej sprowadzić pomoc.

- Sergio pojechał po pomoc - odparł Armando. Sergio Ca-talan, wyjaśnił, to jeździec, który pierwszy nas dostrzegł poprzedniego wieczoru.

- Jak daleko? - zapytałem.

- Najbliższy posterunek policji jest w Puentę Negro - odparł. - Konno jakieś dziesięć godzin.

Z większego szałas-y wyszedł drugi wieśniak. Armando przedstawił go jako Enrique Gonzalesa. Poprowadził nas do ogniska obok większego szałas-y, gdzie siedliśmy na pieńkach. Enrique przyniósł nam ser i mleko. Armando zaczął gotować w wielkim garze na ognisku, niedługo potem podał nam gorący posiłek - talerze fasoli, makaron, chleb. Zjedliśmy wszystko, co przyniósł, a on ze śmiechem nakładał nam kolejne porcje. Kiedy najedliśmy się do syta, zaprowadzono nas do drugiego szałas-y, gdzie czekały dwa łóżka. Nie było materacy, tylko miękkie kudłate skóry rzucone bezpośrednio na sprężyny, ale obaj z Robertem podziękowaliśmy wylewnie i od razu zasnęliśmy.

Gdy się przebudziliśmy, był wczesny ranek. Armando i Enrique czekali z kolejnym posiłkiem - znowu ser i mleko, duszone mięso z fasolą, do tego chleb posmarowany słodkim karmelowym dulce de leche i gorąca kawa.

- Opróżniamy wam spizarnię - zażartowałem, ale obaj wieśniacy tylko się roześmieli i zachęcali, byśmy jeszcze zjedli. Po posiłku wszyscy odpoczywaliśmy razem wokół ogniska. Armando i Enrique słuchali zafascynowani, kiedy

233

opowiadaliśmy im z Robertem historię naszych perypetii, ale wkrótce przerwało nam pojawienie się dwóch chilijskich policjantów pędzących z dołu ku szałasowi, niedługo potem nadjechał konno jeszcze dziesięcioosobowy patrol. Wraz z nimi przybył Sergio Catalan. Kiedy zsiadł z konia, Roberto i ja podbiegliśmy, by go uściskać.

- Nie musicie mi dziękować - rzucił cicho, a gdy go obejmowaliśmy, szepnął tylko: - Bogu dzięki. Bogu dzięki.

Kiedy kapitan policji konnej przedstawił się, wyjaśniłem, że jeszcze czternaście ocalałych osób czeka na miejscu katastrofy. Zapytał o nazwiska, ale ich nie podałem.

- Kiedy wyruszaliśmy, niektórzy byli bliscy śmierci - wyjaśniłem. - Boję się, że część mogła umrzeć. Jeśli podacie publicznie nazwiska, rozbudzi to u ich rodziców fałszywą nadzieję, potem stracą synów po raz drugi.

Kapitan zrozumiał.

- Gdzie jest samolot? - zapytał.

Spojrzałem na Roberta. Było oczywiste, że policjant nie rozumie, jak trudna będzie akcja ratunkowa, ale gdy opisaliśmy naszą dziesięciodniową odyseję i przybliżoną lokalizację miejsca katastrofy, szybko zdał sobie sprawę, że jego patrol nie zdoła tam dotrzeć konno.

- Odeślę kilku ludzi z powrotem do Puente Negro - powiedział. - Wezwą przez radio helikopter z Santiago.

- Ile to potrwa? - zapytałem.

- Przylecą tu pewnie jutro - odparł. - jeśli będzie dobra pogoda.

Mój niepokój o towarzyszy pozostałych na miejscu katastrofy rósł z każdą chwilą, ale mogliśmy teraz tylko czekać. Przez jakiś czas rozmawialiśmy z Enrique, Armandem i kilkoma policjantami. Potem poszedłem spać. Spędziłem niespokojną noc w szałasie „sypialnym”, martwiąc się o jutro, ale gdy

234

się zbudziłem i wyszedłem na zewnątrz, zobaczyłem z rozpaczą, że nad Las Maitenes zawisła gęsta mgła.

- Myślisz, że dadzą radę przy tym wylądować? - zapytałem Roberta.

- Może wkrótce się rozwieje - odparł.

Enrique i Armando przygotowali nam przy ognisku śniadanie. Dosiadł się do nas Sergio i część policjantów, a kiedy jedliśmy, usłyszeliśmy odgłosy zbliżającego się tłumu, a po paru sekundach zobaczyliśmy, zszokowani, hordę reporterów biegnących z dołu drogą w kierunku szałasu. Gdy nas dostrzegli, popędzili naprzód.

- Czy to są ci ocaleni? - krzyczeli. - Roberto? Fernando? Pstrykały aparaty fotograficzne, pchano nam przed twarz

mikrofony, a reporterzy prasowi gryzmoлили coś w notesach i wykrzykiwali jeden przez drugiego pytania.

- Jak długo szliście?

- Kto jeszcze żyje?

- Jak przetrwaliście mrozy? Co jedliście? Spojrzałem zdumiony na Roberta.

- Jak oni nas znaleźli? - mruknąłem. - I jak się tu dostali przed helikopterami?

Otoczali nas teraz dziennikarze prasowi i telewizyjni z całego świata. Ich nieoczekiwane przybycie zaskoczyło nas i byliśmy trochę rozżłoszczeni intensywnością ich indagacji, ale staraliśmy się jak najlepiej odpowiadać na pytania, chociaż nie zdradziliśmy co bardziej drażliwych faktów. Kapitan policji konnej przez jakiś czas nie przerywał tego wywiadu, po czym zabrał nas na bok.

- Mgła jest wciąż gęsta - powiedział. - Śmigłowce chyba dziś nie przylecą. Odeślę was na dół do Puente Negro, zaczekacie tam na ekipę ratunkową. Może łatwiej im tam będzie wylądować.

235

Skinęliśmy głowami i chwilę później jechaliśmy już konno na dół z dwoma policjantami, a media ruszyły naszym śladem. Nagle całe to hałaśliwe towarzystwo zatrzymało się i spojrzało w zachmurzone niebo. Rozległ się nad nami jakiś hałas, grzmot potężnych silników i ryk wiatru. Mgła była nadal tak gęsta, że nie widzieliśmy lądowania śmigłowców, ale podjechaliśmy konno jakieś czterysta metrów do miejsca, skąd dobiegał hałas, i znaleźliśmy się na płaskiej łące koło szałasów, gdzie siadły właśnie trzy ogromne maszyny chilijskich sił powietrznych.

Zsiadliśmy z koni, a lekarze i członkowie załogi wyskoczyli ze śmigłowców i podeszli, by nas zbadać. Roberto bardzo potrzebował pomocy, ale ja nie zgodziłem się na badanie. Zamiast tego odszukałem dwóch pilotów śmigłowców, Carlosa Garcię i Jorge Massę, i próbowałem uzmysłwić im, jak ważne jest, by natychmiast wystartowali.

Kapitan Garcia pokręcił głową.

- Nie da rady polecieć w tej mgle - wyjaśnił. - Musimy poczekać, aż się podniesie. A tymczasem co mi możesz powiedzieć o lokalizacji waszego samolotu?

Raz jeszcze opisałem naszą wędrówkę przez Andy. Garcia spojrzał na mnie, sceptycznie marszcząc brwi, po czym przyniósł ze śmigłowca mapę lotniczą i rozłożył ją na trawie.

- Mógłbyś mi to pokazać na mapie? - zapytał. Wskazał palcem na mapę i powiedział: - Jesteśmy tutaj.

Przez chwilę wpatrywałem się w mapę, a kiedy zorientowałem się z grubsza, co jest co, bez trudu prześledziłem wstecz trasę, jaką przebyliśmy z Robertem.

- Tutaj - powiedziałem, pukając palcem w miejscu, gdzie dolina kończyła się u podnóża góry, którą nazwałem Górą Selera. - Oni są po drugiej stronie tego szczytu.

Massa i Garcia wymienili powątpiewające spojrzenia.

236

- To Argentyna - zauważył Garcia. - Wysokie Andy. To ponad sto kilometrów stąd.

- Musimy się pospieszyć - powiedziałem. - Nasi przyjaciele umierają.

Massa spojrzał zaszępienie na Garcję.

- Coś mu się pomieszało - rzucił. - Nie mogli przejść przez Andy pieszo! To niemożliwe!

- Pewien jesteś, że rozumiesz tę mapę? - zapytał mnie Garcia.

- Jestem tego pewien - odparłem. - Zeszliśmy z tej góry, idąc tą doliną. Tu dolina się dzieli, a my poszliśmy tym odgałęzieniem i dotarliśmy tutaj! Samolot leży tam, tuż za tą górą, na lodowcu ponad szeroką doliną biegnącą na wschód.

Garcia skinął głową i złożył mapę. Wciąż nie miałem pewności, czy mi uwierzył.

- Kiedy po nich polecicie? - zapytałem.

- Wystartujemy, jak tylko mgła się uniesie - wyjaśnił, po czym obaj z Garcia odeszli, nachyleni głowami ku sobie. Zrozumiałem, że dyskutują nad moim opisem wędrówki i stopniem jego wiarygodności.

Trzy godziny później mgła utrzymywała się jeszcze, ale trochę zrzędła, więc piloci uznali, że można bezpiecznie lecieć. Kiedy załogi przygotowywały się do startu, Garcia podszedł do mnie.

- Polecimy już - powiedział. - Ale miejsce, które nam wskazałeś, leży bardzo wysoko, w odległym rejonie Andów. Bardzo trudno tam będzie trafić, a nie mając żadnych punktów orientacyjnych, nigdy nie znajdziemy waszych przyjaciół w tych górach. Jak myślisz, mógłbyś polecieć z nami i wskazać drogę do wraku samolotu?

Nie pamiętam już, co odpowiedziałem, i czy w ogóle coś odpowiedziałem, ale po chwili poczułem, jak kilka par rąk

237

unoszą mnie do śmigłowca i przypinają do odchylanego siedzenia w przestrzeni ładunkowej. Ktoś wsunął mi na głowę słuchawki i umieścił przy ustach przytwierdzony do nich mikrofon. Trzech członków Andyjskiego Korpusu Ratunkowego znalazło się obok mnie. Drugi pilot ulokował się przede mną, a kapitan Garcia zasiadł za sterami. Kiedy Garcia zwiększył obroty silnika, wyrzuciłem przez okno i dostrzegłem Roberta, jedyne go człowieka, który rozumiał, jak przestraszony byłem perspektywą ponownego lotu w Andy. Nie zamachał mi, wymieniliśmy tylko spojrzenia. Potem śmigłowiec poderwał się w powietrze, a mnie opadł żołądek, gdy pilot wprowadził maszynę w ostry przechył i ruszył na wschód, w głąb gór. Początkowo słuchawki zatrzeszczały technicznym żargonem, kiedy pilot z mechanikiem ustalali kurs, potem Garcia odezwał się do mnie.

- Okej, Nando - powiedział - pokazuj nam drogę. Wprowadziłem ich w dolinę, poleciliśmy wzdłuż niej przez

granice chilijską w Andy argentyńskie, a drugi śmigłowiec, pilotowany przez kapitana Massę, leciał tuż za nami. Powietrze pełne było turbulencji, a maszyna tańczyła i podskakiwała jak motorówka na wzburzonej wodzie, ale lot trwał krótko - po niespełna dwudziestu minutach zawisliśmy nad wschodnim krańcem doliny, gdzie potężna bryła Góry Selera wznosiła się nad nami niczym mury jakiejś gigantycznej warowni.

- Święty Jezu - mruknął ktoś.

Maszyna zawisała w powietrzu, a Garcia spojrział na ośnieżony szczyt i przesunął spojrzeniem w dół czarnych zboczy opadających na dno doliny setki metrów niżej.

- Matko Boska - rzucił - chyba nie tędy zeszliście?

- Owszem - odparłem - to ta droga.

- Jesteś tego pewien? - zapytał. - Jesteś absolutnie pewien?

238

- Jestem pewien - potwierdziłem. - Oni są po drugiej stronie.

Garcia spojrział na drugiego pilota.

- Z tyloma ludźmi maszyna jest przeciążona - zauważył tamten. - Nie wiem, czy starczy nam mocy, żeby przeskoczyć tę górę.

- Nando, jesteś absolutnie pewien, że to tutaj? - spytał jeszcze raz Garcia.

- Jestem! - warknąłem do mikrofonu. Pilot skinął głową.

- Trzymać się - powiedział.

Poczułem, jak śmigłowiec skacze do przodu, kiedy piloci dodali gazu. Pędziliśmy na ścianę góry, nabierając szybkości, a potem maszyna poczęła się z wolna unosić. Kiedy podlecieliśmy bliżej gór, zaczęły nami rzucać wiry powietrzne wstępujące znad zboczy. Garcia z trudem panował nad śmigłowcem, który chygotał się gwałtownie z boku na bok. Silniki wyły, wiatrochron grzechotał w ramie, a fotel trząsał się tak gwałtownie, że przestałem ostro widzieć. Zdawało się, że wszystkie śruby i nity są u kresu wytrzymałości, byłem pewien, że lada chwila maszyna rozleci się na kawałki. Byłem już kiedyś świadkiem takiego mechanicznego chaosu, na chwilę zanim fairchild uderzył o grań, a przeżywając to znowu, poczułem, jak panika wzbiera mi w gardle niczym wymiociny. Garcia i drugi pilot rzucali komendy tak szybko, że nie potrafiłem rozróżnić ich głosów.

- Powietrze jest za rzadkie! Brakuje siły nośnej.

- Dawaj, dociśnij jeszcze!

- Sto procent, sto dziesięć...

- Utrzymuj wysokość! Utrzymuj wysokość! Spojrzałem na ekipę ratunkową w nadziei na jakiś znak, że

wszystko to normalka, ale twarze mieli blade i ściągnięte.

239

Garcia dalej forsował silniki, walcząc o każdy metr wysokości, i wreszcie zdołał przelecieć nad wierzchołkiem góry, ale ledwie nam się to udało, silne prądy wstępujące nad grzbietem rzuciły nas gwałtownie do tyłu, a kapitan nie miał innego wyjścia, jak obniżyć maszynę szerokim łukiem, żeby nie roztrzaskała się o zbocze. Kiedy opadaliśmy, zacząłem krzyczeć, i nie przestałem, gdy wykonaliśmy kolejny nalot na wierzchołek, by raz jeszcze zostać zepchniętym w równie przerażający sposób.

- Nie damy rady nad tą górą - oznajmił Garcia. - Będziemy musieli ją ominąć. To będzie misja zagrażająca życiu i nie polecę, jeśli wszyscy na pokładzie nie wyrażą zgody.

Pozostawiam wam decyzję: mamy kontynuować czy wracać?

Wymieniłem spojrzenia z resztą ekipy, po czym odwróciliśmy się do kapitana i skinęliśmy głowami.

- Okej - powiedział - ale trzymajcie się, bo będzie ostro.

Żołądek znów mi opadł, kiedy wykonaliśmy zwrot na prawo i przelecieliśmy nad kilkoma niższymi szczytami na południe od Góry Selera. Była to jedyna droga, jaka się przed nami otwierała, ale zbaczaliśmy teraz z kursu wytyczonego przez trasę, którą przebyliśmy z Robertem, i szybko się pogubiłem nad obcym sobie krajobrazem.

- Którędy? - zapytał Garcia.

- Nie jestem pewien... Wszystko mi się pokręciło... Zlustrowałem horyzont, poszukując gorączkowo jakiegoś

punktu odniesienia, przerażony, że moi przyjaciele są teraz bezpowrotnie zgubieni.

Gdziekolwiek spojrzełem, widziałem powtórzenia i jednostajność, jakby nieskończony ocean białego śniegu i czarnych skał... Nagle zwróciło moją uwagę coś w poszarpanym profilu jednej z grani.

- Czekaście - krzyknąłem. - Znam tę górę! Wiem, gdzie jesteśmy! Zejdźcie niżej!

240

Kiedy obniżyliśmy się między górami, zdałem sobie sprawę, że Garcia zdołał oblecieć szczyty graniczące od południa z miejscem katastrofy. Byliśmy teraz nad doliną, przez którą wędrowaliśmy podczas prób ucieczki na wschód, a potem wspinaliśmy się na zachód ku wschodniej ścianie Góry Selera.

- Muszą być tam u góry - powiedziałem, wskazując na wschód.

- Nic nie widzę - stwierdził kapitan.

- Lećcie dalej! - nalegałem. - Oni są na lodowcu!

- Paskudny wiatr! - rzucił drugi pilot. - Nie wiem, czy da radę tu wylądować.

Wpatrywałem się w zbocza i nagle to dostrzegłem, niewyraźną plamkę na śniegu.

- Widzę samolot! - krzyknąłem. - Tam, na lewo. Garcia zlustrował zbocza.

- Gdzie... Nic nie widzę. Czekał, okej, widzę. A teraz zamknąć się, zamknąć się wszyscy!

Chwilę potem krążyliśmy nad miejscem katastrofy, a serce waliło mi, gdy Garcia walczył z silną turbulencją nad lodowcem, ale lęk ustąpił, kiedy dostrzegłem linię małych postaci wychodzących z kadłuba fairchilda. Nawet z tej wysokości rozróżniałem niektórych - poznałem Gustava po czapce pilota, Daniela, Pedra, Fita, Javiera... Byli też inni, biegali, machali. Próbowałem ich policzyć, ale nie pozwalało na to chybotanie śmigłowca. Nie widziałem Roya ani Coche, o których martwiłem się najbardziej.

Usłyszałem w słuchawkach głos Garcii, zwracającego się do ekipy ratunkowej.

- Zbocze jest za strome na lądowanie - mówił. - Postaram się zawisnąć jak najniżej.

Będziecie musieli wyskoczyć.

Potem skoncentrował się na ryzykownym zadaniu bezpiecznego zejścia śmigłowcem w dół przy wirujących wiatrach.

- Cholera! Ta turbulencja jest paskudna. Utrzymuj wysokość.

- Uważaj na zbocze, jesteśmy za blisko!
- Utrzymuj wysokość!
- Teraz ostrożnie...

Obrócił maszynę w ten sposób, że zawisła bokiem do zbocza, po czym obniżył, aż jedna z płóz prawie dotknęła śniegu.

- Teraz! - krzyknął.

Ratownicy otworzyli odsuwane drzwi, rzucili ekwipunek na lód i wyskoczyli pod wirującymi łopatkami. Wyrzałem i dostrzegłem biegnącego ku nam Daniela. Zanurkował pod śmigłem i próbował wskoczyć do śmigłowca, ale źle ocenił dystans i uderzył klatką piersiową o płożę.

- Carajo! - krzyknął. - Chyba połamałem sobie żebra.
- Nie zabij się teraz! - zawołałem. A potem wyciągnąłem ręce i pomogłem mu wejść do środka. Za nim wspiął się Alva-ro Mangino.

- Tylko tyłu możemy zabrać! - krzyknął Garcia. - Resztę weźmiemy jutro. Teraz zamknąć drzwi!

Usłuchałem rozkazu kapitana i chwilę potem unosiliśmy się nad miejscem wypadku, a drugi śmigłowiec zniżył się i wyskoczyli z niego następni ratownicy. Zobaczyłem, jak Car-litos, Pedro i Eduardo gramolą się do czekającej maszyny. Wtedy spostrzegłem wychudłą postać Coche Inciarte kuśtykającą w stronę śmigłowca.

- Coche żyje! - zwróciłem się do Daniela. - A co z Royem?
- Żyje - odparł Daniel - ale ledwie.

Powrót do Las Maitenes był równie okropny jak lot nad lodowiec, ale po niespełna dwudziestu minutach wylądowaliśmy bezpiecznie na łące przy chacie wieśniaków. Ledwie drzwi się otworzyły, Daniel i Alvaro zostali porwani przez ratowników. Chwilę potem drugi śmigłowiec siadł jakieś trzydzieści metrów obok i byłem przy nim, kiedy rozsunęły się drzwi. Coche wypadł uszczęśliwiony prosto w moje ramio-

242

na, potem Eduardo i Carlitos. Zdumieni widokiem kwiatów i zieleni, niektórzy osunęli się w trawie na kolana. Inni ściskali się i tarzali, objęci, po ziemi. Carlitos wziął mnie w ramiona i przewrócił na ziemię.

- Ty skurczybyku! - krzyczał. - Udało ci się! Udało ci się! Uśmiechał się promiennie, z oczami rozświetlonymi radością i twarzą tuż przy mojej.
- Carlitos, cieszę się, że cię widzę - powiedziałem - tylko proszę, nie całuj mnie, dobrze? Kiedy te celebacje dobiegły końca, podali nam gorącą zupę, ser i czekoladki. Podczas gdy ratownicy badali sześciu nowo przybyłych, odszukałem kapitana Garcie i spytałem, kiedy zabiorą resztę ocalałych. Wyjaśnił, że nocny lot w góry byłby zbyt ryzykowny. Trzeba będzie poczekać z pomocą jeszcze jeden dzień. Zapewnił jednak, że lekarze i ratownicy, którzy zostali na miejscu, zatroszczą się o wszystkich chłopaków.

Nakarmiono nas, załadowano do śmigłowców i zawieziono do bazy wojskowej w pobliżu miasta San Fernando. Zespoły lekarzy i pielęgniarek zaprowadziły nas do czekających ambulansów. Odjechaliśmy w konwoju, eskortowani przez policjantów na motocyklach, i mniej więcej po dziesięciu minutach dotarliśmy do Szpitala św. Jana Bożego w San Fernando. Personel szpitalny oczekiwał nas na parkingu z noszami na kółkach. Niektórym chłopakom było to potrzebne, ale ja powiedziałem pielęgniarkom, że pójdę sam. Przeszedłszy przez Andy, nie miałem zamiaru pozwolić im się wieźć przez ostatnie kilka metrów.

Zaprowadzono mnie do niewielkiego czystego pokoju, gdzie zdjęto ze mnie kolejne warstwy brudnych ubrań. Nieświeże łachy ciśnięto w ką, zobaczyłem je tam - swetry, dzinsy i spodnie, które były moją drugą skórą. Dobrze było je zrzucić i zaliczyć do przeszłości. Zabrano mnie do łazienki i dano ciepły natrysk. Czułem czyjeś ręce myjące mi włosy i miękką

szmatkę ścierającą brud ze skóry. Po skończeniu kąpeli wytarto mnie miękkimi ręcznikami i wtedy to ujrzałem swoje odbicie w wielkim lustrze łazienkowym. Szczęka mi opadła, gdy zobaczyłem, co ze mnie zostało. Przed katastrofą byłem wy-trenowanym sportowcem, ale teraz nie było na mnie ani śladu mięśni. Żebra, kości miednicy i łopatki sterczały przez skórę, a ręce i nogi miałem tak wychudłe, że stawy kolan i łokci wystawały niczym grube węzły na linie. Pielęgniarki odciągnęły mnie od lustra i ubrały w świeżą szpitalną koszulę, potem zaprowadziły na wąską leżankę i zaczęły badać, ale poprosiłem, by mnie na chwilę zostawiono w spokoju. Kiedy wszyscy wyszli, spokojnie delektowałem się komfortem, czystością i spokojem tego przyjemnego pokoiku. Położyłem się na miękkim materacu, czując gładkość świeżo wyprasowanych bawełnianych prześcieradeł. Z wolna zaczynało to do mnie docierać - byłem bezpieczny, miałem wracać do domu. Zrobiłem głęboki wdech, a potem powolny, intensywny wydech. „Weź jeszcze jeden oddech - mawialiśmy na górze, by podtrzymać się wzajemnie na duchu w chwilach rozpacz. -Dopóki oddychasz, jesteś żywy”. W tamtych dniach każdy oddech stanowił nieomal akt sprzeciwu. Podczas siedemdziesięciu dwóch dni spędzonych w Andach nie było jednego oddechu, któremu nie towarzyszyłby lęk. Teraz rozkoszowałem się nareszcie luksusem zwykłego oddychania. Raz za razem napełniałem płuca, potem wypuszczałem powietrze długimi, niespiesznymi wydechami i z każdym oddechem szeptałem sobie ze zdumieniem:

- Ja żyję. Ja żyję. Ja żyję.

Nagle moje myśli zakłócił jakiś krzyk za drzwiami i coś, co brzmiało jak przepychanka w korytarzu.

- Proszę się uspokoić - rzucił mocny męski głos. - Nikomu nie wolno tu wchodzić. >.:, sy, <:, ,,,,,, <.,. ,,,,,. K,,, ^ . ^, ^rt.

Odpowiedział mu głos kobiety:

- Mój brat tu jest! Muszę go zobaczyć! Proszę!

Wyszedłem na korytarz w samą porę, by zobaczyć, jak Graciela przepycha się przez grupkę szpitalnych sanitariuszy. Zawołałem ją po imieniu, a ona rozszlochała się na mój widok. Chwilę potem znalazła się w moich ramionach, a w sercu wzbierała mi miłość do niej. Był z nią jej mąż Juan, z oczami lśniąco od łez, i przez chwilę wszyscy troje obejmowaliśmy się bez słowa. Potem uniosłem wzrok. Na końcu korytarza, w słabym świetle jarzeniówki, stała bez ruchu szczupła przygarbiona postać mego ojca. Podeszedłem do niego i uściśnłem, a potem uniosłem w ramionach, aż stopy oderwały mu się od podłogi.

- Widzisz, tato - szepnąłem, postawiwszy go znowu. -Wciąż jestem dość silny, by cię podnieść.

Przyłgnął do mnie, dotykając mnie, przekonując się, że jestem rzeczywisty. Obejmowałem go przez długi czas, czując lekkie drżenie jego ciała, gdy płakał. Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał. Potem z głową wciąż przyciśniętą do mojej piersi, wyszeptał:

- Mama? Susy?

Odpowiedziałem łagodnym milczeniem, a on zwiśł nieco w moich ramionach, kiedy to zrozumiał. Chwilę potem podeszła do nas Graciela i odprowadziła do pokoju. Wszyscy troje zbrali się przy moim łóżku, a ja opowiedziałem im historię życia w górach. Opisałem katastrofę, zimno, strach, długą drogę, jaką odbyliśmy z Robertem. Wyjaśniłem, jak zginęła matka i jak pocieszałem Susy. Ojciec wzdrygnął się, kiedy wspomniałem o siostrze, zatem oszczędziłem mu szczegółów jej cierpienia, sądząc, iż wystarczy powiedzieć, że nigdy nie była sama i że umarła na moich rękach. Kiedy opowiadałem, Graciela cicho płakała. Nie mogła oderwać ode mnie wzroku.

Ojciec siedział spokojnie przy łóżku, słuchał i potakiwał z rozdzierającym uśmiechem na twarzy. Kiedy skończyłem, zaległa cisza, póki ojciec nie znalazł siły, by się odezwać.

- Nando, jak przetrwaliście? - zapytał. - Tyle tygodni bez jedzenia...

Powiedziałem mu, że jedliśmy ciała tych, którzy nie przeżyli. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Zrobiliście, co należało - rzekł głosem łamiącym się z emocji. - Cieszę się, że wróciłeś do domu.

Tyle chciałem mu opowiedzieć: że myślałem o nim bez przerwy, że jego miłość była światłem przewodnim, które doprowadziło mnie do domu. Ale na to przyjdzie czas później. Teraz chciałem docenić każdą chwilę naszego ponownego spotkania, choć zaprawione było goryczą. Początkowo trudno mi było przekonać się, że ten moment, moment, o którym marzyłem tak długo, rzeczywiście nastąpił. Mój umysł pracował powoli, a emocje były dziwnie stłumione. Nie odczuwałem uniesienia ani triumfu, tylko łagodne poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Żadne słowa nie mogły wyrazić, jak się czułem, więc siedziałem po prostu w milczeniu. Po chwili dobiegły nas z korytarza odgłosy radosnych powitań, kiedy rodziny pozostałych ocalałych odnalazły swoich synów. Graciela wstała i zamknęła drzwi i w zaciszu pokoju wraz z żyjącymi jeszcze członkami rodziny cieszyliśmy się prostym cudem bycia znowu razem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po wypadku

[astępnego dnia, 23 grudnia, ośmiu ocalałych, których pozostawiono wcześniej na górze, poleciało do Santiago, gdzie zbadano ich w szpitalu Posta Centrale. Lekarze postanowili zatrzymać na obserwację Javiera i Roya -szczególnie niepokoił się o Roya, bo analiza krwi wykazywała odchylenia mogące stanowić zagrożenie dla serca -ale reszta została zwolniona i przeniosła się do hotelu She-raton San Cristobal, gdzie do wielu z nich dołączyły rodziny. Naszą ósemkę ze Szpitala św. Jana Bożego przewieziono do Santiago jeszcze tego samego popołudnia. Alvaro i Coche, najslabsi w grupie, zostali przyjęci do Posta Centrale, resztę wypisano i zabrano do Sheratona, gdzie oczekiwali pozostali towarzysze.

W Sheratonie, jak zresztą w całym Santiago, zapanowała atmosfera celebracji i religijnego uniesienia. Gazety nazywały nasz powrót „cudem wigilijnym”, a wiele osób uważało nas za postacie nieomal mistyczne: młodych chłopców ocalonych dzięki bezpośredniej interwencji Boga, żywe dowody Jego miłości. Doniesienia o tym, że przeżyliśmy, trafiły na pierwsze strony gazet całego świata, a zainteresowanie opinii publicznej było ogromne. Hol Sheratona i ulice przed hotelem przez całą dobę zapełniali reporterzy i dziennikarze czyhający na każdy nasz ruch. Nie mogliśmy pójść do kawiarni, by coś

247

przekąsić ani porozmawiać spokojnie z rodzinami bez towarzystwa hordy żurnalistów podtykających nam pod nos mikrofony i błyskających fleszami w twarz.

W wigilię Bożego Narodzenia wydano dla nas przyjęcie w sali balowej hotelu. Panowała atmosfera radości i wdzięczności, kiedy ocaleli i ich rodziny dziękowali Bogu za wybawienie od śmierci.

- A nie mówiłem, że na Boże Narodzenie będziemy w domu - powiedział do mnie Carlitos z tym samym uśmiechem pewności, jaki pokazywał w górach. - Mówiłem ci, że Bóg nas nie opuści.

Cieszyłem się za niego i za innych, ale patrząc, jak radują się razem z bliskimi, zdałem sobie sprawę, że oprócz Javiera każdy z moich towarzyszy niedoli wracał do życia, które w niczym

się nie zmieniło. Wielu z nich straciło podczas katastrofy przyjaciół, to fakt, i wszyscy przecierpieli niewiarygodny koszmar, ale dla nich było teraz już po wszystkim. Ich rodziny pozostały nietknięte. Znow będą ich ścisnąć rodzice, bracia i siostry, ich dziewczyny. Ich światy będą nadal istnieć, a wszystko będzie tak, jak było, zanim ten wypadek przerwał ich normalną egzystencję. Ale mój świat został zniszczony, a cały ten bankiet tylko uwydatniał mi, jak wiele straciłem. Już nigdy nie spędzę Bożego Narodzenia z matką czy z Susy. Było dla mnie jasne, że wydarzenia te zdruzgotały ojca, zastanawiałem się, czy będzie jeszcze kiedyś człowiekiem, jakiego znałem. Starłem się współuczestniczyć w radosnych obchodach tamtego wieczoru, ale czułem się bardzo samotny, rozumiejąc, że to, co dla innych było triumfem, dla mnie otwierało nową i niepewną przyszłość.

Po trzech dniach spędzonych w Santiago jarmarczna atmosfera hotelu stała się nie do zniesienia i ojciec przeniósł nas do domku w chilijskim kurorcie nadmorskim Viña del
248

Mar. Spędziliśmy tam trzy spokojne dni, odpoczywając, jeżdżąc samochodem na wycieczki, wylegując się na słońcu. Na plaży czułem się jak jakaś osobliwość. Moje zdjęcie zamieściły wszystkie gazety, a z długą brodą i sterczącymi przez skórę kośćmi łatwo było rozpoznać we mnie jednego z uratowanych. Nie mogłem daleko odejść, żeby nie zaczepiali mnie nieznajomi, więc trzymałem się blisko domu, spędzając wiele godzin z ojcem. Nie wypytywał zbytnio o wydarzenia w górach, wyczuwałem, że nie jest jeszcze gotów na wysłuchanie szczegółów, ale chętnie opowiadał, jak wyglądało jego życie podczas długich tygodni mojej nieobecności. Powiedział mi, że o trzeciej trzydziści po południu 13 października, w chwili, gdy nasz samolot spadł na ziemię, jechał dokonać wpłaty w banku w pobliżu swego biura w Montevideo, kiedy nagle coś go zatrzymało w połowie drogi.

- Wejście do banku było ledwie o kilka kroków - opowiadał - ale nie mogłem pójść dalej. To było takie dziwne. Bank zupełnie przestał mnie interesować. Ścisnęło mnie w dołku. Chciałem tylko wrócić do domu.

W całym swoim życiu ojciec nie poszedł do pracy tylko kilka razy, ale tamtego dnia zapomniał o biurze i pojechał do naszego domu w Carrasco. Nalał sobie filiżankę matę i włączył telewizor, gdzie specjalne serwisy informacyjne donosiły o zaginięciu w Andach urugwajskiego samolotu czarterowego. Nie wiedząc o naszym nieprzewidzianym nocnym postoju w Men-dozie, uspokoił się myślą, że dotarliśmy już do Santiago poprzedniego popołudnia. A jednak podczas oglądania wiadomości nawiedziło go jakieś okropne przecucie. Potem, jakąś godzinę po jego powrocie do domu, ktoś zastukał do drzwi.

- Był to pułkownik Jaime - wyjaśnił ojciec, wymieniając nazwisko przyjaciela służącego w urugwajskich siłach powietrznych. - Powiedział: „Przed domem czeka samochód.

Chcę, żebyś pojechał ze mną. Obawiam się, że mam złe wiadomości...”. Pułkownik zabrał ojca do siebie, gdzie potwierdził najgorsze - to właśnie nasz samolot zaginął. Dzień później ojciec leciał już do Santiago na spotkanie z chilijskimi oficjelałmi, mającymi wyjaśnić, co wiedzą o katastrofie. Trasa przelotu biegła nad Andami, a kiedy spoglądał w dół na te góry, skóra cierpła mu na myśl, że jego żona i dzieci spadli w takie bezlitosne miejsce. - W tym momencie - powiedział mi - straciłem wszelką nadzieję. Zrozumiałem, że żadnego z was już nigdy nie zobaczę.

Następne tygodnie były dla niego tak straszliwe, jak tylko mogłem to sobie wyobrazić, będąc w górach. Nie mógł spać ani jeść. Nie dawała mu pocieszenia modlitwa ani towarzystwo ludzi. Wielu rodziców innych ofiar katastrofy znalazło sposób, by nie tracić nadziei. Niektóre matki spotykały się regularnie, by się za nas modlić. Grupa ojców, pod przewodnictwem Carlosa Paez-Villaro, ojca Carlitosa, wszczęła nawet poszukiwania na własną rękę, wynajmując samoloty i śmigłowce na przeloty nad Andami nad miejscami, gdzie zdaniem władz mógł

spaść nasz fairchild. Mój ojciec wspierał te wysiłki finansowo, choć był pewien, że to tylko strata czasu.

- Kiedy samolot spada w Andach, jest stracony na zawsze - powtarzał. - Wiedziałem, że będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli góry oddadzą choćby niewielki fragment wraku. Ponieważ ojciec stracił wszelką nadzieję, jego stan emocjonalny szybko ulegał pogorszeniu. Stał się zamknięty w sobie i apatyczny. Całymi godzinami siedział samotnie, w milczeniu, albo wędrował bez celu po plaży, mając za jedynego towarzysza mojego psa Jimmy'ego.

- Twoja matka była moją siłą - powiedział mi. - Tak bardzo jej wtedy potrzebowałem, ale ona odeszła, a bez niej byłem zgubiony.

250

Z biegiem dni stawał się coraz bardziej zobojętniały i wyalienowany, a jego cierpienie nieraz zaprowadziło go na skraj szaleństwa.

- Pewnego dnia jadłem obiad z Liną - opowiadał. - W domu panował taki spokój. Przy stole było tyle pustych miejsc. Odłożyłem widelec i powiedziałem: „Mamo, nie mogę tu zostać”. Potem wyszedłem z domu i zacząłem iść.

Szedł ulicami przez wiele godzin, przez całe popołudnie aż do późnej nocy. W głowie miał pustkę, poza jedną nie w pełni ukształtowaną myślą, że musi iść dalej, że poprzez prosty ruch naprzód może zdystansować się od cierpienia. Wreszcie znalazł się na rozległym trawniku Plaza Matriz, historycznego centralnego placu Montevideo. Naprzeciw niego wznosiły się ciemne ozdobne wieżycy Catedral Metropolitano, zbudowanej w 1740 roku przez hiszpańskich kolonistów. Ojciec nie był człowiekiem religijnym, ale coś przyciągnęło go do tej świątyni, pragnienie spokoju czy choćby jakiegoś niewielkiego pocieszenia, którego mógłby się uczepić. Ukląkł, próbując się modlić, ale nic nie czuł. Przygarbiony w kościelnej ławce, spojrzął na zegarek i stwierdził ze zdumieniem, że wędrował przez ponad dziesięć godzin. W obawie, że traci zmysły, wyszedł z kościoła w ciemność, kierując się w stronę domu.

- Powiedziałem sobie, że muszę wszystko zmienić - opowiadał. Potem zaczął zmieniać swoje życie, jakby mógł pozbyć się cierpienia, zrywając fizyczne związki z przeszłością. Sprzedał swego kosztownego mercedesa i ulubionego rovera matki. Wystawił na sprzedaż mieszkanie w Punte del Este i przygotował się do sprzedania naszego domu w Carrasco. Usiłował nawet pozbyć się firmy, którą tworzył przez całe życie, ale Graciela i Juan wyczuli, co się święci, i wyperswadowali mu taką lekkomyślność, zanim doprowadziło to do poważniejszych strat.

25/

- Nie wiedziałem, co robię - opowiadał mi. - Czasem potrafiłem jasno myśleć, innym razem byłem absolutnie loco*. Nic się dla mnie nie liczyło w owych dniach. Nic nie miało sensu po upadku samolotu.

Kiedy ojciec dowiedział się, że Roberto i ja odnaleźliśmy się w górach, nie chciał w to uwierzyć, ale z wolna zaczął przyjmować do wiadomości, że to prawda. Rankiem 23 grudnia wraz z Gracielą, Juanem i rodzinami innych ofiar wypadku wsiadł na pokład samolotu czarterowego lecącego do Santiago. Nie podano jeszcze nazwisk pozostałych ocalałych, dlatego kiedy ojciec przelatywał kolejny raz nad Andami, odżyły jego nadzieje.

- Jeśli ktokolwiek żyje - oznajmił mojej siostrze - to dlatego, że twoja matka ich stamtąd wyciągnęła.

Kilka godzin później trzymał mnie już w ramionach, a ja dałem mu do zrozumienia, że żywił fałszywe nadzieje - moja matka i siostra zginęły.

- Tato - powiedziałem do niego pewnego dnia w Viña del Mar. - Przykro mi, że nie mogłem ocalić mamy i Susy.

Uśmiechnął się smutno i ujął mnie za ramię.

- Kiedy miałem pewność, że wszyscy zginęliście - zaczął - wiedziałem, że nigdy nie dojdę do siebie po takiej stracie. To było tak, jakby mój dom spalono do gołej ziemi, jakbym nieodwracalnie stracił wszystko, co miałem. Odzyskanie ciebie teraz to jak natknięcie się w zgliszczach na coś cennego. Czuję się jak nowo narodzony - mówił. - Mogę rozpocząć nowe życie. Odtąd spróbuję nie żałować tego, co mi odebrano, ale cieszyć się tym, co odzyskałem. Poradził mi postępować tak samo.

- Jutro wszędzie słońce - dodał - i pojutrze, i pojutrze. Nie pozwól, by stało się to najważniejszą rzeczą, jaka cię

'Loco (hiszp.) „szalony, nieobliczalny” - przyp. tłum.

252

w życiu spotkała. Patrz naprzód. Masz przed sobą przyszłość. Masz przed sobą życie. W dniu 30 grudnia odlecieliśmy z Viña del Mar do Montevideo. Byłem przerażony perspektywą ponownego lotu nad Andami, ale dzięki środkom uspokajającym przepisany przez chilijskiego lekarza udało mi się wejść na pokład samolotu. Kiedy przybyliśmy do naszego domu w Carrasco, powitał mnie zgromadzony na ulicy tłumek znajomych i sąsiadów. Wymieniałem z nimi uściski dłoni i obejmowałem, wchodząc po długich schodkach z chodnika do drzwi frontowych, gdzie czekała moja babka Lina. Padłem jej w ramiona, a ona przytuliła mnie z taką siłą i niepozbanioną goryczy czułością, że pojąłem, iż w duchu obejmuje też Susy i moją matkę. Wszyscy weszliśmy do środka. Przedemną, na kafelkowej podłodze holu, leżał Jimmy. Spał mocno, a teraz, słysząc, jak wchodzimy, otworzył ze znużeniem oczy, nie unosząc z łap wielkiego kanciastego pyska. Obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem, potem nastawił uszu, podniósł się i przekrzywił łeb, jakby z niedowierzeniem. Lustrował mnie przez dłuższą chwilę, po czym z radosnym skowytem rzucił się ku mnie tak szybko, że początkowo biegł w miejscu, przebierając łapami po śliskiej posadzce. Objąłem go, kiedy rzucił mi się na ramiona, i pozwoliłem lizać sobie twarz ciepłym, mokrym językiem. Wszyscy śmieli się z uszczęśliwienia Jimmy'ego, a dla mnie stanowiło to miłe powitanie w domu.

Te pierwsze chwile po powrocie były niesamowite. Byłem szczęśliwy i zdumiony, znalazłszy się znowu w domu, ale w pokojach aż dudniła nieobecność matki i siostry. Poszedłem do swojej dawnej sypialni. Graciela wprowadziła się do ojca

253

w życiu spotkała. Patrz naprzód. Masz przed sobą przyszłość. Masz przed sobą życie. W dniu 30 grudnia odlecieliśmy z Viña del Mar do Montevideo. Byłem przerażony perspektywą ponownego lotu nad Andami, ale dzięki środkom uspokajającym przepisany przez chilijskiego lekarza udało mi się wejść na pokład samolotu. Kiedy przybyliśmy do naszego domu w Carrasco, powitał mnie zgromadzony na ulicy tłumek znajomych i sąsiadów. Wymieniałem z nimi uściski dłoni i obejmowałem, wchodząc po długich schodkach z chodnika do drzwi frontowych, gdzie czekała moja babka Lina. Padłem jej w ramiona, a ona przytuliła mnie z taką siłą i niepozbanioną goryczy czułością, że pojąłem, iż w duchu obejmuje też Susy i moją matkę. Wszyscy weszliśmy do środka. Przedemną, na kafelkowej podłodze holu, leżał Jimmy. Spał mocno, a teraz, słysząc, jak wchodzimy, otworzył ze znużeniem oczy, nie unosząc z łap wielkiego kanciastego pyska. Obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem, potem nastawił uszu, podniósł się i przekrzywił łeb, jakby z niedowierzeniem. Lustrował mnie przez dłuższą chwilę, po czym z radosnym skowytem rzucił się ku mnie tak szybko, że początkowo biegł w miejscu, przebierając łapami po śliskiej posadzce. Objąłem go, kiedy rzucił mi się na ramiona, i pozwoliłem lizać sobie twarz ciepłym, mokrym językiem. Wszyscy śmieli się z uszczęśliwienia Jimmy'ego, a dla mnie stanowiło to miłe powitanie w domu.

Te pierwsze chwile po powrocie były niesamowite. Byłem szczęśliwy i zdumiony, znalazłszy się znowu w domu, ale w pokojach aż dudniła nieobecność matki i siostry. Poszedłem do swojej dawnej sypialni. Graciela wprowadziła się do ojca

253

tuż po katastrofie, a jej dwuletni synek korzystał teraz z mego pokoju. Zobaczyłem, że nie ma tam już żadnych moich rzeczy. Podczas pełnych udręki prób odcięcia się od przeszłości ojciec pozbył się wszystkiego, co do mnie należało - ubrań, książek, sprzętu sportowego i magazynów na temat wyścigów samochodowych, nawet plakatu z Jackie Stewartem, który od lat wisiał na ścianie. W salonie zobaczyłem swoją fotografię na kominku, obok zdjęć matki i Susy - ponure upamiętnienie naszej nieobecności. Wyrzałem przez okno. Ulicą przejeżdżały samochody. Światła paliły się w innych domach, gdzie ludzie wiedli dalej swoje życie. Tak samo wyglądałoby ono, gdybym zginął, pomyślałem. Nie została po mnie zbyt wielka dziura. Świat kręci się dalej beze mnie.

Te pierwsze tygodnie w domu spędziłem jakby w stanie zawieszenia. Tak wiele się zmieniło i nie potrafiłem odnaleźć drogi powrotnej do dawnego życia. Guido i Panchito odeszli, dlatego większość czasu spędzałem samotnie. Bawiłem się z Jimmym i całymi godzinami jeździłem na motocyklu - przyjaciel, który odkupił go od ojca, oddał go, jak tylko usłyszał o naszym ocaleniu. Czasem chodziłem po ulicach, ale wszędzie byłem rozpoznawany, więc po jakimś czasie wolałem pozostawać w domu. Kiedy wychodziłem, nieuchronnie przypomniano mi o tym, co mnie spotkało. Raz, w La Mascota, pizzerii w sąsiedztwie, którą odwiedzałem od dzieciństwa, właściciel i kelner zrobili wielką sprawę z tego, jaki to zaszczyt gościć mnie tam, i odmówili przyjęcia pieniędzy. Mieli, ma się rozumieć, jak najlepsze intencje, ale minęło wiele czasu, zanim zaszedłem tam ponownie. Na chodniku nieznajomi podchodzili do mnie, by uścisnąć mi rękę, jakbym był kimś w rodzaju bohatera, który przyniósł zaszczyt Urugwajowi dzięki swoim wyczynom. W gruncie rzeczy nasze ocalenie stało się sprawą dumy na-

254

rodowej. Nasze przejścia celebrowano jak wspaniałą przygodę. Porównywano nasze osiągnięcia z bohaterskimi wyczynami reprezentacji Urugwaju w piłce nożnej, która w 1950 roku zdobyła Puchar Świata. Niektórzy mówili wręcz, że zazdroszczą mi moich andyjskich doświadczeń i żałują, że tam ze mną nie byli. Zupełnie nie wiedziałem, jak im wytłumaczyć, że tam w górach nie było żadnej chwały. Była tylko szpetota, strach i rozpacz, i obsceniczność patrzenia na śmierć tylu niewinnych ludzi.

Byłem tak wstrząśnięty sposobem pogoni za sensacją, w jakim wiele gazet opisywało, czym się żywiliśmy, by przeżyć. Niedługo po tym, jak nas uratowano, przedstawiciele Kościoła ogłosili, że według doktryny katolickiej nie popełniliśmy grzechu, jedząc ciała zmarłych. Tak jak Roberto przekonywał nas wtedy na górze, oznajmiono światu, że grzechem byłaby zgoda na własną śmierć. Większe znaczenie miał dla mnie fakt, że wielu rodziców zmarłych chłopców wyraziło publicznie poparcie dla nas, informując, że zrozumieli i zaakceptowali nasze postępowanie. Zawsze będę im wdzięczny za odwagę i wielkoduszność, jakie okazali, wspierając nas. Mimo tych gestów w wielu doniesieniach prasowych w sposób lekkomyślny i obliczony na wzbudzenie sensacji koncentrowano się na kwestii naszego pożywienia.

Niektóre gazety zamieściły na pierwszych stronach drastyczne nagłówki obok makabrycznych fotografii wykonanych, po uratowaniu nas, przez członków Andyjskiego Korpusu Ratunkowego, a ukazujących stopy kości w pobliżu wraku kadłuba i części ludzkiego ciała rozrzucone wokół na śniegu. W rezultacie tych jednostronnie sensacyjnych doniesień pojawiały się różne pogłoski, między innymi teoria, że nigdy nie zeszła żadna lawina i to my sami zabiliśmy ludzi, którzy ucierpieli w tym zdarzeniu, by ich wykorzystać jako pokarm.

255

Graciela i Juan służyli mi w owych dniach wielką pomocą, ale bardzo mi brakowało Susy i matki. Ojciec współtowarzyszył mi w cierpieniu, ale, przytłoczony zgryzotą, był równie zagubiony jak ja. Wkrótce dowiedziałem się, że w swojej samotności szukał pocieszenia w towarzystwie innej kobiety, z którą się nadal spotykał. Nie winiłem go za to. Rozumiałem, że jest mężczyzną potrzebującym w życiu silnego bodźca emocjonalnego, a śmierć żony pozbawiła go poczucia równowagi, bez którego nie mógł żyć. Mimo to ciężko mi było widywać ich oboje razem tak prędko po katastrofie, była to dla mnie kolejna wskazówka, że moje dawne życie odeszło na zawsze. Dlatego z nadejściem lata postanowiłem uciec od Montevideo i wszystkich wspomnień z nim związanych i spędzić samotnie trochę czasu w mieszkaniu ojca w Punta del Este. Nasza rodzina od lat wyjeżdżała tam na lato, jeszcze wtedy, gdy byliśmy z Susy brzdącami bawiącymi się na plaży. Teraz oczywiście wszystko wyglądało inaczej. Wszyscy mnie znali i wszędzie, gdzie poszedłem, otaczali mnie gapie, życzliwi oraz nieznajomi proszący o autograf. Początkowo kryłem się w mieszkaniu, ale muszę przyznać, że z biegiem czasu jakaś część mnie zaczęła się cieszyć ową atencją - zwłaszcza gdy zdałem sobie sprawę, jak wiele atrakcyjnych młodych kobiet ma wielką ochotę mnie poznać. Zawsze zazdrościłem Panchitowi umiejętności przyciągania na plaży uwagi pięknych dziewczyn bez żadnego wysiłku, a teraz te same dziewczyny równie silnie lgnęły do mnie. Czy pociągało je to, kim byłem, czy to, co zrobiłem? A może chodziło po prostu o moją świeżą sławę? Nie miało to dla mnie znaczenia. Po raz pierwszy w życiu fascynowałem dziewczyny, wręcz nie mogły mi się oprzeć, zatem robiłem, co mogłem, by jak najlepiej to wykorzystać. Całymi tygodniami zabawiałem się z jedną piękną kobietą po drugiej,

256
czasem z dwiema lub trzema jednego dnia, stale wypatrując kogoś nowego. Stałem się jedną z osób publicznych Punta del Este, a moje zdjęcie często pojawiała się w rubrykach towarzyskich gazet - Nando na jakimś wykwintnym przyjęciu, z kieliszkiem w ręku, pędzący próżniacze życie pełnoetatowego playboya, zawsze z efektowną dziewczyną, albo dwiema, pod rękę. Ta zła sława nie uszła uwagi moich dawnych towarzyszy niedoli, którym nie podobało się takie zachowanie. Dla nich nasze straszne przeżycia stały się zaczątkiem psychicznej transformacji, pokazały godność ludzkiej egzystencji i przywiodły do życia w zgodzie z moralnością i wyższymi zasadami. W ich oczach zapominałem o nauczce, jaką otrzymaliśmy. Kiedyś latem zaproszono mnie na jurora konkursu miss plaży, na co z ochotą przystałem. Doniosła o tym jakaś lokalna gazeta, zamieszczając fotografię, na której uśmiechałem się szeroko, w otoczeniu pół tuzina ślicznotek w bikini. Tego już było za wiele dla pozostałych ocalałych, dlatego przez szacunek dla nich wycofałem się z imprezy. Mimo to uważałem, że moi przyjaciele traktują życie trochę zbyt serio. Ostatecznie, zważywszy na to, przez co przeszliśmy, czy nie należało nam się nieco rozrywki? W owym czasie tylko to mnie zajmowało. Mówiłem sobie, że delektuję się życiem, by zrekompensować sobie czas, jaki straciłem na górze. Ale może się oszukiwałem. Teraz sędzę, że w głębi duszy odczuwałem emocjonalną drętwość i pustkę, które noc w noc starałem się zapełnić hulankami. Wciąż negowałem ból, jaki nosiłem w sobie od pierwszych dni po katastrofie. Próbowałem znaleźć bezpieczną formę odczuwania.

Pewnego wieczoru w jednym z nocnych klubów w Punta zwanym 05, kiedy gawędziłem z aktualną dziewczyną, popijając colę, rzeczywistość uderzyła mnie jak policyjną pałą

257
w łeb. Tak wiele wieczorów spędziłem kiedyś w tym lokalu z Panchitem, a teraz złapałem się na tym, że z przyzwyczajenia czekam, aż mój przyjaciel pojawi się w drzwiach. Tyle razy myślałem o nim, odkąd nas uratowano, ale tamtego wieczoru, w tamtym miejscu, bezpośrednio w trzewiach instynktownie odczułem jego nieobecność i zrozumiałem z brutalną pewnością, że jego już nie ma. Uprzymnienie sobie tej straty wydobyło na wierzch wszystkie inne i po raz pierwszy, odkąd nasz fairchild spadł w górach, rozplakałem się.

Pochyliłem głowę i szlochałem tak rozpaczliwie, że nie mogłem się opanować. Moja dziewczyna życzliwie odprowadziła mnie do domu, gdzie przez wiele godzin siedziałem na balkonie, obserwując ocean, samotny z moimi myślami. Kiedy tak rozmyślałem nad wszystkim, co mi odebrano, ból szybko ustąpił oburzeniu. Dlaczego to się stało? Dlaczego musiałem doświadczyć tak wielu bolesnych strat, kiedy tylu innych może nadal wieść szczęśliwe życie? Siedziałem tak całymi godzinami, przeklinając Boga albo swój los, albo zadrezczając się gdybaniem: Gdyby tylko piloci dostrzegli wcześniej tę grań. Gdyby Panchito wybrał inny fotel. Gdybym nie zaprosił na tę wycieczkę matki i siostry. Myślałem o chłopakach, którzy odpadli z tego wyjazdu w ostatniej chwili albo spóźnili się na samolot i musieli polecieć innym. Dlaczego nie oszczędzono mi tego tak jak tamtym? Dlaczego to moje życie musiało zostać zniszczone?

W miarę jak z upływem godzin coraz bardziej pograżałem się w tych gorzkich myślach, gniew stał się tak silny, że sądziłem, iż nigdy nie wybaczę życiu tego, jak oszukańczo pozbawiło mnie szczęśliwej przyszłości. Ale potem, niedługo przed świtem, kiedy znużenie złagodziło gniew, przypomniałem sobie radę, jaką ojciec dał mi w Vina del Mar: „Masz przed sobą przyszłość. Masz przed sobą życie”.

258

Zastanawiając się nad tymi słowami, dostrzegłem, gdzie popełniam błąd. Traktowałem tę katastrofę jako straszliwe nieporozumienie, nieprzewidziane odejście od szczęśliwej linii życia, jaką mi obiecano. Teraz dotarło do mnie, że przejścia w Andach nie były wyrwą w moim prawdziwym przeznaczeniu ani wypaczeniem przewidzianego biegu mego życia. To było po prostu moje życie, a przyszłość, jaka mnie czekała, była jedyną dla mnie dostępną. Uciekanie przed tym albo trwanie w zgorzknieniu i gniewie powstrzyma mnie tylko przed przeżywaniem jakiegokolwiek prawdziwego życia. Przed tamtą katastrofą tyle rzeczy uznawałem za coś oczywistego, ale góry pokazały mi, że życie, jakiegokolwiek by ono było, to cud. Teraz, w magiczny sposób dostałem szansę na drugie życie. Nie było takie, jakiego chciałem albo oczekiwałem, ale zrozumiałem, że moim obowiązkiem jest teraz przeżywanie tego życia w sposób tak bogaty i pełen nadziei, jak to możliwe. Poprzysiągłem sobie, że tego spróbuję. Będę żył z pasją i ciekawością. Otworzę się na możliwości życia. Będę się delektował każdą chwilą i próbował każdego dnia stać się bardziej ludzkim i bardziej żywym. Zrozumiałem, że nierobienie tego byłoby obrazą dla tych, którzy zginęli.

Złożyłem te przyrzeczenia, nie oczekując, że będę szczęśliwy. Poczułem po prostu, że moją powinnością jest jak najlepiej wykorzystać szansę, którą mi dano. Dlatego otworzyłem się na wszystko i - miałem to szczęście - zaczęło się kształtować moje nowe życie.

W styczniu 1973 roku znajomi zaprosili mnie na argentyńskie wyścigi Grand Prix Formuły 1 w Buenos Aires. W owym czasie nie lubiłem podróży, ale czas spędzony w górach nie osłabił mojej pasji do sportów motorowych, a to była okazja

259

do obejrzenia największych kierowców świata, zatem zgodziłem się tam pojechać. Niedługo po naszym pojawieniu się na torze prasa zwietrzyła moją obecność i wkrótce otoczyli mnie fotografowie. Pozwoliłem im pstryknąć kilka zdjęć i poszliśmy dalej. Chwilę później z zaskoczeniem usłyszałem przez megafony następujące ogłoszenie:

„Nando Parrado proszony jest o zgłoszenie się do boksów FI Tyrella...”.

- Pewnie jakaś gazeta chce przeprowadzić wywiad - powiedziałem znajomym. - Ale to boksy zespołu Tyrella. Chodźmy. Będzie okazja obejrzeć z bliska samochody.

Kiedy tam przyszliśmy, w boksach Tyrella wrzało jak w ulu. Jakichś dwudziestu mechaników w niebieskich kombinezonach krzątało się pracowicie wokół dwóch pięknych samochodów wyścigowych. Kiedy się przedstawiłem, jeden z mechaników ujął mnie za ramię i poprowadził obok wozów na asfaltowy plac na zapleczu boksów, gdzie zaparkowano długi samochód z naczepą mieszkalną. Mechanik otworzył mi drzwi i zaprosił gestem do środka, po

czym wrócił do pracy. Wspiąłem się po niskich schodkach i wszedłem do naczepy. Po mojej lewej stronie siedział na sofie szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, naciągając na nogi srebrzysty ognioodporny kombinezon wyścigowy. Kiedy uniósł wzrok i zobaczyłem, kto to jest, zatkało mnie i cofnąłem się o krok.

- Pan jest Jackie Steward! - wyrwało mi się.

- Owszem - powiedział ze szkockim akcentem, który setki razy słyszałem w telewizji. -

Jesteś Nando Parrado?

Przytaknąłem osłupiały.

- Słyszałem, że tu jesteś - oznajmił - więc poprosiłem, by cię odszukali.

200

Potem wyjaśnił, że chciał mnie poznać, odkąd usłyszał

o naszej tragedii w Andach. Był pod wielkim wrażeniem tego, co zrobiłem, mówił, i miał nadzieję, że nie będę miał nic przeciwko temu, by z nim o tym porozmawiać.

- Ależ tak - wyjąkałem. - Z przyjemnością... Uśmiechnął się i przyjrzał mi się uważnie.

- Lubisz wyścigi samochodowe? - zapytał. Wziętem głęboki oddech. Od czego tu zacząć?

- Uwielbiam - powiedziałem wreszcie. - Uwielbiam je od dzieciństwa. Jest pan moim ulubionym kierowcą. Czytałem pańskie książki. Znam wszystkie pana wyścigi, mam w pokoju pana plakat...

Nie wiem, jak długo tak opowiadałem, ale chciałem, by zrozumiał, że nie jestem tylko przymilnym fanem. By wiedział, że studiowałem jego techniki i mam szacunek dla jego mistrzostwa - wirtuozerii, z jaką wykorzystywał samochód do granic możliwości fizycznych, nie koziółkując przez dach, z jaką równoważył agresywność i wdzięk, ryzyko i opanowanie. Chciałem dać mu poznać, że rozumiem ducha jazdy wyścigowej i wiem, że dobre prowadzenie ma w sobie więcej z poezji niż z samczej sprawności.

Jackie uśmiechnął się życzliwie, skończywszy się ubierać.

- Muszę już iść na eliminacje - powiedział - ale trzymaj się w pobliżu boksów, jak wrócę, to pogadamy.

Wrócił po niespełna godzinie. Pokazał mi swój samochód - pozwolił nawet sięgać za kierownicą - a potem zaprosił na zebranie jego ekipy. Słuchałem z podziwem, jak omawia z inżynierami i mechanikami ostatnie szczegóły regulacji silnika

1 zawieszenia przed wyścigiem. Po zebraniu rozmawialiśmy z Jackiem przez kilka godzin.

Pytał mnie o Andy, ja jego o wyścigi i samochody. Po jakimś czasie przebywanie w jego towarzystwie przestało być czymś tak niepojętym. Mimo całej

20/

sławy i wysokiej pozycji był to człowiek prawdziwy i wielkoduszny i w miarę jak się poznawaliśmy, zdałem sobie ze zdumieniem sprawę, że idol mojej młodości i ja stajemy się przyjaciółmi.

Kilka miesięcy później przyjąłem zaproszenie Jackiego do jego domu w Szwajcarii, gdzie poznałem bliżej jego rodzinę, a nasza przyjaźń się zacieśniła. Całymi godzinami rozmawialiśmy o samochodach i wyścigach, a ja starałem się chłonać wszystko, co mówi. W końcu przyznałem się, że od dziecka marzyłem o udziale w wyścigach samochodowych.

Jackie potraktował moje zainteresowanie poważnie i zachęcał, bym postępował tak samo. W 1974 roku, za jego rekomendacją, zapisałem się do szkoły jazdy Jima Russella w Snetter-ton w Wielkiej Brytanii. Była to podówczas pierwsza w świecie szkoła jazdy wyścigowej, a jej absolwenci - w ich gronie Emerson Fitipaldi - ścigali się na najslynniejszych torach świata. W szkole Russella ćwiczyłem na zgrabnych fordach formuła -maszynach równie spektakularnych jak samochody, o których marzyłem jako dziecko - dowiodłem sobie, że mam wszystko, czego trzeba, by wejść do rajdowej elity.

Kiedy skończyły się zajęcia, wróciłem do Ameryki Południowej i przez następne dwa lata brałem udział w wyścigach motocyklowych i samochodowych w Urugwaju, Argentynie i Chile. Odnosiłem pewne sukcesy, ale zawsze marzyłem o jeździe na wielkich torach Europy i po niedługim czasie marzenie to się ziściło. W 1973 roku na Grand Prix w Buenos Aires - tych samych wyścigach, na których poznałem Jackie Ste-warta - przedstawiono mnie Bernie Ecclestone'owi, brytyjskiemu impresario wyścigowemu, uważanemu dziś za jednego z twórców nowoczesnych wyścigów Formuły 1. Bernie był

już wtedy wpływową postacią międzynarodowej sceny wyścigowej i właścicielem wielkiego brytyjskiego teamu rajdowego Brabhama. Podobnie jak Jackie zauważył moje zamiłowanie do wyścigów, co zapoczątkowało głęboką przyjaźń. Od tego czasu pozostawaliśmy w kontakcie, a on obserwował moją krótką karierę rajdową. Na początku 1977 roku dowiedziałem się od Berniego, że Autodelta, prestiżowy team wyścigowy Alfa Romeo, szuka kierowców. Zaproponował, że mnie wprowadzi, i już kilka tygodni później leciałem do włoskiej siedziby Alfa Romeo z trzema innymi kierowcami z Ameryki Południowej: Juanem Zampą, Mario Marquezem i Eugene „Chippy” Breardem. Spotkanie z przedstawicielami Autodelta poszło dobrze i w maju 1977 roku wszyscy czterej zaczęliśmy jeździć w zespole na rajdach długodystansowych w ramach ETCC. Zrobiłem to, stworzyłem sobie życie, o jakim niegdyś marzyłem, ścigałem się na doskonałych wozach z elitą rajdową na największych torach świata. Szło nam nieźle, zajęliśmy drugie miejsce w Silverstone w Anglii i w Zandvoort w Holandii, a pierwsze zwycięstwo odnieśliśmy na bardzo szybkim torze w Pergusa w południowych Włoszech. Z każdym wyścigiem czułem się coraz pewniej. Jeździłem płynniej, w sposób bardziej zrównoważony, precyzyjny i szybki. Coraz bardziej zwiększałem swoje możliwości, dowodząc sobie, że mam szansę nawet w konkurencji z najlepszymi. I krok po kroku realizowałem swoje chłopiące marzenie - o odnalezieniu poezji w mocy i precyzji wspaniałej maszyny.

Był to niewiarygodny rok, pełen podniecenia, wielkich wyzwań, ciekawych ludzi i wspaniałych podróży. Realizowałem własne marzenie, a kiedy we wrześniu przyjechaliśmy do Belgii na wyścigi na torze Zolder, nic nie wskazywało na to, że wszystko to dobiegnie końca. Ale w dniach przed wyścigiem, kiedy nasz team przygotowywał samochody, zawędrowałem

w poszukiwaniu coli do saloniku dla VIP-ów, który prowadził Phillip Morris. Moją uwagę zwróciła wysoka blondynka w czerwonym swetrze i białych spodniach. Stała do mnie tyłem, ale było w niej coś, co kazało mi się zatrzymać. Wtedy odwróciła się z uśmiechem.

- Nando? - powiedziała.

- Veronique? - wyjąkałem. - Co tu robisz?

Znałem ją. Nazywała się Veronique van Wasserhove, urodziła się w Urugwaju, a jej rodzice byli emigrantami z Belgii. Była uderzająco piękna - wysoka i smukła, o długich blond włosach i szeroko rozstawionych zielonych oczach. Poznałem ją trzy lata wcześniej w Montevideo, kiedy chodziła z Rafaelem, młodszym bratem Gustava Zerbino. Rafael miał drobny wypadek samochodowy tuż przed jakimś wielkim przyjęciem i zadzwonił do mnie, pytając, czy nie podwiózłbym jego dziewczyny. Jechałem właśnie na tę imprezę z Robertem i jego sympatią Laurą, więc przystanęliśmy przed domem Veronique, żeby ją zabrać. Rafael miał do nas dołączyć na przyjęciu, ale ponieważ się nie pojawił, tego wieczoru dotrzymałem Veronique towarzystwa. Była wówczas ledwie szesnastolatką, ale miała w sobie naturalny wdzięk i jakąś spokojną dojrzałą godność, co powiedziało mi, że stąpa twardo po ziemi. Od razu ją polubiłem. Świetnie się razem bawiliśmy, tańcząc i rozmawiając, a z czasem robiła na mnie coraz większe wrażenie. Była jednak dla mnie o wiele za młoda, a poza tym chodziła z moim przyjacielem. Przez następne lata widywałem ją na plaży, w

klubach czy na przyjęciach i zawsze się pozdrawialiśmy. Pewnego popołudnia siedziałem z przyjaciółmi na widowni corocznego konkursu piękności Miss Punte del Este, prestiżowej imprezy przyciągającej najpiękniejsze kobiety z całej Ameryki Południowej, obserwując pojawiające się kolejno oszałamiające ko-

biety w eleganckich kreacjach wieczorowych. Po chwili weszła na scenę wysoka blondynka w niebieskiej sukni. Poruszała się inaczej niż reszta. Jej krok był mniej wystudiowany, miała więcej naturalnego wdzięku. W jej oczach igrały wesołe iskierki i podczas gdy pozostałe dziewczyny bardzo się starały, by wypaść jak najwspanialej, ona prezentowała swobodny uśmiech i niewymuszoną postawę, świadczące

O tym, że naprawdę dobrze się bawi. Była to, ma się rozumieć, Veronique. Przystąpiła do konkursu w ostatniej chwili, nakłoniona przez przyjaciół, którzy uznali, że będzie to świetny początek jej kariery modelki. Zachichotałem, gdy przechodziła obok stołu jurorów. Pozostałe uczestniczki poświęciły najwyraźniej wiele czasu i wysiłku szczegółom swego wyglądu i stroju, łącznie z szykownymi pantofelkami. Ale gdy Veronique przeszła przez scenę, zauważyłem, patrząc poniżej skraju jej długiej sukni, że przystąpiła do konkursu boso. Byłem tym kompletnie zauroczony, podobnie zresztą jak sędziowie, którzy pod koniec wieczoru przyznali jej koronę najpiękniejszej.

A teraz była w Belgii, kilka lat starsza, już nie z Rafaelem,

I wyglądała jeszcze śliczniej niż w moich wspomnieniach. Powiedziała, że mieszka z matką w apartamencie w Brukseli, że przyjęła tymczasową posadę w dziedzinie PR-u tu, na torze, i zamierza wyjechać do Londynu uczyć się angielskiego, ale byłem zbyt rozkojarzony, by zapamiętać wiele z tego, co mówiła. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Zaparło mi dech. Jeszcze jako chłopak zastanawiałem się, jak to będzie, kiedy po raz pierwszy spotkam kobietę, którą potem poślubię. Jak ją poznam? Czy usłyszę huk gromu? Zobaczę okiem umysłu fajerwerki? Teraz wiedziałem. Nic z tych iztczy, tylko opanowany, spokojny głos pewności szepczący mi w głowie: „yero-nique... No jasne...”.

205

Momentalnie ujrzałem moją przyszłość w jej oczach. I chyba ona zobaczyła swoją w moich. Rozmawialiśmy przez chwilę, potem zaprosiła mnie na poniedziałek na obiad do rodzinnego apartamentu. Nazajutrz brałem udział w wyścigu i byłem drugi, co graniczyło z cudem, bo mocno padało, a jazda w deszczu wymaga intensywnej koncentracji. Ale kiedy wchodziłem wozem w kolejne zakręty i przyspieszałem na prostych, nie zaprzętała mnie równowaga ani przyczepność, ani znaczenie znalezienia najbardziej efektywnej drogi przez wiraż. Myślałem o poniedziałku, kiedy znowu zobaczę Veronique. Gdy wreszcie nadszedł, znalazłem się na obiedzie z Veronique i jej matką w ich eleganckim apartamencie przy Avenue Louis w Brukseli. Matka Veronique była kobietą niebywale arystokratyczną. Przyjęła mnie serdecznie, niemniej musiało ją zaniepokoić, że dwudziestosześcioletni kierowca rajdowy odwiedza jej dwiętnastoletnią córkę. Starałem się pokazać od jak najlepszej strony, ale już byłem do szaleństwa zakochany, więc oderwanie spojrzenia od Veronique i pamiętanie, że nie jesteśmy w pokoju sami, wymagało ode mnie największego wysiłku.

Po obiedzie zrobiliśmy jednodniową wycieczkę do Brugii, romantycznego średniowiecznego miasta kanałów i katedr. Gdy chodziliśmy razem, czułem, jak z każdym krokiem więź między nami się zacieśnia. Kiedy nastał wieczór i czas było odwieźć dziewczynę do domu, błagałem, by odwiedziła mnie w Mediolanie.

- Oszalałeś! - Roześmiała się. - Matka by mnie zabiła, gdybym o tym choćby wspomniała.
- No to przyjeżdż do Hiszpanii - nalegałem. - W przyszłym tygodniu ścigam się w Jaramie.

- Nando, nie mogę - powiedziała. - Ale niedługo się zobaczymy.

266

We wtorek wróciłem do mieszkania w Mediolanie. Strasznie mi jej brakowało, ale w środę zadzwoniła niespodzianie, mówiąc, że jest w drodze. Jej decyzja nie była w żadnej mierze pośpieszna czy impulsywna. Dokładnie wszystko przemyślała i dokonała świadomego wyboru. W Belgii spędziliśmy razem tylko jeden dzień, ale nie było wątpliwości, że łączy nas coś poważnego. Wybierała teraz swoją przyszłość. Czy byłem gotów postąpić tak samo? W czwartek wieczorem wyszedłem po nią na dworzec w Mediolanie. Wsiadła z pociągu tylko z plecakiem i małym workiem żeglarskim, wyglądała prześlicznie, i znów zakochałem się w niej po uszy. Pojechała ze mną do Jaramy, potem udaliśmy się do Maroka, gdzie spędziliśmy kilkutygodniowe wakacje. Zdałem sobie sprawę, że stoję przed ważną decyzją. Udowodniłem sobie, że mam zadatki na pierwszorzędnego kierowcę, ale realizacja tego marzenia wymagałaby rosnącego zaangażowania w sport. Wyścigi musiałyby stać się centrum mego życia, a wiedziałem, że nie byłoby to życie, które interesowałoby taką kobietę jak Veronique. Czy mogłem zrezygnować z marzeń o wyścigach, marzeń mego życia, właśnie w momencie, gdy miały się ziścić? Wiedziałem, że jeśli mamy gdzieś razem zamieszkać, to w Urugwaju. Czy miałem dość sił, żeby zamienić obecne życie pełne prestiżu na długie dni mozolnej pracy w sklepach żelaznych mego ojca, bilansowanie ksiąg rachunkowych, wypełnianie zamówień, śledzenie dostaw śrub i nakrętek? Ostatecznie nie było tu żadnego dylematu. Doświadczenia zdobyte na tamtej górze pozwoliły mi podjąć trafną decyzję - wybieram przyszłość z kobietą, którą kocham.

Wiosną 1978 roku moja kariera rajdowa była już tylko wspomnieniem, oboje z Veronique wróciliśmy do Montevideo. W 1979 roku wzięliśmy ślub. Zamieszkaliśmy w małym

207

domku w Carrasco i zaczęliśmy budować wspólne życie. Veronique znalazła zatrudnienie jako modelka, a ja odkryłem, że lubię pracę w sklepach żelaznych. Graciela i Juan pracowali tam od lat i wspólnie, pod kierunkiem ojca, przekształciliśmy naszą firmę w największą sieć tego typu sklepów w kraju.

Z biegiem lat pojawiły się nowe możliwości. W 1984 roku zaproponowano mi przygotowanie i poprowadzenie programu telewizyjnego na temat sportów motorowych dla Kanału 5 państwowej telewizji Urugwaju. Nigdy wcześniej nie stawałem przed kamerą, ale była to szansa powrotu do świata wyścigów, dlatego skwapliwie skorzystałem z okazji. W telewizji odnalazłem nową pasję, która stała się moim drugim zawodem. Dziś wraz z Veronique przygotowujemy i prowadzimy pięć programów dla telewizji urugwajskiej, między innymi na temat podróży, przyrody, mody i bieżących wydarzeń. Uczestniczymy w każdym etapie ich produkcji - piszemy scenariusze, zajmujemy się montażem i reżyserią, dobieramy nawet muzykę. Działalność telewizyjna zaspokaja nasze apetyty twórcze, a sukcesy na tym polu zainicjowały kolejne przedsięwzięcia - agencję reklamową i spółkę telewizji kablowej. Ciężko przy tym pracowaliśmy i wielokrotnie odnosiliśmy sukcesy. Ale największym błogosławieństwem naszego życia były jak dotąd narodziny naszych dwóch córek.

Veronica przyszła na świat w 1981 roku. Wcześniej sądziłem, że nikogo nie mógłbym kochać bardziej niż żonę, ale gdy zobaczyłem buzię mojej córeczki, poczułem do niej szaloną miłość. Parę chwil po urodzeniu stała się kolejnym skarbem mego życia, zrozumiałem, że umarłbym za nią bez wahania. Od samego początku cieszyłem się każdą chwilą ojcostwa. Uwielbiałem przewijać małą, karmić, kapać, kłaść spać. Czasem brałem ją na rękę, zdumiony tym, jak słodkie

268

domku w Carrasco i zaczęliśmy budować wspólne życie. Veronique znalazła zatrudnienie jako modelka, a ja odkryłem, że lubię pracę w sklepach żelaznych. Graciela i Juan pracowali tam od lat i wspólnie, pod kierunkiem ojca, przekształciliśmy naszą firmę w największą sieć tego typu sklepów w kraju.

Z biegiem lat pojawiły się nowe możliwości. W 1984 roku zaproponowano mi przygotowanie i poprowadzenie programu telewizyjnego na temat sportów motorowych dla Kanału 5 państwowej telewizji Urugwaju. Nigdy wcześniej nie stawałem przed kamerą, ale była to szansa powrotu do świata wyścigów, dlatego skwapliwie skorzystałem z okazji. W telewizji odnalazłem nową pasję, która stała się moim drugim zawodem. Dziś wraz z Veronique przygotowujemy i prowadzimy pięć programów dla telewizji urugwajskiej, między innymi na temat podróży, przyrody, mody i bieżących wydarzeń. Uczestniczymy w każdym etapie ich produkcji - piszemy scenariusze, zajmujemy się montażem i reżyserią, dobieramy nawet muzykę. Działalność telewizyjna zaspokaja nasze apetyty twórcze, a sukcesy na tym polu zainicjowały kolejne przedsięwzięcia - agencję reklamową i spółkę telewizji kablowej. Ciężko przy tym pracowaliśmy i wielokrotnie odnosiliśmy sukcesy. Ale największym błogosławieństwem naszego życia były jak dotąd narodziny naszych dwóch córek.

Veronica przyszła na świat w 1981 roku. Wcześniej sądziłem, że nikogo nie mógłbym kochać bardziej niż żonę, ale gdy zobaczyłem buzię mojej córeczki, poczułem do niej szaloną miłość. Parę chwil po urodzeniu stała się kolejnym skarbem mego życia, zrozumiałem, że umarłbym za nią bez wahania. Od samego początku cieszyłem się każdą chwilą ojcostwa. Uwielbiałem przewijać małą, karmić, kąpać, kłaść spać. Czasem brałem ją na ręce, zdumiony tym, jak słodkie

268

i doskonałe jest jej małe ciało, i uprzytomniałem sobie, że gdybym nie znalazł wtedy drogi wyjścia z Andów, ta piękna osóbką wcale by nie istniała. Doznawałem nagle oszałamiającego poczucia wdzięczności za bogate radości mego życia - otrzymywałem tyle miłości i szczęścia - i zdawałem sobie sprawę, że każdy makabryczny krok, jaki zrobiłem przez to zapomniane przez Boga i ludzi pustkowie, był krokiem ku temu maleńkiemu drogiemu cudowi, który trzymam na rękach.

Dwa i pół roku później, po ledwie pięciu i pół miesiącach ciąży, przyszła na świat moja córka Cecilia. Ważyła tylko kilogram i dwieście pięćdziesiąt gramów, a pierwsze dwa miesiące życia spędziła na oddziale intensywnej opieki. Było wiele nocy, kiedy lekarze radzili nam przygotować się na najgorsze, iść do domu modlić się, a każda z tych nocy stanowiła dla mnie kolejne Andy. Ale Veronique spędzała codziennie w szpitalu wiele godzin, pieściła naszą córeczkę, przemawiała do niej łagodnie, przywracając ją do życia, a Cecilia powoli nabierała sił. Teraz obie moje córki są pięknymi dwudziesto-kilkulatkami, pełnymi życia i odwagi, gotowymi samodzielnie zmierzyć się ze światem.

Kiedy one zaczynają dorosłe życie, mój ojciec wchodzi w swój osiemdziesiąty ósmy rok, nadal sprawny fizycznie i umysłowo. Nie sposób opisać bliskości, jaka panuje między nami. W ciągu wielu lat po naszej andyjskiej katastrofie był dla mnie więcej niż ojcem, stał się moim najbliższym i serdecznym przyjacielem. Wiąże nas nasze cierpienie i straty, ale też wielkie poczucie wzajemnego szacunku i, ma się rozumieć, głęboka, bezwarunkowa miłość. Nie wiem, czy ojciec zrozumiał kiedykolwiek, jak ważny był dla mnie, gdy byłem zagubiony na pustkowie. Nigdy nie zapomnę tego, co mi powiedział niedługo po moim powrocie z Andów.

2ÓQ

- Zaplanowałem dla ciebie wszystko, Nando - mówił. -Także dla mamy i Susy. O wszystko się zatroszczyłem. Pisałem historię waszego życia jak książkę. Ale tego nie planowałem. Nie napisałem tego rozdziału.

Jak rozumiem, były to przeprosiny. Mimo wszystkich jego wysiłków, by zapewnić nam szczęście i bezpieczeństwo, nie zdołał nas ochronić i gdzieś w jego sercu pozostało wrażenie, że w pewnym sensie nas zawiodł. Chciałem napisać tę książkę, by mu powiedzieć, że jest w błędzie. Nie zawiodł mnie. Uratował mi życie. Ocalił mnie, opowiadając mi różne historie, gdy byłem chłopcem, a historie te pomogły mi odnaleźć siłę w górach. Ocalił mnie, pracując tak ciężko, nigdy się nie poddając, i ucząc mnie na swoim przykładzie, że wszystko jest możliwe, jeśli człowiek jest gotów na cierpienie. A przede wszystkim, ocalił mnie swoją miłością. Nie był osobą skłoną do okazywania uczuć, ale jako chłopak nigdy nie wątpiłem, że mnie kocha. Była to miłość spokojna, ale silna, głęboka i trwała. Kiedy przebywałem w górach, pozostawiony na pastwę śmierci, ta miłość była jakby liną bezpieczeństwa, umocowaną w świecie żywych. Dopóki trzymałem się jej, nie byłem zgubiony, zachowywałem związek z domem i moją przyszłością, i ostatecznie to ta silna więź miłości wyprowadziła mnie z niebezpieczeństwa. Sądząc, że wszyscy zginęliśmy, ojciec wpadł w rozpacz i, pogrążony w cierpieniu, stracił nadzieję na nasze ocalenie. Ale to nie jego nadziei potrzebowałem. Ocalił mnie, będąc po prostu ojcem, którego kocham. Kiedy wróciliśmy z tamtych gór, nasi rodzice i nauczyciele, w obawie, że przeżyte okropności pozostawiły trwałe ślady, prosili nas o odwiedzenie terapeuty. Jako grupa odmówiliśmy. Wspieraliśmy się i rozumieliśmy się wzajemnie, i mnie to za-

270

wsze wystarczało. Często słyszę pytanie, czy doznałem jakiegoś trwałego urazu emocjonalnego. Czy mam koszmary nocne? Nawracające wspomnienia? Cierpię na stres pourazowy? Doświadczam poczucia winy osoby ocalonej? Ludzie pytający o to są zawsze zaskoczeni, a czasem, jak podejrzewam, pełni wątpliwości, gdy odpowiadam, że nie miewam takich objawów. Od czasu katastrofy prowadzę szczęśliwe życie. Nie doświadczam poczucia winy ani urazu. Patrę w przyszłość i zawsze spodziewam się, że będzie ona dobra. - Ale jak to możliwe? - pytają często. - Jak mogłeś pogodzić się z życiem po tym, co przecierpiałeś?

Odpowiadam, że jestem pogodzony nie pomimo przeżytych cierpień, ale dzięki nim. Andy tyle mi odebrały, tłumaczę, ale pozwoliły też zrozumieć prostą prawdę, która mnie wyzwoliła i rozświetliła mi życie - śmierć jest rzeczywista, i jest bardzo blisko. W górach nie było chwili, żebym nie czuł bliskości śmierci, ale w momencie, gdy stanąłem na szczycie i ujrzałem wszędzie jak okiem sięgnąć tylko wyniosłe wierzchołki, rozwiały się wszystkie moje wątpliwości, a pewność własnej śmierci odczułem instynktownie w trzewiach. Realność śmierci pozbawiła mnie tchu, ale zarazem życie zapłonęło we mnie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem i w obliczu całkowitego braku nadziei odczułem przyływ radości. Realność śmierci była tak wyrazista i sugestywna, że na moment wypaliła wszystko, co tymczasowe i fałszywe. Śmierć pokazała swoje oblicze, mroczne, drapieżne, niepokonane, i przez ułamek sekundy wydawało się, że pod kruchymi iluzjami życia jest tylko śmierć. Ale wtedy zobaczyłem, że istnieje w świecie coś, co śmiercią nie jest, coś równie imponującego, trwałego i głębokiego. Jest to miłość, miłość w moim sercu, i przez jeden niewiarygodny moment, kiedy poczułem, jak wzbiera we

27/

mnie ta miłość - miłość do ojca, do mojej przyszłości, do prostego cudu bycia żywym - śmierć utraciła swoją moc. Od tej chwili przestałem uciekać przed śmiercią. Zamiast tego każdy krok stał się dla mnie krokiem ku miłości i to mnie ocaliło. Nigdy nie przestałem dążyć do miłości. Życie obdarzyło mnie sukcesami materialnymi. Lubię szybkie samochody, dobre wino, smaczne jedzenie. Uwielbiam podróżować. Mam piękny dom w Montevideo i drugi nad morzem. Uważam, że trzeba się cieszyć życiem, ale doświadczenia nauczyły mnie, że bez miłości mojej rodziny i przyjaciół wszystkie dobra doczesne niewiele są warte. Wiem też, że

gdyby mi je wszystkie odebrano, pozostałbym szczęśliwym człowiekiem, jeśli byłbym nadal z osobami, które kocham.

Podejrzewam, że większość ludzi chciałaby tak o sobie myśleć, ale wiem, że gdybym nie przecierpiał tego wszystkiego i nie musiał stanąć oko w oko ze śmiercią, nie ceniłbym tak wysoko prostych, lecz jakże mi drogich przyjemności mego życia. Każdy dzień składa się z tylu doskonałych chwil, z których nie chcę stracić ani jednej - uśmiechów córek, uścisku żony, entuzjastycznego powitania mego nowego szczeniaka, towarzystwa starego przyjaciela, dotyku nagrzanego piasku plaży pod stopami i ciepła urugwajskiego słońca na twarzy. W takich chwilach czas staje dla mnie w miejscu. Delektuję się nimi i pozwalam każdej stać się wiecznością w miniaturze, a przeżywając w sposób tak pełny te krótkie momenty mego życia, rzucam wyzwanie cieniowi śmierci, który wisi nad każdym z nas, potwierdzam swoją miłość i wdzięczność za wszystkie dary, jakie otrzymałem, i pozwalam coraz bardziej wypełniać się miłości.

Od czasu tamtej katastrofy często myślę o moim przyjacielu Arturze Nogueirze i rozmowach, które toczyliśmy w tam-

272

mnie ta miłość - miłość do ojca, do mojej przyszłości, do prostego cudu bycia żywym - śmierć utraciła swoją moc. Od tej chwili przestałem uciekać przed śmiercią. Zamiast tego każdy krok stał się dla mnie krokiem ku miłości i to mnie ocaliło. Nigdy nie przestałem dążyć do miłości. Życie obdarzyło mnie sukcesami materialnymi. Lubię szybkie samochody, dobre wino, smaczne jedzenie. Uwielbiam podróżować. Mam piękny dom w Montevideo i drugi nad morzem. Uważam, że trzeba się cieszyć życiem, ale doświadczenia nauczyły mnie, że bez miłości mojej rodziny i przyjaciół wszystkie dobra doczesne niewiele są warte. Wiem też, że gdyby mi je wszystkie odebrano, pozostałbym szczęśliwym człowiekiem, jeśli byłbym nadal z osobami, które kocham.

Podejrzewam, że większość ludzi chciałaby tak o sobie myśleć, ale wiem, że gdybym nie przecierpiał tego wszystkiego i nie musiał stanąć oko w oko ze śmiercią, nie ceniłbym tak wysoko prostych, lecz jakże mi drogich przyjemności mego życia. Każdy dzień składa się z tylu doskonałych chwil, z których nie chcę stracić ani jednej - uśmiechów córek, uścisku żony, entuzjastycznego powitania mego nowego szczeniaka, towarzystwa starego przyjaciela, dotyku nagrzanego piasku plaży pod stopami i ciepła urugwajskiego słońca na twarzy. W takich chwilach czas staje dla mnie w miejscu. Delektuję się nimi i pozwalam każdej stać się wiecznością w miniaturze, a przeżywając w sposób tak pełny te krótkie momenty mego życia, rzucam wyzwanie cieniowi śmierci, który wisi nad każdym z nas, potwierdzam swoją miłość i wdzięczność za wszystkie dary, jakie otrzymałem, i pozwalam coraz bardziej wypełniać się miłości.

Od czasu tamtej katastrofy często myślę o moim przyjacielu Arturze Nogueirze i rozmowach, które toczyliśmy w tam-

272

tych górach o Bogu. Wielu z moich ocalałych towarzyszy niedoli twierdzi, że wyczuwało tam Jego obecność. Wierzą oni, że miłosiernie pozwolił ON nam przeżyć w odpowiedzi na nasze modlitwy, i są pewni, że to Jego ręka doprowadziła nas do domu. Mam głęboki szacunek dla wiary moich przyjaciół, ale mówiąc szczerze, choć bardzo się modliłem o cud w Andach, nigdy nie odczułem tam osobiście obecności Boga. W każdym razie nie odczuwałem Boga, jak go postrzega większość ludzi. Czułem coś większego ode mnie, coś w górach, lodowcach i promiennym niebie, co w pewnych rzadkich chwilach dodawało mi otuchy i kazało czuć, że świat jest uporządkowany, dobry i pełen miłości. Jeżeli był to Bóg, to nie był to Bóg jako

osoba, duch czy jakiś wszechmocny, nadludzki umysł. Nie był to Bóg, który decydowałby, czy nas ocalić, czy opuścić, czy w jakikolwiek sposób zmienić. Była to po prostu cisza, pełnia, budząca podziw prostota. Zdawała się dosięgać mnie poprzez moje uczucia miłości i często myślałem, że kiedy czujemy to, co nazywamy miłością, w rzeczywistości odczuwamy naszą więź z tą wspaniałą obecnością. Nadal odczuwam tę obecność, kiedy mój umysł się uspokaja i jestem w pełni przytomny. Nie zamierzam udawać, że rozumiem, co to jest, ani czego ode mnie chce. Nie jest tak, bym chciał zrozumieć te sprawy. Nie interesuje mnie Bóg, którego można by zrozumieć, który przemawia do nas na kartach takiej czy innej świętej księgi i manipuluje naszym życiem według jakiegoś boskiego planu, jakbyśmy byli postaciami sztuki. Jaki sens miałby dla mnie Bóg, który przedkłada jedną religię nad pozostałe, wysłuchuje jednej modlitwy, a ignoruje drugą, który odsyła do domu szesnastu młodych ludzi, a dwudziestu dziewięciu innych pozostawia martwych na górze? Był taki czas, że chciałem poznać takiego Boga, ale teraz zdaję sobie sprawę, że w rzeczywistości pragnąłem pocieszenia,

273

pewności, wiedzy, że mój Bóg jest prawdziwym Bogiem, i że wynagrodzi mnie za moją wierność. Teraz rozumiem, że nie można mieć pewności co do niczego - także Boga. Utraciłem pragnienie, by wiedzieć. Podczas niezapomnianych rozmów, jakie toczyłem z umierającym Arturem, powiedział mi, że najlepszym sposobem znalezienia wiary jest mieć odwagę wątpić. Codziennie wspominam te słowa i wątpię, i mam nadzieję, i w ten nieudolny sposób próbuję znaleźć po omacku moją drogę do prawdy. Nadal modłę się słowami wyuczonymi w dzieciństwie - Zdrowaś Mario, Ojczy Nasz - ale nie wyobrażam sobie, że jakiś mądry Ojciec Niebieski słucha cierpliwie po drugiej stronie. Zamiast tego wyobrażam sobie miłość, ocean miłości, samo źródło miłości, i widzę oczami duszy, jak się z nim stapiam. Otwieram się na nie, staram się skierować tę falę miłości ku swoim bliskim, w nadziei, że ochronię ich i zwiążę ze sobą na zawsze, i połączę nas wszystkich z tym, co w świecie wieczne. Jest to dla mnie sprawa bardzo osobista i nie próbuję analizować, co to wszystko znaczy. Lubię po prostu odczucia, jakie to we mnie budzi. Modląc się w ten sposób, czuję się związany z czymś dobrym, pełnym i potężnym. W górach to miłość zapewniała mi łączność ze światem żywych. Nie ocaliłyby mnie odwaga ani inteligencja. Brakło mi wiedzy i doświadczeń, z których mógłbym korzystać, dlatego opierałem się na ufności, jaką pokładałem w miłości do ojca i własnej przyszłości, i ta ufność doprowadziła mnie do domu. Później pozwoliła mi lepiej zrozumieć, kim jestem i co znaczy być człowiekiem. Dziś jestem przekonany, że jeśli istnieje coś boskiego we wszechświecie, to mogę to odnaleźć tylko poprzez miłość, jaką darzę moją rodzinę, przyjaciół i prosty cud bycia żywym. Nie potrzebuję żadnej innej mądrości czy filozofii - moim obowiązkiem jest jak najintensywniejsze przeżywanie mojego czasu na ziemi, stawanie się z każdym dniem

274

coraz bardziej ludzkim, i rozumienie, że stajemy się ludźmi tylko wtedy, gdy kochamy. Próbuję kochać moich przyjaciół lojalnie i wielkodusznie. Z całej siły kocham swoje dzieci. I pokochałem jedną kobietę miłością, która nadała memu życiu znaczenie i wypełniła je radością. Doświadczyłem wielkich strat i doznałem wielkiego pocieszenia, ale bez względu na to, co życie może mi jeszcze ofiarować lub odebrać, ta prosta mądrość będzie zawsze rozświetlać moją egzystencję: kochałem, namiętnie i nieustraszenie, całym sercem i całą duszą, i odwzajemniano mi się miłością. Dla mnie to wystarczy.

Dwa lata po „cudzie w Andach” wróciliśmy z ojcem na miejsce katastrofy w Wysokich Andach koło góry Sosneado. Odkryto tam drogę, dostępną tylko latem, od argentyńskich przedgórz do lodowca, gdzie leżał wrak fairchilda. Jest to wyczerpująca trzydniowa wyprawa, obejmująca osiem godzin jazdy samochodem terenowym przez surowe tereny

andyjskich przedgórzy oraz dwa i pół dnia na grzbiecie wierzchołków. Przebyliśmy w bród wartki strumień, po czym wyruszyliśmy specjalnie przyuczonymi andyjskimi końmi po stromych i wąskich perciach, wijących się przez góry nad skalistymi urwiskami, na których widok włos jeży się na głowie. W południe dotarliśmy do podnóża lodowca, po czym pokonaliśmy pieszo ostatni odcinek prowadzący do grobu. Sam grobowiec, wzniesiony, tuż po uratowaniu nas, przez lotników z Urugwaju i Chile, znajduje się na skalistym występie wystającym spod śniegu. Pod skałami spoczywają Susy i moja matka oraz szczątki pozostałych zmarłych tu osób, bezpiecznie poza zasięgiem sunącej sto kilkadziesiąt metrów dalej rzeki lodu. Jest to prosta kapliczka, zwykły stos kamieni i wznoszący się nad nimi wielki stalowy krzyż. Ojciec przywiózł kwiaty i pojemnik

275

ze stali nierdzewnej zawierający pluszowego misia, z którym Susy sypiała przez całe życie. Złożył te dary na grobie i stanęliśmy tam wśród ciszy gór. Tak dobrze pamiętałem tę ciszę - jednostajny i zupełny brak wszelkich dźwięków. W spokojne dni słyszy się tylko własny oddech, własne myśli. Twarz ojca była blada, a łzy spływały mu po policzkach, kiedy przeżywaliśmy wspólnie to ponowne spotkanie, ale ja nie czułem bólu ani żalu. Odczuwałem w tym miejscu spokój. Nie było tu już strachu, cierpienia ani walki. Zmarli spoczywali w pokoju. Powrócił czysty, doskonały spokój tych gór.

Był to słoneczny i pogodny wiosenny dzień. Ojciec zwrócił się do mnie ze smutnym uśmiechem. Spojrzał na lodowiec, na czarne szczyty wznoszące się nad nami, na bezkresne i dzikie andyjskie niebo. Wiem, że próbował wyobrazić sobie to miejsce w zimie. Spojrzał na pozostałości kadłuba fairchilda. Czy szukał skulonych wewnątrz młodych chłopców? Przerażonych twarzy w mroku i chłodzie, nasłuchujących wycia wiatru i dudnienia odległych lawin, zdanych tylko na siebie wzajemnie? Czy wyobrażał sobie mnie w tym trudnym miejscu, tak przestraszonego, tak niemożliwie oddalonego od domu, tak rozpaczliwie stęsknionego jego obecności? Tego nie powiedział. Uśmiechnął się tylko czule, ujął mnie za ramię i szepnął:

- Nando, teraz rozumiem...

Zostaliśmy przy grobie przez jakąś godzinę, potem zeszliśmy do koni. Nigdy nie przyszło nam na myśl, żeby zabrać ciała naszych bliskich na cmentarz w cywilizowanym świecie. Kiedy schodziliśmy z góry, wspaniałość Andów huczała wszędzie wokół nas - tak cicha, tak potężna, tak doskonała - i żaden z nas nie mógłby sobie wyobrazić bardziej majestatycznej kaplicy.

Epilog

Id trzydziestu kilku lat 22 grudnia każdego roku nasza grupa ocalonych spotyka się wraz z rodzinami dla upamiętnienia dnia, kiedy uratowano nas w górach. Obchodzimy go jako nasze wspólne urodziny, bo właśnie wtedy wszyscy narodziliśmy się ponownie. Ale dano nam wówczas coś więcej niż życie, każdy z nas zszedł z tamtej góry z nowym sposobem myślenia, lepszym pojmowaniem mocy ludzkiego ducha i głębokim zrozumieniem, jakim cudem jest - dla nas, dla każdego - być żywym. Zdolność bycia naprawdę żywym, smakowania każdej chwili życia w sposób przytomny i z wdzięcznością to dar, który ofiarowały nam Andy. Postronny obserwator nie zauważyłby może szczególnej serdeczności, z jaką moi przyjaciele obejmują swoje żony, albo czułości, z jaką traktują swoje dzieci, ja to widzę, bo wiem, jak oni, jakim jest to cudem. Po tym, jak nas uratowano w górach, gazety nazwały nasze ocalenie „cudem w Andach”. Dla mnie prawdziwym cudem jest to, że żyjąc tak długo w cieniu śmierci, nauczyliśmy się w sposób jak najbardziej wyrazisty i przeobrażający, co właściwie

znaczy być żywym. Wiedza ta związała mnie i moich towarzyszy i choć jak zawsze między przyjaciółmi pojawiają się konflikty i nieporozumienia, a życie sprawiło, że wielu z nas znalazło

277

się daleko od rodzinnego Montevideo, nigdy nie dopuścimy, by więzy te uległy zerwaniu. Nawet dzisiaj, ponad trzy dekady po katastrofie, wszyscy ci mężczyźni są dla mnie braćmi. Nikt jednak nie był lepszym bratem niż Roberto Canessa, mój towarzysz podczas długiego marszu przez Andy. Po kilku dniach wędrówki, gdy traciliśmy po trochu siły w tym ponurym terenie, a nadzieja słabła z każdym krokiem, Roberto wskazał charakterystyczny pasek, który miał na sobie. Poznałem, że należał do Panchita.

- Noszę pasek, który zdjąłem z ciała twego najlepszego przyjaciela - powiedział - ale teraz to ja jestem twoim najlepszym przyjacielem.

W tym momencie żaden z nas nie wierzył, że mamy przed sobą jakąś przyszłość, ale stało się inaczej i po ponad trzydziestu latach mogę z dumą oświadczyć, że Roberto i ja nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a on stał się z biegiem czasu jeszcze bardziej zaradny, bardziej pewny siebie i, owszem, bardziej realistyczny. Cechy te, które czyniły zeń tak ważną i trudną postać tam w górach, pomogły mu stać się jednym z najbardziej szanowanych kardiologów dziecięcych w Urugwaju i przyniosły reputację człowieka o dużej wiedzy i umiejętnościach, cechującego się też zażartą determinacją, by pomóc swoim młodym pacjentom. Większość dzieci leczonych przez Roberta jest poważnie chora i dla nikogo, kto go zna, nie jest zaskoczeniem, że zrobi on wszystko, by im pomóc. Raz na przykład jego dobry przyjaciel, szef kardiologii pewnego szpitala w Nowym Jorku, powiedział mu, że jego placówka ma niepotrzebne już urządzenie do badań metodą Dopplera. Zaproponował mu je pod warunkiem, że sam załatwi transport do Urugwaju. Mój przyjaciel wiedział, że byłoby to bardzo pomocne w leczeniu jego pacjentów, ale zdawał też sobie sprawę, że szpitala w Montevideo nie stać na tak kosztowne

278

się daleko od rodzinnego Montevideo, nigdy nie dopuścimy, by więzy te uległy zerwaniu. Nawet dzisiaj, ponad trzy dekady po katastrofie, wszyscy ci mężczyźni są dla mnie braćmi. Nikt jednak nie był lepszym bratem niż Roberto Canessa, mój towarzysz podczas długiego marszu przez Andy. Po kilku dniach wędrówki, gdy traciliśmy po trochu siły w tym ponurym terenie, a nadzieja słabła z każdym krokiem, Roberto wskazał charakterystyczny pasek, który miał na sobie. Poznałem, że należał do Panchita.

- Noszę pasek, który zdjąłem z ciała twego najlepszego przyjaciela - powiedział - ale teraz to ja jestem twoim najlepszym przyjacielem.

W tym momencie żaden z nas nie wierzył, że mamy przed sobą jakąś przyszłość, ale stało się inaczej i po ponad trzydziestu latach mogę z dumą oświadczyć, że Roberto i ja nadal jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, a on stał się z biegiem czasu jeszcze bardziej zaradny, bardziej pewny siebie i, owszem, bardziej realistyczny. Cechy te, które czyniły zeń tak ważną i trudną postać tam w górach, pomogły mu stać się jednym z najbardziej szanowanych kardiologów dziecięcych w Urugwaju i przyniosły reputację człowieka o dużej wiedzy i umiejętnościach, cechującego się też zażartą determinacją, by pomóc swoim młodym pacjentom. Większość dzieci leczonych przez Roberta jest poważnie chora i dla nikogo, kto go zna, nie jest zaskoczeniem, że zrobi on wszystko, by im pomóc. Raz na przykład jego dobry przyjaciel, szef kardiologii pewnego szpitala w Nowym Jorku, powiedział mu, że jego placówka ma niepotrzebne już urządzenie do badań metodą Dopplera. Zaproponował mu je pod warunkiem, że sam załatwi transport do Urugwaju. Mój przyjaciel wiedział, że byłoby to bardzo pomocne w leczeniu jego pacjentów, ale zdawał też sobie sprawę, że szpitala w Montevideo nie stać na tak kosztowne

278

wyposażenie. Potrzebował ledwie paru chwil na podjęcie decyzji i po niespełna dwudziestu czterech godzinach znalazł się w Nowym Jorku, by przejąć urządzenie. Nie mając jasnego planu, jak je przetransportować, i nikogo do pomocy, załadował tę okazałą maszynę - rozmiarów małej lodówki - na ręczny wózek pożyczony z działu obsługi technicznej szpitala i wtoczył go do windy. Chwilę potem znalazł się na ruchliwym chodniku, usiłując zatrzymać którąś z przejeżdżających ciężarówek. Stał tam i machał przez bardzo długi czas, mijany przez sznur pojazdów. Nikt go nie zauważał, aż w końcu zwrócił na siebie uwagę kierowcy pikapa, który zgodził się, za pewną opłatą, zabrać jego i aparat na Lotnisko J.F. Kennedy'ego.

Roberto stanął wobec dalszych wyzwań po przybyciu do Montevideo, gdzie grymaśni urzędnicy celni nie zgodzili się wpuścić jego urządzenia. Roberto, ma się rozumieć, nie znosił sprzeciwu. Wezwał taksówkę i pojechał bezpośrednio do biura prezydenta Urugwaju, gdzie zażądał spotkania z nim. Rzecz niewiarygodna, uczyniono zadość jego życzeniu, a gdy przedstawił sprawę prezydentowi, polecono celnikom na lotnisku ominąć biurokratyczne przepisy i zezwolić na wjazd urządzenia. Roberto załatwił transport do szpitala, gdzie aparat natychmiast zaczęto używać. Od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał o tej maszynie, minęło niespełna czterdzieści osiem godzin, a ona była już na miejscu i działała, ratując życie urugwajskim dzieciom.

Roberto miał bogate i spokojne życie prywatne. Trzy lata po naszym powrocie z Andów poślubił Laurę Surraco, dziewczynę, której tak mu brakowało w górach, i miał w tym szczęście, bo to chyba jedyna kobieta w Urugwaju, która potrafi wytrzymać jego upór i okiełznać jego niespożytą energię. Mają dwóch synów i córkę. Jestem ojcem chrzestnym jego syna

279

Hilaria, obecnie wyróżniającego się gracza Starych Chrześcijan. Roberto, zawsze udzielający się w sprawach tego zespołu, pełni dziś funkcję prezesa Klubu Starych Chrześcijan, z czego jest bardzo rad, bo kocha tę drużynę i jest przekonany, że nikt nie poprowadziłby jej lepiej. Oczywiście, ma takie wrażenie w każdej sprawie i uważa, że powinien mieć coś do powiedzenia we wszystkich istotnych kwestiach, także najbardziej doniosłych sprawach wagi państwowej. I rzeczywiście, w 1999 roku był tak niezadowolony z przywództwa naszego kraju, że założył własną partię polityczną i wystartował w wyborach prezydenckich. Jego kampania oddolna przyciągnęła tylko niewielki odsetek elektoratu, ale jak zawsze musiał dojść do głosu. Pokpiwam sobie bezlitośnie z jego egoty-zmu, ale nie chciałbym, żeby się zmieniał.

Gustavo Zerbino to kolejny szczególnie bliski przyjaciel, z którym bardzo się zżyłem przez te lata. Jest to człowiek silnych zasad, szczerzy w swoich wypowiedziach, a kiedy już się odezwie, mówi rzeczy znaczące. Trudno mi sobie wyobrazić bardziej niezawodnego przyjaciela. W Andach był zawsze dzielny, bystry i opanowany, a gdyby się nie wypalił podczas tamtej próby zdobycia góry, która o włos nie zakończyła się tragicznie, z pewnością byłby jednym z najbardziej godnych zaufania uczestników naszej wyprawy. Ale nawet przed katastrofą był lojalnym i opiekuńczym sojusznikiem, który nigdy by nie opuścił w potrzebie przyjaciela czy członka zespołu. Nigdy nie zapomnę, jak przyszedł mi z pomocą podczas bardzo ciężkiego meczu rugby, kiedy gracz drużyny przeciwnej zaatakował mnie znieacka niedozwolonym uderzeniem pięścią w tył głowy. Oszło mi to. Zaskoczony, nie widziałem, kto uderzał. Ale zauważył to Gustavo.

- To był numer 12 - powiedział do mnie. - Nie przejmuj się - dodał szeptem. - Zajmę się nim.

280

Chwilę potem uformował się maul, kiedy gracze obu drużyn zwarli się, walcząc o piłkę. Nagle zobaczyłem, jak z płataniny ciało odrywa się, słaniając się na nogach, „numer 12”, po

czym pada na plecy niczym zwalone drzewo. Gustavo podszedł do mnie, przestępując przez jego leżące ciało. Skinął mi zdawkowo głową. Powiedział tylko:

- Załatwione.

Gustavo był idealistycznym i pełnym współczucia młodym człowiekiem, często pracował z jezuitami w slumsach Montevideo. Dzisiaj wykazuje tę samą troskę o dobro innych, co czyni go silnym i wspaniałomyślnym przyjacielem. Prowadzi wielką firmę chemiczną, udziela się w wielu organizacjach lokalnych, pełni funkcję przewodniczącego Urugwajskiego Towarzystwa Chemicznego, a także wiceprezesa Klubu Rugby Starych Chrześcijan. Jest rozwiedziony, ma czterech wspaniałych synów z pierwszego małżeństwa, a ponieważ mieszka ledwie kilka przecznic dalej, często widuję jego i jego rodzinę.

Carlitos Paez, kolejny z moich ulubionych przyjaciół, pozostaje równie prześmiewczy, równie serdeczny i w każdym calu równie uroczy, jak zawsze wtedy w górach. Uwielbiam go za jego kreatywność i niesamowite poczucie humoru, a także ciepło, jakie zawsze okazywał moim córkom, z którymi jest szczególnie zżyty, bo jego zniewalająca osobowość pociągała je jeszcze jako niemowlęta. Carlitos aż nazbyt wiele w życiu przeżył. Jego małżeństwo rozpadło się już po dwóch latach, od tego czasu żyje samotnie. Jakies piętnaście lat temu tak bardzo się uzależnił od alkoholu i narkotyków, że wszyscy zrozumieliśmy, iż coś trzeba z tym zrobić. Pewnego popołudnia zjawiliśmy się z Gustavem w domu Carlitosa, oznajmiając, że zabieramy go do szpitala, gdzie pozostanie, póki całkowicie nie wyzdrowieje. Był wstrząśnięty taką konfrontacją i początkowo nie chciał się zgodzić, ale powiedzieliśmy, że nie ma już

28

nic do gadania. Wszystko zostało załatwione, oświadczyliśmy, a nasz wyraz twarzy dowodził, że opór na nic się nie zda. Na szczęście Carlitos całkowicie wyszedł z nałogu. Nie pije od tego czasu, a teraz jako wolontariusz doradza osobom, które zmagają się z narkomanią i alkoholizmem. Carlitos pracuje na stanowisku kierowniczym w firmie PR w Montevideo. Jest tak zapamiętałym golfistą, że niedawno kupił dom przyległy do alei klubu golfowego. Jednak jego największą pasją jest wnuczka Justine, dziecko córki Gochi. Jego świat obraca się wokół niej i miło patrzeć, jaką mu ona sprawia radość. Carlitos napisał kiedyś do mnie: „Nadal kroczymy naszymi drogami w przekonaniu, że życie warte jest przeżycia, że nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli istnieją współczucie i solidarność, jeśli mamy kogoś chcącego wyciągnąć rękę [do ludzi, którzy] tego potrzebują”. Carlitos przeszedł w swoim życiu niejedno, ale nauczył się odnajdywać szczęście i zawsze z radością przebywam w jego towarzystwie. Alvaro Mangino należał do najmłodszych chłopaków, którzy ocalili z katastrofy i może właśnie dlatego zawsze szczególnie się o niego troszczyłem podczas naszego pobytu w górach. Wyrósł na mężczyznę o wielkich zasobach zdrowego rozsądku i wewnętrznym spokojem. Potrafi przeżywać swoje życie, pozostawiwszy za sobą nasze okrutne doświadczenia, choć dużo go one nauczyły. Przez wiele lat żył z żoną Mar-garitą, wychowali czworo dzieci. Długo czas mieszkał w Brazylii, ale niedawno wrócił do Montevideo, gdzie pracuje w firmie produkującej urządzenia grzewcze i klimatyzacyjne i działa w zarządzie Starych Chrześcijan. Jest lojalnym i godnym zaufania przyjacielem i rad jestem, że znowu mam go blisko siebie.

Alvaro jest szczególnie zżyty z jeszcze jednym moim bliskim przyjacielem, Coche Inciarte - chyba najbardziej spokoj-

282

nym, delikatnym i zycziwym spośród ocalałych z katastrofy. Coche jest z natury łagodny i pokojowo usposobiony. Szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałem, by podniósł głos. Cechują go wielka wrodzona elokwencja i ostre poczucie humoru, ale choć często żartuje i pokpiwa sobie, wykazuje wiele emocjonalnego zrozumienia dla tego, co wycierpieliśmy, i nigdy nie ukrywa uczuć, jakie ma wobec pozostałych. Coche poślubił Soledad, ukochaną z dzieciństwa,

która już sądziła, że utraciła go w górach. Ich ponowne spotkanie wydawało się cudem im obojgu, a Coche nigdy nie zapomina, jak niezwykle jest to, że ma swoją ukochaną i trójkę wspólnych dzieci.

Coche, właściciel farmy mlecznej, był przez wiele lat jednym z największych producentów wyrobów mleczarskich w Urugwaju. Niedawno sprzedał farmę, by poświęcić się życiu rodzinnemu i swojej wielkiej pasji - malarstwu. Okazał się bowiem całkiem utalentowanym artystą. Jeden z jego obrazów wisi teraz w moim gabinecie i ilekroć go widzę, myślę o jego autorze, bo jego sztuka cechuje się tą samą głębią, delikatnością i godnością, które czynią zeń tak wspaniałego przyjaciela.

Eduardo Strauch, jako należący do przywódczego triumwi-ratu zwanego „kuzynami”, był wtedy w górach ważną postacią. Jego trzeźwy i rozważny umysł przydawał stabilności i poczucia celu naszej codziennej walce o przetrwanie. Dziś jest prawie taki sam, jak wtedy w Andach: chłodny i opanowany, małowówny, ale zawsze wart wysłuchania. Eduardo i jego żona Laura mają pięcioro dzieci. Jest znakomitym architektem w Montevideo, zbudował tam wiele wspaniałych willi i gmachów, w tym mój pierwszy dom.

Daniel Fernandez, kuzyn Eduarda, nadal cechuje się humorem i charyzmą, dzięki którym rozładowywał intensywne napięcia i uśmierzał lęki, z jakimi musieliśmy się mierzyć we

283
wraku samolotu. Jest wspaniałym gawędziarzem i naprawdę potrafi przemówić do wyobraźni słuchaczy. Iskry lecą, kiedy on, członek partii politycznej Blanco, oraz Roberto, nieustępliwy zwolennik Colorado, dyskutują na temat polityki Urugwaju. Obaj są uparci i uwielbiają prowokować się wzajemnie. Ich wymiana argumentów nieodmiennie prowadzi do impasu, ale bez względu na to, jak gorące bywają te dyskusje, są zawsze zaprawione humorem, a pozostali z niezmierną przyjemnością obserwują ten show. Daniel prowadzi dobrze prosperującą firmę komputerową w Montevideo. On i jego żona Amalia mają trójkę wspaniałych dzieci.

Zawsze podziwiałem Pedra Algortę, wielkiego przyjaciela Artura Nogueiry, za jego inteligencję, cięty język i niezależność myślenia. Nie widuję się z nim tak często, jak bym chciał, bo mieszka w Argentynie, gdzie jest dyrektorem wielkiej firmy produkującej piwo i inne napoje. Niedawno jednak kupił ran-cho w Urugwaju, więc mam nadzieję, że pozwoli nam to częściej się spotykać. On i jego żona Noel mają dwie córki i syna, wszyscy studiują lub pracują za granicą.

W Andach żaden z nas nie był tak chłodny i opanowany jak Bobby Francois. Był przestraszony jak my wszyscy, jestem tego pewien, ale wydawał się zdeterminowany stawić czoło swojemu przeznaczeniu bez zbędnego dramatyzowania. „Jak umrzemy, to umrzemy - zdawał się mówić. - Po co tracić niepotrzebnie energię?”. Podobną postawę okazywał w życiu i wyszło mu to na dobre. Bobby jest ranczerem, odpowiada mu taka niespieszna egzystencja o prostym, z góry ustalonym rytmie. Całe dni spędza w siodle, objeżdżając samotnie swoje ziemie i doglądając stad pod bezkresnym niebem urugwajskich równin. Ma żonę Gracianę i pięcioro dzieci. Połowę czasu spędzają na ranczu, połowę w Carrasco, gdyż Bobby jest w szczególności w bliskich stosunkach z Coche i Royem Harleym.

284

Javier Methol, jedyny poza mną z ocalałych, który stracił w górach kogoś z rodziny, z trudem doszedł do siebie po śmierci Liliany, czerpiąc siłę z mocnej wiary katolickiej i miłości czwórki ich dzieci. Po latach żałoby Javier spotkał Anę Marię, która została jego drugą żoną. Ma z nią teraz kolejną czwórkę dzieci! Przez wiele lat był dyrektorem wielkiej firmy tytoniowej - założonej przez rodzinę Panchita - ale przeszedł już na emeryturę.

Spośród wszystkich ocalałych właśnie Javier jest najmocniej przekonany, że to ręka boska wyprowadziła nas wtedy z gór. Napisał kiedyś do mnie: „Bóg dał nam znowu życie tam w górach i uczynił nas braćmi. Kiedy uznaliśmy, że zginęliśmy, przywrócił was do życia, tak że

potem obaj z Robertem staliście się Jego posłańcami, poszukującymi wybawienia dla nas wszystkich. Jestem absolutnie pewien, że były chwile, kiedy niósł was obu na rękach...". Javier i ja inaczej pojmujemy Boga i rolę, jaką odegrał On w naszym ocaleniu. Mimo to szanuję pokorę i szczerłość jego wiary i sposób, w jaki odbudował swoje życie po tak druzgocącej stracie. Spokojny i zrównoważony, jest jednym z tych, którzy wywierają na naszą grupę wpływ stabilizujący, a przebywając w jego towarzystwie, odczuwam zawsze pewien spokój.

Antonio Vizintin, który dzielnie piął się na górę ze mną i Robertem, zmierzył się w życiu z wieloma wyzwaniem i trudnościami. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się rozwodem, a druga żona zmarła tragicznie. Ożenił się po raz trzeci i wszyscy modlimy się o szczęśliwszą przyszłość dla niego. Tintin, jak go nadal nazywamy, ma dwoje dzieci z drugiego małżeństwa, córkę i syna. Jest dobrym ojcem i odnosi sukcesy w pracy zawodowej jako importer chemikaliów i innych produktów dla przemysłu tworzyw sztucznych. Nadal mieszka w Carrasco, ale jest trochę samotnikiem, więc

285

w ostatnich latach widzimy go rzadziej, niż byśmy chcieli. Mimo to zawsze pozostanie jednym z nas i pragnęlibyśmy częściej go spotykać, choć pozwala swemu synowi, świetnemu zawodnikowi rugby, grać w Klubie Rugby Absolwentów, który od lat jest wielkim rywalem Starych Chrześcijan.

Roy Harley to jeden z ocalałych, o którym myślę bardzo często. Przez ponad trzydzieści lat martwiło mnie to, w jaki sposób przedstawiono go w dotychczasowych relacjach z katastrofy, zwłaszcza we wspaniałej książce Piersa Paula Reada *Alive* („Żywi”). Zastanawia mnie to, w jaki sposób traktowałem go czasem w górach. Roy co prawda okazał w Andach słabość emocjonalną, ale był też jednym z najmłodszych w grupie i bardziej się wtedy zbliżył do śmierci niż ktokolwiek z pozostałych ocalałych. To, że bardziej okazywał swoje emocje, nie znaczy, że był słabszy czy bardziej wystraszony niż reszta. Nikt nie mógł być bardziej przestraszony ode mnie, a pisząc tę książkę, zdałem sobie sprawę, że to właśnie mój lęk podsycał gniew i frustrację, jakie budził we mnie Roy. Książka *Alive* opiera się w znacznej mierze na obszernych wywiadach przeprowadzonych ze wszystkimi uratowanymi. Żałuję, że w tych dyskusjach wszyscy nakreśliliśmy może zbyt uproszczony obraz osobistych zmagania Roya. Byliśmy jednak wówczas młodymi ludźmi i wszystko wydawało się znacznie prostsze. W Cudzie w Andach starałem się wyjaśnić te nieporozumienia: w moich oczach Roy Harley nie był tchórzem ani słabeuszem. Był i zawsze będzie jednym z nas, ocalałym, godnym zaufania przyjacielem i ważną częścią naszego kręgu. Z biegiem lat wiele razy dowiódł, że jest człowiekiem prawym i silnym, i wiem, że zawsze mogę na niego liczyć. Dziś Roy jest znakomitym inżynierem, pracuje w wielkiej wytwórni farb. Mieszka w Montevideo z żoną Cecilią - siostrą Laury, żony Roberta - dwiema ślicznymi córkami i synem, który gra te-

286

w ostatnich latach widzimy go rzadziej, niż byśmy chcieli. Mimo to zawsze pozostanie jednym z nas i pragnęlibyśmy częściej go spotykać, choć pozwala swemu synowi, świetnemu zawodnikowi rugby, grać w Klubie Rugby Absolwentów, który od lat jest wielkim rywalem Starych Chrześcijan.

Roy Harley to jeden z ocalałych, o którym myślę bardzo często. Przez ponad trzydzieści lat martwiło mnie to, w jaki sposób przedstawiono go w dotychczasowych relacjach z katastrofy, zwłaszcza we wspaniałej książce Piersa Paula Reada *Alive* („Żywi”). Zastanawia mnie to, w jaki sposób traktowałem go czasem w górach. Roy co prawda okazał w Andach słabość emocjonalną, ale był też jednym z najmłodszych w grupie i bardziej się wtedy zbliżył do śmierci niż ktokolwiek z pozostałych ocalałych. To, że bardziej okazywał swoje emocje, nie znaczy, że był słabszy czy bardziej wystraszony niż reszta. Nikt nie mógł być bardziej

przestraszony ode mnie, a pisząc tę książkę, zdałem sobie sprawę, że to właśnie mój lęk podsycił gniew i frustrację, jakie budził we mnie Roy. Książka *Alive* opiera się w znacznej mierze na obszernych wywiadach przeprowadzonych ze wszystkimi uratowanymi. Żałuję, że w tych dyskusjach wszyscy nakreśliliśmy może zbyt uproszczony obraz osobistych zmagañ Roya. Byliśmy jednak wówczas młodymi ludźmi i wszystko wydawało się znacznie prostsze. W *Cudzie w Andach* starałem się wyjaśnić te nieporozumienia: w moich oczach Roy Harley nie był tchórzem ani słabeuszem. Był i zawsze będzie jednym z nas, ocalałym, godnym zaufania przyjacielem i ważną częścią naszego kręgu. Z biegiem lat wiele razy dowiódł, że jest człowiekiem prawym i silnym, i wiem, że zawsze mogę na niego liczyć. Dziś Roy jest znakomitym inżynierem, pracuje w wielkiej wytwórni farb. Mieszka w Montevideo z żoną Cecilią - siostrą Laury, żony Roberta - dwiema ślicznymi córkami i synem, który gra te-

286

raz w drużynie Starych Chrześcijan. Roy, wielki orędownik sprawności fizycznej, prawie się nie postarzał i wszyscy zazdrościmy mu płaskiego brzucha i silnych mięśni, bo większości nas mięśnie zwiotczały, a brzuszki się zaokrągliły.

Alfredo „Pancho” Delgado to następny z uratowanych, którego dobre imię wymaga oczyszczenia. W książce *Alive* Pancho został przedstawiony jako postać nieuczciwa i manipulująca ludźmi, knująca za naszymi plecami, jak by tu sobie zmniejszyć niewygodę, często kosztem innych. Nie ma wątpliwości, że Pancho postępował w ten sposób, ale w gruncie rzeczy robiliśmy to wszyscy. Każdy z nas zachowywał się czasem samolubnie, próbując zwęździć coś ponad przydzieloną rację jedzenia czy papierosów, wykręcić się od pracy czy zapewnić sobie najcieplejsze ubrania albo najwygodniej sze miejsce do spania. Nikt nie był święty. Przeżyliśmy nie dlatego, że byliśmy doskonali, ale dzięki temu, że troska o siebie wzajemnie przeważała w nas nad naturalną przecież dbałością o własny interes. Zastanawiam się, czemu Pancho wyróżniał się pod tym względem. Obdarzony był ciętym dowcipem i wrodzoną elokwencją, więc może mieliśmy mu za złe, że jego grzeszki zawsze uchodzą mu na sucho. W każdym razie to niewłaściwe, że został pod tym względem „wyróżniony” i ma tak niezасłużoną reputację. Prawda wygląda tak, że zawsze był i zawsze będzie jednym z nas, i jak wszystkich pozostałych zawsze będę go darzył przyjaźnią, zaufaniem i szacunkiem. Pancho, mieszkający niedaleko mnie w Carrasco, jest wybitnym prawnikiem. Poślubił swoją wieloletnią ukochaną Susanę, z którą ma dwóch synów i dwie córki. Jego najstarszy syn Alfredo jest kapitanem Pierwszej Reprezentacji Starych Chrześcijan.

Ramon „Moncho” Sabella jest zaprzysięgłym kawalerem. Mimo naszych ustawicznych wysiłków, by przedstawić go

287

I

wielu odpowiednim kandydatkom, pozostaje szczęśliwym singlem prowadzącym bujne życie towarzyskie, który zaklina się, że po prostu zbyt dobrze się bawi, by się kiedykolwiek ustatkować. Kiedy nie imprezuje na plaży Punte del Este albo w klubach Montevideo, pracuje w firmie deweloperskiej, a także nad nowym przedsięwzięciem - do spółki z innym ocalałym Fito Strauchem - hodowlą ostryg. Moncho jest dobrym przyjacielem, nie przegapi żadnej pięknej kobiety i zawsze miło przebywać w jego towarzystwie.

Fito Strauch był jednym z najważniejszych facetów na górze i żaden z nas, a już na pewno nie ja, nie zapomni, jak bardzo się przyczynił do naszego przetrwania. Podobnie jak Ja-vier, Fito mocno wierzy, że to osobista interwencja Boga ocaliła nas w górach, więc powinniśmy prowadzić życie jego posłańców. Mam czasem wrażenie, że nie podoba mu się mój sposób życia po wypadku: to, że zbagatelizowałem czy wręcz pominąłem rolę Boga w naszym ocaleniu i nie dochowałem wierności duchowym naukom, jakie płynęły z naszych strasznych

doświadczeń. Mówię mu, że nie wiem, jak szerzyć przesłanie Boże, bo nie mam pewności, na czym miałyby ono polegać. Fito powiedziałaby, że Andy udowodniły, iż Bóg nas ocalił, ponieważ nas kocha. Ale czyż nie kochał mojej matki i siostry i dwudziestu siedmiu innych osób, które tam zginęły? Nasze przeżycia w Andach spowodowały we mnie głęboką przemianę, głębsze i bardziej niż dawniej uduchowione podejście do życia, dla mnie jednak płynęła z tego nauka, że życie jest cenne i trzeba je przeżywać w sposób jak najpełniejszy, z serca i z miłością. Nie chcę, by nasze przejścia sprzed trzydziestu lat określały moje obecne życie; jego scenariusz piszę sam każdego dnia. Nie jest to dla mnie zaprzeczeniem duchowych lekcji, jakie otrzymaliśmy na górze, ale właśnie ich wypełnianiem.

288

Fito i ja nigdy się zapewne nie zgodzimy w tych kwestiach, co wcale nie umniejsza szacunku i przyjaźni, jakie do niego żywię, a spotykając się, zawsze obejmujemy się jak bracia. Fito mieszka na wsi, gdzie prowadzi własne ranczo hodowli bydła. Ma czworo dzieci ze swoją żoną Paulą.

Sergio Catalan, chilijski wieśniak, który pierwszy dostrzegł w górach mnie i Roberta i którego szybka i kompetentna reakcja doprowadziła bezpośrednio do uratowania nas i ocalenia życia jeszcze czternastu młodych ludzi, nie jest, formalnie rzecz biorąc, jednym z ocalałych.

Zdecydowanie jednak należy do naszej rodziny i od lat pozostajemy z nim w kontakcie, odwiedzamy go w jego wiosce w Chile albo opłacamy mu lot do nas, do Montevideo. Nadal jest tym samym skromnym, łagodnym i pełnym godności człowiekiem, który jechał konno przez dziesięć godzin, by sprowadzić ratowników do Las Ma-itenas. Wiedzie proste życie - całe tygodnie spędza na górskich pastwiskach, mając za jedyne towarzysza swego psa, i dogląda bydła i owiec. Sergio i jego żona wychowali dziewięćoro dzieci i naprawdę imponuje mi to, że dysponując skromnymi środkami górskiego pasterza, udało mu się posłać większość na studia i zadbać, by wszyscy mieli dobre posady i małżonków.

W marcu 2005 roku Virginia, żona Sergia, zadzwoniła do mnie, zapraszając nas na ich pięćdziesiątą rocznicę ślubu. To będzie niespodzianka dla Sergia, powiedziała. Nie uprzedzi go o naszym przybyciu. Zgodziliśmy się i na dzień przed uroczystością Roberto, Gustaw i ja, wraz z rodzinami, jechaliśmy wąską, kamienistą drogą prowadzącą do wioski Sergia.

Wszędzie wokół wznosiły się poszarpane, jałowe przedgórza Andów, kiedy stopniowo pięliśmy się pod górę. Wtem ktoś dostrzegł człowieka na koniu. Miał na sobie tradycyjny strój chilijskich pastuchów - kurtkę do pasa, spiczaste buty i kapelusz z szerokim rondem.

289

- To Sergio! - zawołał ktoś.

Zjechaliśmy na pobocze. Roberto, Gustavo i ja wysiedliśmy z wozów i podeszliśmy do jeźdźcy. Początkowo był wobec nas nieufny, jak podczas naszego pierwszego spotkania, gdy jednak dostrzegł Roberta i mnie, oczy rozszerzyły mu się i zaszły łzami. Nim się odezwał, postąpiłem krok naprzód.

- Przepraszam, dobry człowieku - powiedziałem - ale znów się zgubiliśmy. Pomożesz nam jeszcze raz?

Gdy jestem razem z pozostałymi ocalonymi, w milczeniu wypowiadamy to wszystko, co trzeba powiedzieć o czasie, jaki spędziliśmy na górze, i przez wiele lat wystarczała mi świadomość, że przyjaciele i moja rodzina rozumieją, przez co przeszedłem. Nie miałem ochoty dzielić się moją osobistą historią z ludźmi spoza naszego kręgu i choć udzielałem czasem wywiadów prasie albo brałem udział w filmach dokumentalnych upamiętniających różne rocznice tej katastrofy, zawsze unikałem zbytniego wywnętrzania się wobec obcych. Uważałem, że wszystko, co powinna wiedzieć opinia publiczna, przedstawiono w mistrzowski sposób w książce Alive. To fakt, że tamta relacja skupiała się prawie wyłącznie na zewnętrznych aspektach wydarzeń naszej gehenny. Czytelnik mógł się co najwyżej

domyślać, jakie toczyłem wewnętrzne zmagania i jakie wezbrane emocje kazały mi walczyć o przetrwanie. Nie miałem jednak ochoty ujawniać z tego zbyt wiele. Niech czytelnicy mają dramat, horror i przygodę. Najbardziej intymne, najbardziej bolesne wspomnienia wolałem zachować dla siebie.

Z biegiem lat niejednokrotnie zwracali się do mnie agenci i wydawcy, pytając, czy nie opisałbym tej historii ponownie z bardziej osobistego punktu widzenia. Zawsze odmawiałem.

2QO
Ludzie ci widzieli we mnie bohatera i wiedziałem, że chcą upamiętnić tę katastrofę jako inspirującą opowieść o triumfie i wytrwałości. Nie rozumieli tego. Nie byłem bohaterem. Zawsze byłem przestraszony, słaby i zdezorientowany, zawsze bezradny. A myśli o tej katastrofie - fetorze naszego cierpienia, obscenicznej śmierci tylu młodych ludzi - nie wzbudzały w moim sercu poczucia chwały czy triumfu. Nasza historia inspirowała może miliony ludzi na całym świecie jako opowieść

O sile ludzkiego ducha, dla mnie jednak tamte miesiące w górach były dniami rozdzierających przeżyć, zgrozy i bezpowrotnych strat. Katastrofa nie była powodem do celebracji. Była czymś, po czym trzeba się pozbierać. Robiłem, co mogłem, by tak się właśnie stało, wypełniając życie bogactwem relacji rodzinnych i przyjaźni, by wszystkie jego rozbite skorupy zostały pogrzebane pod nagromadzonymi z biegiem lat szczęściem

I radością.
I rad byłem z tego. Nie chcę powiedzieć, że negocjowałem własną przeszłość - nawet dzisiaj andyjskie wspomnienia poruszają mnie każdego dnia. Nie chciałem tylko dopuścić, by smutek i cierpienie kształtowały moją przyszłość. Stosowałem się do rady, jakiej ojciec udzielił mi po tym, jak nas uratowano. „Patrz naprzód, Nando - powiedział. - Nie pozwól, by to, co się stało, było najważniejszą rzeczą, jaka cię w życiu spotkała”. Nie chciałem przeżyć swego życia jako ocalały z katastrofy. Nie chciałem, by ta katastrofa określała moje życie. Wykorzystałem nauki, jakie płynęły z naszych przeżyć. Cieszyłem się przyjaźniami, jakie się w ich trakcie zadzierzgnęły, i zawsze szanowałem pamięć tych, którzy zginęli. Nie mogłem jednak gloryfikować czy uromantyczniać tego, co nas spotkało, a już z pewnością nie miałem zamiaru przekopywać się przez te mroczne wspomnienia z bezlitosną uczciwością konieczną do napisania książki.

2QI
Dlaczego zatem, po trzydziestu kilku latach, zgodziłem się napisać relację, którą macie teraz przed sobą? Wszystko rozpoczęło się w 1991 roku telefonem od Juana Cintrona. Organizował konferencję dla młodych biznesmenów w mieście Meksyk i oznajmił, że moja historia stanowiłaby znakomitą mowę motywacyjną na tym spotkaniu, więc dodzwonił się do mnie do Montevideo, prosząc o wygłoszenie wykładu inauguracyjnego. Nie miałem ochoty zamieniać moich przeżyć w gadkę zagrzewającą do wysiłku i uprzejmie odmówiłem. Ale Juan nie przyjął mojej odmowy do wiadomości. Telefonował wielokrotnie, nalegając, bym to jeszcze przemyślał. W końcu przyleciał do Montevideo, poprosił mnie osobiście. Będąc pod wrażeniem jego wytrwałości i entuzjazmu, uległem jego perswazjom i zgodziłem się wygłosić mowę.

Przez następne miesiące trudiłem się, by stworzyć tekst, na jakim zależało Cintronowi. Prosił, bym spróbował wydobyć z tej historii nauki, które przykułyby uwagę ambitnych, młodych przedsiębiorców, szukających spostrzeżeń i pomysłów, przydatnych w skutecznym prowadzeniu firmy - coś o przywództwie, nowatorstwie, pracy zespołowej i twórczym rozwiązywaniu problemów. Namawiał, by prezentacja była możliwie zwięzła i rzeczowa. To ludzie zajęci i niecierpliwi, tłumaczył, jak będą dłużyzny, stracisz ich uwagę. Kiedy pracowałem nad moją mową, próbując wydobyć z takiej masy cierpienia i bólu inspirujące ciekawostki, które pomogłyby publiczności złożonej z obcych mi ludzi poprawić ich wyniki zawodowe, poczułem głęboki żal, że zgodziłem się wygłosić ten odczyt. Ale na odwrót było

za późno. Wreszcie nadszedł ten dzień i znalazłem się na scenie w Meksyku, w samym centrum uwagi, mając przed sobą na podium notatki do mojej przemowy. Zostałem przedstawiony, umilkły uprzejme oklaski, czas było zaczynać. Chciałem mówić, ale mimo wy-

292

siłków żadne słowa nie napływały mi do głowy. Serce mi łomotało, zimny pot spływał pod kołnierzykiem koszuli, ręce drżały. Wbiłem wzrok w notatki. Nie miały sensu. Zaczęłem przerzucać kartki. Ludzie poprawiali się w fotelach. Niezręczna cisza stała się tak głośna, że brzmiała niczym grom, i już miałem wpaść w panikę, gdy usłyszałem swój głos.

- Nie powinienem być tutaj - zacząłem. - Powinienem leżeć martwy na lodowcu w Andach. A potem, jakby otwarła się jakaś śluza, wylałem z siebie całą tę historię, nie pomijając żadnych emocji i niczego nie zatajając. Mówiłem prosto z serca. Przeprowadziłem ich przez wszystkie ważne momenty naszej gehenny, by doświadczyli ich tak, jak ja: dzikiej rozpacz po stracie Susy, przerażenia, kiedy usłyszeliśmy, że odwołano poszukiwania, i zgrozy żucia ciał naszych zmarłych przyjaciół. Umieściłem ich obok nas w kadłubie samolotu w noc zejścia lawiny i w ponure dni, jakie potem nastąpiły. Poprowadziłem po zboczu góry i pokazałem przytłaczający widok ze szczytu, potem wziąłem ze sobą i Robertem na wędrowkę, która - byliśmy tego pewni - mogła zakończyć się śmiercią. Nie powiedziałem ani słowa o kreatywności, pracy zespołowej czy rozwiązywaniu problemów. Nie użyłem nawet słowa sukces. Za to podzieliłem się z nimi tym, co jak sobie uświadomiłem, było prawdziwą lekcją płynącą z moich doświadczeń: nie ocaliły nas spryt czy odwaga, ani żadne współzawodnictwo czy pomysłuńek, była to tylko miłość, nasza miłość do siebie wzajemnie, do naszych rodzin, do życia, które tak rozpaczliwie chcieliśmy przeżyć. Nasze cierpienie w Andach wymiotło wszystko, co trywialne i nieistotne. Każdy z nas zdał sobie sprawę, z trudną do opisaną wyrazistością, że jedyną ważną kwestią w życiu jest możliwość kochania i bycia kochanym. W naszych rodzinach, w naszej przyszłości, mieliśmy już wszystko, czego potrzebowaliśmy.

Szesnastu z nas, którym udało się powrócić do normalnego życia, nigdy o tym nie zapomni. Nikt nie powinien o tym zapominać.

Mówiłem ponad półtorej godziny, choć zdawało mi się, że to ledwie pięć minut, a gdy skończyłem, na sali zapadła głęboka cisza. Przez kilka sekund nikt się nie poruszał, potem rozległy się owacje na stojąco. Nieco później nieznajomi ze łzami w oczach podchodzili do mnie, by mnie uściskać. Niektórzy brali mnie na stronę, by opowiedzieć o swoich ciężkich doświadczeniach życiowych: walce z chorobą, utracie bliskich, rozwodzie, nałogu. Czułem przemożną więź z tymi ludźmi. Oni nie tylko rozumieli moją historię, ale przeżywali ją jak własną. Dało mi to głębokie poczucie spokoju i celu, i choć nie w pełni rozumiałem wówczas te emocje, wiedziałem, że chciałbym ich jeszcze doświadczyć.

Po sukcesie mowy w Meksyku proszono mnie o wygłoszenie odczytów w całym świecie, ale moje córki były jeszcze malutkie, a zobowiązania biznesowe poważne, mogłem więc przyjąć tylko kilka zaproszeń. Z biegiem lat znajdowałem więcej czasu na częstsze wystąpienia. Dzisiaj wygłaszam odczyty na całym świecie, choć obowiązki w kraju nadal zmuszają mnie do odrzucania wielu propozycji. A ilekroć mówię, robię po prostu to, co za pierwszym razem: opowiadam moją historię i dzielę się prostą mądrością, której mnie ona nauczyła. Rezultat jest zawsze ten sam: zalew ciepła, wdzięczności i to przemożne poczucie wspólnoty. Kiedyś po odczycie młoda kobieta poprosiła o chwilę rozmowy. „Kilka lat temu wyjeżdżałam tyłem z podjazdu przed domem - powiedziała. - Nie wiedziałam, że moja dwuletnia córeczka jest właśnie za mną. Przejechałam po niej samochodem, a ona zmarła. W tym momencie moje

życie się zatrzymało. Od tego czasu nie potrafię jeść, spać czy nawet myśleć o czymkolwiek poza tamtą chwi-

lą. Zadręczam się pytaniami. Dlaczego ona tam była? Dlaczego jej nie zobaczyłam? Czemu nie byłam bardziej ostrożna? A przede wszystkim: Dlaczego to się stało? Od tamtej chwili paraliżują mnie rozpacz i poczucie winy, wskutek czego cierpi moja rodzina. Pana historia pokazuje mi, że nie miałam racji. Można dalej żyć, nawet gdy się cierpi. Teraz wiem, że muszę iść naprzód. Muszę żyć dla męża i pozostałych dzieci. Nawet czując ten ból, muszę znaleźć na to siły. Pana historia przekonuje mnie, że to możliwe".

Oniemiały, objąłem ją i uściskałem. W tym momencie nie-uformowana jeszcze myśl, która błąkała się na skraju świadomości, stała się niezmiernie wyrazista. Uprzytomniłem sobie, że moja historia (tsttej historią, to historia każdego, kto jej słucha. Ta kobieta nigdy nie czuła podmuchów lodowatego wicheru. Nie zataczała się w porywach wysokogórskiej śnieżycy i nie obserwowała ze zgrozą, jak jej ciało wyniszcza głód. Ale czyż można wątpić, że w gruncie rzeczy cierpiała nie mniej ode mnie? Zawsze uważałem moją historię za coś niepowtarzalnego, coś tak skrajnego i szokującego, że tylko ludzie, którzy tam byli, mogli naprawdę zrozumieć, przez co przeszliśmy. Ale przecież ostatecznie - w sferze najgłębszych ludzkich doznań - jest to najlepiej znana historia świata. Wszyscy musimy czasem zmierzyć się z beznadziejnością i rozpaczą. Wszyscy doświadczamy żalu, opuszczenia i dru-zgoczącej straty. Wszyscy też, prędzej czy później, staniemy wobec nieuchronności śmierci. Kiedy obejmowałem tę smutną kobietę, moje wargi wypowiedziały słowa: „Każdy z nas ma własne Andy".

Teraz, po ponad dziesięciu latach publicznych wystąpień, kiedy obserwowałem, jaki oddźwięk wywołuje moja historia u tysięcy ludzi na całym świecie, rozumiem, że poczucie wspólnoty z moimi słuchaczami zakorzenione jest w czymś

2Q5

głębszym niż ich podziw dla tego, czego dokonałem, by przetrwać. W mojej opowieści dostrzegają oni własne zmagania i lęki ucieleśnione na niespotykaną skalę na tle surrealistycznej scenerii. Historia ta mrozi im krew w żyłach, ale też stanowi zachętę, bo widzą, że zwykły człowiek może wytrzymać nawet w obliczu najbardziej okrutnego cierpienia i w beznadziejnej na pozór sytuacji. Odczuwam głęboką satysfakcję, że tylu ludzi znajduje siłę i pocieszenie w tym, co mam do powiedzenia, ale wiele też otrzymałem od nich w zamian. Pokazali mi, że w mojej opowieści jest coś więcej niż zgryzota i bezsensowna tragedia. Wykorzystując moje cierpienie jako źródło inspiracji i otuchy, pomogli mi wygoić rany wspomnień. Zrozumiałem, że moja matka, siostra i wszyscy inni nie zginęli na próżno, a przeżyte przez nas cierpienia składają się na coś naprawdę ważnego, pewien rodzaj mądrości, który przemawia do ludzkich serc wszędzie na Ziemi.

Moi słuchacze także mnie wzruszają. Więż, jaką z nimi odczuwam, daje mi tyle spełnienia i miłości, jakby łączyła nas ludzka sieć zrozumienia, jakby każda osoba poruszona moją historią wzbogacała i poszerzała moje życie. Zdumiewa mnie, że jestem tym samym człowiekiem, który nie lubił kiedyś mówienia o Andach, ponieważ teraz moją pasją jest dotarcie z moją historią do jak największej liczby ludzi, a z pasji tej wyrosło pragnienie napisania książki. Przystąpiłem do jej pisania, w duchu, kilka lat temu, i ostatecznie nadszedł stosowny czas, by przelać te myśli na papier. Było to niezwykle doświadczenie - bolesne, radosne, upokarzające, zaskakujące i dające wiele satysfakcji. Pisząc ją, starałem się być maksymalnie szczery, a teraz składam ją w darze:

Mojemu ojcu, aby mógł zobaczyć, w każdym bezlitosnym szczególe, przez co przeszedłem i jak moja miłość do niego stała się realną siłą, która mnie ocaliła.

2QÓ

głębszym niż ich podziw dla tego, czego dokonałem, by przetrwać. W mojej opowieści dostrzegają oni własne zmagania i lęki ucieleśnione na niespotykaną skalę na tle surrealistycznej scenerii. Historia ta mrozi im krew w żyłach, ale też stanowi zachętę, bo widzą, że zwykły człowiek może wytrzymać nawet w obliczu najbardziej okrutnego cierpienia i w beznadziejnej na pozór sytuacji. Odczuwam głęboką satysfakcję, że tylu ludzi znajduje siłę i pocieszenie w tym, co mam do powiedzenia, ale wiele też otrzymałem od nich w zamian. Pokazali mi, że w mojej opowieści jest coś więcej niż zgryzota i bezsensowna tragedia. Wykorzystując moje cierpienie jako źródło inspiracji i otuchy, pomogli mi wygoić rany wspomnień. Zrozumiałem, że moja matka, siostra i wszyscy inni nie zginęli na próżno, a przeżyte przez nas cierpienia składają się na coś naprawdę ważnego, pewien rodzaj mądrości, który przemawia do ludzkich serc wszędzie na Ziemi.

Moi słuchacze także mnie wzruszają. Więż, jaką z nimi odczuwam, daje mi tyle spełnienia i miłości, jakby łączyła nas ludzka sieć zrozumienia, jakby każda osoba poruszona moją historią wzbogacała i poszerzała moje życie. Zdumiewa mnie, że jestem tym samym człowiekiem, który nie lubił kiedyś mówienia o Andach, ponieważ teraz moją pasją jest dotarcie z moją historią do jak największej liczby ludzi, a z pasji tej wyrosło pragnienie napisania książki. Przystąpiłem do jej pisania, w duchu, kilka lat temu, i ostatecznie nadszedł stosowny czas, by przelać te myśli na papier. Było to niezwykle doświadczenie - bolesne, radosne, upokarzające, zaskakujące i dające wiele satysfakcji. Pisząc ją, starałem się być maksymalnie szczery, a teraz składam ją w darze:

Mojemu ojcu, aby mógł zobaczyć, w każdym bezlitosnym szczególe, przez co przeszedłem i jak moja miłość do niego stała się realną siłą, która mnie ocaliła.

296

Moim towarzyszom tamtych przejść, aby wiedzieli, jaką miłość i szacunek będę zawsze do nich żywił.

Mojej żonie i córkom, by stały u mego boku w tamtych górach, dzień po dniu, i zobaczyły, że choć stanowiły jeszcze wtedy ledwie część mojej odległej przyszłości, każdy mój krok był krokiem, który przybliżał mnie do nich.

I wreszcie tym, z którymi łączą mnie cierpienie, radości i rozczarowania życia - czyli wszystkim, którzy to czytają. Nie jestem mędrce. Każdy dzień pokazuje mi, jak mało wiem o życiu i jak wiele z tego może być błędne. Ale są rzeczy, które wiem na pewno. Wiem, że umrę. Wiem też, że jedyną rozsądną odpowiedzią na coś tak przerażającego jest miłość. Arturo Nogueira, jeden z naszych najdzielniejszych towarzyszy, powtarzał, zanim umarł: „Nawet tutaj, nawet kiedy cierpimy, życie jest nadal warte przeżycia...”. Miał na myśli to, że nawet gdy wszystko nam odebrano, mogliśmy nadal myśleć

O naszych bliskich, zachować ich w sercach i hołubić jak skarby naszego życia. Arturo, jak my wszyscy, odkrył, że tylko to się liczy. Mam nadzieję, że wy, którzy czytacie tę książkę, szybciej zdacie sobie sprawę, jakie skarby posiadacie. W Andach żyliśmy od jednego uderzenia serca do następnego. Każda sekunda życia była darem, który wibrował poczuciem celu

I znaczeniem. Od tego czasu starałem się żyć w taki właśnie sposób i dało mi to wiele szczęścia. Zachęcam, byście postępowali podobnie. Jak mawialiśmy w górach: „Oddychaj. Weź jeszcze jeden oddech. Z każdym oddechem jesteś żywy”. Po wszystkich tych latach jest to nadal najlepsza rada, jakiej mogę udzielić: Delektujcie się istnieniem. Przeżywajcie każdą chwilę. Nie traćcie ani oddechu.

O fotografiach

We wraku fairchilda znaleźliśmy tani aparat fotograficzny z kilkoma nienaświetlonymi klatkami. Pokazują nas w Andach, kiedy byliśmy coraz bliżsi śmierci, a nasze nadzieje na przybycie pomocy szybko się ulatniały. Oglądam je dzisiaj ze zdumieniem, bo nie dostrzegam śladu przerażenia i depresji, z którymi się wszyscy borykaliśmy. Widzę za to, jak wylegujemy się na śniegu niczym studenci na plaży albo opalamy się na lodowcu w fotelach wyciągniętych z kadłuba jak przyjaciele odpoczywający w kawiarence na świeżym powietrzu. Na jednym ze zdjęć trzech młodych ludzi stoi ramię w ramię z uśmiechem na tle wznoszących się w oddali ośnieżonych zboczy Andów. Można by ich wziąć za marnie ubranych turystów na stoku narciarskim w Alpach czy Górach Skalistych. Tylko wstrząsająca chudość wskazuje, że coś jest nie w porządku.

Część tych fotografii zrobiłem sam, przeważnie pod wpływem impulsu, bez większych deliberacji, ilekroć jednak wyzwaliałem migawkę, wiedziałem, że zdjęcia te mogą przeżyć nas wszystkich. Myśl, że znikniemy pod śniegiem i nikt już nie opowie naszej historii, wydawała się przerażająca, dlatego pocieszenie stanowił dla mnie fakt, że ten mały plastikowy instamatic zawiera zapis naszego pobytu w górach. Nawet gdyby miał tam leżeć przez dziesięciolecia, były szansę, że ktoś go kiedyś odnajdzie. Nie znikniemy więc całkowicie. Świat dowie się, że przez jakiś czas byliśmy żywi, że walczyliśmy o przetrwanie i mimo całej beznadziejności i lęku nadal mieliśmy odwagę uśmiechać się do obiektywu.

Podziękowania

Nando Parrado

Pragnę wyrazić wdzięczność przyjaciołom i znajomym, bez których współudziału książka ta nie mogłaby powstać:

Moim agentom: Stephanie Kip Rostan, Elizabeth Fisher, Danielowi Greenbergowi i Jimowi Levine za ich mądre rady.

Mojemu wydawcy Annik LaFarge za jej entuzjazm i kompetencję, jak również pasję i troskę, z jakimi doprowadziła do powstania tej książki.

Vince'owi Rause, którego humor i umiejętności sprawiały, że praca z nim była radością, i którego zaliczam dziś do swoich przyjaciół.

Gail i Kelly Davis, które od początku wspierały prace nad tą książką i których przyjaźń zawsze sobie ceniłem.

Nieżyjącemu już Markowi McCormackowi, wielkiemu człowiekowi i przyjacielowi, który zawsze zachęcał mnie do opowiedzenia mojej osobistej historii w formie książki. W końcu posłuchałem jego rady.

Jackiemu Stewartowi, jego żonie Helen i jego synom Paulo-wi i Markowi, którzy zawsze traktowali mnie jak członka rodziny. Przyjaźń Jackiego była dla mnie prawdziwym błogosławieństwem, wdzięczny mu jestem za wszystko, czego mnie nauczył na temat wyścigów, interesów i życia.

Berniemu Ecclestone'owi, który otworzył przed mną tyle drzwi, gdy byłem młody, i który, podobnie jak Jackie, nauczył

30

mnie wielu rzeczy, które ukształtowały mnie jako człowieka. Dumny jestem, mogąc nazywać go przyjacielem.

Mojemu dobremu przyjacielowi Piersowi Paulowi Readowi, który w znakomitej książce *Alive* po raz pierwszy przedstawił światu historię andyjskiej katastrofy uczciwie, z wrażliwością i wielką mocą.

Wszystkim moim kolegom z zespołu i przyjaciołom, którzy zginęli w tym wypadku. Nigdy ich nie zapomniałem i starałem się przeżywać swoje życie na ich cześć.

Piętnastu ocalałym z katastrofy, moim braciom na całe życie, jedynym, którzy potrafia naprawdę zrozumieć, co przecierpeliśmy. Bez lojalności i solidarności, jakie sobie okazywaliśmy, żaden z nas nie wy dostałby się z Andów.

Klubowi Rugby Starych Chrześcijan, a także duchowi Starych Chrześcijan - duchowi jedności i samopoświęcenia, który związał nas i dał nam siłę i wspólną wolę, by przetrwać.

Mojej siostrze Gracieli, która była dla mnie źródłem wielkiego pocieszenia po naszych przejściach i z którą coraz bardziej się zbliżyłem podczas tych wszystkich lat.

Mojej żonie Veronique i córkom Veronice i Cecylii, za ich nieustającą miłość i wsparcie oraz cierpliwość, z jaką znosiły długie godziny mojej pracy nad tą książką. Wszystkie trzy są dla mnie najdroższe w świecie.

Mojej siostrze Susy, której nadal brak mi równie mocno, jak w pierwszych chwilach po tym, kiedy ją straciłem.

Mojej matce Xeni, której serdeczność, miłość i mądrość dały mi siłę potrzebną, by znosić to, co nie do zniesienia...

Oraz mojemu ojcu Selerowi, który inspirował mnie jako chłopca i czyni to nadal. To miłość do niego, i tylko ona, wyprowadziła mnie wtedy z gór, a każdy moment spędzony z nim potem był dla mnie błogosławieństwem.

Nando Parrado

Podziękowania

Vince Rauce

Kiedy zwrócono się do mnie z propozycją, bym współpracował z Nandem Parrado nad książką *Cud w Andach*, w pierwszym impulsie zastanowiłem się, czy taka książka jest konieczna. Jak miliony innych ludzi fascynowała mnie i inspirowała saga o Katastrofie Andyjskiej 1972 roku, ale bestseller z 1973 roku *Alive* zrelacjonował to w sposób tak szczegółowy i wyczerpujący, precyzyjny i pełen mocy, że miałem wątpliwości, czy ma sens robienie tego ponownie. Rozumiałem, że książka ta znajdzie czytelników tylko wtedy, jeśli poruszy aspekty tej historii, których tamta nie zgłębiała - aspekty emocji i introspekcji, serca i ducha. Powtórne relacjonowanie samych wydarzeń miałyoby się z celem. Musielibyśmy sprawić, by czytelnicy weszli w skórę Nanda Parrado, patrzyli jego oczyma na posępność

Andów, zmusić, by brnęli beznadziejnie w znoszonych butach do rugby przez zmrożone zbocza, mając pewność, że staną się one ich grobem. Pozostawić ich własnemu losowi, z Nandem i jego przyjaciółmi, w pozbawionej życia Kordylerze, kazać im doświadczać mrozu, lęku i przygnębienia. Trzeba było opowiedzieć tę historię niejako od wewnątrz, poprzez emocjonalny filtr desperacji Nanda, a mogło się to udać tylko wtedy, gdyby on sam zrozumiał, że najlepsza historia, jaką może opowiedzieć, nie dotyczy tylko młodego człowieka walczącego

303

z górami, ale zwykłego chłopaka, który nazbyt kochał życie, by się poddać w beznadziejnej z pozoru sytuacji.

Wiedziałem, że opowiedzenie takiej historii wymaga wrażliwości i odwagi. Nando musiałby rozdrapać stare rany. Przeżyć ponownie, z szeroko otwartymi oczyma, chwile straty i zgrozy, jakie niewielu z nas może sobie wyobrazić. Czy pokaże mi te chwile? Czy wydobędzie dla mnie na światło dzienne najbardziej osobiste i bolesne wspomnienia? Jakim był człowiekiem? Czy był twardy? Czy był uczciwy? Czy miał dość inteligencji emocjonalnej, by zrozumieć, jakie zmiany wywołały w nim te bolesne przejścia? Czy po trzydziestu latach refleksji ma na ten temat coś wartościowego do powiedzenia?

Nie znałem go wtedy, wiedziałem jednak, jakim człowiekiem musiałby być, aby napisać książkę, z której obaj moglibyśmy być dumni; wiedziałem też, że niełatwo o takich ludzi. Jeśli Nando nie jest takim facetem, jeśli nie może rozświetlić swojej opowieści znaczącymi wglądami i najdzielniejszym rodzajem szczerości, to książka taka będzie zbędna, a praca nad nią stanie się nużącą harówką. Ryzyko było duże, a ostrożność podpowiadała mi, by się wycofać, zanim sprawy posuną się dalej, ale jakaś dręcząca intuicja nie pozwalała mi odejść. Nie mogłem usnąć, zmagając się z tym: to znaczy, a jeśli on jest takim facetem? Koniec końców przecucie to zwyciężyło, a kiedy Nando oficjalnie zaproponował mi to zajęcie, zgodziłem się i polecałem na spotkanie z nim do Urugwaju. Siedzieliśmy w salonie jego domu nad oceanem w Punta del Este i powoli poznawaliśmy się wzajemnie. Pokazałem mu zdjęcia rodziny. Poznałem jego żonę i córki. Bawiliśmy się z jego wielkim czarnym labradorem o imieniu Sa-sha i w pewnym momencie, gdy nadeszła odpowiednia chwila, zaczęliśmy rozmowę o Andach. W Ameryce Południowej było wtedy lato, a przez panoramiczne okno za plecami

304

z górami, ale zwykłego chłopaka, który nazbyt kochał życie, by się poddać w beznadziejnej z pozoru sytuacji.

Wiedziałem, że opowiedzenie takiej historii wymaga wrażliwości i odwagi. Nando musiałby rozdrapać stare rany. Przeżyć ponownie, z szeroko otwartymi oczyma, chwile straty i zgrozy, jakie niewielu z nas może sobie wyobrazić. Czy pokaże mi te chwile? Czy wydobędzie dla mnie na światło dzienne najbardziej osobiste i bolesne wspomnienia? Jakim był człowiekiem? Czy był twardy? Czy był uczciwy? Czy miał dość inteligencji emocjonalnej, by zrozumieć, jakie zmiany wywołały w nim te bolesne przejścia? Czy po trzydziestu latach refleksji ma na ten temat coś wartościowego do powiedzenia?

Nie znałem go wtedy, wiedziałem jednak, jakim człowiekiem musiałby być, aby napisać książkę, z której obaj moglibyśmy być dumni; wiedziałem też, że niełatwo o takich ludzi. Jeśli Nando nie jest takim facetem, jeśli nie może rozświetlić swojej opowieści znaczącymi wglądami i najdzielniejszym rodzajem szczerości, to książka taka będzie zbędna, a praca nad nią stanie się nużącą harówką. Ryzyko było duże, a ostrożność podpowiadała mi, by się wycofać, zanim sprawy posuną się dalej, ale jakaś dręcząca intuicja nie pozwalała mi odejść. Nie mogłem usnąć, zmagając się z tym: to znaczy, a jeśli on jest takim facetem? Koniec końców przecucie to zwyciężyło, a kiedy Nando oficjalnie zaproponował mi to zajęcie, zgodziłem się i polecałem na spotkanie z nim do Urugwaju. Siedzieliśmy w salonie jego

domu nad oceanem w Punta del Este i powoli poznawaliśmy się wzajemnie. Pokazałem mu zdjęcia rodziny. Poznałem jego żonę i córki. Bawiliśmy się z jego wielkim czarnym labradorem o imieniu Sa-sha i w pewnym momencie, gdy nadeszła odpowiednia chwila, zaczęliśmy rozmowę o Andach. W Ameryce Południowej było wtedy lato, a przez panoramiczne okno za plecami gospodarza widziałem zielone fale omywające plażę. Ale gdy Nando zaczął mówić, zapomniałem o plaży, falach i słońcu, bo nie znajdowałem się już w Punta del Este. Byłem u jego boku w zasypanej śniegiem Kordylierze. Jego głos był cichy, spokojny, a jednocześnie pełen ekspresji, pamiętam, że uśmiechał się łagodnie, nawet wspominając coś przerażającego. Przypomnił sobie chwilę, kiedy pogrzebał siostrę, i jak płatki śniegu skrzyły się na jej policzkach, zanim je przysypały. Wspominał panikę, jaką odczuł po usłyszeniu wiadomości o odwołaniu akcji ratunkowej, i jak ledwo się powstrzymał przed rzuceniem się na oślep w tamto pustkowie. Widziałem, jak leży pod miażdżącym ciężarem lawiny, zmęczony walką, czekając, jaka będzie śmierć. Oglądałem go na szczycie Góry Selera, gdzie okrutny widok załamał go tak całkowicie, że na ponad minutę zapomniał o oddychaniu. Opowiedział o wszystkim - tęsknocie za domem, ustawicznym przerażeniu, zjadliwym górskim mrozie, czuciu ludzkiego mięsa między zębami. Opisując to, patrzył na mnie, a w jego głosie było jakieś spokojne przynaglenie. Chciał, żebym zrozumiał. Taką historię opowiedziano już wcześniej, zdawał się mówić, ale nie tę historię, nie moją historię... Mówił ponad godzinę, potem oparł się na sofie i zamilkł. Zanim zebrałem się w sobie, by coś powiedzieć, uśmiechnął się szeroko i wrzucił skromnie ramionami.

- Sam nie wiem - rzekł cicho - myślisz, że wyjdzie z tego książka?

W tym momencie poczułem się jak głupiec, jak mogłem wątpić, czy Nando będzie umiał to zrobić. Uświadomiłem sobie za to z otrzeźwiającą wyrazistością, że to ja będę musiał dać z siebie wszystko, by oddać sprawiedliwość jego historii. Od tej chwili całym sercem pomagałem Nandowi napisać książkę wartą jego przeżyć, a dziś mogę powiedzieć, że

305
współpraca z nim była jednym z najbogatszych i satysfakcjonujących doświadczeń mego życia. Dlatego przede wszystkim czuję się zobowiązany wyrazić moją wdzięczność Nandowi Parrado. Dziękuję mu za jego odwagę, wspaniałomyślność, wyobraźnię i dobry humor, i za wielki dar jego przyjaźni. Ale szczególnie dziękuję mu za to, że powierzył mi swoją opowieść. To najlepsza historia prawdziwa, jaką w życiu słyszałem, a możliwość dopomożenia mu w jej opowiedzeniu stanowiła dla mnie niezapomniany zaszczyt.

* * *

Mam też szczęście być związanym z wyjątkowym zespołem z agencji Levine/Greensberg, w tym: Jimem Levine, Danem Greensbergiem, Arielle Eckstutt, Elizabeth Fisher, a zwłaszcza Stephanie Kip Rostan, których ciężka praca nadawała bieg temu przedsięwzięciu, a ich łagodny upór sprawiał, że odbywało się ono nie bez mojego udziału.

Nasz wydawca, Annik LaFarge, wniosła do tego projektu rzadkie połączenie mózgu i serca, i nie wyobrażam sobie, by książka ta mogła powstać bez niej. Rozpoczęła jako nasza najbardziej zdecydowana rzeczniczka, stała się zaufanym doradcą, a skończyła jako przyjaciel. Dziękuję jej za jej wskazówki i entuzjazm. Na podziękowania zasłużyli też: Steve Ross, Amy Boorstein, Mary Choteborsky, Genoveva Llosa, Lukę Dempsey i cała obsada wydawnictwa Crown za traktowanie tej książki z taką werwą i kompetencją; Ernesto i Roselle Trello za wsparcie emocjonalne i przestrzeń biurową w chwilach potrzeby, Gail Davis za jej pionierskie działania na rzecz powstania tej książki; Roy Harley, Coche Inciarte, Alvaro Mangino i Gustavo Zerbino za podzielenie się wspomnieniami; oraz Ed West za dobre rady i prześmiewcze poczucie humoru oraz trwającą od prawie czterdziestu lat przyjaźń.

300

I wreszcie dziękuję mojej żonie Chris, pełniącej funkcję filaru rodziny ze spokojną siłą i nieskończoną cierpliwością, oraz córce Carmeli, która nie jest wcale ani cierpliwa, ani spokojna, ale przeżywa swoje życie z tak słodką i wdzięczną żywiołowością, że moje dni są pełne uśmiechów. Obie wykazały wiele poświęcenia w czasie, gdy pracowałem nad tą książką, i teraz dedykuję ją właśnie im, z miłością.

Vince Rause

O autorach

NANDO PARRADO niechętnie przyjął światową sławę jednego z młodych bohaterów andyjskiej katastrofy z 1972 roku. Dziś jest dyrektorem generalnym kilku przedsiębiorstw w rodzinnym Urugwaju, w tym ogólnokrajowej sieci sklepów metalowych, firm reklamowych i marketingowych oraz wytwórni programów telewizyjnych, dla której produkuje i prowadzi popularne programy na temat podróży, mody, bieżących wydarzeń i sportów motorowych. Od 1991 roku jego publiczne odczyty należą do najbardziej poszukiwanych w świecie. Jako były kierowca wyścigowy i zwycięzca Pucharu Zespołowego Europy w wyścigach formuły Touring Car, nadal z przyjemnością jeździ samochodami wyścigowymi, motocyklami i pływa na motorówkach wyścigowych. Mieszka w Montevideo w Urugwaju z żoną Veronique i córkami Veronicą i Cecilią. Można z nim nawiązać kontakt przez Internet pod adresem: nandol@parrado.com.

VINCE RAUSE jest autorem książek i tekstów w czasopiśmie, m.in. The New York Times Magazine, Los Angeles Times Magazine, Readers' Digest, Sports Illustrated i wielu innych wydawnictwach ogólnokrajowych i regionalnych. Jego ostatnia książka to napisana wspólnie z znakomitym badaczem mózgu Andrew Newbergiem Why God Won't Go Away.-Brain Science and the Biology of Belief. Mieszka w Pittsburgu z żoną Christine i córką Carmelą.

Spis treści

| | |
|----------------------------------|-----|
| Prolog..... | 9 |
| 1. Przed wypadkiem..... | 14 |
| 2. Wszystko, co najdroższe | 44 |
| 3. Obietnica..... | 55 |
| 4. Jeszcze jeden oddech | 81 |
| 5. Porzuceni | 108 |
| 6. Grobowiec..... | 134 |

| | |
|----------------------------------|-----|
| 7. Na wschód | 150 |
| 8. Przeciwnieństwo śmierci | 186 |
| 9. „Widzę człowieka...” | 214 |
| 10. Po wypadku..... | 247 |
| Epilog..... | 277 |
| O fotografiach..... | 299 |
| Podziękowania | 301 |
| O autorach | 309 |

Książkę wydrukowano na papierze Amber Yolurne 70 g/m=
I Amber
www.arcticpaper.com

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8
tel. 022 6296524, 022 6295083
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 022 6286360, 022 6293201 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Warszawa 2007 Wydanie I
Skład i łamanie: Avanti, Warszawa Druk i oprawa: OZGraf, Olsztyn
Książkę wydrukowano na papierze Amber Volume 70 g/m l
I Amber
www.arcticpaper.com

MUZA SA
00-590 Warszawa
ul. Marszałkowska 8
tel. 022 6296524, 022 6295083
e-mail: info@muza.com.pl
Dział zamówień: 022 6286360, 022 6293201 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Warszawa 2007 Wydanie I
Skład i łamanie: Avanti, Warszawa Druk i oprawa: OZGraf, Olsztyn